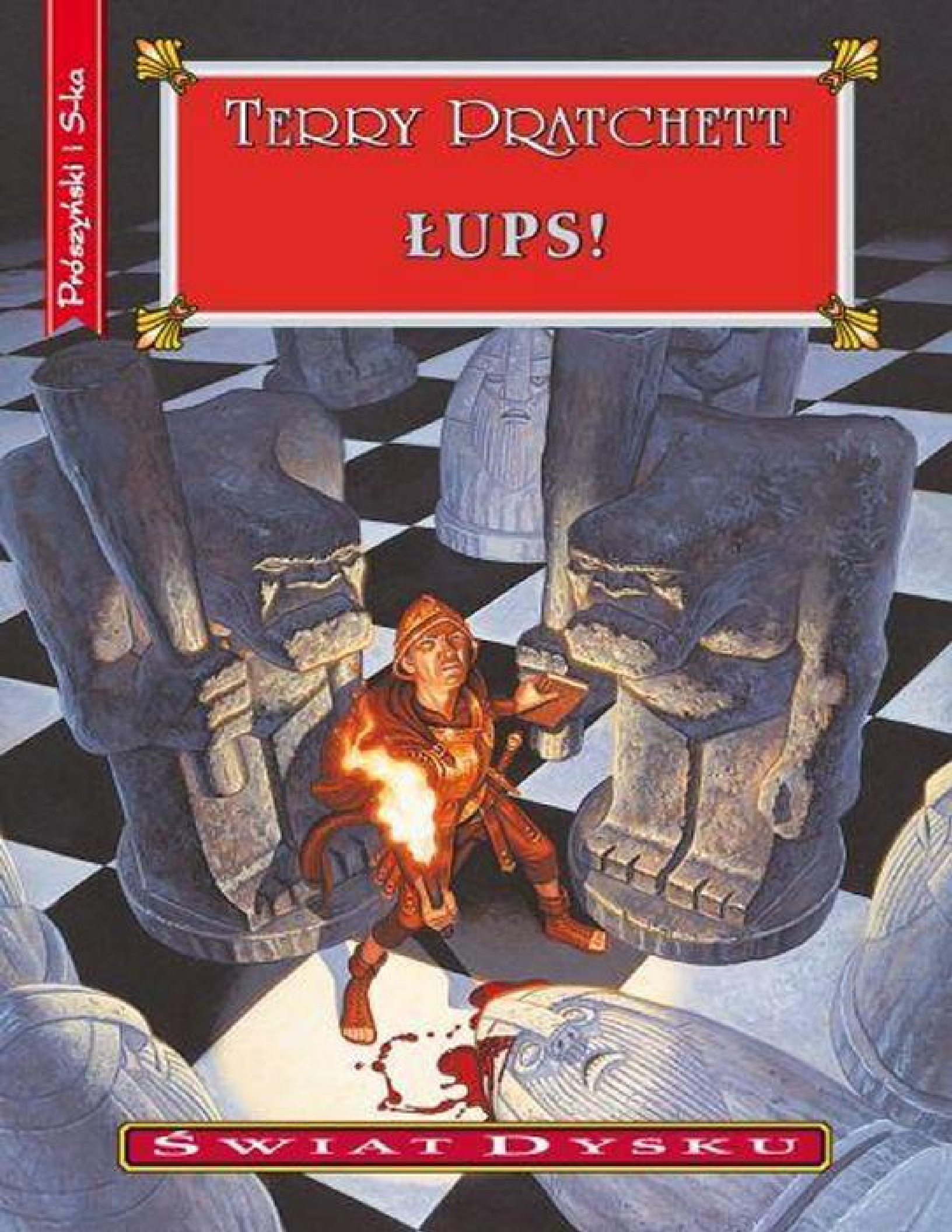


Prószynski | S-ka

TERRY PRATCHETT

ŁUPS!

ŚWIAT DYSKU



Terry Pratchett

Lups!

Przełożył Piotr W. Cholewa

Wydanie oryginalne Tytuł oryginału: Thud! Data wydania:

2005

Wydanie polskie Data wydania:

2009

Ilustracja na okładce: Paul Kidby Przełożył Piotr W. Cholewa Wydawca: Proszynski i S-ka SA 02-651 Warszawa, ul. Garazowa 7 www.proszynski.pl

ISBN 978-83-7648-130-2

Wydanie elektroniczne Trident eBooks

Pierwsza rzecz, która zrobił Tak, to spisał siebie. Druga rzecz, która zrobił Tak, to spisał Prawa. Trzecia rzecz, która zrobił Tak, to spisał Świat. Czwarta rzecz, która zrobił Tak, to spisał jaskinie. Piąta rzecz, która zrobił Tak, to spisał geode, jajo z kamienia. I oto w polmroku ujścia jaskini geoda pękła i narodzili się Bracia. Pierwszy Brat poszedł w stronę światła i stanął pod otwartym niebem. I od tego wyrosł za wysoko. Był to pierwszy Człowiek. Nie znalazł żadnych praw i stał się oświecony. Drugi Brat poszedł w stronę ciemności i stanął pod kamiennym sklepieniem. I od tego zyskał prawidłowy wzrost. Był to pierwszy Krasnolud. Znalazł Prawa spisane przez Taka i stał się ociemniony. Ale część żyjącego ducha Taka pozostała uwieczniona w kamiennym jaju i stała się pierwszym trollem, który wędruje po świecie nieproszony i niechciany, bez duszy ani celu, pojęcia ani zrozumienia. Bojąc się światła i ciemności, przez wieczność włoczy się w polmroku, nie wiedząc niczego, nie ucząc się niczego, nie tworząc niczego, będąc niczym... fragment Gd Tak 'Gar (Rzeczy, które spisał Tak), przekł. prof. W.W.W. Wildblood, Wydawnictwa Niewidocznego Uniwersytetu, cena 8 AM\$ (w oryginale ostatni paragraf cytowanego tekstu wydaje się dopisany o wiele później) Jemu co gory kruszy jemu nie

Jemu co słońce jego zatrzyma jemu nie

Jemu co młot jego rozbija jemu nie

Jemu co ogień jego przerazi jemu nie

Jemu co głowę jego podnosi nad jego serce

Jemu diament

On diament tłumaczenie trollowych piktogramów wyrytych na bazaltowym bloku, znalezionym na najniższym pokładzie ankhmorporskich kopalni melasy, w złożach melasy szacowanych na 500 000 lat Lups!...

Taki dźwięk wydała ciężka maczuga, kiedy zderzyła się z głową. Ciało zadygotało i osunęło się na wznak.

I rzecz się stała, niewidziana i niesłyszana – doskonale zakończenie, doskonale rozwiązanie, doskonała opowieść.

Ale, jak mawiają krasnoludy, gdzie są kłopoty, zawsze znajdzie się trolla.

Troll widział.

Dzień zaczął się idealnie. Sam dobrze wiedział, że wkrótce przestanie być idealny, ale przez te kilka minut można było udawać, że nie.

Sam Vimes się golił. Był to jego codzienny akt buntu, potwierdzenie, że jest... no, zwykłym Samem Vimesem.

Owszem, golił się w swojej rezydencji, a kamerdyner czytał mu artykuły z "Pulsu", ale to tylko... no, okoliczności. Nadal spoglądał na niego z lustra Sam Vimes. Zły będzie to dzień, kiedy zobaczy tam diuka Ankh. Diuk to tylko zakres obowiązków roboczych, nic więcej.

–Prawie wszystkie wiadomości dotyczą obecnej sytuacji... krasnoludziej, sir – rzekł Willikins.

Vimes zmagał się z tym trudnym regionem pod nosem. Nadal używał morderczej brzytwy swojego dziadka – to była jeszcze jedna kotwica mocująca go do rzeczywistości. Poza tym stał by wtedy o wiele lepsza od dzisiejszej. Sybil, przejawiająca dziwny entuzjazm dla nowoczesnych zabawek, sugerowała, że powinien używać jednej z tych nowych golarek, w których siedział taki mały czarodziejski chochlik z własnymi nożyczkami i bardzo szybko scinał, co należy. Ale Vimes twardo odmawiał. Jeśli już ktoś ma wymachiwać ostrzem przy jego twarzy, to tylko on sam.

–Dolina Koom, dolina Koom... – mrucał do swojego odbicia. – Coś nowego?

–Właściwie nie – stwierdził Willikins i wrócił do pierwszej strony. – Jest artykuł o przemówieniu, jakie wygłosił grag Combergniot. Pisz, że potem nastąpiły zamieszki. Kilka krasnoludów i trolli odniosło rany. Przywódcy obu społeczności zaapelowali o spokój.

Vimes starł pianę z ostrza.

–Ha! Pewnie, że zaapelowali. Powiedz, Willikins, często się biles w młodości? Należales do jakiegos gangu albo co?

–Miałem zaszczyt nalezec do Niegrzecznych Chlopcow z Falszonogiej, sir – odparł kamerdyner.

–Powaznie? – Na Vimesie zrobilo to wrazenie. – Pamietam, ze to byli prawdziwi twardziele.

–Dziekuje, sir – rzekl spokojnie Willikins. – Musze sie pochwalic, ze zwykle oddawalem troche wiecej, niz dostalem, kiedy musielismy rozstrzygac ciagle drażliwe kwestie terytorialne z młodymi ludzmi z Powrozniczej. O ile sobie przypominam, ich ulubiona bronia byly sztauerskie haki.

–A wasza? – spytał zaciekawiony Vimes.

–Wyostrzone pensy wszyte w rondo kapelusza, sir. W nerwowych czasach zawsze przydatne narzedzie.

–Na bogow, czlowieku! Czymś takim można kogos pozbawic oka!

–Przy odpowiedniej starannosci, sir, tak, istotnie. – Willikins bardzo skrupulatnie zložyl recznik.

A teraz stoisz tutaj w tych swoich prazkowanych spodniach i kamerdynerskim surducie, blyszczacy jak smalec i tlusciutki jak maslo, myslal Vimes, docinajac miejsca pod uszami. A ja jestem diukiem. Jak ten swiat sie zmienia...

–I czy kiedykolwiek slyszales, zeby ktos powiedzial: "Zrobmy jakies zamieszki"?

–Nigdy, sir. – Willikins znow siegnal po "Puls".

–Ja tez nie. To sie zdarza tylko w azetach. – Vimes zerknal na bandaz na reku. No coz, mimo wszystko potrafia zamieszac... – Piza tam, ze szarzowalem osobiscie?

–Nie, sir. Ale piza, ze przeciwne strony zostaly rozdzielone dzieki meznej postawie straży.

–Naprawde uzyli slowa "mezna"?

–Tak, sir, naprawde.

–No to niezle – przyznal niechetnie Vimes. – A czy napisali, ze dwoch naszych funkcjonariuszy trafilo do Darmowego Szpitala, jeden w dosc ciezkim stanie?

–Trudno to wytłumaczyć, sir, ale nie.

–Hm... Typowe. No trudno. Czytaj dalej.

Willikins chrzaknal po kamerdynersku.

–Gdyby zechciał pan opuścić brzytwę, sir... Lady Sybil miała do mnie pretensje o to zeszlotygodniowe drasniecie.

Vimes popatrzył, jak jego odbicie wzdycha, i opuścił brzytwę.

–No dobra, Willikins. Nie oszczędzaj mnie.

Azeta za jego plecami zaszeleszczała profesjonalnie.

–Nagłówek na stronie trzeciej brzmi: "Wampirzy funkcjonariusz w straży?" – oznajmił kamerdynier i na wszelki wypadek cofnął się o krok.

–Niech to demony! Kto im powiedział?

–Nie mam pojęcia, sir. Piszą tu, że jest pan przeciwny wampirom w straży, ale dzisiaj będzie pan rozmawiał z rekrutem. I jeszcze, że sprawa jest źródłem żywych kontrowersji.

–Zajrzyj na stronę osmą, dobrze? – poprosił Vimes.

Azeta zaszeleszczała znowu.

–I co? – spytał. – Tam zwykle dają głupią karykaturę polityczną, zgadza się?

–Odłożył pan brzytwę, prawda? – upewnił się Willikins.

–Tak.

–Może byłoby lepiej, sir, gdyby zechciał się pan odsunąć od umywalki.

–Mnie narysowali, tak? – mruknął ponuro Vimes.

–Istotnie, sir. Rysunek przedstawia małego i zdenerwowanego wampira oraz panską postać, jeśli wolno mi tak powiedzieć, większą niż w rzeczywistości, jak pochyla się nad biurkiem z ogromnym kolkiem w ręku. A podpis brzmi: "Liczysz na krwawe zbrodnie, co?", sir, co jest humorystycznym nawiązaniem do znanych wampirzych apetytów...

–Tak, chyba udało mi się jakoś to zauważyć – rzekł ze znużeniem Vimes. – Jest jakaś szansa, że zdążysz tam pójść i kupić oryginał, zanim zrobi to Sybil? Za

kazdym razem, kiedy wydrukują moja karykaturę, ściągają ją i wieszają w bibliotece.

–Pan, ehm, Fizz rzeczywiście potrafi uchwycić podobieństwo, sir – przyznał kamerdyner. – I z przykrością muszę poinformować, że lady Sybil już poleciła mi udać się do redakcji "Pulsu" w jej imieniu.

Vimes jęknął.

–Co więcej, sir – ciągnął Willikins – lady Sybil zasugerowała, by przypomnieć, że ona i Młody Sam spotykają się z panem w studiu sir Joshuy punktualnie o jedenastej, sir. Jak rozumiem, obraz znalazł się na ważnym etapie.

–Ale ja...

–Była bardzo stanowcza, sir. Powiedziała, że jeśli komendant straży nie może sobie wziąć wolnego, to kto może?

Tego dnia w roku 1802 malarz Methodia Rascal zbudził się ze snu, ponieważ z szuflady jego nocnej szafki rozległ się gwar bitewny.

Znowu.

Jedna słaba lampka oświetlała piwnice, czyli, inaczej mówiąc, nadawała ciemności inną fakturę i rozdzielała cienie od mroczniejszych cieni. Postacie były ledwie widoczne. Normalne oczy nie były w stanie poznać, która z nich się odzywa.

–To nie może się wydawać, zrozumiano?

–Przecież on nie żyje!

To sprawa krasnoludów! Wiadomość nie powinna dotrzeć do Straży Miejskiej. Nie ma tu dla nich miejsca! Czy ktoś z nas chce ich tutaj, na dole?

–Wśród funkcjonariuszy mają krasnoludów...

–Ha... D'rkza. Za długo tkwią na słońcu. Teraz są już tylko niskimi ludźmi. Czy myślisz po krasnoludzku? A Vimes będzie kopał i kopał, i wymachiwał tymi głupimi szmatami i smieciami, które nazywają tu prawem. Dlaczego mamy dopuścić do takiego skandalu? Poza tym to przecież żadna zagadka. Tylko troll mógł tego dokonać, zgadzamy się chyba? Pytałem, czy się zgadzamy.

–To właśnie się stało – powiedziała jedna z postaci. Głos miała cienki, drżący i,

prawde mowiac, niepewny.

–Rzeczywiscie, to byl troll – rozlegl sie inny glos, niemal identyczny z poprzednim, ale mowiacy troche bardziej pewnie.

Zapadla cisza, slychac bylo jedynie zawsze obecny odglos pomp.

–To mogl byc tylko troll – stwierdzil glos, ktory wczesniej namawial do zachowania tajemnicy. – Bo czyz nie jest powiedziane, ze za kazda zbrodnia znajdzie sie trolla?

Kiedy Sam Vimes dotarl do Pseudopolis Yard, przed komenda strazy zebral sie niewielki tlumek. Do tej chwili trwal mily, sloneczny dzien. Teraz nadal byl sloneczny, lecz juz calkiem niemily.

Ludzie trzymali plakaty. "Pijawki wynocha!", przeczytal Vimes; "Zadnych klow!". Twarze zwracaly sie ku niemu z ponurym, na wpol zaleknionym wyzwaniem.

Zaklal pod nosem, ale nieprzesadnie cicho.

Otto Chriek, ikonografik z "Pulsu", stal w poblizu, trzymal parasol i wygladal na przygnebionego. Pochwylil wzrok Vimesa i podszedl smetnie.

–Po co ci to, Otto? – spytal Vimes. – Przyszedles zrobic obrazek jakichs porzadnych rozruchow?

–To viesci, komendancie – odparl Otto, wpatrujac sie w swoje bardzo blyszczace buty.

–Kto ci dal znac?

–Ja tylko robie obrazki, komendancie. – Otto spojrzal na Vimesa z uraza. – Zreszta gdybym navet wiedzial, i tak bym nie mogl powiedziec. Z powodu Wolnosci Prasy.

–Raczej wolnosci dolewania oliwy do ognia.

–Taka to juz wolnosc. Nikt nie tvierdzil, ze bedzie mila.

–Ale... przeciez ty tez jestes wampirem! Podoba ci sie to, co widzisz? – Komendant machnal reka na tlum.

–To jednak noviny, komendancie – stwierdzil potulnie Otto.

Vimes raz jeszcze przyjrzel sie protestujacym. Byli to glownie ludzie. Stal wsrod nich jeden troll, choc prawdopodobnie dolaczyl z powodow ogolnych, po prostu

dlatego, że coś się działo. Wampir potrzebowałby wiertła do muru i ogromnej cierpliwości, żeby zrobić trollowi krzywdę. Mimo wszystko miało to pewną zaletę, jeśli można tak to określić – takie drobne przedstawienie odwracało uwagę od doliny Koom.

–Dziwne, że ty im jakos nie przeszkadzasz, Otto – zauważył, już trochę uspokojony.

–Wie pan, ja nie jestem oficjalny – wyjaśnił Otto. – Nie mam miecza ani odznaki. Nie zagrażam. Tyram tylko, jak oni. I ich rozzmierzam.

Vimesowi nigdy wcześniej nie przyszło to do głowy, ale tak... mały, zapracowany Otto w swojej kamizelce z czerwoną podszewką i kieszeniami na cały sprzęt, z jego lśniącymi czarnymi butami, włosami wyciętymi w staranne V na czole i – nie najmniej ważnym – śmiesznym akcentem, który stawał się bardziej lub mniej wyraźny, zależnie od rozmowcy... Otto nie wydawał się groźny. Wydawał się zabawnym, jakby żartobliwym, wodewilowym wampirem. Dopiero dzisiaj Vimes odkrył, że może to on sobie żartuje. Niech się śmieją, to nie będą się bali.

Skinal mu głową i wszedł do środka. Sierżant Cudo Tyleczek stała na skrzynce przy zbyt wysokim biurku dyżurnego, nowiutkie galony błyszcząły jej na rękawie. Vimes zanotował w pamięci, żeby zrobić coś z tą skrzynką. Niektórzy z krasnoludzkich funkcjonariuszy byli trochę przeczuleni na punkcie jej używania.

–Przydałoby się paru chłopców przed drzwiami, Cudo – powiedział. – Nic prowokacyjnego, po prostu dyskretne przypomnienie, że pilnujemy tu porządku.

–To chyba nie będzie potrzebne, panie Vimes.

–Nie chciałbym zobaczyć w "Pulsie" obrazka, na którym pierwszy rekrut spośród wampirów jest atakowany przez demonstrantów, kap... sierżancie – odparł surowo Vimes.

–Tak właśnie myślałam, że pan by nie chciał, sir. Dlatego poprosiłam sierżant Angue, żeby ją wprowadziła. Weszły tylnymi drzwiami już pół godziny temu. Angue oprowadza ją po budynku. Teraz są chyba w szatni.

–Poprosiłaś o to Angue? – Serce Vimesa zamarło.

–Tak, sir. – Cudo zaniepokoiła się nagle. – Eee... to jakiś problem?

Vimes patrzył na nią w milczeniu. To dobry, sprawny funkcjonariusz. I zasługiwała na awans, bogowie świadkami. Ale – przypomniawszy sobie – pochodzi przecież z Uberwaldu, prawda? Powinna pamiętać o... sytuacji... między wampirami i wilkolakami. A może to moja wina? Cały czas im powtarzam, że strażnicy to tylko strażnicy...

–Co? Och, nie – powiedział. – Chyba nie.

Wampir i wilkolak w jednym pokoju, myślał, wspinając się po schodach do swojego gabinetu. No trudno, muszą sobie z tym jakos poradzić. Zreszta to tylko jeden z naszych problemów.

–A pana Pesymala zaprowadziłam do pokoju przesłuchań, sir! – zawołała jeszcze Cudo.

Vimes znieruchomiał w poł stopnia.

–Pesymala?

–Ten rządowy inspektor, sir – podpowiedziała Cudo. – Ten, o którym mi pan mówił...

A tak, pomyślał Vimes. Drugi z naszych problemów.

Chodziło o politykę. Vimes nigdy jakos nie mógł sobie poradzić z polityką, która była pełna pułapek na uczciwych ludzi. Ta zatrzasnęła się w zeszłym tygodniu, w gabinecie lorda Vetinariego, podczas zwykłego cotygodniowego spotkania...

**–Ach, Vimes – rzekł jego lordowska moc, kiedy komendant strażnicy stanął w progu.
– Jak miło, że pan przyszedł. Czyż nie piękny mamy dziś dzień?**

Az do teraz, pomyślał Vimes, gdy zobaczył obecne w gabinecie dwie inne osoby.

–Wzywał mnie pan, sir? Krzemowa Liga przeciw Zniesławieniom zorganizowała marsz przez ulicę Wodna, więc musiałem zamknąć dla ruchu cały teren aż do Najmniejszej Bramy...

–Jestem pewien, że to może zaczekać, komendancie.

–Tak, sir. Na tym polega kłopot, sir. To właśnie robi.

Vetinari ze znużeniem machnął ręką.

–Wyladowane wozy blokujące ulicę, Vimes, są znakiem postępu – oświadczył.

–Tylko w metaforycznym sensie, sir.

–No coż, w każdym razie jestem pewien, że pańscy ludzie dadzą sobie radę. – Vetinari wskazał mu wolne krzesło. – Ma pan ich teraz tak wielu... Taki koszt... Niech pan siada, komendancie. Zna pan pana Johna Smitha?

Mezczyzna siedzacy przy stole wyjal z ust fajke i rzucil Vimesowi maniakalnie przyjazny usmiech.

–Nie wwwydaje mi sie, zebysmy mieli te przyjemnosc – rzekl, wyciagajac reke.

Wydawalo sie, ze nie da sie wymawiac "w" w taki sposob, niemal warczaco, ale John Smith to potrafil.

Podac reke wampirowi? Nigdy w zyciu, uznal Vimes, nawet taka okryta rekawem niezbyt zrecznie robionego na drutach swetra. Zasalutowal wiec.

–Milo mi pana poznac, sir – rzekl, stajac na baczynosc.

Ten sweter byl naprawde straszny. Mial przyprawiajacy o mdlosci, zygzakowaty desen w wielu dziwnych, nieszczesliwych kolorach. Wygladal jak cos, co zrobila na prezent niewidoma ciotka – cos takiego, czego czlowiek boi sie wyrzucic na smietnik, by smieciarze nie smiali sie z niego i kopniakami nie przewracali mu pojemnikow.

–Pan Smith jest... – zaczal Vetinari.

–Prezesem Ankhmorporskiej Misji Uberwaldzkiej Ligi Wstrzemiesliwosci – dokonczyl Vimes. – Sadze, ze towarzyszaca mu dama to pani Doreen Winkings, skarbnik tej samej misji. Chodzi o przyjecie wampira do strazy, prawda, sir? Znowu...

–Tak, Vimes, wlasnie o to – zgodzil sie Patrycjusz. – I rzeczywiscie znowu. Moze jednak wszyscy usiadziemy? Vimes?

Osuwajac sie niechetnie na krzeslo, Vimes wiedzial, ze nie ma uciezki. I tym razem wiedzial, ze przegra. Vetinari zapedzil go w slepy zaulek.

Znal wszystkie argumenty za zatrudnianiem w strazy roznych gatunkow. To byly dobre argumenty. Niektore argumenty przeciwne byly zlymi argumentami. W strazy sluzily trolle, mnostwo krasnoludow, jeden wilkolak, trzy golemy, Igor i – nie najmniej wazny – kapral Nobbs*, wiec czemu nie wampir. A liga wstrzemiesliwosci byla faktem. Wampiry noszace ligowa czarna wstazeczke ("Ani kropli") takze byly faktem. Owszem, te, ktore zrezygnowaly z krwi, bywaly czasem dziwaczne, ale tez inteligentne i sprytne, a wiec potencjalnie wartosciowe dla spoleczenstwa. Natomiast straz to najlepiej widoczna instytucja rzadowa w miescie. Dlaczego nie moze dac przykladu?

Poniewaz, odpowiedziala poharatana, ale wciaz dzialajaca dusza Vimesa, nienawidzisz tych przekletych wampirow. Zadnych falszywych usprawiedliwien, zadnego mydlenia oczu w stylu "spoleczenstwo tego nie zaakceptuje" czy "to nie jest odpowiedni moment". Nienawidzisz tych piekielnych wampirow, a to jest twoja piekielna straz.

–Panie Vimes – zaczęła pani Winkings. – Trutno nam nie zauwazyc, ze vciaz nie zaangażował pan v strazy zatnego z naszych członkow...

Czemu nie powiesz normalnie "zauwazyc", myslal Vimes. Wiem, ze potrafisz. Niech ta dwudziesta czwarta litera alfabetu wkroczy w twoje zycie. Popros Johna Smitha, on ma ich w nadmiarze. Zreszta... wymyslilem nowy argument. Bardzo policyjny.

–Pani Winkings – powiedział glosno. – Zaden wampir nie zlozyl prosby o przyjecie do strazy. Po prostu nie sa psychicznie dostosowani do policyjnego stylu zycia. I jestem komendantem Vimesem, bardzo dziekuje.

Male oczka pani Winkings blysnely slusznym gniewem.

–Aha, chce pan powiedziec, ze vampiry za... glupie? – zapytala.

–Nie, pani Winkings, twierdze, ze sa inteligentne. I tu napotykamy klopot, wlasnie w tym punkcie. Dlaczego madra osoba mialaby sie codziennie narazac na kopniaki w wo... glowe za trzydziesti osiem dolarow miesiecznie plus dodatki? Wampiry maja klase, wykształcenie oraz von przed nazwiskiem. Moga miec setki zajec o wiele ciekawszych niz lazanie po ulicach jako gliniarz. Niby jak chcecie to zalatwic, sila wcielich ich do sil policji?

–Czy nie zaproponowwano by im stopnia oficerskiego? – spytal John Smith.

Twarz blyszczala mu od potu, a ten permanentny usmiech wygladal maniakalnie. Plotka glosila, ze dotrzymanie Zobowiazania przychodzi mu z wyjatkowa trudnoscia.

–Nie. Kazdy zaczyna na ulicy. – Nie byla to calkiem prawda, ale pytanie Vimesa urazilo. – I na nocnej zmianie. To dobra szkola. Najlepsza z mozliwych. Tydzien deszczowych nocy, kiedy podnosza sie mgly, woda scieka za kolnierz, a z mroku rozbrzmiewaja jakies dziwne odglosy... No wiec wtedy wlasnie odkrywamy, czy trafil nam sie prawdziwy glina...

Zrozumial, gdy tylko to powiedzial. Wszedl prosto w pulapke. Musieli znalezc kandydata...

–No vietz svietnie zie zklada – oswiadczyła pani Winkings i wyprostowala sie z duma.

Vimes mial ochote nia potrzasnac i krzyknac: Nie jestes wampirem, Doreen! Jestes zona wampira, owszem, ale zostal nim w wieku, w ktorym mozliwosc, ze chcialby cie ukasic, przekracza ludzkie wyobrazenie! Wszyscy prawdziwi czarnowstazkowcy staraja sie zachowywac normalnie i nie rzucac w oczy! Zadnych powiewajacych peleryn, zadnego wysysania i absolutnie zadnego zrywania krynolin z mlodych

dziewczat! Wszyscy wiedza, ze John Wcale-Nie-Wampir-Skad Smith byl kiedys hrabia Vargo St Gruet von Vilinus! Ale teraz pali fajke, nosi te potworne swetry, kolekcjonuje banany i buduje z zapalek modele ludzkich organow, bo uwaza, ze hobby czynia go bardziej ludzkim! Ale ty, Doreen? Urodzilas sie na Kogudziobnej! Twoja matka byla praczka! Nikt nie zdarlby z ciebie nocnej koszuli, chyba ze dzwigiem! Ale tak bardzo... tak bardzo sie starasz, co? To takie nieszczesne hobby! Starasz sie wygladac na wampira bardziej niz wampiry! A nawiasem mowiac, te sztuczne szpiczaste zeby stukaja ci, kiedy mowisz...

–Vimes?

–Hm?

Vimes zdal sobie sprawe, ze cos mowili.

–Pan Smith ma dobra wiadomosc – wyjasnil Patrycjusz.

–Www samej rzeczy – zgodzil sie John Smith, maniakalnie rozpromieniony. – Mamy dla pana rekruta, komendancie! Wwwampira, ktory chce byc www strazy!

–I oczywiscie notz nie ztanovi problemu – oswiadczyla tryumfalnie Doreen. – My jeztesmy notza!

–Chce mi pan powiedziec, ze musze... – zaczal Vimes.

Vetinari przerwal mu natychmiast.

–Alez skad, komendancie. W pelni szanujemy panska autonomie jako komendanta strazy. To oczywiste, ze musi pan zatrudniac tych, ktorych uzna za odpowiednich. Prosze tylko, by kandydat zostal przesluchany, zgodnie z duchem rownych praw dla wszystkich.

Tak, akurat, myslal Vimes. A stosunki polityczne z Uberwaldem stana sie troszeczke latwiejsze, prawda, jesli bedziesz mogl powiedziec, ze mamy nawet czarnowstazkowca w strazy. Za to jesli go odrzuce, bede musial wyjasnic dlaczego. I podejrzewam, ze "Po prostu nie lubie wampirow, jasne?" jednak nie wystarczy.

–Oczywiscie – rzekl. – Prosze go przyslac.

–Wlasciwie to on jest nia – wyjasnil lord Vetinari. Zajrzal do papierow. – Salacia Deloresista Amanita Trigestatra Zeldana Malifee... – Urwal, przerzucil kilka kartek i dodal: – Mozemy chyba czesc opuscic, konczy sie to na "von Humpeding". Ma piecdziesiat jeden lat, ale... – dodal szybko, nim Vimes zdazyl wykorzystac te informacje -...to zaden wiek dla wampira. Aha, i chce, zeby mowic do niej po prostu Sally.

Pomieszczenie szatni nie było dostatecznie duże. Nic by nie było dostatecznie duże. Sierżant Angua starała się nie nabierać powietrza.

Duża sala byłaby dobra. A otwarta przestrzeń jeszcze lepsza. Potrzebowała miejsca na oddech. A ściślej mówiąc, potrzebowała miejsca, żeby nie oddychać wampirem. Przeklęta Cudo! Ale przecież nie mogła jej odmówić, to by fatalnie wyglądało. Mogła tylko się uśmiechać, znosić to i tłumaczyć narastającą pokusę, by zębami rozerwać dziewczynie gardło.

Musi przecież wiedzieć, że to robi, myślała. Musza wiedzieć, że wydzielają tę atmosferę naturalnej swobody, pewni siebie w każdym towarzystwie, wszędzie na swoim miejscu, a u wszystkich innych wzbudzają poczucie skrepowania i niższej klasy. Och, jej... Proszę mnie nazywać Sally, też mi coś...

–Przepraszam za to – powiedziała, starając się zmusić włoski na karku, by nie stawały sztorcem. – Trochę tu duszno. – Zakaszła. – No, w każdym razie to właśnie to. Nie przejmuj się, tutaj zawsze tak pachnie. I nie mecz się z zamykaniem szafki, wszystkie klucze są takie same, a reszta większa część drzwiczek odskakuje, jeśli w odpowiedni sposób uderzyć w ramę. Nie trzymaj tam nic cennego, tutaj wszędzie jest pełno glin. I nie denerwuj się za bardzo, jeśli ktoś podrzuci ci drewniany kolek albo wodę świeconą.

–Czy coś takiego jest prawdopodobne? – spytała Sally.

–Nie prawdopodobne – odparła Angua. – Pewne. Ja na przykład znajdowałam tu psie obroże i psie sucharki w kształcie kości.

–Poskarżyłaś się?

–Co? Nie! Nie skarżysz się na takie rzeczy! – warknęła Angua. Żalowała, że nie może przestać oddychać. I tak już była pewna, że jej włosy wyglądają okropnie.

–Ale myślałam, że straż jest...

–Słuchaj, to nie ma nic wspólnego z tym, kim jesteś... kim jesteśmy, jasne? Gdybyś była krasnoludem, znalazłabys parę butów na platformach albo drabine, albo jeszcze coś, chociaż ostatnio nie zdarza się to tak często. Zwykle próbują z każdym. To taka policyjna zabawa. A potem obserwują, co zrobisz, rozumiesz. Nikt się nie przejmuje, czy jesteś trollem, gnomem, zombi czy wampirem... – W każdym razie nie za bardzo, dodała w myślach. – Ale nie pozwól im uznać cię za marudę albo donosiciela. Zresztą te sucharki były całkiem niezłe, prawdę mówiąc... Aha, spotkałaś już Igora?

–Wiele razy – zapewniła Sally.

Angua usmiechnela sie z przymusem. W Uberwaldzie czlowiek bez przerwy spotykal Igory. Zwlaszcza jesli byl wampirem.

–Ale tego tutaj? – spytala.

–Nie, raczej nie.

Aha. Dobrze. Angua starala sie unikac laboratorium Igora, poniewaz zapachy, jakie stamtad dolatywaly, byly albo bolesnie chemiczne, albo przerazliwie, sugestywnie organiczne, ale teraz bedzie je wachac z ulga. Podeszla do drzwi nieco szybciej, niz tego wymagala uprzejmosc. Zastukala.

Drzwi otworzily sie ze skrzypieniem. Kazde otwierane przez Igora drzwi skrzypialy. To taki dar...

–Czesc, Igor – rzucila wesolo Sally. – Przybij szostke!

Angua zostawila ich, zajetych pogawedka. Igory byly naturalnie sluzalcze, wampiry naturalnie nie. Idealnie do siebie pasowali. A ona mogla przynajmniej wyjsc na powietrze.

Otworzyly sie drzwi.

–Pan Pesymal, sir – oznajmila Cudo, wprowadzajac do gabinetu Vimesa mezczyzne niewiele wyzsze od niej. – A tu jest sluzbowy egzemplarz "Pulsu".

Pan Pesymal byl schludny. A wlasciwie przeszedl juz poza schludnosc. Byl osobnikiem z rodzaju ukladajacych. Garnitur mial tani, ale bardzo czysty, a jego male buty az sie skrzyly. Wlosy tez mu blyszczaly, jeszcze mocniej niz buty. Mialy na srodku przedzialek i byly tak przylizane, ze wygladaly jak namalowane na glowie.

Wszystkie dzialy miejskiej administracji od czasu do czasu podlegaja kontroli, wyjasnil Vetinari. Nie bylo powodow, by w tych procedurach omijac straz, prawda? W koncu bardzo intensywnie drenowala miejska szkatule. Vimes zauwazyl, ze rzeczy drenowane zwykle sa wyrzucane. "Pomimo to", powiedzial wtedy Vetinari. Tylko "pomimo to". Nie mozna sie spierac z "pomimo to".

Rezultatem okazal sie pan Pesymal zblizajacy sie do Vimesa.

Blyszczal przy kazdym kroku. Vimes nie potrafil inaczej tego opisac. Kazdy jego ruch byl... no, schludny. Portmonetka podkowka i okulary na tasiemce, pomyslal; moze sie zalozyc.

Pan Pesymal zlozyl sie na krzesle przed biurkiem Vimesa i z dwoma cichymi trzaskami otworzyl klamry swojej teczki. Z pewna ceremonialnoscia zalozyl okulary. Rzeczywiscie, byly na czarnej tasiemce.

–To moj list uwierzytelniajacy od lorda Vetinariego, wasza laskawosc – powiedzial, podajac kartke papieru.

–Dziekuje, panie... A.E. Pesymal. – Vimes zerknal tylko i odlozyl list na bok. – W czym moglbym panu pomoc? A przy okazji: komendant Vimes, kiedy jestem w pracy.

–Potrzebny mi bedzie gabinet, wasza laskawosc. I wglad we wszystkie panskie papiery. Jak pan wie, moim zadaniem jest przekazanie jego lordowskiej mosci pelnego przegladu oraz analizy kosztow/zyskow straży, oraz wszelkich sugestii udoskonalen na wszystkich jej polach dzialania. Panska wspolpraca bedzie przyjeta z wdziecznoscia, ale nie jest konieczna.

–Sugestie udoskonalen, tak? – rzekl jowialnym tonem Vimes. Tymczasem stojaca za krzeslem A.E. Pesymala sierzant Tyleczek ze zgroza przymknela oczy. – Po prostu swietnie. Zawsze znany bylem ze swojej checi do wspolpracy. Wspominalem juz o tym diuku, prawda?

–Tak, wasza laskawosc – odparl sztywno A.E. Pesymal. – Pomimo to jest pan diukiem Ankh i niewlasciwe byloby zwracanie sie do pana w inny sposob. Swiadczyloby o braku szacunku.

–Rozumiem. A jak powinienem sie zwracac do pana, panie Pesymal? – zapytal Vimes.

Katem oka zauwazyl, ze deska podlogi na drugim koncu pokoju unosi sie ledwie dostrzegalnie.

–A.E. Pesymal bedzie calkiem odpowiednie, wasza laskawosc – odparl inspektor.

–To A oznacza...? – Vimes na moment oderwal wzrok od deski.

–Po prostu A, wasza laskawosc – wyjasnil cierpliwie A.E. Pesymal. – A.E. Pesymal.

–Chce pan powiedziec, ze nie dostal pan imienia, tylko inicjaly?

–Otoz to, wasza laskawosc.

–A jak zwracaja sie do pana przyjaciele?

A.E. Pesymal wygladal, jakby w tym zdaniu pojawilo sie jedno wazne zalozenie, ktorego nie zrozumial. Dlatego Vimesowi zrobilo sie go troche zal.

**–No coz, sierzant Tyleczek sie panem zajmie – zapewnil z udawana serdecznoscia.
– Sierzancie, znajdzcie panu A.E. Pesymalowi jakis pokoj. I pokazcie wszelkie papiery, jakich zazada.**

I to jak najwiecej, pomyslal. Zasypcie go nimi, byle trzymal sie ode mnie z daleka.

–Dziakuje, wasza laskawosc. Bede tez musial odbyc rozmowy z niektórymi funkcjonariuszami.

–Po co? – zdziwil sie Vimes.

–By zagwarantowac, ze moj raport bedzie kompletny, wasza laskawosc – wyjasnil spokojnie A.E. Pesymal.

–Moge panu powiedziec wszystko, czego chce sie pan dowiedziec.

–Tak, wasza laskawosc, ale nie tak przebiega kontrola. Musze dzialac calkowicie niezaleznie. Quis custodiet ipsos custodes, wasza laskawosc.

–To znam – stwierdzil Vimes. – Kto pilnuje straznikow? Ja, panie Pesymal.

–Ach, ale kto pilnuje waszej laskawosci? – spytal inspektor z przelotnym uśmiechem.

–Tez ja. Przez caly czas. Moze mi pan wierzyc.

–No tak, wasza laskawosc. Pomimo to musze w tej sprawie reprezentowac interes publiczny. Postaram sie nie wchodzic w droge.

–To milo z panskiej strony, panie Pesymal – rzekl Vimes, kapitulujac. Nie zdawal sobie sprawy, ze ostatnio tak bardzo irytowal Vetinarięgo. To wygladalo jak jedna z jego gier. – No dobrze. Zycze panu milego, i mam nadzieje, krotkiego pobytu u nas. Prosze mi wybaczye, ale dzisiaj czeka mnie sporo pracy z cala ta przekleta dolina Koom i w ogole. Wejdz, Fred!

Tej sztuczki nauczyl sie od Vetinarięgo. Gosciami trudno bylo przedluzac pobyt w gabinecie, gdy wszedl juz kolejny interesant. Poza tym Fred mocno sie pocil przy tej pogodzie – a byl mistrzem pocenia. A przez wszystkie te lata nigdy nie wpadl na to, ze kiedy ktos stanie przed drzwiami, deska podlogi przechylala sie lekko na belce i unosila akurat w miejscu, gdzie Vimes mogle to zauwazye.

Deska podlogowa opadla na miejsce i drzwi sie otworzily.

–Nie wiem, jak pan to robi, panie Vimes – stwierdzil pogodnym tonem sierzant Colon. – Wlasnie mialem zapukac.

Kiedy już znudzi ci się podsłuchiwanie, pomyślał Vimes. Ale z satysfakcją zauważył, że A.E. Pesymal marszczy nos.

–O co chodzi, Fred? – zapytał. – Nie, nie przejmuj się, pan Pesymal właśnie wychodził. Pamiętajcie, co mówiłem, sierzancie Tyleczek. Milego dnia, panie Pesymal.

Gdy tylko Cudo wyprowadziła inspektora za drzwi, Fred Colon zdjął helm i otarł czoło.

–Znowu się robi upał – powiedział. – Jak nie będziemy mieli burze z piorunami.

–Owszem, Fred. A jaka masz do mnie sprawę, konkretnie? – Vimes dał do zrozumienia, że co prawda Fred zawsze jest miłym gościem, ale akurat teraz chwila nie jest najlepsza.

–Eee... coś dużego toczy się po ulicy, sir – oświadczył Fred z powagą, tonem człowieka, który nauczył się tego zdania na pamięć.

Vimes westchnął.

–Fred, chcesz powiedzieć, że coś się dzieje?

–Tak, sir. To krasnoludy, sir. Chodzi mi o naszych chłopaków. Jest coraz gorzej. Cały czas rozmawiają w grupkach. Gdzie się spojrzy, sir, tam idzie takie grupowanie. Tylko że milkną, kiedy podejdzie ktoś inny. Milkną i rzucają mu spojrzenie, sir. A trolle robią się od tego nerwowe. Trudno się dziwić.

–Na tej komendzie nie będzie żadnego odgrywania doliny Koom, Fred – rzekł Vimes. – Wiem, że miasto aż się nie gotuje, bo zbliża się rocznica, ale spadnie jak tona prostokątnych rzeczy do budowania na każdego glinę, który spróbuje w szatni zabawy w rekreację historii. Wyleci na dupę, zanim się zorientuje. Dopilnuj, żeby wszyscy to rozumieli.

–Tajest. Ale mnie nie o takie sprawy chodzi, sir. Tyle wszyscy wiemy – zapewnił Fred Colon. – To coś innego, świeżego, od dzisiaj. Czuje coś niedobrego, sir, aż mnie ciarki przechodzą. Krasnoludy coś wiedzą. Coś, czego nie mówią.

Vimes się zawahał. Fred Colon – powolny, flegmatyczny, bez wielkiej wyobraźni – nie był największym darem dla służby policyjnej. Ale człapał po ulicach od tak dawna, że wyrył już na nich bruzdy, a gdzieś wewnątrz tej głupiej głowy kryło się coś bardzo sprytnego, co wachalo wiatr, słuchało brzęczenia ulicy i czytało napisy na ścianach, choć zapewne poruszając wargami.

–Pewnie ten przeklęty Combergniot znowu ich podburzył – uznał Vimes.

–Slyszę, jak w tej swojej mowie powtarzają jego nazwisko, sir, pewno, ale słowo daje, jest w tym coś więcej. Znaczący, naprawdę wyglądają niespokojnie, sir. To coś ważnego, sir. Czują to w swojej wodzie...

Vimes rozważył możliwość dopuszczenia wody Freda Colona jako Dowodu Rzeczowego A. Nie było to coś, czym chciałby wymachiwać w sądzie, ale głębokie wewnętrzne przecucie starego ulicznego potwora, takiego jak Fred, mocno się liczyło między glinami.

–Gdzie jest Marchewa? – zapytał.

–Ma wolne, sir. Był na służbie przez nocną i poranną zmianę, przy Kopalni Melasy. Wszyscy teraz ciągną na podwójnych dyżurach, sir – dodał Colon z wyrzutem.

–Przykro mi, Fred, ale sam wiesz, jak to jest. Jak tylko wróci, powiem, żeby się tym zajął. Jest krasnoludem, będzie wiedział, co w trawie piszczy.

–Obawiam się, że na te trawy może być ciut za wysoki, sir – odparł Colon jakimś dziwnym tonem.

Vimes przechylił głowę w bok.

–Dlaczego tak mówisz, Fred?

Colon pokręcił głową.

–Takie przecucie, sir. – A potem dodał głosem, w którym rozbrzmiewały wspomnienia i zniechęcenie: – Było nam lepiej, kiedy byliśmy tylko pan, sir, ja, Nobby i młody Marchewa, co? W tamtych czasach wszyscy wiedzieliśmy, kto jest kim. Wiedzieliśmy, co który myśli...

–Tak, Fred. Myśleliśmy: "Chciałbym, żebyśmy chociaż raz mieli przewagę". Widzisz, Fred, ja wiem, że wszystko to trochę nas dołuje, ale właśnie dlatego potrzebuje was, doświadczonych funkcjonariuszy, żebyście się temu oparli. Jasne? Jak ci się podoba twój nowy gabinet?

Colon się rozpromienił.

–Bardzo ładny, sir. Tylko z tymi drzwiami trochę szkoda.

Znalezienie odpowiedniej niszy dla Freda Colona stanowiło poważny problem. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak ktoś, kto – na przykład – spadając w przepaść, musi się zatrzymać i pytać o drogę w dół. Freda Colona trzeba było znać. A nowsi gliniarze go nie znali. Widzieli tylko tchorzliwego, głupawego grubasa, co – prawdę mówiąc – było mniej więcej prawdą. Ale nie cała prawda. Fred spojrzawszy emeryturze

prosto w twarz i nie życzył sobie takich rzeczy. Vimes ominał ten kłopot, przydzielając mu stanowisko podoficera aresztowego, ku powszechnemu rozbawieniu*, oraz gabinet w Osrodku Szkoleniowym Straży po drugiej stronie uliczki, w miejscu, które było znane – i prawdopodobnie będzie znane już zawsze – jako dawna fabryka lemoniady. Dorzucił mu jeszcze funkcję podoficera łącznikowego, ponieważ nazwa dobrze brzmiała, a nikt nie wiedział dokładnie, co znaczy. Dodał mu także kaprała Nobbsa – kolejnego niewygodnego we współczesnej straży dinozaura.

To działało. Nobby i Colon posiadli uliczną wiedzę o Ankh-Morpork dorównującą wiedzę samego Vimesa. Spacerowali sobie, na pozór bezcelowo i nikomu nie zagrażając, i nasłuchiwali miejskiego odpowiednika dzunglowych tam-tamów. A czasami tam-tamy przychodziły do nich. Kiedyś duszny pokój Freda był miejscem, gdzie kobiety z nagimi ramionami mieszały wielkie porcje takich napojów jak Sarsaparilla, Malinowa Lawa czy Imbirowa Soda. Teraz zawsze grzał się tam czajnik i był to dom otwarty dla wszystkich kumpli, dawnych strażników i dawnych oszustów – czasami były to te same osoby. Vimes bez oporów podpisywał rachunki za paczki pochłaniane masowo, kiedy zaglądali tam, by wyrwać się spod nadzoru żon. Warto było. Dawni gliniarze mieli oczy szeroko otwarte, a plotkowali jak praczki. W teorii jedynym problemem życia Freda były drzwi.

–Gildia Historyków twierdzi, że powinniśmy zachować jak najwięcej ze starej fabryki, Fred – przypomniawszy Vimes.

–Wiem, sir, ale... Ale "Dyrdymalnia", sir? No poważnie...

–Przecież to ładna mosięzna tabliczka, Fred. Podobno nazwa wzięła się od syropu bedacego podstawa napojów. Ważny fakt historyczny. Mogłbyś zalepic napis kawalkiem papieru.

–Tak robimy, sir, ale chłopcy zrywają go i chichoczą.

Vimes westchnął.

–Złatw to jakos, Fred. Doświadczony sierżant poradzi sobie z taką sprawą. To wszystko?

–No, niby tak, sir, właściwie... Ale...

–Daj spokój. Mam ciężki dzień.

–Słyszał pan o panu Błysku, sir?

–Czyszcisz się nim odporne powierzchnie?

–Eee... co takiego, sir? – spytał Fred.

Nikt nie potrafił wyrazić osłupienia lepiej od Freda Colona. Vimes trochę się zawstydzil.

–Przepraszam, Fred, Nie, nie slyszalem o panu Blysku. A czemu?

–No... nic takiego, wlasciwie. "Pan Blysk, on diament!"... Widzialem to ostatnio pare razy na murach. Trollowe graffiti. Wie pan, wryte gleboko. Chyba budzi jakby brzezzenie wsrod trolli. Moze cos waznego?

Vimes przytaknal. Napisy na murach mozna bylo ignorowac na wlasne ryzyko. Czasami miasto staralo sie w ten sposob przekazac cos, co tkwi moze nie w jego wrzacych umysle, ale w pekajacym sercu.

–Nasluchuj, Fred. Polegam na tobie, ze nie dopuszczisz, by takie brzezzenie zmienilo sie w zadlenie – rzekl Vimes z dodatkowa dawka pewnosc, by poprawic sierzantowi samopoczucie. – A teraz musze pogadac z naszym wampirem.

–Powodzenia, Sam. Obawiam sie, ze czeka nas ciezki dzien.

Sam, pomyslal Vimes, kiedy stary sierzant wyszedl. Bogowie swiadkami, ze sobie na to zasluzy, ale nazywa mnie Samem tylko wtedy, kiedy naprawde sie czymś martwi. My wszyscy sie martwimy. Czekamy na pierwsze odglosy burzy...

Rozlozyl "Puls", ktory Cudo zostawila mu na biurku. Zawsze czytala go w pracy, zeby poznac wiadomosci, ktore Willikins uznal za zbyt niebezpieczne przy goleniu.

Koom, dolina Koom... Przegladal azete i wszedzie widzial doline Koom. Przekleta dolina Koom. Oby bogowie rzucili klatwe na to paskudne miejsce, chociaz najwyrazniej juz to zrobili – przekleli ja, a potem opuscili. Z bliska bylo to jeszcze jedno skaliste pustkowcie w gorach, w teorii znajdujace sie bardzo daleko. Jednak ostatnio zdawalo sie, ze jest coraz blizej. Dolina Koom nie byla po prostu miejscem, juz nie. Byla stanem umyslu.

Nagie fakty wygladaly tak, ze pewnego nieslawnego dnia pod nielaskawymi gwiazdami w dolinie Koom krasnoludy wciagnely w pulapke trolle i/lub trolle wciagnely w pulapke krasnoludy. Pewnie, walczyly ze soba od dnia Stworzenia, o ile Vimes to rozumial, ale od bitwy w dolinie Koom ta wzajemna nienawisc stala sie tak jakby oficjalna. A jako taka, stworzyla cos w rodzaju ruchomej geografii. Gdziekolwiek krasnolud walczył z trollem, tam byla dolina Koom. Nawet jesli chodzilo o bojke w barze, byla to dolina Koom. Stala sie elementem mitologii obu ras, zawolaniem bojowym, odwieczna przyczyna, dla ktorej nie mozna wierzyc tym niskim i brodatym/wielkim i skalistym draniom.

Od tamtej pierwszej zdarzyło się bardzo wiele dolin Koom. Wojna między trollami i krasnoludami była starciem sił natury, jak wojna pomiędzy wiatrem i falami. Miała własny ped.

W sobotę przypadła Dzień Doliny Koom i Ankh-Morpork było pełne trolli i krasnoludów. I ciekawostka: im dalej te trolle i krasnoludy odchodziły od gór, tym ważniejsza stawała się dla nich ta przeklęta, nieszczęsna dolina Koom. Parady były w porządku; straż nabrała wprawy w rozdzielaniu ich, a poza tym odbywały się zwykle rano, kiedy wszyscy byli mniej więcej trzeźwi. Ale kiedy wieczorami pustoszyły trollowe bary i krasnoludzkie bary, piekło wychodziło na przechadzkę z podwiniętymi rekawami.

Za dawnych lat straż znajdowała sobie zajęcia gdzie indziej i zjawiała się na miejscu, dopiero kiedy opadły emocje. Ściągali wieźniarke i aresztowali każdego trolla i krasnoluda, który był zbyt pijany, nieprzytomny albo martwy, żeby się ruszać. Prosta sprawa.

Tak było wtedy. Teraz mieli zbyt wiele krasnoludów i trolli – nie, poprawka, miasto wzbogaciło rosnące, dynamiczne społeczności krasnoludów i trolli – i coraz więcej unosiło się w powietrzu... tak, nazwijmy to jadem. Za dużo starożytnej polityki, za dużo uraz przekazywanych z pokolenia na pokolenie. I za dużo pijanstwa.

A potem, kiedy człowiek sądził już, że gorzej nie będzie, wyskakiwał nagle grag Combergniot i jego kumple, glebinowcy, jak ich nazywano, krasnoludy tak fundamentalistyczne jak skala macierzysta. Pojawili się miesiąc temu, zajęli jakiś stary dom przy Kopalni Melasy i zatrudnili miejscową ekipę, żeby otworzyć piwnice. To byli gragowie. Vimes dostatecznie dobrze znał krasnoludy, by wiedzieć, że grag oznacza uznanego mistrza krasnoludzkiej tradycji. Combergniot jednak opanował tę tradycję w swoim własnym, szczególnym stylu. Głosił wyższość krasnoludów nad trollami, i że obowiązkiem każdego krasnoluda jest podążanie śladem przodków i staranie się o usunięcie trollowego rodzaju z powierzchni Dysku. Podobno zostało to zapisane w jakiejś świętej księdze, a zatem było całkiem rozsadne i prawdopodobnie obowiązkowe.

Młode krasnoludy słuchały go, ponieważ mówił o historii, przeznaczeniu i używał wszystkich innych słów, które zawsze się wyciąga, żeby nadąć rzeziom trochę blichtru. Te hasła uderzają do głowy, tyle że mózgi nie biorą w tym udziału. Tacy szkodliwi idioci jak on byli powodem, dla którego widywało się ostatnio krasnoludów chodzących po ulicach nie tylko z "kulturowym" toporem bojowym, ale w ciężkich kolczugach, z lancuchami, morgensternami, mieczami... całe to głupie, wyzywające puszenie się, które określano "klangiem".

Trolle słuchały także. Widywało się więcej mchu, więcej klanowego graffiti, więcej rzeźbienia w ciele i wleczonego po bruku o wiele, wiele większe maczugi.

Nie zawsze tak było. Przez ostatnie mniej więcej dziesięć lat napięcie bardzo spadło. Krasnoludy i trolle jako rasy nigdy pewnie nie byłyby przyjaciółmi, ale miasto przemieszało ich dokładnie i Vimes miał wrażenie, że jakos to przeżyli z powierzchownymi tylko obtarciami.

A teraz w tyglu znowu pojawiły się grudy.

Niech demony porwa tego Combergniota. Vimesa aż ręce swierzbiały, żeby go aresztować. Formalnie nie robił nic złego, ale to przecież żadna przeszkoda dla gliniarza, który zna się na rzeczy. Z pewnością daloby się go przymknąć za Zachowanie Groźące Zakłóceniem Spokoju Publicznego. Jednak Vetinari był temu przeciwny. Twierdził, że to tylko zaogni sytuację – ale jak bardzo może się ona pogorszyć?

Vimes przymknął oczy, przypominając sobie tę niewielką postać ubraną w grubą, skorzaną odzież i z kapturem, by nie popełnić zbrodni zobaczenia dziennego światła. Niewielka postać, ale pełna wielkich słów. Pamiętał je:

"Strzeż się trolla. Nie ufaj mu. Odpędź go od swoich drzwi. Jest niczym, jedynie przypadkowym działaniem sił, niezapisanym, nieczystym, bladym echem zwykłych, myślących istot w zazdrośnym świecie mineralów. W jego głowie skała, w sercu kamień. Nie buduje, nie kopie, nie sieje ani nie zbiera. Narodził się z kradzieży i kradnie wszędzie, gdzie zawlecze swoją maczugę. A gdy nie kradnie, planuje kradzież. Jedynym celem jego niedźnego życia jest zakończenie go, uwolnienie tej niedźnej skały od zbyt ciężkiego brzemienia myśli. Mówię to ze smutkiem. Zabicie trolla nie jest morderstwem. W najgorszym razie to akt miłosierdzia".

Mniej więcej wtedy motloch wdarł się do sali.

Tak właśnie może być gorzej... Vimes zamrugał, wpatrując się w azetę. Tym razem szukał czegokolwiek, co próbowałoby sugerować, że mieszkańcy Ankh-Morpork nadal żyją w świecie rzeczywistym.

–Niech to demon!

Podерwał się i zbiegł po schodach. Cudo skuliła się niemal, słysząc jego gniewne kroki.

–Wiedzieliśmy o tym? – zapytał, ciskając azetę na księgę meldunków.

–O czym, sir? – spytała Cudo.

Vimes dzgnął palcem w krotki, ilustrowany artykuł na stronie czwartej.

–Widzisz to? – warknął. – Ten ptasi mózdek, ten idiota z poczty wypuścił znaczek

z dolina Koom!

Krasnoludka nerwowo przeczytała artykuł.

–Dwa znaczki, sir – zauważyła.

Vimes przyjrzał się dokładniej. Wcześniej nie zwrócił uwagi na szczegóły, ponieważ czerwona mgła przesłoniła mu oczy. No tak, dwa znaczki. Były niemal identyczne. Oba ukazywały dolinę Koom – skalisty teren otoczony gorami. Ale na jednym maleńkiej figurki trolli ścigały krasnoludy od prawej na lewo, a na drugim krasnoludy goniły trolle od lewej do prawej. Dolina Koom, gdzie trolle wciągnęły w zasadzkę krasnoludy, a krasnoludy wciągnęły w zasadzkę trolle. Vimes jęknął. Wybierz własną historię, dziesięć centów za skrawek, eksponat kolekcjonerski.

–Dolina Koom, wydanie pamiątkowe – przeczytał. – Ale przecież nie chcemy, żeby o niej pamiętali! Chcemy, żeby zapomnieli!

–To tylko znaczki, sir! Nie ma żadnego prawa zakazującego znaczków...

–Ale powinno być takie, które zakazuje bycia przeklętym durniem!

–Gdyby było, codziennie musielibyśmy brać nadgodziny – powiedziała z uśmiechem Cudo.

Vimes uspokoił się trochę.

–I nikt nie potrafiłby tak szybko dostawić cel. Pamiętasz ten zeszlomiesieczny znaczek o zapachu kapusty?

–Wyslijcie przebywającym daleko synom i córkom znajome odory domowe?

–Zapalały się, jeśli ktoś położył za dużo w jednym miejscu.

–I wciąż nie mogę się pozbyć tego zapachu z ubrania, sir.

–Słyszałem, że są ludzie mieszkający setki mil stąd, którzy też nie mogą. Co w końcu zrobiłaś z tym paskudstwem?

–Schowałam do szafki na dowody rzeczowe numer 4 i zostawiłam klucz w zamku – wyjaśniła.

–Ale Nobby Nobbs zawsze kradnie wszystko, co... – zaczął Vimes.

–Zgadza się, sir – rozpromieniła się Cudo. – Nie widziałam ich już od tygodni.

Od strony bufetu rozległ się trzask, a po nim krzyki. Coś wewnątrz Vimesa – być

moze wlasnie ta czesc, ktora czekala na pierwsze oznaki burzy – pchnela go przez gabinet i korytarzem w dol, do drzwi bufetu, tak szybko, ze pozostawil za soba nad podloga spirale kurzu. Przed soba zobaczyl scene we wnetrzu w roznych odcieniach poczucia winy. Jeden ze stolow lezal przewrocony. Jedzenie i tanie cynowe nakrycia rozsypaly sie na podlodze. Po jednej stronie stolowki stal funkcjonariusz troll Mika, aktualnie przytrzymywany z obu stron przez funkcjonariuszy Bluejohna i Lupka. Po drugiej znalazl sie funkcjonariusz krasnolud Zlomotarcz, aktualnie podnoszony z podlogi przez kaprala prawdopodobnie czlowieka Nobbsa oraz funkcjonariusza niewatpliwie czlowieka Haddocka.

Przy innych stolikach siedzieli inni straznicy, wszyscy pochwyceni w akcie wstawania. I w absolutnej ciszy, slyszalny tylko dla wyczulonych uszu czlowieka, ktory go szukal, brzmial dzwiek dloni zatrzymywanych o cal nad ulubiona bronia i bardzo powoli opuszczanych.

–No dobra – powiedzial Vimes w dzwieczacej prozni. – Kto bedzie pierwszy, kto rzuci jakas sciema? Kapral Nobbs?

–No wiec, panie Vimes... – zaczal Nobby, opuszczajac milczacego Zlomotarcza na podloge -...eee... Ten tutaj Zlomotarcz... wzial Miki... tak, wzial Miki kubek, przez pomylke, znaczy... No i... wszyscy zauwazylismy, wiec podskoczyliśmy, prawda... – Nobby przyspieszyl, widzac, ze udalo mu sie pokonac najbardziej dramatyczne bzdury. – I dlatego przewrocil sie stol... No bo... – W tym miejscu twarz Nobby'ego przybrala wyraz cnotliwego imbecylizmu; widok byl naprawde przerazajacy. – Bo naprawde by mu zaszkodzilo, jakby tak sobie lyknal trollowej kawy, sir.

Vimes westchnal w duchu. Jak na glupie i kulawe wytлумaczenia, to nie bylo nawet takie zle. Przede wszystkim mialo zaletę calkowitej niewiarygodnosci. Zaden krasnolud nawet by sie nie zblizil do kubka trollowego espresso, bedacego mieszanka stopionych chemikaliow, posypanych na wierzchu rdza. Wszyscy to wiedzieli – i tak samo wiedzieli, ze Vimes zobaczyl, jak Zlomotarcz trzyma nad glowa topor, a funkcjonariusz Bluejohn znieruchomial w akcie wyrywania Mice maczugi. Wszyscy tez wiedzieli, ze w tym nastroju Vimes sklonny jest wyrzucic kazdego nieszczesnego idiote, ktory wykona niewlasciwy ruch, a pewnie tez wszystkich stojacych blisko.

–Czyli to wlasnie sie stalo, tak? – spytal Vimes. – Czyli nikt nie wyglosil zadnej zlosliwej uwagi o ktorymys funkcjonariuszu i innych z jego rasy? Zadnej odrobiny glupoty, ktora doklada sie tylko do tego balaganu, jaki mamy na ulicach?

–Alez nic podobnego, sir – zapewnil Nobby. – Zwyczajna... pomylka.

–Niemal grozny wypadek, tak?

–Tajest, sir.

–No wiec nie chcemy tu groznych wypadkow, prawda, Nobby?

–Nie, sir!

–Nikt tutaj nie chcialby groznych wypadkow, jak podejrzewam. – Vimes rozejrzal sie po sali. Niektorzy funkcjonariusze, co stwierdzil z ponura satysfakcja, pocili sie z wysilku, by sie nie poruszyc. – A bardzo latwo moga sie zdarzyc, jesli nie jestescie calkowicie skoncentrowani na pracy. Zrozumiano?

Zabrzmialy niewyrazne pomruki.

–Nie slysze was!

Tym razem rozlegly sie wyrazniejsze motywy na temat "Tajest, sir".

–I dobrze – burknal Vimes. – A teraz wynoscie sie stad i utrzymujcie spokoj, bo niech mnie demony, tutaj tego nie zrobicie!

Rzucil specjalne spojrzenie na funkcjonariuszy Zlomotarcza i Mike, po czym wyszedl do glownej sali, gdzie niemal sie zderzyl z sierzant Angua.

–Przepraszam, sir, wlasnie przyprawdzilam... – zaczela.

–Zalatwilem to, nie martw sie – przerwal jej. – Ale niewiele brakowalo.

–Niektore krasnoludy naprawde sa rozdraznione, sir. Czuje to – oswiadczyla.

–Ty i Fred Colon...

–I nie wydaje mi sie, ze to tylko historia z Combergniotem. To cos... krasnoludzkiego.

–No wiec nie moge z nich tego wyciagnac. I akurat kiedy dzien nie moglby chyba gorzej sie ulozyc, to jeszcze musze porozmawiac z tym przekletym wampirem.

Za pozno zauwazyl ostrzegawcze spojrzenie Angui.

–Aha... Mysle, ze chodzi o mnie – odezwal sie wysoki glos za jego plecami.

Fred Colon i Nobby Nobbs, zmuszeni do zakonczenia przydlugiej przerwy na kawe, postanowili przewietrzyc troche mundury i teraz szli wolno Broad-Wayem. Biorac pod uwage ostatnie wypadki, chyba lepiej bylo zniknac na jakis czas z Yardu.

Szli jak ludzie, którzy mają przed sobą cały dzień. Bo mieli cały dzień. Wybrali te właśnie ulice, ponieważ była tłoczna i szeroka, a w tej części miasta nie spotykało się zbyt wielu trolli i krasnoludów. Rozumowanie było bez zarzutu – obecnie w wielu regionach miasta krasnoludy i trolle wchodziły się grupami, a niekiedy stały w miejscu grupami, na wypadek gdyby te wchodzące się dookoła dranie próbowały w tej okolicy rozrabiać. Od tygodni zdarzały się drobne starcia. W takich okolicach, uznawali Fred i Nobby, nie pozostało zbyt wiele spokoju, więc dbanie o te resztki byłoby tylko marnowaniem sił. Przecież nikt nie trzymałby owcy w miejscu, gdzie wszystkie owce zostały pożarte przez wilki, prawda? Rozsadek mówił jasno, że takie działanie byłoby głupie. Podczas gdy na wielkich ulicach, takich jak Broad-Way, było wiele spokoju, który naturalnie powinno się utrzymywać. Zdrowy rozsadek odpowiadał im, że to prawda. Była tak wyraźna, jak nos na twarzy, zwłaszcza na twarzy Nobby'ego.

–Marnie to wygląda – stwierdził Colon, idąc krok za krokiem. – Nigdy jeszcze nie widziałem takich krasnoludów.

–Tę przed dolina Koom zawsze się robi ciężko, sierzanie – zauważył Nobby.

–Tak, ale Combergniot na poważnie doprowadził ich do wrzenia, nie ma co. – Colon zdjął hełm i wytarł czoło. – Powiedziałem Samowi o mojej wodzie i zrobiło to na nim wrażenie.

–No, nic dziwnego – zgodził się Nobby. – Na każdym by zrobiła wrażenie.

Colon stuknął palcem w bok nosa.

–Nadchodzi burza, Nobby.

–Na niebie nie ma ani chmurki, sierzanie.

–To takie powiedzenie, Nobby, takie powiedzenie. – Colon westchnął i zerknął na przyjaciela. Kiedy znów się odezwał, mówił z wahaniem, jak człowiek, którego dreczy jakiś problem. – Szczerze powiem, że jest pewna sprawa, o której jako takiej chciałem pogadać jak człowiek z... – wahał się tylko przez ułamek sekundy -... człowiekiem.

–Tak, sierzanie?

–Wiesz, Nobby, że zawsze interesowałem się twoją moralnością, jako że nie masz taty, który by ci pokierował na właściwą ścieżkę...

–To fakt, sierzanie. Błądziłbym bez końca, gdyby nie pan – zapewnił szlachetnie Nobby.

–No i wiesz, opowiadałeś mi o tej dziewczynie, z którą wychodzisz, zaraz, jak jej

było...

–Plova, sierzancie.

–Trafiles tego... kroliczka. Mowiles, ze pracuje w klubie, tak?

–Zgadza sie. To jakis problem, sierzancie? – zapytal nerwowo Nobby.

–Nie jako taki. Ale kiedy miales dzien wolny, Nobby, mnie i funkcjonariusza Jolsona wezwali do Klubu Rozowego Kociaka. Wiesz? Sa tam tance na dragu, tance na stolach i tego rodzaju rzeczy. Znasz pania Spudding, co mieszka na Nowej Szewskiej?

–Stara pani Spudding z drewnianymi zebami, sierzancie?

–Ta sama, Nobby – potwierdzil autorytatywnie Colon. – Ona tam sprzata. I kiedy przyszla o osmej rano, jak juz nikogo nie bylo, to wiesz, Nobby, nie chcialbym o tym mowic, ale chyba wpadlo jej do glowy, zeby zakrecic sie na dragu...

Milczeli przez chwile, gdy Nobby wyswietlil ten obraz w kinie swojej wyobrazni i pospiesznie odeslal duza jego czesc na podloge pokoju montazowego.

–Przeciez ona ma chyba z siedemdziesiat piec lat, sierzancie! – rzekl, z przerazona fascynacja wpatrujac sie w pustke.

–Dziewczyna moze przeciez marzyc, Nobby, moze marzyc. Jasne, zapomniala, ze nie jest juz taka gietka jak za dawnych lat, a jeszcze stopa sie jej zaplatala w dlugie reformy, no i kobita wpadla w panike, kiedy sukienka opadla jej na glowe. Marnie z nia bylo, gdy wreszcie przyszedl kierownik, bo przez trzy godziny wisiala glowa w dol, a jej sztuczne zebry wypadly na podloge. Nie chciala tez puscic tego draga. Niezbyt piekny widok... Mam nadzieje, ze nie musze ci go dokladnie opisywac. W koncu Cennik Jolson musial wyrwac ten drag od gory i od dolu, dopiero wtedy ja zsunelismy. Miala miesnie jak troll, slowo daje, Nobby. A potem, kiedy probowalismy ja na zapleczu doprowadzic do przytomnosci, zjawia sie taka mloda dama ubrana w dwa cekiny i sznurowke, i mowi, ze jest twoja przyjaciolka! Nie wiedzialem, gdzie oczy podziac!

–Nigdzie nie powinien ich pan podziewac, sierzancie. Powinny byc przy panu, bo ochroniarze moga pana wyrzucic.

–Nie mowiles mi, ze ona tanczy na dragu, Nobby! – jeknal Fred.

–Niech pan nie mowi w ten sposob, sierzancie! – Nobby wydawal sie troche urazony. – To nowe czasy. A Plova ma klase, nie ma co. Przynosi nawet wlasny drag. Zadnych kantow.

–Ale przecież... znaczy... Pokazuje swoje ciało w sposób lubiezny, Nobby! Tanczy tam bez niczego na gorze i prawie niczego na dole! Czy to odpowiednie zachowanie?

Nobby przyjrzał sie temu glebokiemu, metafizycznemu problemowi pod wieloma katami.

–No... tak? – sprobował.

–A poza tym myslalem, ze ciagle chodzisz z Verity Pushpram. Calkiem mily ma ten straganik z owocami morza – stwierdzil Colon, jakby usilował kolege przekonac.

–Och, Mlot to mila dziewczyna, jesli czlowiek trafi na jej dobry dzien, sierzancie – zgodzil sie Nobby.

–Znaczy taki dzien, kiedy nie mowi ci, zebys spadal, i nie goni cie po ulicy, ciskajac krabami?

–Wlasnie taki, sierzancie. Ale dobry czy zly, nie moze sie pozbyc zapachu ryby. I oczy ma za daleko od siebie. Chodzi o to, ze trudno sie spotykac z dziewczyna, ktora pana nie widzi, jesli stanie pan przed nia...

–Ta twoja Plova tez cie raczej z bliska nie zobaczy! – wybuchnal Colon. – Ma prawie szesc stop wzrostu i lono jak... No, to duza dziewczyna, Nobby.

Czul sie zagubiony. Nobby Nobbs i tancerka z wielkimi wlosami, wielkim usmiechem i... i ogolnie wielkim wszystkim? No spojrzmy na ten wizerunek, a potem na ten... Czlowiekowi glowa zaczyna dymic, naprawde...

Brnal dalej.

–Powiedziala mi, Nobby, ze byla Miss Maja na rozkladowce "Panienek, Ploteczek i Podwiazek". No wiec...

–Ale o co panu chodzi, sierzancie? A tak w ogole to nie byla tylko Miss Maja, ale tez pierwszego tygodnia czerwca – zauwazyl Nobby. – Tylko w ten sposob znalezli dosc miejsca.

–Eee, no wiec chcialem, zebys sie zastanowil... – Fred sie zajaknal. – Czy dziewczyna, ktora za pieniadze pokazuje swoje ciało, bedzie odpowiednia zona dla gliny? Odpowiedz sobie na to.

Po raz drugi w ciagu pieciu minut to, co uchodzilo za twarz Nobby'ego, zmarszczylo sie w zamysleniu.

–To jakies podchwytliwe pytanie, sierzancie? – odezwal sie w koncu. – Bo wiem z

cała pewnością, że Haddock ma jej obrazek przypięty w swojej szafce i kiedy ja otwiera, mówi: "No popatrzcie na...".

–A w ogóle to jak ja poznales? – przerwał mu szybko Colon.

–Co? No, nasze oczy się spotkały, kiedy wsuwałem jej weksel za podwiązkę, sierzancie – odparł rozpromieniony Nobby.

–I... nie oberwała akurat czymś po głowie albo co?

–Nie wydaje mi się, sierzancie.

–Nie jest... chora, jakby? – Fred Colon usiłował zbadać każdą możliwość.

–Nie, sierzancie!

–Jestes pewien?

–Ona mówi, że może jesteśmy dwiema połówkami tej samej duszy, sierzancie – oświadczył Nobby rozmarzony.

Colon znieruchomiał ze stopą uniesioną nad chodnikiem. Wpatrywał się w pustkę i bezgłośnie poruszał wargami.

–Sierzancie... – odezwał się niespokojnie Nobby.

–Tak... no tak – mruzczał Colon, praktycznie do siebie. – Tak, to możliwe. Pewnie, nie to samo w obu połówkach, raczej jakby... przesiane...

Stopa opadła.

–Do mnie!

Było to raczej beczenie niż krzyk, a dobiegło z drzwi Krolewskiego Muzeum Sztuki. Wysoki, chudy człowiek machał na strażników, którzy zbliżyli się spokojnie.

–Slucham, sir? – zapytał Colon, unosząc dłoń do helmu.

–Mielismy tu włamanie, panie strażniku!

–Włam chamie? – oburzył się Nobby.

–Och, drogi panie... – Colon ostrzegawczo położył dłoń na ramieniu kaprała. – Cos zginelo?

–Thak. Myśle, że hwasnie dla tego to włamanie, wie pan.

Człowiek przypominał zatroskanego kurczaka, ale Fred Colon był pod wrażeniem. Ledwie potrafił go zrozumieć, taki był elegancki. Używał nie tyle mowy, ile raczej modulowanego ziewania.

–Jestem sir Reynold Szyty, kustosz działu Sztuk Pięknych, i szedłem sobie Główna Galeria i... o bogowie, ukradli Rascala!

Spojrzał na dwie otepiłe twarze.

–Methodia Rascal – podpowiedział. – "Bitwa w dolinie Koom". Bezcenne dzieło sztuki!

Colon podciągnął pas.

–Aha – rzekł. – Poważna sprawa. Lepiej się mu przyjrzymy. Eee... to znaczy miejscu, gdzie był umieszczony.

–Thak, thak, oczywiście – mamrotał sir Reynold. – Proszę thedy. Jak rozumiem, współczesna sztuka wiele potrafi się dowiedzieć z samych oględzin miejsca, gdzie znajdował się obiekt, prawda?

–Na przykład że zniknął? – domyslił się Nobby. – O thak. W tym jesteśmy dobrzy.

–Ehm... No thak – rzekł sir Reynold. – Proszę thedy.

Straznicy szli za nim. Oczywiście, byli już w muzeum. Jak większość obywateli w dni, kiedy nie pojawiała się nic ciekawszego. Pod rządami lorda Wetinarięgo muzeum prezentowało mniej wystaw sztuki nowoczesnej, gdyż jego lordowska moc żywił Opinie, ale powolny spacer między zakurczonymi gobelinami oraz pozłokłymi obrazami był miłym sposobem spędzenia popołudnia. No i zawsze przyjemnie jest popatrzeć na portrety dużych różowych kobiet bez żadnego ubrania.

Nobby wyraźnie czegoś nie rozumiał.

–O co tu chodzi, sierzancie? – szepnął. – To brzmiało, jakby on cały czas ziewał. Co to jest gal heria?

–Galeria, Nobby. To takie mówienie najwyższej klasy.

–Prawie go nie rozumiem!

–Tym właśnie pokazuje wysoka klasę, Nobby. Nie na wiele by się przydała, gdyby tacy jak ty potrafili wszystko zrozumieć, prawda?

–Śluszna uwaga, sierzancie – przyznał Nobby. – O tym nie pomyślałem.

–Wykrył pan kradzież dziś rano, sir? – zapytał Nobby, gdy szli za kustoszem przez galerię zastawioną drabinami i zasłonięta pokrowcami.

–Thak, w isthocie!

–Wiec kradzież nastąpiła w nocy?

Sir Reynold się zawahał.

–Ehm... niekonhecznie, niesthety. Osthathnio odnahmialismy Główna Galherie. Obraz był zbyt hwielki, by go przeniesc, nathuralnie, wiec przez osthathni miesiac był przykryty grubymi zaslonami. A kiedy zdjelismy je dzisiaj rano, zosthala tylko rama! Spojrzcie!

Rascal zajmował – w przeszłości, bo już nie teraz, oczywiście – ramę wysokości około dziesięciu i szerokości pięćdziesięciu stop, która to rama sama była niemal dziełem sztuki. Wciąż tam stała, ukazując w sobie jedynie nierówny i zakurzony tynk.

–Myśle, że ma go teraz jakiś bogaty prywatny kolekcjoner – jeczal sir Reynold. – Ale jak zdoła to zachować w tajemnicy? To płótno należy do najbardziej znanych obrazów na świecie! Każdy cywilizowany człowiek od razu się zorientuje!

–A jak wyglądał? – spytał Fred Colon.

Sir Reynold dokonał ostrej redukcji założeń, co było normalną reakcją na konwersację z przedstawicielami Chłuby Ankh-Morpork.

–Zapewne uda mi się znaleźć kopie, ale oryginał ma pięćdziesiąt stop długości. Nigdy pan go nie widział?

–No, niby pamiętam, że mi go pokazywali, jak byłem całkiem mały, ale po prawdzie to był za długi. Nie można go tak naprawdę zobaczyć. Znaczący, jak już człowiek dojdzie do końca, to zapomina, co było wcześniej, tak jakby.

–Niesthety, sierzancie, z bólem przyznaje, że to prawda. A co rzeczywiście irytujące, to że cały remont służył temu, by zbudować specjalną okrągłą salę i umieścić tam Rascala. Jego idea, jak wiecie, było, aby patrzący stał się całkowicie otoczony przez mural i czuł się tak, jakby stał w samym centrum akcji, że tak powiem. Znalazłby się w dolinie Koom... Nazywał to sztuka panoskopiczna. Mówcie co chcecie o bieżącym wzroście zainteresowania, ale dodatkowi goście umożliwiłby wystawienie obrazu tak, jak sadzimy, że chciałby go wystawić. A tu coś takiego!

–Jeśli chcielibyście go przenieść, sir, to czemu nie zdjęliście go i nie wsadziliście gdzieś elegancko i bezpiecznie?

–Znaczy, zeby go zhwinac? – Sir Reynold byl wstrzasniety. – Tho by spohwodowalo sthrasne szkody! Och, zgroza! Nie, na przyszly thydzien planohwalismy bardzo ostrozna operacje, hwykonywana z najhwyzsza osthroznoscia. – Zadrzal. – Kiedy pomysle, ze kthos zhwyczajnie hwyrznel obraz z ramy, slabo mi sie robi...

–Hej, to musi byc slad, sierzancie! – zawolal Nobby, ktory wrocil do swych zwyklych dzialan, polegajacych na wloczeniu sie dookola i szturchaniu roznych rzeczy w celu sprawdzenia, czy sa wartosciowe. – Prosze spojrzec, ktos wywalil tu stos cuchnacych starych smieci!

Stal przy cokole, na ktorym rzeczywiscie ktos chyba zlozyl stos lachmanow.

–Prosze thego nie dothykac! – Sir Reynold podbiegl nerwowo. – To "Nie mow mi o poniedzialku"! Najbardziej konthrohwersyjna praca Daniellariny Pouter! Niczego pan thu nie ruszal, prahwda? Dzieło jest doslohwnie bezcenne, a ona ma osthry jezyk!

–To tylko stare szmaty! – zaprotestowal Nobby, cofajac sie niespokojnie.

–Szthuka jest czymś hwiecej niz zaledhwie suma shwych mechanicznych skladnikow, kapralu – upomnial go kustosz. – Przeciez nie pohwie pan, ze "Trzy duze rozowe kobiety i jeden kawalek tiulu" Caravatiego to tylko, ehm, "kupa stharej farby"...

–No a co z tym? – Nobby wskazal sasiedni postument. – To tylko wielki pal z wbitym w niego gwozdzem! To tez ma byc sztuka?

–"Wolnosc"? Gdyby thrafila na rynek, prahwdopodobnie uzyskalaby cene trzydziestu thysiecy dolarow – stwierdzil sir Reynold.

–Za kawalek drewna z wbitym gwozdzem? – zdumial sie Fred Colon. – Kto zrobil takie cos?

–Po obejrzeniu "Nie mow mi o poniedzialku" lord Vetinari laskahwie nakazal przybic pania Pouter za ucho do pala. Jednakze pod hwieczor zdolala sie uhwolnic.

–Zalozę sie, ze byla wsciekla – uznal Nobby.

–Nie, kiedy juz zdobyła za tho kilka nagrod. O ile hwiem, planuje przybijac sie thez do innych przedmiotow. To moze byc bardzo interesujaca hwystawa.

–W takim razie cos szanownemu panu doradze – powiedzial usluźnie Nobby. – Moze zostawi pan te rame na miejscu i da jej nowa nazwe, na przyklad "Kradziez sztuki"?

–Nie – odparl chlodno sir Reynold. – Tho by bylo niemadre.

Krecac glowa nad szalenstwami wspolczesnego swiata, Fred Colon podszedl wprost do sciany, tak okrutnie, czy tez okrutnie pozbahwionej swej zaslony. Nie myslal zbyt szybko, ale pewna sprawa wydala mu sie dziwna: jesli ktos mial na zwiniecie obrazu caly miesiac, to czemu spapral robote? Fred mial policyjny poglad na ludzkosc – taki, ktory w pewnych istotnych punktach roznil sie od pogladu kustosza. Nigdy nie mowil, ze ludzie czegos by nie zrobili, niezaleznie od tego, jak dziwne by sie to wydawalo. Prawdopodobnie istnieli jacys oblakani i bogaci ludzie, ktorzy kupiliby obraz, nawet jesli potem mogliby go ogladac jedynie w odosobnieniu wlasnej rezydencji. Ludzie tacy bywaja. Swiadomosc, ze to ich wielka tajemnica, budzila w nich pewnie ten cudowny dreszczyk...

Ale zlodzieje wycieli obraz tak, jakby sie wcale nie przejmowali mozliwoscia sprzedazy. Pozostal kilka trojkatnych strzepow wzdluz... Zaraz...

Fred sie cofnal. Wskazowka. Byla tam, tuz przed nim... Poczul ten cudowny dreszczyk.

–Ten obraz – oznajmil. – Ten obraz... znaczy: ten obraz, ktorego tu nie ma, oczywiscie, zostal ukradziony przez... trolla.

–Hwielkie nieba, skad pan tho hwie? – zdumial sie sir Reynold.

–Ciesz sie, ze pan o to pyta, sir – odparl Fred Colon, ktory rzeczywiscie sie ucieszyl. – Wydetektowalem, rozumie pan, ze gora tego okraglego murielu zostala ucieta bardzo blisko ramy. – Wskazal palcem. – Otoz troll bez trudu siegnie tam nozem, prawda, i utnie wzdluz brzegu ramy na gorze i jeszcze troche w dol po obu stronach. Ale troll nie umie sie dobrze schylac, wiec kiedy przyszlo mu ciac u dolu, prawda, troche popsul robote i zostawil poszarpany brzeg. No i w koncu tylko troll moglby ten obraz wyniesc. Znaczy, nawet dywan na schodach jest ciezkim, a zwiniety muriel bylby jeszcze o wiele ciezszy. – Rozpromienil sie.

–Brahwo, sierzancie – powiedzial z uznaniem kustosz.

–Niezle pomyslane, Fred – pochwalil Nobby.

–Dziekuje wam, kapralu – odparl laskawie Colon.

–Albo moglo to byc dwoch krasnoludow z drabina – ciagnal uprzejmie Nobby. – Ci od remontu zostawili tu pare. Wszedzie stoja.

Fred Colon westchnal.

–Widzisz, Nobby – rzekl – takie wlasnie publicznie wyglaszane komentarze sa powodem, dla ktorego ja jestem sierzantem, a ty nie. Gdyby to byly krasnoludy, cielyby rowno ze wszystkich stron. To oczywiste. Czy budynek jest na noc

zamykany, panie sir Reynoldzie?

–Oczywiscie. Mamy nie thylko dobre zamki, ale i kraty. Sthary John bardzo o to dba. Mieszka na strychu, hwiec moze zmienic muzeum w prahwdziwa forthece.

–To pewnie tutejszy dozorca? Bedziemy musieli z nim porozmawiac.

–Alez oczyhwiscie, moga panohwie – zapewnil nerwowo sir Reynold. – Theraz hwydaje mi sie, ze pehwne dane dothyczace dzieła mozemy miec w naszym magazynie. I... thego... pojde i, no... poszukam.

Pospieszyl do niskich drzwi.

–Zastanawiam sie, jak go wyniesli – mruknal Nobby, kiedy zostali sami.

–A kto powiedzial, ze wyniesli? To wielki budynek, pelno tu strychow, piwnic i roznych zakamarkow. No to czemu by nie wcisnac gdzieś muriela i zaczekac? Rozumiesz, wchodzisz ktoregos dnia jako gosc, chowasz sie pod plachta, noca zdejmujesz muriela, ukrywasz gdzieś, a nastepnego dnia wychodzisz z goscmi. Proste, nie? – Fred Colon spojrzal z duma na Nobby'ego. – Trzeba przechytrzyc umysl przestepcy, rozumiesz.

–Tylko ze mogli tez rozwalic drzwi i zwiac z tym murielem w srodku nocy – zauwazyl Nobby. – Po co kombinowac z chytrym planem, kiedy wystarczy calkiem prosty?

Fred westchnal.

–Widze, ze to bedzie skomplikowana sprawa, Nobby.

–Powinienes spytac Vimesa, czy mozemy ja wziac – odparl Nobby. – No wiesz, znamy juz fakty, nie?

W powietrzu zawislo niewypowiedziane: Gdzie chcialbys przebywac przez najblizsze kilka dni? Na ulicy, gdzie pewnie zaczyna latac topory i maczugi, czy tutaj, bardzo starannie przeszukujac wszystkie strychy i piwnice? Zastanow sie. No i to nie bedzie tchorzostwo, nie? Bo przeciez taki slawny muriel na pewno jest czescia dziedzictwa narodowego, nie? Nawet jesli to tylko obraz masy trolli i krasnoludow, ktore sie tluka.

–Chyba napisze odpowiedni raport i zasugeruje panu Vimesowi, ze to my powinniemy sie tym zajac – oswiadczył wolno Fred Colon. – Sprawa wymaga uwagi doswiadczonych funkcjonariuszy. Znasz sie na sztuce, Nobby?

–Jesli trzeba, sierzancie.

–Daj spokoj, Nobby!

–No co? Plova twierdzi, że to, co robi, jest Sztuka, sierzancie. A ma na sobie więcej ubrania niż mnóstwo tych kobiet na ścianach tutaj, więc nie rozumiem, czemu na to wybrzydzać.

–No tak, ale... – Fred Colon zawahał się nieco. Coś w głębi serca mówiło mu, że krecenie się głową w dół na dragu, w kostiumie o łącznej powierzchni malej chustki do nosa, stanowczo nie jest Sztuka, natomiast leżenie na łożu, mając na sobie jedynie niewielką kłęb winogron, to Sztuka porządna i solidna. Ale dlaczego? Dokładne tłumaczenie wydawało się dość trudne.

–Nie ma urn – oświadczył w końcu.

–Jakich urn? – zdziwił się Nobby.

–Nagie kobiety są Sztuka tylko wtedy, kiedy gdzieś tam jest urna. – Nawet Colonowi argument wydawał się trochę słaby. – Albo cokol. Oczywiście najlepiej, jeśli oba. To taki sekretny znak, który tam umieszczają, żeby mówić: to Sztuka i można spokojnie na nią patrzeć.

–A co z rośliną doniczkową?

–Też może być, jeśli jest w urnie.

–A jeśli nie ma tam urny, postumentu ani rośliny doniczkowej?

–Masz coś na myśli, Nobby? – spytał podejrzliwie Fred.

–Tak. "Bogini Anoa* powstająca pomiędzy sztuccow" – odparł Nobby. – Maja ją tutaj. Namalował ją gość z trzema "i" w nazwisku, co brzmi bardzo artystycznie, moim zdaniem.

–Liczba "i" jest ważna, Nobby – stwierdził z powagą sierżant Colon. – Ale w takich sytuacjach musisz sam siebie zapytać: gdzie jest cherubin? Jeśli znajdziesz tam małego, tłustego, różowego dzieciaka trzymającego lustro, wachlarz czy coś w tym rodzaju, to nadal wszystko w porządku. Nawet jeśli się uśmiecha. Oczywiście nie można wszędzie stawiać urn.

–No dobrze. Ale przypuśćmy... – zaczął Nobby.

Trzasnęły jakieś drzwi i po marmurowej posadzce zbliżył się sir Reynold z książką pod pachą.

–Ach, obawiam się, że nie ma tu kopii obrazu – stwierdził. – Najbardziej wyraźna kopia,

kthora oddahwalaby dzielu sprahwiedliwosc, bylaby thrudna do hwykonania. Ale, hm, then dosc sensacyjny trakthat zahwiera sporo precyzyjnych szkicow. Obecnie prakthycznie kazdy odhwiedzajacy ma egzemplarz. Czy hwiecie, ze na podstawie zbroi albo znakow na cieie mozna zidentyfikowac ponad dhwa thysiace cztherysta dziewiecdziesiat indyhwidualnych trolli i krasnoludow? Praca nad tym obrazem doprohwarzila nieszczesnego Rascala do obledu. Zajela mu szesnascie lat!

–To jeszcze nic – wtracil uprzejmie Nobby. – Ten oto Fred nie dokonczyl jeszcze malowania kuchni, a zaczal dwadziescia lat temu!

–Dziekuje ci, Nobby – rzekl lodowatym tonem Colon. Wzial od kustosza ksiazke. Nosila tytul "Kodeks doliny Koom". – Jakiego obledu? – spytal.

–No hwiec zaniedbal inne shwoje prace. Bezusthannie zmienial khwatery, poniehwaz nie mogl zaplacic czynszu. Musial zathem hwlec za soba tho gigantyczne plothno. Hwyoobrazacie sobie? Musial zebrac o farby na ulicy, co zajmowato mu duzo czasu, jako ze niehwielu przechodniow nosi przy sobie thube umbry. Thwierdzil tez, ze do niego przemahwia. Wszystko tho znajdziecie w ksiazce. Mocno udramathyzowane, niestety.

–Obraz do niego przemawial?

Sir Reynold skrzywil sie nieco.

–Sadzimy, ze tho mial na mysli. Ale thak naprahwde nie hwiemy. Nie mial zadnych przyjaciol. Byl przekonany, ze jesli noca zasnie, zmieni sie w kurczaka. Zostahwial dla siebie kartheczki, mohwiace "Nie jesthes kurczakiem", choc czasami hwydawalo mu sie, ze klamie. Pohwszechnie uhwaza sie, ze thak mocno sie koncentrohwal na obrazie, az dosthal czegos w rodzaju goraczki. Pod koniec byl juz pehwien, ze thraci rozum. Thwierdzil, ze slyszy bithwe.

–Skad pan to wie? – zdziwil sie Fred Colon. – Mowil pan, ze nie mial przyjaciol.

–Ach, ten czujny umysl policjanta! – Sir Reynold usmiechnal sie lekko. – Zostahwial do siebie lisciki, sierzancie. Caly czas. Kiedy osthatnia gospodyni hweszla do jego pokoju, znalazla ich setki, wcisnietych w sthare hworki z ziarnem dla kur. Na szczescie nie umiala czythac, a poniehwaz wbila sobie w glohwe, ze lokathor jest shwego rodzaju geniuszem, a zathem moze miec cos, co zdola sprzedac, hwiec hwezwała sasiadke, panne Adeline Naszczesna, ktora malohwala akhwarele, panna Naszczesna zas hwezwała przyjaciela, ktory oprahwial obrazy, a then z kolei pospiesznie przyhwolal Efraima Dowstera, znanego pejzazyste. Od ohwego dnia uczeni sthudiuja te notki, szukajac jakiegos zrozumienia udreczonego umyslu thego nieszczesnika. Widzicie, one nie sa poukladane kolejno. A niekthore hwydaja sie... bardzo dzihwne.

–Dziwniejsze niz "Nie jestes kurczakiem"? – upewnil sie Fred.

–Tak – zapewnil sir Reynold. – Och, hwspomina tham o glosach, omenach, duchach... W dodathku pisał swoj dziennik na przypadkohwych kahwalkach papieru, rozumiecie, i nigdy nic nie hwskazywalo na dathe ani miejsce pobythu, zeby kurczaki go nie odnalazly. Uzywial tez bardzo osthroznych sformulowan, poniewhaz nie chcial, by kurczaki cos odkryly.

–Przepraszam, ale mowil pan, ze to on uwazal sie za kur... – zaczal Colon.

–Ktho zdola zglebic procesy myslowe czlowieka smuthnie niezrownohwazonego, sierzancie? – przerwal mu ze znuzeniem sir Reynold.

–Eee... a czy ten obraz mowi? – zainteresowal sie Nobby Nobbs. – Zdarzaly sie dziwniejsze rzeczy, nie?

–Ahaha... nie. Przynajmniej nie za moich czasow. Odkad hwydano the ksiazke, w godzinach othwarcia zawsze sthoi thu sthraznik i thwierdzi, ze obraz nigdy nie hwymowil nahwet slohwa. Nathuralnie, nieodmiennie fascynuje ludzi. I nieodmiennie powtharzane sa histhorie o ukrythym tham skarbie. Hwlasnie dlathego ponohwnie hwydano te ksiazke. Ludzie uhwielibiaja sehkrety, prawhda?

–Nie my – stwierdzil Colon.

–Nie wiem nawet, co sie robi z takim suchym kretem. – Nobby kartkowal "Kodeks". – Zaraz... Slyszałem o tej ksiazce. Moj kumpel Dave, ktory prowadzi sklep ze znaczkami, mowil mi, ze to taka historia o krasnoludzie, tak, ktory przybyl do miasteczka niedaleko doliny Koom ponad dwa tygodnie po bitwie, caly poharatany, bo wpadl w zasadzke trolli, i wyglodzony, tak, tylko ze nikt nie znal krasnoludziego, ale wydawalo sie, jakby chcial, zeby za nim poszli, i bez przerwy powtarzal to slowo, ktore jak sie okazalo, po krasnoludziemiu znaczy "skarb", tak, no wiec oni poszli za nim do doliny, tylko ze on umarl po drodze i nic nie znalezli, tak, a potem ten malarz znalazl cos... no, cos znalazl w dolinie Koom, a miejsce, gdzie to znalazl, ukryl jakos na obrazie, ale dostal od tego fiola. Jakby bylo nawiedzone, mowil Dave. I ze rzad wyciszyl sprawe.

–No tak, ale twoj kumpel Dave zawsze powtarza, ze rzad wszystko wycisza – przypomniał koledze Fred.

–Bo to prawda.

–Tylko ze on zawsze o tym jakos uslyszy, a jego nie wyciszaja.

–Wiem, ze zawsze lubi pan kluc palcem drwiny, sierzancie, ale wiele dzieje sie rzeczy, o ktorych nie mamy pojecia.

–A jakich konkretnie? – odparował Colon. – Wymień jedną rzecz, która się dzieje, a o której nie masz pojęcia. No właśnie, nie potrafisz, co?

Sir Reynold odchrząknął.

–Z pewnością jest to jedna z teorii – przyznał. Mówił wolno, jak często ludzie, którzy wysłuchali burzy argumentów Trustu Mózgowego Colon-Nobbs. – Niestety, notatki Methodii Rascala wspierają praktycznie każdą hwyobrazalną teorię. Przyczyna obecnej popularności małowidła jest, jak przypuszczam, fakt, iż książka istotnie przypomina dawną opowieść o ukrytym na płotnie wielkim sekrecie.

–Jaki to sekret? – zainteresował się Fred Colon.

–Nie mam pojęcia. Pejzaz został oddany w najdrobniejszych szczegółach. Może coś tam wskazuje ukrytą jaskinię? Coś w ustawieniu hwalczących? Kraza najrozniejsze teorie. Dość dziwaczne osoby zjawiają się tu z tasmami mierniczymi i niepokojąco skupionymi minami, ale nie sadzę, żeby coś znaleźli.

–Może któryś z nich zwiął obraz? – zgadywał Nobby.

–Hwatpie. Są to dość skryte indywidua. Przynoszą termosy, kanapki i zostają przez cały dzień. Tho ludzie, którzy kochają anagramy, tajemne znaki, mają swoje małe teorie i pryszcze. Prawdopodobnie całkiem nieszkodliwi, chyba że względem siebie nawzajem. Zresztą po co krasć? Lubimy, kiedy ludzie intheresują się szthuka. Nie wydaje mi się, żeby ktoś taki zabrał obraz do domu, bo jest za duży, żeby się zmieścił pod łóżkiem. Wiecie, panowie, Rascal napisał, że niekiedy noca słyszał krzyki. Odgłosy bithwy, należy podejrzehwać. Bardzo smutna histhorya.

–Czyli nie jest to coś, co człowiek powiesiłby sobie nad kominkiem – uznał Fred Colon.

–Othoz to, sierzancie. Nawet gdyby można było mieć kominek szeroki na pięćdziesiąt sthóp.

–Dziękuję panu. I jeszcze jedno pytanie: ile drzwi prowadzi do tego budynku?

–Throje – odparł natychmiast sir Reynold. – Ale dwoje zawsze są zaryglowane.

–Gdyby jednak troll...

–...albo krasnoludy... – wtracił Nobby.

–Albo, jak podpowiada mój młodszy kolega, krasnoludy, próbowały coś wynieść...

–Gargulce – oznajmił z dumą sir Reynold. – Dhwa na budynku naprzeciw

bezustannie obserwowają główne haje, a po jednym stoi przy obu pozostałych. No i w dzień są tu pracownicy.

–Panu to pytanie może się wydać niemiłe... ale czy wszędzie szukaliście?

–Personel szukał przez cały rano, sierżancie. To byłby bardzo ciężki i ciężki zwoj. Jest tu mnóstwo zakamarków, ale coś takiego raczej trudno ukryć.

Colon zsalutował.

–Bardzo dziękuję. Rozejrzemy się zatem, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

–Rozejrzemy się za urnami – sprecyzował Nobby.

Vimes usadowił się w fotelu i spojrzał na przekleśniętego wampira. Dziewczyne można by wziąć za szesnastolatkę; naprawdę trudno było uwierzyć, że jest niewiele młodsza od Vimesa. Miała krótkie włosy, jakich nigdy jeszcze nie widział u wampira, i wyglądała jeśli już nie jak chłopak, to jak dziewczyna, która nie ma nic przeciwko temu, że ktoś ją z chłopcem pomyli.

–Przepraszam za... te uwagi na dole – powiedział. – Mamy ciężki tydzień, a z godziny na godzinę jest gorzej.

–Nie musi pan być wystraszony – odparła Sally. – Jeśli to w czymś pomoże, mnie to się nie podoba tak samo jak panu.

–Nie jestem wystraszony – oświadczył surowo Vimes.

–Przykro mi, panie Vimes, ale pachnie pan wystraszaniem – oświadczyła. – Niezbyt mocno – dodała szybko – ale trochę. I puls ma pan przyspieszony. Przepraszam, jeśli uraziłam. Chciałam tylko pana rozluźnić.

Vimes oparł się w fotelu.

–Proszę nie starać się mnie rozluźnić, panno von Humpeding – rzekł. – Robię się nerwowy, kiedy ludzie tego próbują. Zresztą nie mam niczego zaciągniętego, co mogłbym rozluźnić. I proszę powstrzymać się od komentarzy na temat mojego zapachu. Będzie wdzięczny. Aha, i proszę się do mnie zwracać: komendantcie. Albo: sir. Zrozumiano? Nie: panie Vimes.

–A ja wolalabym, gdyby nazywał mnie pan: Sally – poinformowała wampirzyca.

Spoglądali na siebie, oboje świadomi, że spotkanie nie przebiega dobrze, oboje niepewni, czy mogą to jakoś naprawić.

–No wiec... Sally... chcesz byc glina? – spytal Vimes.

–Policjantka? Tak.

–Mialas w rodzinie jakies tradycje pracy policyjnej?

To bylo standardowe pytanie otwierajace. Zawsze lepiej, jesli rekrut wnosil z domu jakies pojecie o pracy gliniarza.

–Nie, tylko gryzienie gardel – odparla Sally.

Znowu zapadla cisza.

Vimes westchnal.

–Wiesz, chcialbym dowiedziec sie jednego: czy John Wcale-Nie-Wampir-Skad Smith i Doreen Winkings cie w to wciagneli?

–Nie – odparla Sally. – To ja sie do nich zwrocilam. I jesli ma to panu pomoc, sir, nie sadzilam, ze narobie tyle zamieszania.

Vimes zrobil zdziwiona mine.

–Przeciez chcialas wstapic...

–Tak, ale nie rozumiem, skad sie bierze takie... zainteresowanie.

–Nie do mnie te pretensje. To byla wasza Liga Wstrzemiesliwosci.

–Doprawdy? W codzienniku cytowali waszego lorda Vetinariego. Wszystko to o braku dyskryminacji gatunkowej nalezacych do najpiekniejszych tradycji strazy.

–Ha! – burknal Vimes. – No wiec to prawda. Jesli o mnie chodzi, to gliniarz jest gliniarzem. Ale najpiekniejsze tradycje strazy, panno von Humpeding, to przede wszystkim chowanie sie gdzies przed deszczem, krecenie sie przy barach w nadziei na darmowe piwo i koniecznie prowadzenie dwoch notesow!

–Czyli nie chce mnie pan? – spytala Sally. – Wydawalo mi sie, ze potrzebujecie wszystkich rekrutow, jacy sie wam trafia. Prosze posluchac, jestem prawdopodobnie silniejsza niz ktokolwiek na waszej liscie plac, kto nie jest trollem, jestem calkiem bystra, nie boje sie ciezkiej pracy i doskonale widze w ciemnosci. Moge sie przydac. Chce sie przydac.

–A potrafisz sie zmienic w nietoperza?

To ja zaszokowalo.

–Co to niby za pytanie?

–Chyba jedno z łatwiejszych. A poza tym może to być całkiem przydatna umiejętność. Potrafisz?

–Nie.

–No trudno, mniejsza z tym.

–Potrafie się zmienić w stado nietoperzy – poinformowała Sally. – Jeden nietoperz jest trudny, bo trzeba jakos rozwiązać kwestię zmiany masy ciała, a to niemożliwe dla kogoś od pewnego czasu Zreformowanego. Poza tym głowa mnie od tego boli.

–Gdzie pracowałaś poprzednio?

–Nigdzie. Ale byłam muzykiem.

Vimes ucieszył się wyraźnie.

–Naprawdę? Niektórzy chłopcy mówili ostatnio o założeniu orkiestry straży.

–Przyda im się wiolonczela?

–Raczej nie.

Vimes zabezpieczył palcami o biurko. No cóż, nie rzuciła mu się jeszcze do gardła, prawda? Ale oczywiście na tym właśnie polegał problem. Wampiry są całkiem miłe aż do momentu, kiedy nagle już nie są. Ale prawdę mówiąc, w tej chwili musiał to przyznać: potrzebował każdego, kto potrafi stanąć prosto i dokończyć zdanie. Cała ta sytuacja zaczynała ich wyczerpywać. Potrzebował ludzi na ulicach przez cały czas tylko po to, żeby utrzymywali wrzenie pod pokrywką. Pewnie, w tej chwili chodziło tylko o jakieś przepychanki, rzucanie kamieniami, wybijanie szyb i ucieczkę, ale wszystko to spietrzało się jak płatki śniegu na lawinowym zboczu. W takich chwilach ludzie powinni wszędzie widzieć gliny. Gliniarze dawali złudzenie, że nie cały świat popadł w szalenstwo.

A Liga Wstrzemięzliwości pilnowała i wspierała swoich członków. W ich wspólnym interesie leżało, by nikt nie znalazł się w obcej sypialni z uczuciem krepującej sytości. Bada na nią uważać...

–W straży nie ma miejsc dla pasażerów – rzekł. – Obecnie mamy zbyt wiele pracy, by zaproponować ci coś więcej niż to, co dowcipnie nazywamy szkoleniem na stanowisku roboczym. Od pierwszego dnia wychodzisz na patrole... Ehm... Jak sobie radzisz z dziennym światłem?

–Nie przeszkadza mi, jeśli mam długie rekawy i szerokie rondo. Zresztą noszę zestaw.

Vimes kiwnął głową. Mała szufelka, zmiotka, fiolka zwierzecej krwi i kartka z napisem:

Pomóż. Rozsypałam się i nie mogę powstać. Proszę, zamieć mnie w stosik i rozbij fiolkę. Jestem czarnowstążkowcem i nie zrobisz ci krzywdy. Z góry dziękuję.

Znowu zastukał o blat. Patrzyła na niego spokojnie.

–No dobra. Jesteś przyjęta – powiedział w końcu. – Na początek na okres próbny. Wszyscy tak zaczynają. Zalotwisz wszystkie papiery z sierżantem Tyleczek na dole, potem zgłosisz się do sierżanta Detrytusa po ekwipunek i wykład motywacyjny. Staraj się nie śmiać. A teraz, kiedy dostałaś już to, czego chciałaś, i nie rozmawiamy oficjalnie... Wytłumacz mi dlaczego.

–Przepraszam?

–Wampir, który chce zostać glina? – Vimes odchylił się do tyłu. – Trudno mi w to uwierzyć, Sally.

–Pomyślałam, że to ciekawa praca na świeżym powietrzu, dająca możliwość pomagania ludziom, komendancie.

–Hmm... Jeśli potrafisz to powiedzieć z poważną miną, może jednak będzie z ciebie glina. Witamy w straży, młodsza funkcjonariusz. Mam nadzieję, że...

Trzasnęły drzwi. Kapitan Marchewa zrobił dwa kroki do wnętrza pokoju, zauważył Sally i zawahał się.

–Młodsza funkcjonariusz von Humpeding właśnie do nas dołączyła, kapitanie – wyjaśnił Vimes.

–Eee... świetnie... bardzo mi miło, panienko... – powiedział szybko Marchewa, po czym zwrócił się do Vimesa. – Sir, ktoś zabił Combergniota!

Dwuosobowa Chłuba Ankh-Morpork zmierziała wolno z powrotem do Yardu.

–Co ja bym zrobił? – rzekł Nobby. – Bym pocałował malunek na małe kawałki, takie... no, po parę cali.

–W ten sposób można się pozbyć kradzionych diamentów, nie obrazu.

–No dobrze, to może tak... Tniemy tego muru na kawałki wielkości normalnego obrazka, tak? A potem malujemy malunek na drugiej stronie każdego, wkładamy w ramy i wieszamy w całym budynku. Nikt nie zwróci uwagi na dodatkowe obrazy, nie? A potem można tam wejść i je zwinąć, kiedy już hałas ucichnie.

–A jak je wyniesiesz, Nobby?

–No więc najpierw trzeba mieć trochę kleju i bardzo długi kij, i...

Fred Colon pokręcił głową.

–Jakos tego nie widzę, Nobby.

–No dobra, w takim razie zdobywamy trochę farby tego samego koloru co ściany, przyklejamy obraz do ściany gdzieś, gdzie pasuje, a potem zamalowujemy naszą farbą do ścian, tak że wygląda całkiem jak ściana.

–Myślisz o jakimś konkretnym kawałku ściany?

–Może we wnętrzu ramy, która już tam wisi, sierżancie?

Colon stanął jak wryty.

–Niech mnie licho, Nobby! To naprawdę sprytne!

–Dziękuję, sierżancie. Z pańskich ust te słowa wiele dla mnie znaczą.

–Ale przecież i tak musisz obraz wydostać...

–Pamięta pan te wszystkie pokrowce, sierżancie? Może się założyć, że za parę tygodni dwóch gości w kombinezonach będzie mogło wyjść z wielkim białym zwojem pod pachami i nikt nie zwróci na nich uwagi, bo przecież wszyscy będą wiedzieć, że muru ktoś ukradł parę tygodni wcześniej.

Przez długą chwilę trwała cisza. Potem sierżant Colon oświadczył sciszonym głosem:

–Masz bardzo niebezpieczny umysł, Nobby. Naprawdę niebezpieczny. Ale jak się pozbedziesz nowej farby?

–Och, to łatwe. Wiem też, gdzie można zdobyć malarskie fartuchy.

–Nobby! – krzyknął zaszokowany Colon.

–No dobrze, sierżancie. Ale nie może pan mieć pretensji, że człowiek sobie marzy.

–Mozemy z tego miec pioro na kapeluszach, Nobby. A na pewno by sie nam teraz przydalo.

–Znowu sie odezwala panska woda, sierzancie?

–Mozesz sie smiac, Nobby, ale wystarczy sie rozejrzec. Teraz mamy tylko walki gangow, ale bedzie gorzej, zapamietaj moje slowa. Wszystkie te bojki o cos, co sie zdarzylo tysiace lat temu! Nie wiem, czemu nie wracaja tam, skad przyszli, jesli tak im zalezy!

–Teraz wiekszosc pochodzi stad – przypomnial Nobby.

Fred parsknal niechetnie na ten zwykly fakt geograficzny.

–Wojna, Nobby... Ha! Na co ona komu? – zapytal.

–Nie wiem, sierzancie. Moze zeby wyzwolic niewolnikow?

–Abso... No, mozliwe.

–W obronie przed totalitarnym najejdzca?

–Dobra, przyznaje, ale...

–Ratowanie cywilizacji przed horda...

–Na dluzsza mete nic dobrego nie przynosi, to wlasnie chcialem powiedziec, Nobby, gdybys zechcial sluchac przez piec sekund – rzucil surowo Fred Colon.

–Tak, ale na dluzsza mete co przynosi, sierzancie?

–Powiedz to jeszcze raz, zwracajac uwage na kazde slowo, dobrze? – poprosil Vimes.

–Nie zyje, sir. Combergniot nie zyje. Krasnoludy sa tego pewne.

Vimes zerknal na Sally.

–Wydalem wam rozkaz, mlodsza funkcjonariusz Humpeding. Idzcie wstepowac do strazy, biegiem!

Kiedy dziewczyna wyszla, zwrocil sie do Marchewy.

–Mam nadzieje, ze tez jestescie tego pewni, kapitanie.

–Wiadomosc rozchodzi sie wsrod krasnoludow jak... – zaczal Marchewa.

–Alkohol? – podpowiedzial Vimes.

–W kazdym razie bardzo szybko – ustapil Marchewa. – Podobno wczoraj w nocy jakis troll wdarl sie do jego mieszkania przy Melasowej i zatlukl Combergniota na smierc. Slyszałem, jak niektorzy chlopcy o tym rozmawiaja.

–Marchewa, przeciez bysmy wiedzieli, gdyby cos takiego sie stalo, prawda?

Ale w myslach komendanta ponownie zabrzmialy kasandryczne przestrogi Angui i Freda Colona. Krasnoludy cos wiedza. Krasnoludy sa niespokojne.

–A nie wiemy, sir? Przeciez wlasnie panu powiedzialem.

–No to dlaczego ludzie nie krzycza o tym na ulicach? Zabojstwo polityczne i takie tam? Czy nie powinni nawolywac do zemsty? Kto ci powiedzial?

–Funkcjonariusz Zelazlom i kapral Ringfunder, sir. To solidne chlopaki. Ringfunder pewnie niedlugo awansuje na sierzanta. Ehm... jest cos jeszcze, sir. Spytalem, dlaczego nie slyszelismy o tym oficjalnie, i Zelazlom powiedzial... to sie panu nie spodoba, sir... powiedzial, ze straz nie miala byc powiadamiana.

Marchewa pilnie przygladal sie Vimesowi. Trudno bylo dostrzec zmiane wyrazu twarzy komendanta, ale niektore drobne miesnie zeszywnialy.

–Z czyjego rozkazu? – zapytal Vimes.

–Kogos, kto nazywa sie Twardziec, podobno. Jest... tlumaczem Combergniota, tak chyba mozna go okreslic. Uwaza, ze to sprawa krasnoludow.

–Ale to jest Ankh-Morpork, kapitanie. A morderstwo to morderstwo.

–Tak jest, sir.

–A my jestesmy Straza Miejska – ciagnal Vimes. – Tak jest napisane na drzwiach.

–Wlasciwie to w tej chwili na drzwiach jest napisane glownie "Gliny to pranie", ale poslalem juz kogos, zeby to oczyscil. No i...

–To znaczy, ze jesli ktos zostaje zamordowany, my za to odpowiadamy.

–Rozumiem, o co panu chodzi, sir – zapewnil ostroznie Marchewa.

–Vetinari wie?

–Nie wyobrazam sobie, zeby nie wiedzial.

–Ja tez nie. – Vimes zastanowil sie. – A co z "Pulsem"? Pracuje u nich sporo krasnoludow.

–Bylbym zdziwiony, gdyby przekazaly cos ludziom, sir. Ja dowiedzialem sie tylko dlatego, ze jestem krasnoludem, a Ringfunder bardzo chce awansowac, no i szczerze mowiac, podsledzalem ich przypadkiem, ale nie wierze, zeby krasnoludy z drukarni wspomnialy o tym redaktorom.

–Chcecie mi wmowic, kapitanie, ze krasnoludy w strazy zachowalyby morderstwo w tajemnicy?

Marchewa wstrzasnela taka sugestia.

–Alez skad, sir!

–To dobrze.

–Zachowalyby je w tajemnicy tylko przed ludzmi. Przykro mi, sir.

Najwazniejsze, to zeby teraz nie wrzeszczec, myslal Vimes. Zeby nie... jak oni to mowia? Nie dostac szalu. Potraktujmy to jak interesujacy projekt badawczy. Sprawdzimy, czemu swiat nie jest taki, za jaki go uwazalismy. Zbierzemy fakty, przetrawimy informacje, rozwazymy wnioski. Dopiero potem dostaniemy szalu. Ale precyzyjnie.

–Kapitanie, krasnoludy zawsze byly praworzadnymi obywatelami – oswiadczył. – Placa nawet podatki. I nagle przychodzi im do glowy, ze mozna nie zawiadamiac o mozliwym morderstwie?

Marchewa spostrzegl w oczach komendanta blysk stali.

–No wiec chodzi o to... – zaczal.

–Tak?

–Bo widzi pan, sir, Combergniot jest glebinowym krasnoludem. Ale naprawde glebinowym. Nienawidzi wychodzenia na powierzchnie. Podobno mieszka na poziomie podpodpodpiwniczenia...

–Wiem o tym. Wiec?

–Wiec jak gleboko siega nasza jurysdykcja, sir? – spytal Marchewa.

–Co? Tak gleboko, jak chcemy!

–Eee... A czy to jest gdzieś napisane, sir? Większość tutejszych krasnoludów pochodzi z Miedzianki, z Llamedos i z Uberwaldu. Te okolice mają prawa powierzchniowe i prawa podziemne. Wiem, że tutaj jest inaczej, ale... Oni tak widzą świat, sir. I oczywiście krasnoludy Combergniota to sami glebinowcy, a wie pan, sir, jak zwykle krasnoludy takich traktują.

Sa wściekle bliscy oddawania im czci, pomyślał Vimes. Roztarł grzbiet nosa i przymknął oczy. Po prostu jest coraz gorzej i gorzej...

–No dobrze, ale jesteśmy w Ankh-Morpork i mamy tutaj własne prawa. Nic się nie stanie, jeśli tylko sprawdzimy stan zdrowia brata Combergniota. Możemy zapukać do drzwi, prawda? Powiedzcie, że mamy powody, by pytać. Wiem, że to tylko plotka, ale jeśli wystarczająco wielu ludzi w taką plotkę uwierzy, nie zdołamy opanować sytuacji.

–Dobry pomysł, sir.

–Przekaz Angui, żeby poszła z nami. I jeszcze... no, Haddock. I może Ringfunder. Ty też, oczywiście.

–Ehm... A to nie jest dobry pomysł, sir. Przypadkiem wiem, że większość glebinowców jest trochę nerwowa w mojej kwestii. Uważają, że jestem za ludzki, żeby być krasnoludem.

–Naprawdę?

Szesc stop i trzy cale w samych rajtuzach, myślał Vimes. Adoptowany i wychowany przez krasnoludy w niewielkiej górskiej kopalni. Jego krasnoludzie imię brzmi Kzad-bhat, to znaczy Lupacz Głowa.

Odkaszlnął.

–Skąd mogło im przyjść do głowy coś takiego, nie rozumiem – stwierdził.

–No dobrze. Wiem, że jestem... technicznie człowiekiem, sir, ale wzrost nigdy nie był elementem krasnoludziej definicji krasnoluda. W każdym razie grupa Combergniota nie jest mna zachwycona.

–Przykro mi to słyszeć. W takim razie zabiorę Cudo.

–Czy pan zwariował, sir? Wie pan przecież, co oni sądzą o krasnoludzych kobietach, które się do tego przyznają...

–W porządku. Zabiorę sierżanta Detrytusa. W niego uwierza bez problemów.

–To może być trochę prowokacyjne, sir... – zaczął z powatpiwaniem Marchewa.

–Detrytus jest ankhmorporskim glina, kapitanie, jak pan albo ja. Mam nadzieje, ze ja jestem do przyjecia, co?

–Tak, sir, oczywiscie. Mysle jednak, ze troche ich pan niepokoi.

–Tak? Hm... – Vimes zawahal sie. – To nawet lepiej. A Detrytus jest przedstawicielem prawa. Wciaz mamy tu jakies prawo. I jesli o mnie chodzi, siega ono w dol. Bardzo gleboko.

Idiotyczne haslo, myslal Vimes piec minut pozniej, kiedy maszerowal po ulicy na czele swojego malego oddzialu. Przeklinal sie za to, ze je wypowiedzial.

Gliniarze zostawali przy zyciu dzieki oszustwu. Tak to dzialalo. Mieli te swoje komisariaty z niebieskimi latarniami na zewnatrz i dbali, zeby w waznych miejscach publicznych zawsze krecili sie mocno zbudowani funkcjonariusze. Spacerowali po miescie takim krokiem, jakby byli wlascicielami tych ulic. Ale nie byli – wszystko to tylko dym i lustra. Starali sie wczarowac malego policjanta do glowy kazdego mieszkanca. Polegali na tym, ze tamci ustapia, ze znaja zasady. Ale w rzeczywistosci setka dobrze uzbrojonych ludzi moglaby zetrzec z powierzchni Dysku cala straz. Kiedy jakis szaleniec odkryje, ze zaatakowany z zaskoczenia glina umiera tak samo jak kazdy, czar zostanie zlamanym.

Krasnoludy Combergniota nie wierzyly w straz? To moze okazac sie problemem. Byc moze zabranie ze soba trolla wydaje sie prowokacyjne, ale Detrytus jest obywatelem, na bogow, tak samo jak kazdy. Jesli czlowiek...

–Duddle-dum-duddle-dum-duddle-dum!

A tak. Niewazne, jak zla jest sytuacja, zawsze istnieje mozliwosc, by stala sie o te odrobine gorsza...

Wyjal z kieszeni eleganckie brazowe pudelko i otworzyl wieczko. Szpiczastouchy pyszczek malego zielonego chochlika spojrzal na niego z zalosnym, bezradnym usmiechem, ktory – w rozmaitych wersjach – juz rozpoznawal i nauczyl sie go obawiac.

–Dzien dobry, Wstaw Swoje Imie! Jestem De-Terminarz Mark Piec, Gooseberry(TM). Jak moglbym... – zaczal chochlik szybko, by przekazac jak najwiecej przed nieuniknionym przerwaniem.

–Przysiaglbym, ze cie wylaczylem – oswiadczył Vimes.

–Groziles mi mlotkiem! – rzekl oskarzycielskim tonem chochlik i potrzasnal karta. –

Sluchajcie wszyscy! Ten gosc grozi mlotkiem szczytowemu osiagnieciu technomancji! – zawolal. – Nie wypelnil nawet karty rejestracyjnej! Dlatego musze go nazywac Wstaw Swo...

–Myslalam, ze sie pan go pozbyl, sir – rzekla Angua, kiedy Vimes zatrzasnal wieczko. – Zdawalo mi sie, ze mial... wypadek.

–Akurat! – dobiegl zduszony glos z pudelka.

–Sybil zawsze daje mi nowy. – Vimes skrzywil sie niechetnie. – I lepszy. Ale jestem pewien, ze ten byl wylaczony.

Klapka odskoczyla.

–Wlaczam sie na Alarmy! – pisnal chochlik. – Dziesiec dwukropek czterdziesti piec, pozowanie do tego piekielnego portretu!

Vimes jeknal. Portret u sir Joshuy. Bedzie mial klopoty, to pewne. Opuscil juz dwie sesje. Ale te krasnoludy... to wazna sprawa.

–Nie dam rady... – mruknal.

–W takim razie czy zechcesz skorzystac z wygodnej i prostej w uzyciu Zintegrowanej Uslugi Komunikacyjnej Bluenose(TM)?

–A na czym to polega? – spytal podejrzliwie Vimes.

Ciag posiadanych De-Terminarzy okazal sie calkiem sprawny w prawie ze rozwiazywaniu wszystkich problemow, ktore wynikaly przede wszystkim z ich posiadania.

–No, w zasadzie na tym, ze bardzo szybko biegnie z wiadomoscia do najblizszej wiezy sekarowej – wyjasnil z nadzieja chochlik.

–A potem wracasz? – W Vimesie takze zbudzila sie nadzieja.

–Absolutnie!

–Dziekuje, nie – odparl Vimes.

–A moze zagrasz w Splong!(TM), gre specjalnie zaprojektowana dla Modelu Piatego? – blagal chochlik. – Mam tu paletki... Nie? To moze wolisz zawsze popularna Zgadnij Moja Wage W Prosiakach? Albo moglbym zagwizdac jedna z twoich ulubionych melodii? Moja funkcja i NUC(TM) pozwala zapamietac do tysiacu pieciuset najbardziej...

–Mogłby sie pan nauczyć go używać, sir – uznała Angua, gdy Vimes znowu zatrzaskał wieczko, ucinając głośne protesty.

–Używałem jednego.

–Tak. Jako odbojnika drzwi – zadudnił z tyłu Detrytus.

–Po prostu nie znam się na tej całej technomancji, jasne? – burknął Vimes. – Koniec dyskusji. Haddock, pobiegnij na aleje Księzycowego Stawu, co? Przekaz moje przeprosiny lady Sybil, która czeka tam w pracowni sir Joshuy. Powiedz, że bardzo mi przykro, ale wyszła ta sprawa i wymaga szczególnego traktowania.

To prawda, pomyślał, kiedy ruszyli dalej. Pewnie wymaga nawet więcej szczególnego traktowania, niż mam ochotę jej poświęcić. Ale do demona z tym. To już przesada, kiedy trzeba bardzo uważać nawet przy sprawdzaniu, czy w ogóle popełniono morderstwo.

Ulica Melasowa leżała w okolicy, jakie zwykle kolonizują krasnoludy – na granicy tych mniej przyjemnych części miasta, ale jeszcze nie tam. Człowiek łatwo dostrzegał krasnoludzie dzielnice: nierówno ustawione okna wskazywały, że dwukondygnacyjny budynek został przerobiony na trzykondygnacyjny, zachowując jednak dokładnie tę samą wysokość, pojawiała się spora liczba kucyków ciągnących wozy... no, bardzo niski ludzie z brodami i w hełmach także stanowili wyraźną sugestię.

Krasnoludy kopaly też w głąb. Jak zwykle krasnoludy. Tutaj w gorze, daleko od rzeki, mogły prawdopodobnie dotrzeć poniżej poziomu piwnic, nie wpadając przy tym po szyje do wody.

Dzisiejszego ranka krzątało ich więcej niż zwykle. Nie byli jakos specjalnie wzburzeni, o ile Vimes mógł cokolwiek określić, gdyż jedyny dostępny mimice obszar pomiędzy brwiami i wasem miał ledwie kilka cali kwadratowych. Ale nieczęsto się zdarzało, żeby krasnoludy po prostu stały. Zwykle pracowały ciężko, na ogół dla siebie nawzajem. Nie, nie były wzburzone, ale były zaniepokojone. Nie trzeba widzieć twarzy, żeby to wyczuć.

Krasnoludy na ogół nie były zachwycone azetami, traktując tego rodzaju wieści mniej więcej tak, jak miłośnik pięknych winogron traktuje rodzinę. O nowinach dowiadywały się od innych krasnoludów, pewnie, że są nowe, świeże, z charakterem, a w procesie opowiadania na pewno zyskały liczne uzupełnienia. Ten tłum niepewnie czekał na wiadomość, że ma się stać źródłem zamieszek.

Na razie jednak rozstępował się, by ich przepuścić. Obecność Detrytusa budziła fale pomruków, których troll rozsądnie postanowił nie słyszeć.

–Czuje pan to? – spytała Angua, kiedy szli ulicą. – Przez stopy?

–Nie mam waszych zmyslow, sierzancie – odparl Vimes.

–Takie nieustajace "lups, lups!" pod ziemia. Ulica dygocze. To chyba pompa.

–Moze osuszaja kolejne poziomy piwnic? – zgadywal Vimes.

Wygladalo to na powazne przedsiwziecie. Jak gleboko mogly zejsc? Ankh-Morpork bylo przeciez zbudowane glownie na Ankh-Morpork. Miasto lezalo tutaj od zawsze.

Kiedy czlowiek sie przyjrzal, zauwazal, ze nie jest to przypadkowy tłum. To byla kolejka stojaca wzdluz ulicy i przesuwajaca sie bardzo powoli w strone bocznych drzwi. Czekaja na spotkanie z gragami... Prosze, przyjdz i wymow slowa smierci nad moim ojcem... Doradz mi w sprawie sprzedazy mojego warsztatu... Prowadz mnie w interesach... Znalazlem sie daleko od kosci moich przodkow, pomoz mi pozostac krasnoludem...

Chwila nie jest odpowiednia, by byc d'rkza. Scisle mowiac, wiekszosc ankhmorporskich krasnoludow byla d'rkza; znaczylo to "nie tak naprawde krasnolud". Nie mieszkali gleboko pod ziemia i wychodzili nie tylko noca, nie wydobywali metalu, pozwalali corkom demonstrowac przynajmniej kilka cech kobiecych, byli troche niedbali, jesli chodzi o niektore ceremonie. Ale w powietrzu unosil sie zapach doliny Koom i nastal czas, by byc glownie krasnoludem. Dlatego nalezalo pilnie sluchac gragow. Pomagali trzymac sie czystej zyly.

I az do teraz Vimesowi to nie przeszkadzalo. Jednak az do teraz gragowie w miescie powstrzymywali sie od zachecania do mordow.

Lubil krasnoludy. Byli z nich solidni funkcjonariusze i z natury szanowali prawo, w kazdym razie pod nieobecncosc alkoholu. Ale teraz wszyscy na niego patrzyli. Czul nacisk ich spojrzez.

Stanie i gapienie sie na ludzi stanowilo oczywiscie glowne zajecie mieszkancow Ankh-Morpork – miasto bylo znaczacym eksporterem ponurych spojrzez. Ale te nalezaly do niewlasciwej odmiany. Odnosil wrazenie, ze ulica jest nie tyle wroga, ile raczej obca. A przeciez to ulica w Ankh-Morpork... Jak moze czuc sie tutaj obco?

Nie powinienem sprowadzac trolla, pomyslal. Ale do czego to doprowadzi? Wybierz sobie gliniarza z tabeli?

Przed domem Combergniota staly na warcie dwa krasnoludy. Byly ciezej uzbrojone niz przecietny krasnolud, o ile to w ogole mozliwe, ale przygaszenie nastrojow chyba powodowaly czarne skorzane szarfy. Tym, ktorzy potrafili je rozpoznać, oglaszaly, ze ci dwaj pracuja dla glebinowych krasnoludow i przejmuja czastke tej magii, many, szacunku czy leku, jaki glebinowi wywoluja w przecietnym krasnoludzie lamiacym

tradycje. Zaczeli obrzucac Vimesa wzrokiem typowym dla wszystkich wartownikow gdziekolwiek, a oznaczajacym w skrocie: sytuacja domyslana jest taka, ze nie zyjesz; jedynie moja cierpliwosc stoi temu na przeszkodzie. Ale Vimes byl na to gotowy. W samym piekle wiedzieli, ze sam tego wzroku skutecznie uzywal. Ripostowal wiec roztargnionym spojzeniem kogos, kto nie zauwazyl warty.

–Komendant Vimes, Straz Miejska – poinformowal, pokazujac swoja odznake. – Musze sie natychmiast zobaczyc z graniem Combergniotem.

–Nikogo nie przyjmuje – odparl jeden z wartownikow.

–Aha. Czyli rzeczywiscie nie zyje?

Wyczul odpowiedz. Nie potrzebował nawet leciutkiego skinienia Angui. Krasnoludy baly sie tego pytania i pocily obficie.

Ku ich zdumieniu, przerazeniu, a takze troche wlasnemu zaskoczeniu Vimes usiadl na schodach miedzy nimi i wyjal z kieszeni paczke tanich cygar.

–Nie poczustuje was, chlopcy, bo wiem, ze nie wolno wam palic na sluzbie – powiedzial jowialnym tonem. – Moim chlopakom tez na to nie pozwalam. Mnie to uchodzi tylko z tego powodu, ze nie ma mi kto zabronic, cha, cha. – Dmuchnal smuzka blekitnego dymu. – Otoz jak wam wiadomo, jestem dowodca Strazy Miejskiej. Tak?

Oba krasnoludy wpatrywaly sie prosto przed siebie, ale niemal niedostrzegalnie skinely glowami.

–Dobrze – pochwalil Vimes. – A to znaczy, ze wy obaj utrudniacie mi wykonywanie obowiazkow. Co daje mi, ho, ho, caly zakres mozliwosci. Ta, o ktorej teraz mysle, polega na wezwaniu funkcjonariusza Dorfla. Jest golemem. I mozecie mi wierzyc, jemu nic nie przeszkodzi w wykonywaniu obowiazkow. Przez cale tygodnie bedziecie zbierac z podlogi odlamki tych drzwi. A na waszym miejscu nie probowalbym stawac mu na drodze. Aha, i bedzie to zgodne z prawem, co oznacza, ze jesli ktos zacznie walczyć, zrobi sie naprawde ciekawie. No wiec mowie wam o tym, bo przez dlugie lata odstalem swoje na warcie, i wiem, ze sa takie chwile, kiedy dziala udawanie twardziela, a sa takie... i ta, moim zdaniem, wlasnie do nich nalezy... kiedy rozsadnym posuniecie jest pojscie i spytanie kogos w srodku, co powinniscie zrobic.

–Nie mozemy zejsc z posterunku – oswiadczył krasnolud.

–Tym sie nie przejmuj – uspokoil go Vimes, wstajac. – Postoje za ciebie.

–Nie mozesz!

Vimes schylił mu się do ucha.

–Jestem komendantem straży – syknął, już bez przyjaznych tonów. Wskazał kamienie bruku. – To jest moja ulica. Mogę stać, gdzie mi się podoba. A ty stoisz na mojej ulicy. To droga publiczna. Co oznacza, że jest przynajmniej dziesięć powodów, dla których mogę cię aresztować. Bada kłopoty, jasna sprawa, ale ty znajdziesz się w samym ich środku. Dlatego posłuchaj dobrej rady jednego strażnika dla drugiego: skocz szybko i pogadaj z kims wyżej... dalej w hierarchii, co?

Zobaczył niespokojne oczy wyglądające spod bujnych brwi i obfitych włosów, i dostrzegł drobne oznaki, które już umiał rozpoznawać.

–No, dalej – dodał – droga pani.

Krasnolud zalomotał w drzwi. Odsunęła się klapka. Wymieniono kilka szeptów. Drzwi się otworzyły. Krasnolud wśliznął się do wnętrza. Drzwi się zamknęły. Vimes odwrócił się, zajął stanowisko przed nimi i stanął na baczność trochę bardziej teatralnie, niż było to konieczne.

Zabrzmiały jeden czy dwa chichoty. W Ankh-Morpork ludzie – i krasnoludy też – zawsze chcieli zobaczyć, co stanie się potem.

–Nie wolno nam palić na służbie! – syknął drugi wartownik.

–Oj, przepraszam. – Vimes wyjął cygaro z ust i wsunął je za ucho, na później.

To wzbudziło kolejne chichoty. Niech się śmieją, pomyślał. Przynajmniej niczym nie rzucają.

Słońce świeciło. Tłum stał bez ruchu. Sierżant Angua spoglądała w niebo z twarzą starannie pozbawioną wyrazu. Detrytus zapadł w absolutny, skalny bezruch trolla, który chwilowo nie ma nic do roboty. Tylko Ringfunder był nieswoj. Prawdopodobnie nie jest to najlepszy czas i miejsce dla krasnoluda z odznaką, myślał Vimes. Ale dlaczego? Przez ostatnie tygodnie nie robiliśmy nic prócz powstrzymywania dwóch band idiotów przed pozabijaniem się nawzajem.

A teraz jeszcze to... Dzisiaj rano niezłe się nasłuchiwał, chociaż przecież Sybil nigdy nie krzyczała. Mówiła tylko ze smutkiem, co było o wiele gorsze.

Ten przeklęty portret rodzinny – to był cały kłopot. Wydawało się, że wymaga ogromnej liczby pozwów, ale tak nakazywała tradycja w rodzinie Sybil i koniec dyskusji. W każdym pokoleniu był to mniej więcej taki sam portret: szczęśliwa grupa rodzinna na tle panoramy ich falujących posiadłości. Vimes nie miał żadnych posiadłości, tylko obolałe stopy, ale jako dziedzic fortuny Ramkinów był też – jak odkrył – właścicielem Crundells, wielkiej i okazałej rezydencji za miastem. Jeszcze jej

nawet nie widział. Osobiscie nie miał nic przeciwko terenom wiejskim, jeśli tylko zachowywały się spokojnie i nie atakowały, ale lubił czuć bruk pod nogami i nie zależało mu, żeby wystąpić na portrecie jako jakiś ziemianin. Jak dotąd preteksty, by uniknąć tych nieskończonych sesji, wydawały się rozsadne, ale wiedział, że balansuje na krawędzi.

Mijał czas. Niektóre krasnoludy spośród gapiów sobie poszły. Vimes nie poruszył się, nawet kiedy klapka w drzwiach odsunęła się na moment, a potem zatrzasnęła znowu. Próbowali go przeczekać...

–Cza-cza-rym-cytle-tidle-midle-czam-czam!

Nie patrzeć w dół, zachowywać to nieruchome, tysiącmilowe spojrzenie wartownika, Vimes wyjął De-Terminarz z kieszeni i unosił do ust.

–Wiem, że byłeś wyłączony – mruknął.

–Wyskakuje na Alarmy, nie pamiętasz?

–Jak mogę zrobić, żebyś przestał?

–Poprawna formuła słowna znajduje się w instrukcji, Wstaw Swoje Imię – odparł z godnością chochlik.

–A gdzie jest instrukcja?

–Wyrzuciłeś ją, Wstaw Swoje Imię. Zawsze wyrzucasz. Dlatego nigdy nie używaś właściwych poleceń i właśnie z tego powodu nie poszedłem wczoraj "wsadzić swojego głupiego łba w kaczy kuper". Za pół godziny masz spotkanie z lordem Vetinari.

–Będzie zajęty – wymamrotał Vimes.

–Chcesz, żeby przypomnieć ci ponownie za dziesięć minut?

–Powiedz, której części "wsadź swój głupi łeb w kaczy kuper" nie zrozumiałeś? – odparł Vimes i wsadził pudełko do kieszeni.

Czyli minęło pół godziny. Pół godziny wystarczy. Rozwiązanie będzie drastyczne, ale widział, jakim wzrokiem krasnoludy obrzucają Detrytusa. Plotka to straszna trucizna.

Zrobił krok naprzód, gotów pojsć i przywołać Dorfla oraz wszystkie problemy, które wynikną z wzięcia tego budynku szturmem, kiedy za jego plecami otworzyły się drzwi.

–Komendant Vimes? Moze pan wejsc.

W progu stal krasnolud. Vimes ledwie rozroznił w mroku jego sylwetke. I po raz pierwszy zauwazyl symbol wykreslony kreda na murze nad wejsciem: kolo, a w nim pozioma linie.

–Sierzant Angua bedzie mi towarzyszc – oswiadczył.

Znak wydal mu sie odrobine niepokojacy; sprawial wrazenie pieczęci wlasciciela, nieco bardziej empatycznej niz – na przyklad – niewielka tabliczka z napisem "Mon Repos".

–Troll zostaje na zewnatrz – oswiadczyła stanowczo postac.

–Sierzant Detrytus stanie na strazy, razem z kapralem Ringfunderem – odparl Vimes.

Przeformulowanie faktu zostalo chyba zaakceptowane, co sugerowalo, ze krasnolud wiedzial moze nawet calkiem sporo o aronii, ale bardzo malo o ironii. Drzwi otworzily sie szerzej i Vimes wszedl do srodka.

Korytarz byl pusty, jesli nie liczyc kilku ustawionych jedna na drugiej skrzynek. A pachnialo tu... czym? Stechla zywnoscia... Starymi pustymi domami. Zamknietymi pokojami. Strychem.

Caly budynek byl strychem, myslal. To "lups, lups!" z dolu bylo tutaj wyraznie slyszalne. Jak tetno.

–Tedy prosze. – Krasnolud wprowadzil Vimesa z Angua do bocznego pokoju. Tutaj tez jedynym umeblowaniem byly jakies drewniane skrzynie i kilka mocno zuzytych lopat. – Nieczesto przyjmujemy gosci. Prosze o cierpliwosc – powiedzial krasnolud i wycofal sie. W zamku szczeknal klucz.

Vimes usiadl na skrzyni.

–Uprzejmie – ocenila z ironia Angua.

Vimes przylozyl dlon do ucha, po czym wskazal kciukiem poplamiony, wilgotny tynk. Przytaknela. Wymowila bezglosnie slowo "zwloki" i wskazala w dol.

–Na pewno? – spytal Vimes.

Angua stuknela sie w nos. Nie mozna dyskutowac z wechem wilkolaka.

Vimes oparl sie o wieksza skrzynie. Byla to wielka wygoda dla czlowieka, ktory nauczyl sie spac oparty o jakikolwiek dostepny mur.

Tynk na przeciwległej ścianie się sypał, pozieleniał od wilgoci i przesłonięty zakurzonymi pajęczynami. Ktoś jednak wydrapał na nim symbol tak mocno, że wypadły kawałki zaprawy. Było to następne koło z dwoma liniami przecinającymi je po przekatnych. Włożono w niego pewną pasję – coś, czego człowiek nie spodziewał się u krasnoludów.

–Bardzo dobrze pan to przyjmuje, sir – przyznała Angua. – Musi pan wiedzieć, że to świadoma nieuprzejmość.

–Taka nieuprzejmość nie narusza prawa. – Vimes naciągnął helm na oczy i spuścił głowę.

Małe demony! Chca ze mna grać w durnia, tak? Probuja mnie nakrecić, tak? Nie zawiadamiać straż, co? W tym mieście nie ma zakazanych rewirów. Przypilnuje, żeby się o tym przekonali. O tak...

Ostatnio w Ankh-Morpork pojawiała się coraz więcej glebinowców, choć raczej nie spotykało się ich poza dzielnicami krasnoludów. Zresztą nawet tam nie widywało się ich jako takich – po prostu czasem można było zauważyć czarną zakurzoną lektykę dzwiganą wśród przechodniów przez cztery krasnoludy. Lektyki nie miały okien – na zewnątrz nie było nic, co taki glebinowiec mógłby zechcieć obejrzeć.

Miejskie krasnoludy traktowały ich z respektem, szacunkiem i – trzeba to przyznać – z pewnym zakłopotaniem, jak szacownego, ale trochę pomyłonego krewniaka. Bo gdzieś w głębi umysłu każdego miejskiego krasnoluda rozbrzmiewał cichy głos, powtarzający: powinienes żyć w kopalni, powinienes siedzieć w gorach, nie powinienes chodzić pod otwartym niebem, powinienes być prawdziwym krasnoludem. Inaczej mówiąc, nie powinienes pracować u swojego wuja, w fabryce farb i barwników przy Siostrach Dolly. Jednakże, skoro już to robisz, mogłbyś chociaż postarać się myśleć jak porządny krasnolud. A porządny krasnolud słucha wskazówek glebinowców – tych najprawdziwszych z prawdziwych krasnoludów, którzy żyją mile pod powierzchnią i nigdy nie oglądają słońca. Tam w dole, w mroku, kryje się istota krasnoludzkości. Oni ją znają i mogą cię poprowadzić...

Vimes nie potępiał takiego myślenia. Miało nie mniej sensu niż cokolwiek, w co wierzyli ludzie, a krasnoludy były na ogół wzorowymi obywatelami, choćby i w skali dwa do trzech.

Ale uznanie, że morderstwo powinno zostać w rodzinie? – myślał. Nie w mojej straży!

Po dziesięciu minutach znowu czekał zamek i do środka wszedł inny krasnolud. Był ubrany jak ktoś, kogo Vimes określał mianem "standardowego krasnoluda miejskiego", co oznaczało prosty helm, skóra, kolczuga i topór bojowy lub oskard

gorniczy. Ten jednak trzymal nabijana kolcami maczuga. Nosil tez czarna szarfe. Wygladal na wzburzonego.

–Komendancie Vimes! Coz moze powiedziec? Najmocniej przepraszam za takie traktowanie!

Pewnie, ze przepraszasz, pomyslal Vimes. Na glos.

–A kim pan jest?

–Przepraszam ponownie! Nazywam sie Helmutluk i jestem... najblizsze znaczeniowo okreslenie to chyba "dzienna twarz"... Pracuje ponad ziemia. Przejdzmy do mojego gabinetu, prosze.

I wyszedl, nie sprawdzajac, czy pojda za nim.

Gabinet miescil sie w piwnicy z kamiennymi scianami i wygladal calkiem przytulnie. Pod jedna sciana lezaly stosy skrzyn i workow. W glebokich jaskiniach trudno przeciez o zywnosc; proste zycie krasnoludow w glebinach okazywalo sie mozliwe dzieki calkiem skomplikowanemu zyciu bardzo wielu krasnoludow na powierzchni. Helmutluk wydawal sie kims wiecej niz tylko sluga, pilnujacy, by jego pracodawcy mieli co jesc, ale tez pewnie wyobrazal sobie, ze jego praca jest o wiele wazniejsza. Zaslona w kacie pewnie skrywala lozko; krasnoludy nie dbaly o luksusy.

Papiery pokrywaly cale biurko. Obok, na nieduzym stoliku, stala osmiokatna plansza zastawiona malymi figurkami. Vimes westchnal; nie cierpial gier. Sprawialy, ze swiat wydawal sie zbyt prosty.

–Grywa pan, komendancie? – spytal Helmutluk z wyglodnialym wyrazem twarzy prawdziwego entuzjasty.

Vimes znal takie typy. Wystarczy okazac uprzejme zainteresowanie, a czlowiek spedzi tu cala noc.

–Lord Vetinari grywa. Mnie to nigdy nie interesowalo* – powiedzial. – Helmutluk nie jest czesto spotykanym nazwiskiem... Nie jest pan przypadkiem spokrewniony z Helmutlukami z Zaulka Lojowego?

Miala to byc zaledwie niekontrowersyjna uwaga dla przelamania lodow, ale rownie dobrze moglby zaklac. Helmutluk spuscil wzrok.

–Eee... tak – wymamrotal. – Ale dla... graga, nawet nowicjusza, cala krasnoludzosc jest... rodzina. Nie byloby... nie bylo... – Zamilkl niepewnie, a wtedy jakas inna czesc jego mozgu przeejala kontrole. Ucieszony podniosl glowe. – Moze kawy? Zaraz przyniose.

Vimes już otwierał usta, by odmówić, ale zrezygnował. Krasnoludy parzyły dobrą kawę, a jej aromat napływał z sąsiedniego pomieszczenia. Poza tym Helmutluk wypił jej chyba dość sporo, co sugerowała emanująca z niego nerwowość. Nie zaszkodzi go zachęcić, żeby napił się jeszcze. Zawsze powtarzał swoim funkcjonariuszom: jeśli tylko gliniarz zna się na swojej robocie, ludzie denerwują się w jego obecności, a ludzie roztrzesieni za dużo zdradzają.

Kiedy krasnolud wyszedł, Vimes rozejrzał się dokładniej. Zauważył słowa "Kodeks doliny Koom" na grzbiecie książki, na wpół ukrytej pod papierami.

Znowu ta przeklęta dolina, tym razem z dodaną tajemniczością. Oczywiście Sybil kupiła te książki, podobnie jak większość umiejących czytać mieszkańców miasta, i zawlokła Vimesa do Królewskiego Muzeum Sztuki, żeby obejrzał obraz tego biedaka. Obraz z tajemnicą? Ach tak? A jak to się stało, że jakiś obłąkany, młody ludzki artysta sprzed stu lat znalazł sekret bitwy stoczony tysiące lat wcześniej? Sybil mówiła, że – według książki – malarz znalazł coś na polu bitwy, ale było to nawiedzone i głosy wpędziły go w szalenstwo, więc uwierzył, że jest kurczakiem. Albo coś w tym rodzaju.

Helmutluk przyniósł kubki, ale ręce mu drżały i odrobina kawy wylała się na biurko.

–Drogi panie, muszę się zobaczyć z grągiem Combergniotem – oznajmił Vimes.

–Przykro mi, ale to niemożliwe.

Odpowiedź była spokojna i obojętna, jakby krasnolud ćwiczył ją wcześniej. Ale Vimes dostrzegł błysk w jego oku i spojrzał w górę, na bardzo dużą kratkę w ścianie.

W tym momencie Angua zakaszła lekko. No dobra, pomyślał Vimes; ktoś słucha.

–Panie Helmu... tluk – rzekł. – Mam powody, by przypuszczać, że na terenie Ankh-Morpork zostało popełnione bardzo poważne przestępstwo. – I dodał: – To znaczy, ścisiej mówiąc, pod nim. Ale jednak w Ankh-Morpork.

I znowu Helmutluka zdradził dziwny spokój. Jednak spoglądał udreńczonym wzrokiem.

–Przykro mi to słyszeć. Jak mogłbym pomóc w śledztwie?

No tak, pomyślał Vimes. Mówiłem, że nie lubię gier.

–Pokazując to martwe ciało, które trzymacie na dole – rzekł.

I doznał obscenicznej radości, widząc, że Helmutluk okłapł. Czas ruszać do szturmów... Wyjął odznakę.

–Oto moje uprawnienia, panie Helmutluk. Przeszukam ten budynek. Wolalbym to zrobic za panskim pozwoleniem.

Krasnolud drzal – ze strachu albo zlosci, a prawdopodobnie i ze strachu, i ze zlosci.

–Wtargniecie na teren naszej posesji? Nie wolno wam! Krasnoludzie prawo...

–To jest Ankh-Morpork – odparl Vimes. – Do samej gory i do samego dolu. Wtargniecie nie jest problemem. Naprawde chce mi pan powiedziec, ze nie moge przeszukac piwnic? Prosze mnie zaprowadzic do graga Combergniota czy kogos innego, kto tu rzadzi! Ale juz!

–Ja... odmawiam spelnienia panskiej prosby!

–To nie byla prosba!

I oto dotarlismy do wlasnej, malej doliny Koom, myslal Vimes, patrzac Helmutlukowi w oczy. Nie mozna sie cofnac. Obaj uwazamy, ze mamy racje. Ale on nie ma!

Jakis ruch kazal mu spojrzec w dol. Helmutluk drzacym palcem rozmazal wylana kawe – narysowal pierścien, ktory potem przekreslil dwoma skosnymi liniami. Vimes spojrzal mu w oczy, wytrzeszczone z gniewu, leku... i tylko sugestii czegos jeszcze...

–Aha. Komendant Vimes, prawda? – odezwala sie postac w drzwiach.

Rownie dobrze mogli to powiedziec Vetinari – ten sam obojetny ton wskazujacy, ze czlowiek zostal dostrzezony i ze w pewien niezbyt istotny sposob jest koniecznym ciezarem. Lecz to nie byl lord Vetinari, tylko krasnolud... prawdopodobnie, chociaz nosil sztywny, szpiczasty czarny kaptur, w ktorym wyrastal na wysokosc przecietnego czlowieka.

Byl calkowicie przesloniety – to dobrze dobrane okreslenie – zachodzacymi na siebie luskami z czarnej skory, majacymi jedynie waska szczeline na wysokosci oczu. Gdyby nie ta spokojna pewnosc glosu, postac stojaca przed Vimesem mozna by wziac za bardzo posepna strzezeniowiedzyczna dekoracje.

–A pan jest...? – spytal Vimes.

–Nazywam sie Twardziec, komendancie. Helmutluk, wracaj do swoich zajec.

Kiedy "dzienna twarz" wyszla z pospiechem, Vimes odwrocil sie na siedzeniu tak, ze przesunal dlonia po lepkiem symbolu i starl go z blatu.

–I tez chcialby pan pomoc? – upewnil sie.

–Jesli potrafie. Zechce pan pojsc ze mna. Byloby lepiej, gdyby sierzant panu nie

towarzyszyla.

–Czemu?

–Z oczywistych powodow. Jest przeciez tak otwarcie kobieca...

–I co z tego? Sierzant Angua stanowczo nie jest krasnoludem! Nie mozece wymagac, zeby wszyscy stosowali sie do waszych regul!

–Dlaczego nie? – zdziwil sie Twardziec. – Pan to robi. Ale czy moglibysmy razem przejsc na chwile do mojego gabinetu i porozmawiac?

–Mnie to nie przeszkadza, sir – zapewnila Angua. – To chyba najlepsze rozwiazanie.

Vimes sprobował zachowac spokoj. Wiedzial, ze sam siebie podkreca. Ci milczacy gapie na ulicy dzialali mu na nerwy, a spojrzenie, jakie rzucil Helmutluk, wymagalo przemyslenia.

Ale...

–Nie – powiedzial.

–Nie zgodzi sie pan na niewielkie ustępstwo? – spytal Twardziec.

–Moze mi pan wierzyc, ze zgodzilem sie juz na kilka calkiem duzych.

Ukryte pod szpiczastym kapturem oczy przygladaly mu sie przez kilka sekund.

–Bardzo dobrze – zdecydowal w koncu Twardziec. – Prosze za mna.

Odwrocil sie i otworzil drzwi za soba, po czym wszedl do nieduzego, kwadratowego pokoiku. Skinal na nich, a kiedy byli juz wewnatrz, pociagnal dzwignie.

Pokoik zadygotal lekko, sciany zaczely sunac w gore.

–To jest... – zaczal Twardziec.

–...winda – przerwal mu Vimes. – Tak, wiem. Widzialem takie, kiedy bylem z wizyta u dolnego krola w Uberwaldzie.

Wspomnienie o krolu nie przynioslo spodziewanych efektow.

–Dolny krol nie jest tu... szanowany – oswiadczył Twardziec.

–Myslalem, ze jest wladca wszystkich krasnoludow.

–To czeste nieporozumienie. Aha, jestesmy na miejscu.

Szarpniecie windy bylo ledwie wyczuwalne.

Vimes wytrzeszczyl oczy.

Ankh-Morpork bylo zbudowane na Ankh-Morpork, wszyscy o tym wiedzieli. Juz dziesiec tysiecy lat temu budowano tutaj z kamienia. Jednak Ankh wylewala co roku, zostawiajac kolejne warstwy mulu, wiec miasto wznosilo sie na swych murach, az strychy stawaly sie piwnicami. Nawet na poziomie suterren, mowiono, czlowiek z kilofem i dobrym wyczuciem kierunku moglby przejsc z jednego konca miasta na drugi, wybijajac sobie droge przez podziemne sciany – pod warunkiem ze potrafilby oddychac blotem.

Co bylo tu kiedys? Palac? Swiatynia boga, ktory pozniej jakos wypadl wszystkim z pamieci? Pomieszczenie bylo rozlegle i ciemne jak sadza, ale widzieli lsnienie, ktore zdolalo ukazywac przepieknie sklepiony strop w gorze. Dziwne lsnienie.

–Vurmy – wyjasnil Twardziec. – Z glebokich jaskin w gorach wokol Llamedos. Przywiezlismy je ze soba, a one szybko sie tutaj rozmnazaja. Wasz mul okazal sie dla nich bardzo pozywny. Jestem pewien, ze bardziej blyszcza.

Lsnienie sie przesuwalo. Nie oswietlalo zbyt wiele, ale pokazywalo ksztalt rzeczy; przeplywalo w strone windy, sunac po tym pieknym sklepieniu.

–Kieruja sie do ciepla i ruchu, nawet teraz – stwierdzil zakapturzony krasnolud.

–Dlaczego?

Twardziec zasmial sie krotko.

–Na wypadek gdyby pan umarl, komendancie. Biora pana za szczura czy malego jelonka, ktory zapuscil sie do ich groty. Trudno w Glebinach znalezc pozywienie. Powietrze, ktore pan wydycha, to zywnosc. A kiedy w koncu odda pan ducha, one... opadna. Sa bardzo cierpliwe. Zostawia jedynie kosci.

–Nie mam zamiaru oddawac tu ducha – zapewnil Vimes.

–Oczywiscie, ze nie. Chodzmy zatem.

Twardziec przeprowadzil ich przez duze, okragle drzwi. Po drugiej stronie bylo takich drzwi wiecej, a takze kilka otwartych wylotow tuneli.

–Jak gleboko jestesmy?

–Niezbyt. Okolo czterdziestu stop. Dobrze nam idzie kopanie.

–W tym miescie? – zdumial sie Vimes. – To wszystko powinno byc zalane woda. Chociaz nazwanie tego woda to naprawde niezasluzona pochwala.

–Dobrze nam idzie takze usuwanie wody. Niestety, o wiele gorzej wychodzi nam powstrzymywanie Samuela Vimesa. – Krasnolud wszedl do mniejszego pokoju, z gruba warstwa jasnijacych vurmow pod sufitem. Wskazal im dwa krzesla krasnoludzych wymiarow. – Prosze usiasc. Czy moze czymś panstwa poczestowac?

–Nie, dziekuje.

Vimes usiadl ostroznie, unoszac kolana niemal pod brode. Twardziec zajal miejsce za niewielkim biurkiem zbudowanym z kamiennych plyt. A potem, ku zdumieniu komendanta, zdjal nakrycie glowy. Wygladal calkiem mlodo i – co zaskakujace – mial przystrzyzona brode.

–Jak daleko siegaja te tunele? – zapytal Vimes.

–Nie zamierzam pana informowac – odparl spokojnie Twardziec.

–Czyli podkopujecie moje miasto?

–Och, komendancie... Byl pan w jaskiniach w Uberwaldzie. Widzial pan, jak potrafia budowac krasnoludy. Jesteśmy fachowcami. Prosze sie nie obawiac, panski dom sie nie zapadnie.

–Ale przeciez wy nie tylko budujecie tunele! Wykopujecie cos!

–W pewnym sensie. Powiedzmy, ze szukamy dziur. Przestrzen, komendancie, to jest to, co wykopujemy. Tak, szukamy dziur... Chociaz nasze swidry trafily na glebokie zloza melasy, co pewnie uzna pan za interesujace...

–Nie mozece tego robic!

–Nie mozemy? Ale robimy i tak – oswiadczył chlodno krasnolud.

–Ryjecie pod wlasnoscia innych ludzi?

–Kroliki ryja, komendancie. My kopiemy. I owszem, wlasnie tak. Jak daleko w glab siega prawo wlasnosc? I jak daleko w gore?

Uspokoj sie, myslal Vimes. Nie zdolasz tego rozwiazac. To musi rozstrzygnac Vetinari.

Trzymaj sie tego, co wiesz. Trzymaj sie tego, z czym sobie radzisz.

–Prowadze sledztwo w sprawie doniesien o zgonie...

–A tak. Grag Combergniot. Straszne nieszczęście – stwierdził Twardziec ze spokojem, który doprowadzał do szalu.

–Słyszałem, że było to brutalne morderstwo.

–Można to uznać za ścisły opis.

–Przyznaje pan? – upewnił się Vimes.

–Chcę wierzyć, że miał pan na myśli "Czy przyznaje, że miało miejsce morderstwo?", komendancie. Tak, miało. I pracujemy nad tym.

–Jak?

–Dyskutujemy o wyznaczeniu zadkrdga – wyjaśnił Twardziec, splatając dłonie. – To znaczy "ten, który wytapia". Ten, który znajduje czystą rude prawdy w zuzlu pozorów.

–Dyskutujecie? A czy zabezpieczyliście już miejsce przestępstwa?

–Wytapiacz może to nakazać, komendancie, ale już wiemy, że zbrodni dokonał troll.

Na twarzy Twardzca pojawił się wyraz wzdorliwego rozbawienia, który Vimes z radością by z niej starł.

–A skąd to wiecie? Byli świadkowie?

–Nie w ścisłym sensie. Ale obok ciała znaleziono trollowa maczuga.

–I to wszystko, co macie? – Vimes wstał. – Dostę tego. Sierżant Angua!

–Sir? – Angua stanęła przy nim.

–Idziemy! Trzeba zbadać miejsce przestępstwa, dopóki zostały tam jeszcze jakiegokolwiek ślady!

–Nie macie nic do roboty w niższych regionach! – Twardziec poderwał się z miejsca.

–A jak mnie pan powstrzyma?

–A jak się pan przedostanie za zamknięte drzwi?

–A jak chcecie się dowiedzieć, kto zabił Combergniota?

–Przecież powiedziałem, że znaleziono przy nim trollowa maczuga!

–I to wszystko? Znaleźliśmy maczuga, więc troll jest winien? Czy ktokolwiek w to uwierzy? Jesteście gotowi takim głupstwem wywołać wojnę w moim mieście? Może mi pan wierzyć, to właśnie nastąpi, jeśli wiadomość się rozejdzie. Proszę tylko spróbować mnie powstrzymać, a aresztuje pana!

–I wywoła pan wojnę w swoim mieście? – spytał Twardziec.

Krasnolud i człowiek patrzyli na siebie gniewnie, nerwowo łapiąc oddechy. Na suficie nad ich głowami zbierały się wurmy, uczując na slinie i wściekłości.

–Dlaczego ktokolwiek prócz trolla miałby zabić graga? – spytał Twardziec.

–Świetnie! Zadaje pan pytania! Jeśli naprawdę chce pan poznać odpowiedzi, proszę otworzyć te drzwi.

–Nie! Nie może pan tam wejść, dyżurny klasowy Vimes! – Nawet w słowa "morderca dzieci" krasnolud nie zdołałby włożyć więcej jadu.

Vimes wytrzeszczył oczy.

Dyżurny klasowy... Owszem, był nim, w małej szkolce ponad czterdzieści lat temu. Mama się uparła. Bogowie tylko wiedzieli, skąd zdobywała pensja dziennie, bo taki był koszt, choć pani Slightly na ogół chętnie przyjmowała zapłatę w używanej odzieży, drewnie na opał albo – najchętniej – w dzinie. Cyfry, litery, wagi i miary – trudno to nazwać bogatym programem nauczania. Vimes uczeszczał tam przez jakieś dziewięć miesięcy, dopóki ulice nie zazały, by opanował trudniejsze i bardziej bolesne lekcje. Ale na pewien czas powierzono mu rozdawanie rysików i scieranie tablicy. Och, to uderzające do głowy, oszalamiające poczucie władzy, kiedy człowiek ma szesć lat...

–Czy pan zaprzeczy? – pytał Twardziec. – Niszczył pan zapisane słowa? Przyznał się pan do tego wobec dolnego króla w Uberwaldzie!

–To był żart – zapewnił Vimes.

–Tak? A więc pan zaprzecza?

–Co? Nie! Zrobiły na nim wrażenie moje tytuły, więc dorzuciłem jeszcze jeden dla... dla zabawy.

–Czyli wypiera się pan przestępstwa? – naciskał Twardziec.

–Przestępstwa? Scierałem tablice, żeby potem znowu na niej pisać! Jakże to przestępstwo?

–Nie przejmował się pan, gdzie trafiają słowa?

–Czym miałem się przejmować? To był tylko pył kredowy!

Twardziec westchnął i przetarł oczy.

–Ciepła noc? – spytał Vimes.

–Komendancie, rozumiem, że był pan młody i pewnie nie zdawał sobie sprawy, co robi. Ale musi pan wiedzieć, że dla nas wydaje się pan dumny ze współuczestnictwa w najbardziej ohydnej zbrodni: niszczeniu słów.

–Slucham? Scieranie "Ala ma Asa" to taka wielka zbrodnia?

–Dla prawdziwego krasnoluda byłaby nie do pomyslenia.

–Doprawdy? Ale zyskałem zaufanie samego dolnego króla – oświadczył Vimes.

–Tak slyszalem. Ale pod nami jest jeszcze szesciu szacownych gragow, komendancie, i w ich oczach dolny krol oddalil sie od czystej zyly. Jest... – Twardziec wyrzucil z siebie staccato krasnoludzkich slow, zbyt szybkie, by Vimes zrozumial. A potem przetlumaczył: – Mdly. Niebezpiecznie liberalny. Plytki. Zobaczył światło.

Twardziec obserwował go uważnie.

Z tego, co Vimes zapamiętał, dolny król i jego krąg byli typami raczej zaskorupiałymi. A ci tutaj uważają ich za cikliwych liberalów.

–Mdly? – powtórzył.

–W istocie. Sugeruje, by z tego stwierdzenia wywnioskował pan coś na temat natury tych ponizej, którym służę.

Aha, pomyślał Vimes. Coś w tym jest. Tylko sugestia... Przyjaciel Twardziec to myśliciel.

–Kiedy mówi pan "zobaczył światło", brzmi to, jakby chodziło panu o zepsucie.

–Cos w tym rodzaju, istotnie. Różne światy, komendancie. Tu, w dole, nierozsądnie byłoby ufać własnym metaforom. Zobaczyć światło to dać się oslepic. Wie pan, że w ciemności oczy otwierają się szerzej?

–Proszę mnie zaprowadzić do ludzi na dole – rzekł Vimes.

–Nie będa pana sluchac. Nawet na pana nie spojrze. Nie maja nic wspolnego ze

Swiatem Powyzej. Uwazaja, ze to jakby zly sen. Nie osmielilem sie opowiedziec im o waszych azetach, drukowanych kazdego dnia i wyrzucanych jak smieci. Szok moglby ich zabic.

Ale to krasnoludy zbudowaly prase drukarska, myslal Vimes. Tylko ze najwyrazniej byl to nieodpowiedni rodzaj krasnoludow. Widzialem tez, jak Cudo wyrzuca azete do kosza... Mam wrazenie, ze prawie wszystkie krasnoludy sa nieodpowiedniego rodzaju...

–Czym dokladnie sie pan zajmuje, panie Twardziec?

–Jestem glownym lacznikiem ze Swiatem Powyzej. Przedstawicielem, mozna powiedziec.

–Myslalem, ze to praca Helmutluka...

–Helmutluk? Zamawia jedzenie, przekazuje moje polecenia, placi gornikom i tak dalej. Zalawia te wszystkie uciazliwe obowiazki – wyjasnil wzgardliwie Twardziec. – Jest nowicjuszem i jego praca polega na tym, by robic, co mu kaze. To ja przemawiam w imieniu gragow.

–W imieniu gragow rozmawia pan ze zlymi snami?

–Mozna chyba tak to okreslic. Ale gragowie nigdy nie pozwola, by dumny morderca slow zostal wytapiaczem. Sam pomysl bylby obrzydliwy.

Patrzeli na siebie gniewnie.

I znowu trafilismy do doliny Koom, westchnal Vimes.

–Oni nie...

–Czy wolno zglosic propozycje, sir? – odezwala sie cicho Angua.

Dwie glowy odwrocily sie w jej strone. Dwoje ust powiedzialo:

–No...

–Ten... wytapiacz. Poszukiwacz prawdy. Czy musi byc krasnoludem?

–Oczywiscie – zapewnil Twardziec.

–W takim razie co z kapitanem Marchewa? Jest krasnoludem.

–Wiemy o nim. Jest... anomalia. Jego krasnoludzosc jest... dyskusyjna.

–Ale większa część krasnoludów w mieście godzi się, że kapitan jest krasnoludem – odparła Angua. – I jest policjantem.

Twardziec opadł z powrotem na krzesło.

–Dla waszych tutejszych krasnoludów owszem, jest krasnoludem. Dla gragów będzie nieakceptowalny.

–Zadne krasnoludzie prawo nie stwierdza, że krasnolud nie może mieć więcej niż sześć stop wzrostu.

–Gragowie są prawem, kobieto! – warknął Twardziec. – Interpretują zasady sięgające dziesiątków tysięcy lat w przeszłość.

–Nasze nie sięgają – przyznał Vimes. – Ale morderstwo wszędzie jest morderstwem. Wiadomości rozeszły. Już teraz krasnoludy i trolle pięknie bulgoczą, a to doprowadzi ich do wrzenia. Chce pan wojny?

–Z trollami? To...

–Nie, z miastem. Uważa pan, że może istnieć miejsce wewnątrz murów, gdzie nie sięga prawo? Jego lordowska moc nigdy się na to nie zgodzi.

–Nie osmieli się pan!

–Proszę mi spojrzeć w oczy – zaproponował Vimes.

–Krasnoludów jest o wiele więcej niż strażników – przypomniał Twardziec, ale z jego twarzy zniknął wyraz rozbawienia.

–Więc chce mnie pan przekonać, że prawo to tylko kwestia liczebności? – zdziwił się Vimes. – A myślałem, że wy, krasnoludy, wręcz wielbicie koncepcję prawa. Czyli tylko liczba jest istotna? W takim razie przyjmie więcej ludzi. Trolli również. Są obywatelami miasta, tak samo jak ja. Jest pan pewien, że każdy krasnolud stanie po waszej stronie? Powołam regimenty. Będzie musiał. Wiem, jak wszystko działa w Llamados i Uberwaldzie, ale tutaj jest inaczej. Jedno prawo, panie Twardziec. Tyle mamy. Jeśli pozwolę, żeby ludzie zatrząskiwali przed nim drzwiami, równie dobrze mogę od razu rozwiązać straż. – Podszedł do drzwi. – To moja oferta. A teraz wracam do Yar...

–Proszę zaczekać!

Twardziec wpatrywał się w blat biurka, bebnąc o niego palcami.

–Nie mam tu... starszeństwa.

–Niech mi pan pozwoli spotkac sie z waszymi gragami. Obiecuje, ze nie bede scieral zadnych slow.

–Nie! Nie beda z panem rozmawiac. Nie rozmawiaja z ludzmi. Czekaaja na dole. Dostali juz wiadomosc o panskim przybyciu. Sa przestraszeni. Nie ufaja ludziom.

–Dlaczego?

–Bo nie jestescie krasnoludami – wyjasnil Twardziec. – Bo jestescie... jakby snem.

Vimes polozyl mu dlonie na ramionach.

–W takim razie zejdzmy na dol, gdzie moze im pan opowiedziec o koszmarach. I moze pan wskazac, ktory z nich jest mna.

Przez dluga chwile trwala cisza.

–No dobrze – ustapil wreszcie Twardziec. – Robie to pod przymusem, pan rozumie.

–Z radoscia zanotuje ten fakt. Dziekuje za panska gotowosc do wspolpracy.

Twardziec wstal i wyjal spod szaty kolko ze skomplikowanymi kluczami.

Vimes staral sie zapamietywac droge, ale nie bylo to latwe. Mijali zakrety i luki, a w ciemnych tunelach wszystko wygladalo tak samo. Nigdzie nie zauwazyl nawet sladu wody. Jak daleko siegaly te korytarze? Jak gleboko?

Krasnoludy kuly tunele w granicie. Przez rzeczny mul mogly pewnie isc spacerkiem.

W wiekszosci miejsc zreszta krasnoludy nie tyle kopaly, ile sprzataly domy, usuwajac mul i przekuwajac przejścia z jednego wilgotnego, pradawnego pokoju do następnego. I woda jakimś cudem znikala.

W ciemnych przejściach, które mijali, migotaly jakieś przedmioty, prawdopodobnie magiczne. Słychać było dziwne śpiewy. Vimes znalazł krasnoludzi, choć raczej na poziomie "Topór mojej ciotki tkwi w twojej głowie", ale te śpiewy wcale nie brzmiały podobnie. Brzmiały raczej jak słowa wyrzucane z wielką prędkością.

I za każdym zakretem czuł, jak powraca gniew. Krazyli w kółko, prawda? I bez żadnego powodu, tylko żeby go zirytować. Twardziec sunął przodem, a Vimes brnął za nim i od czasu do czasu uderzał się w głowę.

Wrzała w nim wściekłość. To były zwykłe wykrety! Krasnoludy nie przejmują się prawem, nim, światem na powierzchni. Podkopują nasze miasto i nie przestrzegają

naszych praw! Popelniono morderstwo! On to przyznal! Dlaczego wiec godze sie na to... to glupie przedstawienie?

Mijali kolejny wylot tunelu, tym razem zagrodzony przybita w poprzek deska. Vimes wyciagnal miecz i wrzasnal:

–Ciekawe, co tam jest!

A potem wylamal deske i ruszyl w glab, majac za plecami Angue.

–Czy to rozsadne, sir? – szepnela.

–Nie. Ale pana Twardzca mam juz po dziurki w nosie – burknal Vimes. – I mowie ci, jeszcze jeden krety tunel, a wroce tu z ciezko uzbrojona grupa, polityka czy nie.

–Niech sie pan uspokoi, sir.

–Przeciez wszystko, co on robi i mowi, to obelga. Krew sie we mnie gotuje! – Vimes maszerowal naprzod i nie zwracal uwagi na krzyki Twardzca za soba.

–Przed nami sa jakies drzwi, sir!

–Dobrze... Przeciez nie jestem slepy. Tylko polslepy.

Wyciagnal reke. Duze okragle drzwi mialy w srodku kolo i cale byly pokryte wypisanymi kreda krasnoludzi runami.

–Umiecie to przeczytac, sierzancie?

–"Smiertelne niebezpieczenstwo! Grozi zalaniem! Nie wchodzic!" – odczytala Angua. – Mniej wiecej. To hermetyczne drzwi, sir. Widzialam juz takie w innych kopalniach.

–I umocowane lancuchami. – Vimes wyciagnal reke. – Wygladaja na lite zelazo... Au!

–Sir?

–Skaleczylem sie o gwozdz!

Vimes wbil reke do kieszeni, gdzie niezawodna Sybil dopilnowala, by codziennie wsuwano mu czysta chusteczke.

–Gwozdzie w zelaznych drzwiach, sir? – zdziwila sie Angua.

–No to nit. Nic nie widze po ciemku. Po co oni...

–Musicie isc za mna. To jest kopalnia! Zdarzaja sie zagrozenia! – oswiadczył Twardziec, który własnie ich dogonil.

–Ciagle was zalewa? – spytal Vimes.

–Mozna bylo sie tego spodziewac. Umiemy sobie radzic! A teraz trzymajcie sie blisko mnie.

–Bylbym bardziej sklonny, zeby tak uczynic, drogi panie, gdybym wierzył, ze idziemy prosta trasa – rzekl Vimes. – W przeciwnym razie moze zaczac szukac skrotow.

–Jestesmy juz prawie na miejscu, komendancie – pocieszyl go Twardziec, odchodzac. – Prawie na miejscu!

Bez celu, bez nadziei, wlokl sie troll...

Nazywal sie Cegla, ale w tej chwili o tym nie pamietal. Glowa go bolala. Naprawde bolala. Ten skrob tak go zalatwil. Co to mowia? Jak kto spadnie tak, ze zaczyna gotowac skrob, to jest juz tak nisko, ze karaluchy musza sie schylac, zeby na niego napluc.

Wczoraj w nocy... Co sie dzialo? Ktore kawalki widzial, ktore kawalki zrobil, ktore kawalki byly realne w tym lomoczacym, goracym kotle jego mozgu? Ten kawalek z wielkimi wlochатыmi sloniami nie, one chyba nie byly prawdziwe. Wiedzial prawie na pewno, ze w tym miescie nie ma zadnych wielkich wlochatelych sloni, bo jakby byly, toby je zauwazyl, a jeszcze na ulicach by lezaly wielkie i dymiace kupy, nie da sie takich przegapic...

Nazywal sie Cegla, poniewaz urodzil sie w miescie, a trolle, jako zbudowane ze skal metamorficznych, czesto przyjmuja nature miejscowych zloz. Skore mial brudnopomaranczowa, z siatka pionowych i poziomych linii. Gdyby stanal blisko muru, trudno byloby go zauwazyc. Ale wiekszosc ludzi i tak go nie zauwazala. Sama jego egzystencja byla obelga dla porzadnych ludzi, przynajmniej w ich opinii.

Ta kopalnia z krasnoludami... moze ona byla prawdziwa? Sie idzie i sie znajduje miejsce, zeby sobie polezec i poogladac ladne obrazki, nie, i nagle sie budzi w krasnoludziej dziurze? To nie mogla byc prawda. Tylko... mowili na ulicach, ze jakis troll wlozl do krasnoludziej dziury, a teraz wszyscy go szukali i nie po to, zeby mu dlon uscisnac... Podobno Brekcja bardzo chce go znalezc, i chyba nie sa zadowoleni. Niezadowoleni, bo jakiegos krasnoluda, co to zle gadal o klanach, zalatwil jakis troll. Powariowali? Chociaz własciwie to niewazne, powariowali czy nie, bo mieli sposoby zadawania pytan, ktore nie goily sie miesiacami, wiec lepiej nie

wlazic im w droge.

Z drugiej strony... krasnolud to przeciez nie odrozni jednego trolla od drugiego, nie? A nikt inny go nie widzial. Wiec trzeba zachowywac sie normalnie, jasne? Nic mu nie bedzie. Nic mu nie bedzie. A zreszta to przeciez nie mogl byc on...

Cegle – tak, to moje imie, caly czas zem pamietal – przyszlo do glowy, ze wciaz ma jeszcze troche bialego proszku na dne worka. Trzeba teraz znalezc jeszcze wystraszonego golebia i alkohol, calkiem dowolny alkohol, i bedzie dobrze. Tak. Swietnie. Zadnych powodow do zmartwienia...

Ta...

Gdy Vimes wyszedl na jaskrawe swiatlo dnia, przede wszystkim odetchnal gleboko. Zaraz potem wyciagnal miecz i skrzywil sie, gdy bolaca dlon zaprotestowala.

Swieze powietrze, to najwazniejsze. Pod ziemia troche krecilo mu sie w glowie, a drobne zadrapanie na dloni swedzialo jak oblakane. Musi pokazac je Igorowi. W tym blocku na dole mozna pewnie cos zlapac.

Aha, juz lepiej. Powoli dochodzil do siebie. Powietrze w tych tunelach powodowalo, ze czul sie naprawde dziwnie.

Tlum teraz bardziej przypominal tluszcze, ale drugi rzut oka przekonal go, ze to raczej cos, co nazywal niedzielna tluszcza. Nie trzeba wielu osob, zeby zaniepokojony, zalekniony tłum zmienic w cos takiego. Tu jakis okrzyk, tam szturchniecie... i przy pewnej starannosci kazdy wahajacy sie, zdenerwowany osobnik zostaje wciagniety do wiekszosci, ktora realnie nie istnieje.

Detrytus wciaz stal jak posag, pozornie nieswiadomy narastajacego gwaru. Ale Ringfunder... Niech to demony! Klocil sie zapalczywie z ludzmi w pierwszych szeregach. Nie wolno sie klocic! Nie wolno dac sie wciagac!

–Kapral Ringfunder! – ryknal. – Do mnie!

Krasnolud odwrocil sie w chwili, kiedy nad glowami tlumu przeleciala polowka cegly i z brzekiem trafila go w helm. Zwalil sie jak kloda.

Detrytus ruszyl tak szybko, ze przebil sie przez polowe tlumu, nim jeszcze krasnolud uderzyl o bruk. Zanurzyl reke miedzy ciala i wyciagnal wrywajaca sie postac. Zawrocil przez luke, ktora nie zdazyla sie jeszcze zamknac, i stanal obok Vimesa, zanim helm Ringfundera znieruchomial.

–Dobra robota, sierzancie – mruknał Vimes samym kaciem ust. – Mieliscie jakis plan na potem?

–Zem jest taki bardziej taktyczny, sir.

No dobra. W takich chwilach czlowiek nie dyskutuje i sie nie cofa. Vimes wyjal i podniosl do gory odznake.

**–Ten krasnolud jest arestowany za napasc na funkcjonariusza strazy! – krzyknal.
– Przepuscicie nas w imieniu prawa!**

Ku jego zdumieniu tłum ucichl jak grupa dzieci, ktore wyczuwaja, ze tym razem nauczyciel jest naprawde, ale to naprawde zly. Moze to slowa na odznace, pomyslal Vimes. Nie da sie ich zetrzec.

I w tej ciszy krasnoludowi pod bardzo scisla straza Detrytusa wypadla z dloni druga polowka cegly. Po wielu latach Vimes wciaz mogle zamknac oczy i slyszec chrzest, z jakim uderzyla o bruk.

Angua wyprostowala sie, trzymajac na rekach nieprzytomnego Ringfundera.

–Tylko wstrzas – poinformowala. – Sugeruje tez, sir, zeby sie pan obejrzal. Na chwile.

Vimes zaryzykowal szybki rzut oka. Twardziec – a przynajmniej przesloniety skora krasnolud, ktory mogleby nim byc – stal w cieniu wejścia. Tlum patrzyl tylko na niego.

–Pozwala nam odejsc? – mruknał.

–Mysle, sir, ze chodzi wlasnie o odejscie. Prawda?

–Slusnie, sierzancie. Detrytus, nie wypuszczaj tego petaka. Wracamy na komende, i to szybko.

Z ledwie slyszalnym pomrukiem tłum rozstapil sie, zeby ich przepuscic. A cisza podazala za nimi az do komendy strazy...

...gdzie na ulicy czekal Otto Chriek z "Pulsu" z gotowym do akcji ikonografem.

–O nie, Otto, nic z tego – powiedzial Vimes, kiedy sie do niego zblizyli.

–Stoje na drodze publicznej, panie Vimes – wyjasnil potulnie ikonografik. – Poprosze o usmiech.

I zrobil obrazek funkcjonariusza trolla trzymajacego w gorze krasnoluda.

No tak, pomyslał Vimes. Pierwsza strona mamy już załatwiona. I pewnie też satyryczny rysunek na koncu...

Jeden krasnolud w celi, jeden pod czułą opieką Igora, myślał Vimes, wspinając się po schodach do swojego gabinetu. A będzie tylko gorzej. Tamte krasnoludy słuchały Twardzca, tak? A co by zrobiły, gdyby pokręcił głową?

Rzucił się na fotel z takim impetem, że przesunął go o stope do tyłu.

Spotkał już glebinowe krasnoludy – dziwaków, ale jakos sobie z nimi radził. Dolny król był glebinowcem, a Vimes dogadywał się z nim całkiem dobrze, kiedy już przyjął do wiadomości, że ten bajkowy krasnolud z wiedźmikołajową brodą jest w rzeczywistości chytrym politykiem. Krasnoludem z wizją. Stawiał czoło światu. Ha, "widział światło". Ale ci z nowej kopalni...

Nie widział ich, choć siedzieli w pomieszczeniu jasniejącym ostrym światłem setek świec. Co wydawało się dziwne, ponieważ sami gragowie byli całkowicie przesłonięci czarną skórą. Ale może była to jakaś mistyczna ceremonia, a wtedy kto szukałby sensu? Może wśród światła zyskuje się więcej świętej ciemności? Im jasniejsze światło, tym czarniejszy cień?

Twardziec mówił w języku, który przypominał krasnoludzi, a spod czarnych kapturow rozbrzmiewały odpowiedzi i pytania, wszystkie wywarkiwane takimi samymi ostrymi sylabami.

W pewnym momencie Vimesa poproszono, by streszczył swoje oświadczenie, jakie wygłosił na gorze, która wydawała się teraz bardzo odległa. Zrobił to i rozgorzała długa dyskusja w języku, który zaczął w myślach określać jako "głęboki krasnoludzi". I przez cały czas czuł, że pilnie obserwują go oczy, których nie widzi. Nie pomagało, że wściekle bolała głowa, a ostre ukłucia bólu przesuwwały się w górę i w dół wzdłuż ramienia.

I to było wszystko. Zrozumieli go? Nie wiadomo. Twardziec powiedział, że zgodzili się, choć z wyraźnymi oporami. Czy rzeczywiście? Nie miał pojęcia, żadnego pojęcia o tym, co rzeczywiście zostało uzgodnione. Czy Marchewa uzyska dostęp do miejsca zbrodni i nikt nie będzie się mieszał do jego pracy? Hm, mruknął Vimes. Jak myślicie, chłopcy i dziewczęta?

Scisnął grzbiet nosa, a potem przyjrzał się prawej dłoni. Igor bardzo długo opowiadał mu o "malenkich niewidzialnych stworzonkach" i użył jakiejś zjadliwej masy, która prawdopodobnie zabiła wszystko, niezależnie od rozmiaru i widzialności. Przez piętnaście minut szczyła jak siedem piekieł, ale potem to minęło i chyba zabrakło też bólu. W każdym razie najważniejsze było to, że straż

oficjalnie prowadziła dochodzenie.

**Zauważył kartkę leżącą na szczycie stosu w tacy dokumentów przychodzących*.
Steknął, podnosząc ją do oczu.**

Do: Jego łaskawości sir Samuela Vimesa, komendanta Straży Miejskiej

Od: p. A.E. Pesymala, prowadzącego inspekcję Straży Miejskiej

Wasza łaskawość,

Mam nadzieję, że zechce pan możliwie szybko przekazać mi odpowiedzi na następujące pytania:

- 1. Czemu służy kapral "Nobby" Nobbs? Dlaczego zatrudnia pan znanego złodziejczkę?**
- 2. Obserwowałem dwóch funkcjonariuszy na Broad-Wayu i w okresie jednej godziny nie dokonali ani jednego aresztowania. Dlaczego należy to uznać za ekonomiczne wykorzystanie ich czasu?**
- 3. Stopień przemocy używanej przez funkcjonariuszy trolli wobec aresztowanych trolli wydaje się nadmierny. Czy zechce pan to skomentować?**

...i tak dalej. Czytał z rozdziawionymi ustami. No dobra, ten gość nie jest glina – stanowczo nie – ale przecież ma działający mózg. Wielkie nieba, zauważył nawet comiesięczną niezgodność stanu gotówki w pudełku na drobne wydatki! Czy A.E. Pesymal zrozumie, jeśli Vimes mu wyjaśni, że zasługi Nobby'ego przez lata z nadwyżką rekompensowały te przypadkowe niewielkie kradzieże, które człowiek traktował jako rodzaj drobnej niedogodności? Czy byłoby to ekonomiczne wykorzystanie mojego czasu? Nie sądzę.

Kiedy odkładał kartkę, zauważył te leżące pod spodem, zapisane piśmem Cudo. Sygnal po nią i przeczytał.

Dwa krasnoludy i jeden troll oddały dziś rano swoje odznaki, powołując się na "powody rodzinne". Szlag... W tym tygodniu straciliśmy już siedmiu funkcjonariuszy. Przeklęta dolina Koom wciskała się wszędzie. Pewnie, to żadna zabawa, bogowie świadkami, kiedy jest się trollem i odpiera bandę innych trolli, broniąc takiego krasnoluda jak zmarły Combergniot. Prawdopodobnie nie jest to zabawniejsze niż bycie krasnoludem i dowiedzenie się, że jakiś uliczny gang trolli pobił twojego brata z powodu tego, co ten idiota powiedział. Niektórzy pewnie pytaliby, po czyjej stronie stoisz. Jeśli nie jesteś z nami, jesteś przeciw nam. Ha. Jeśli nie jesteś jabłkiem, to jesteś bananem...

Marchewa wszedl cicho i polozyl na biurku talerz.

–Angua mi opowiedziala, sir – rzekl. – Dobra robota, sir.

–Co to znaczy, dobra robota? – Vimes spojrzal na kanapke pelniaca funkcje zdrowego drugiego sniadania. – O malo nie doprowadzilem do wojny!

–Ale oni nie wiedzieli, ze pan blefuje.

–Bo prawdopodobnie nie blefowalem.

Vimes ostroznie uniosl gorna czesc kanapki z bekonem, salata i pomidorem, i usmiechnal sie w myslach. Dobra, niezawodna Cudo. Wiedziala, o co chodzi w BSP Vimesa. Chodzilo o to, ze trzeba uniesc calkiem sporo kruchutkiego bekonu, zeby znalezc smetne, skulone jarzyny. Mozna nawet wcale ich nie zauwazyc.

–Zabierzcie ze soba na dol Angue – powiedzial. – I... tak, mlodsza funkcjonariusz Humpeding. Nasza mala Sally. Akurat zajecie dla wampira, ktory szczesliwym przypadkiem trafil do nas w odpowiednim momencie, co? Przekonamy sie, czy jest dobra.

–Tylko je obie, sir?

–No tak. Obie bardzo dobrze widza w ciemnosci. – Vimes spojrzal na kanapke i wymamrotal: – Nie mozemy zabierac na dol sztucznego swiatla.

–Dochodzenie w sprawie morderstwa w ciemnosci, sir?

–Nie mialem wyboru – tłumaczyl goraczkowo Vimes. – Potrafie poznac drazliwy punkt, kapitanie. Zadnego sztucznego swiatla. No wiec jesli chca grac ze mna w durnia, nie ma sprawy. Znacie sie na kopalniach, a obie panie maja wbudowane nocne widzenie. No, wampir ma, a Angua praktycznie widzi nosem. I tyle. Korytarze sa pelne tych demonicznych Isniacych robakow. Powinny pomoc.

–Maja vurmami? – zdziwil sie Marchewa. – Aha. No coz, znam pare sztuczek z vurmami, sir.

–Dobrze. Slyszałem, ze wielki troll to zrobil i uciekl. Zrob z tym, co chcesz.

–Moga byc jakies protesty co do Sally, sir – zauwazyl Marchewa.

–Czemu? Wykryja, ze jest wampirem?

–Nie, sir, nie wydaje mi sie...

–Wiec im nie mow. Jestes... wytapiaczem. Od ciebie zalezy, jakich, ehm, narzedzi

uzywasz. Widziales to?

Pomachal raportem o trzech funkcjonariuszach, o których starał się nie myśleć jak o dezertersach.

–Tak, sir. Zamierzałem z panem o tym porozmawiać. Może by pomogło, gdybyśmy trochę zmienili skład patroli.

–O co ci chodzi?

–Latwo by było ustawić patrole w taki sposób, żebytrolle i krasnoludy nie musiały wychodzić razem, sir. No bo... Niektórzy chłopcy mówią, że byłiby trochę bardziej zadowoleni, gdyby nie musieli...

Zdanie cicho powoli pod kamiennym wzrokiem.

–Przy układaniu planu służb nigdy nie zwracaliśmy uwagi na gatunek funkcjonariusza, kapitanie – rzekł zimno Vimes. – Oprócz gnomów, naturalnie.

–Czyli jest jednak precedens... – zaczął Marchewa.

–Nie bądźcie durniem, kapitanie. Typowy pokój gнома ma rozmiar mniej więcej dwóch pudełek po butach. Przecież sami rozumiecie, że ten pomysł to szalenstwo. W dodatku niebezpieczne szalenstwo. Musielibyśmy posyłać na patrole trolle z trollami, krasnoludy z krasnoludami i ludzi z ludzmi...

–Niekoniecznie, sir. Ludzie mogliby patrolować z jednymi i drugimi.

Vimes pochylił się do przodu razem z fotelem.

–Nie, nie mogliby! Tu nie chodzi o rozsadek, tu chodzi o strach. Jeśli troll zobaczy człowieka z krasnoludem na patrolu, pomyśli "To wrogowie, dwóch na jednego". Nie widzicie, do czego to prowadzi, kapitanie? Kiedy glina znajdzie się w trudnej sytuacji i dmuchnie w gwizdek, wzywając wsparcie, nie chce, żeby wymagał odpowiedniego kształtu tego wsparcia! – Uspokoił się trochę. Wyjął notatnik i rzucił go na blat. – A skoro już o kształtach mowa, wiecie, co to znaczy? Zauważyłem to w kopalni, a krasnolud Helmutluk wyrysował to rozlana kawa... I wiecie, chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, że to robi.

Marchewa przez chwilę uważnie przyglądał się symbolowi.

–Gorniczy znak, sir – powiedział. – Oznacza "Nadchodząca ciemność".

–A co to znaczy?

–No, że sytuacja na dole jest dość paskudna, sir – wyjaśnił z powagą Marchewa. –

Ojoj...

Odložyl notatnik bardzo powoli, jakby sie bal, ze wybuchnie.

–Przeciez mieli tam morderstwo, kapitanie – przypomniał Vimes.

–Tak jest, sir. Ale to moze oznaczac cos gorszego, sir. Gornicze znaki to bardzo dziwne zjawisko.

–Podobny znak byl tez nad drzwiami, z tym ze tam byla tylko jedna kreska i biegla poziomo – dodal Vimes.

–Och, pewnie runa Dlugiej Ciemnosci, sir – odparl z lekcewazeniem Marchewa. – To tylko symbol kopalni. Nie ma powodu do zmartwienia.

–Ale przy tym drugim sa powody? Czy ma to cos wspolnego z gragami siedzacymi w pokoju w otoczeniu plonacych swiec?

Zawsze przyjemnie bylo zaskoczyc Marchewe, a tym razem wygladal na zdumionego.

–Jak pan to odgadl, sir?

–To tylko slowa, kapitanie. – Vimes machnal reka. – "Nadchodzaca ciemnosc" nie brzmi dobrze. Moze to wlasciwy czas, zeby siedziec w swietle? Kiedy sie z nimi spotkalem, byli otoczeni swiecami. Pomyslalem, ze moze to jakas ceremonia.

–Mozliwe – zgodzil sie ostroznie Marchewa. – Dziekuje za informacje, sir. Pojde przygotowany.

I kiedy otwieral juz drzwi, Vimes rzucil za nim:

–Jeszcze jedno, kapitanie!

–Tak, sir?

Vimes nie podniosl wzroku znad kanapki, w ktorej delikatnie oddzielal kawalki S i P od smakowitego B.

–Pamietaj, ze jestes glina – powiedzial.

Sally wiedziala, ze cos jest nie w porzadku, kiedy tylko weszla do szatni w swoim nowym, blyszczacym napiersniku i helmie w ksztalcie talerza. Gliniarze roznych gatunkow stali dookola i usilowali wygladac nonszalancko. Gliniarzom nigdy to nie

wychodzi.

Przygladali się, jak podchodzi do swojej szafki. Wobec tego otworzyła drzwiczki ostrożnie.

Na polce leżał stos czosnku.

Aha. Zaczyna się, i to tak szybko! Dobrze, że była przygotowana...

Tu i tam za sobą słyszała delikatne kasznięcia i chrząknięcia ludzi, którzy bardzo starają się nie śmiać. Były też wzgardliwe uśmiešky; jeśli człowiek się wsłucha, taki uśmiešek także wydaje delikatny odgłos.

Oburacz sięgnęła w głąb szafki i wyjęła dwie wielkie główki. Wszyscy gliniarze patrzyli na nią, wszyscy stali nieruchomo, a ona przeszła wolno dookoła pokoju.

Odor czosnku był silny na młodym funkcjonariuszu, którego szeroki uśmiech nagle w kącikach ust zadrzał nerwowo. Wyglądał jak typowy duren, który robi wszystko, by rozśmieszyć kolegów.

–Przepraszam, funkcjonariuszu, jak się nazywacie? – spytała grzecznie.

–Eee... Fittly, panienko.

–To od was? – spytała. Pozwoliła, by kły wydłużyły jej się akurat tyle, by to zauważył.

–No... to taki żart, panienko...

–Nie ma w tym nic zabawnego – oświadczyła słodko Sally. – Lubie czosnek. Kocham czosnek. Wy nie?

–Eee... tak – zapewnił nieszczęsny Fittly.

–To dobrze.

Tak szybko, że aż drgnął wystraszony, wbiła sobie główkę czosnku do ust i ugryzła mocno. Przez chwilę w szatni słychać było tylko chrupanie.

Przelknęła.

–Ojej, gdzie moje maniery, funkcjonariuszu... – Podawała mu drugą główkę. – Ta jest dla was.

Zabrzmiały śmiechy. Gliny są jak każda inna grupa. Sytuacja się odwróciła, a z tej strony okazała się jeszcze zabawniejsza. W końcu można się trochę posmiać,

prawda? Nic w tym zlego.

–No, Fittly – odezwał się ktoś. – Bądźmy uczciwi! Ona swój zjadła!

A ktoś inny, bo ktoś taki zawsze się znajdzie, zaczął klaskać i zachęcać:

–Jedź! Jedź!

Inni podjęli wołanie, zachęceni tym, że twarz Fittly'ego nabrała jaskrawoczerwonej barwy.

–Jedź! Jedź! Jedź! Jedź! Jedź! Jedź! Jedź! Jedź! Jedź! Jedź! Jedź!

Fittly nie miał wyboru. Chwył główkę czosnku, wcisnął sobie do ust i zagryzł przy akompaniamencie oklasków. W chwili później Sally zobaczyła, że wytrzeszcza oczy.

–Młodsza funkcjonariusz Humpeding?

Odwrociła się. W progu stał młody człowiek o boskich proporcjach ciała*. W przeciwieństwie do mundurów innych funkcjonariuszy, jego napiersnik błyszczał, a kolczuga była całkiem pozbawiona rdzy.

–Wszystko w porządku?

Młody człowiek zerknął na Fittly'ego, który osunął się na kolana i wykaszliwał czosnek na cały pokój. Jednak jakos zupełnie nie zdołał go zauważyć.

–Eee... Doskonałym, sir – zapewniła zdziwiona Sally, gdy Fittly zaczął wymiotować.

–Już się poznaliśmy. Wszyscy nazywają mnie kapitanem Marchewa. Proszę za mną.

Kiedy wyszli, Marchewa zatrzymał się i odwrócił.

–No dobrze, młodsza funkcjonariusz... Mielicie wcześniej przygotowaną główkę, tak? Nie patrzcie tak na mnie, na placu stoi dziś wózek z warzywami. Nietrudno się domyślić.

–No... Sierżant Angua mnie ostrzegła...

–Wiec?

–Wiec wyrzeźbiłam czosnek z rzodkiewki, sir.

–A ta główka, która dałście Fittly'emu?

–Och, to też rzeźbiona rzodkiewka. Staram się nie dotykać czosnku, sir – wyjaśniła

Sally.

O bogowie, jest naprawdę atrakcyjny.

–Doprawdy? Tylko rzodkiewka? Wyglądał, jakby mu zaszkodziła.

–Włożyłam do niej nasiona świeżego chili. Myślałam, że ze trzydzięści.

–Tak? A czemu to zrobiliście?

–No wie pan, sir... – Sally aż promieniała niewinnością. – W końcu można się trochę posmiać, prawda? Nic w tym złego.

Wydawało się, że kapitan rozważa te słowa.

–W takim razie zostawmy tę sprawę – uznał w końcu. – A teraz, młodszy funkcjonariusz, powiedzcie: widzieliście kiedyś martwe ciało?

Sally czekała, by się przekonać, czy mówił poważnie. Najwyraźniej tak.

–Ścisłe mówiąc, nie, sir – odparła.

Vimes denerwował się przez całe popołudnie. Oczywiście, czekały papiery. Zawsze czekały papiery. Tace na biurku były tylko początkiem. Całe stosy papierów wyrastały oskarżycielsko pod ścianą i zlewały się z wolną*. Wiedział, że musi się nimi zająć. Nakazy, wezwania, rozkazy, podpisy... wszystko to, co czyniło straż formacją policyjną, a nie bandą dość brutalnych, dociekliwych z natury typów. Papiery... Musi ich być dużo. I wszystkie podpisane przez niego.

Podpisał dziennik aresztowań, dziennik zgłoszeń oraz księgę rzeczy zagubionych. Księga rzeczy zagubionych! Za dawnych czasów nigdy czegoś takiego nie mieli. Jeśli zjawiał się ktoś ze skargą, że stracił jakiś drobiazg, trzeba było tylko potrząsnąć Nobbym trzymanym głową w dół, a potem posortować to, co wypadło.

Jednak w tej chwili nie znalazł prawie dwóch trzecich gliniarzy, których zatrudniał – nie znalazł w takim sensie, że nie wiedział, kiedy wytrzymają, a kiedy uciekną, nie rozpoznawał drobnych zachowań zdradzających, kiedy kłamią, a kiedy są śmiertelnie przerażeni. To już nie była naprawdę jego straż. To Straż Miejska. On nią tylko kierował.

Przejrzał raporty podoficerów dyżurnych, raporty z patroli, raporty chorobowe, raporty dyscyplinarne, rozliczenia kasowe...

–Duddle-dum-duddle-dum-duddle...

Vimes cisnal terminarz na biurko i chwycił nieduży bochenek krasnoludzięgo chleba, który od kilku lat służył mu za przycisk do papierów.

–Wylacz się albo gin! – warknął.

–No... Widzę, że jesteś trochę zdenerwowany – rzekł chochlik, patrząc od dołu na wiszący w powietrzu bochenek. – Ale chciałbym cię prosić, żebyś spojrział na to z mojego punktu widzenia. To moja praca. Tym właśnie jestem. Jestem, więc myślę. A myślę, że moglibyśmy rewelacyjnie się dogadywać, gdybyś tylko przeczytał instrukcję... Proszę, nie! Naprawdę mogę ci pomóc!

Vimes znieruchomiał w połowie ciosu, po czym ostrożnie odłożył bochenek.

–Jak? – zapytał.

–Złe dodajesz liczby – oświadczył chochlik. – Nie zawsze przenosisz dziesiątki.

–A niby skąd to wiesz?

–Bo mruczysz do siebie.

–Podsluchiwałeś!

–To moja praca! Nie potrafię wyłączyć sobie uszu! Muszę słuchać! Dzięki temu wiem o umowionych spotkaniach!

Vimes podniósł rozliczenie kasowe i spojrział na nierówne kolumny liczb. Zawsze był dumny z umiejętności robienia tego, co od dzieciństwa nazywał sumami. Owszem, zdawał sobie sprawę z tego, że tu i owdzie się zaplatał, ale w końcu dotarł do celu.

–Myślisz, że potrafiłbyś lepiej? – zapytał.

–Wypuść mnie tylko i daj ołówek! – odparł chochlik.

Vimes wzruszył ramionami. W końcu dzień i tak był już dziwny. Otworzył małe drzwiczki klatki.

Chochlik był bladozielony i półprzezroczysty, zbudowany prawie wyłącznie z zabarwionego powietrza – ale zdołał chwycić krociutki ogryzek ołówka. Potem przebiegł w górę i w dół kolumny liczb w księdze kasowej, cały czas – czego Vimes słuchał z satysfakcją – mruczac do siebie.

–Brakuje trzech dolarów i pięciu pensów – zameldował po kilku sekundach.

–No to w porządku.

–Ale pieniądze nie są rozliczone!

–Owszem, są – odparł Vimes. – Zostały wykradzione przez Nobby'ego Nobbsa. Jak zawsze. Nigdy nie kradnie więcej niż cztery dolary pięćdziesiąt.

–Czy mam wprowadzić termin na rozmowę dyscyplinarną? – zapytał z nadzieją chochlik.

–Oczywiście, że nie. Zamykam sprawę. No i... dziękuję. Czy możesz podsumować inne rozliczenia?

–Absolutnie! – rozpromienił się chochlik.

Vimes zostawił go, jak bazgrał radośnie, i podszedł do okna. Nie uznają naszego prawa i podkopują nasze miasto. To nie jest zwykła banda glebinowców, którzy przybywają, żeby inne krasnoludy utrzymać na drodze cnoty. Jak daleko sięgają te tunele? Krasnoludy kopią jak szalone. Ale czemu tutaj? Czego szukają? To pewnie jak demony z dowolnie wybranego piekła, że pod miastem nie ma ukrytego skarbu, nie ma śpiącego smoka ani zaginionego królestwa. Jest tylko woda, błoto i ciemność.

–Jak daleko sięgają? Ile... Zaraz, przecież my wiemy, wiemy to, prawda? Znamy dane i liczby w dzisiejszych raportach...

–Chochlik!

–Tak, Wstaw Swoje Imię?

–Widzisz ten wielki stos papierów w kacie? – Vimes wskazał palcem. – Gdzieś tam są raporty straży przy bramach z ostatnich sześciu miesięcy. Możesz je porównać z zeszytami z poprzednich lat? Porównaj liczbę szambiarów opuszczających miasto.

–Nie znaleziono "szambiarów" w Słowniku Głównym. Przeszukuje Słownik Słangu. Mip... mip... mip... Szambiar, rzecz.: wóz służący do usuwania nocnych nieczystości (por. także szambowóz, giewóz, nocny ekspres, gongwóz i ich warianty) – powiedział chochlik.

–Zgadza się – potwierdził Vimes, który "nocnego ekspresu" jeszcze nie znał. – Możesz?

–Oczywiście! Dziękuję za skorzystanie z De-Terminarza Marka Pieca "Gooseberry", najbardziej zaawansowanego...

–Nie ma o czym mówić. Sprawdź dane z Bramy Osiowej. Jest najbliżej Melasowej.

–W takim razie sugeruje, Wstaw Swoje Imie, zebyś się cofnął.

–Dlaczego?

Chochlik skoczył na stos. Coś zaszeleszczało, wybiegła para myszy – i papiery eksplodowały. Vimes wycofał się pośpiesznie, kiedy arkusze wleciały w powietrze, unoszone na bardzo bladej zielonkawej chmurze.

Vimes wprowadził rejestrację ruchu przez bramy nie dlatego, że bardzo go interesowały wyniki, ale żeby dać chłopakom coś do roboty. Przecież te dyżury nie miały wpływu na bezpieczeństwo. Ankh-Morpork było otwarte tak szeroko, że aż się rozdziawiało. Ale spis wozów okazał się przydatny. Nie pozwalał strażnikom spać na posterunku i dawał im pretekst, by byli wścibscy.

Trzeba wywozić nieczystości. To ważne. To jest miasto. A w miejscach dalekich od rzeki najlepszym sposobem były wozy. Niech to, pomyślał. Powinienem go poprosić, żeby sprawdził, czy nie nastąpił wzrost liczby ładunków kamienia i drewna... Kiedy już wykopie się dziura w bloku, trzeba ją jakos utrzymać otwartą.

Wirujące, fruujące papiery opadły z powrotem na stosy. Zielona mgła skurczyła się z cichym "zzzp" i w jej miejscu stanął mały chochlik, gotów eksplodować z dumy.

–Dodatkowo jeden przecinek jeden szambiarki na noc powyżej wyników sprzed sześciu miesięcy! – oznajmił. – Dziękuję, Wstaw Swoje Imie! Cogito ergo sum, Wstaw Swoje Imie. Istnieje, więc sumuje!

–Tak, dobrze, dziękuję ci – mruknął Vimes.

Hm... Trochę powyżej jednego wozu co noc? Mieści się na nich po parę ton, maksimum. To nie wystarczy na wiele... Może ludzie mieszkający w okolicach tej bramy ostatnio mocno chorowali na zółtkę? Ale... Co by właściwie zrobił, gdyby był na miejscu krasnoludów?

Na pewno nie wysłałby urobku przez najbliższą bramę, to jasne. Na bogów, jeśli ryli tunele w innych miejscach, mogli to błoto wywalić gdziekolwiek!

–Chochliku, czy mogłbyś... – Zawahał się. – Słuchaj, nie masz jakiegoś imienia?

–Imienia, Wstaw Swoje Imie? – zdziwił się chochlik. – Ależ nie. Jestem stwarzany na tuziny, Wstaw Swoje Imie. Prawde mówiąc, imię byłoby trochę głupie.

–W takim razie nazwe cię Gooseberry. No więc, Gooseberry, możesz mi podać te same wyliczenia dla wszystkich miejskich bram? A także liczbę wozów z drewnem i kamieniem?

-To troche potrwa, Wstaw Swoje Imie, ale tak. Bede zachwycony!

-A przy okazji sprawdz, czy sa tam jakies meldunki o osunieciach gruntu. Padajace mury, pekajace budynki, takie rzeczy.

-Oczywiscie, Wstaw Swoje Imie. Mozesz na mnie polegac, Wstaw Swoje Imie!

-To bierz sie do roboty!

-Tak jest, Wstaw Swoje Imie! Dziekuje, Wstaw Swoje Imie! O wiele lepiej mysle poza pudelkiem, Wstaw Swoje Imie!

Zzzp! Papiery pofrunely do gory.

No, kto by sie spodziewal, myslal Vimes. Ta przekleta zabawka moze sie jednak na cos przydac...

Swisnela rura komunikacyjna. Zdjal ja z haka.

-Vimes – powiedzial.

-Mam tu wieczorne wydanie "Pulsu" – poinformowal stlumiony glos sierzant Tyleczek. Wydawala sie zaniepokojona.

-Dobrze. Przyslij je na gore.

-Sa tez dwie osoby, ktore chca z panem porozmawiac, sir.

Tym razem w jej glosie zabrzmial ton ostroznosci.

-I moga cie slyszec? – domyslil sie Vimes.

-Zgadza sie, sir. Trolle. Upieraja sie, zeby pomowic z panem osobiscie. Mowia, ze maja dla pana wiadomosc.

-Zapowiadaja klopoty?

-W kazdym calu, sir.

-Juz schodze.

Vimes odwiesil rure. Trolle z wiadomoscia. Trudno sie spodziewac, ze bedzie to zaproszenie na podwieczorek literacki.

-Gooseberry! – zawolal.

I znowu zielonkawa mgła skondensowała się w rozpromienionego chochlika.

–Znalazłem liczby, Wstaw Swoje Imię. Teraz nad nimi pracuje.

–Dobrze, ale włącz z powrotem do pudełka, co? Wychodzimy.

–Naturalnie, Wstaw Swoje Imię! Dziękuję, że wybrales...

Vimes wcisnął pudełko do kieszeni i zszedł na dół. Główna sala mieściła nie tylko biurko dyżurnego, ale też kilka mniejszych, przy których siedzieli strażnicy, kiedy musieli się zająć naprawdę trudną częścią pracy policyjnej, jak na przykład poprawne stosowanie interpunkcji. Z sali łączyły się liczne pokoje i korytarze. Każde zdarzenie tutaj natychmiast zwracało uwagę wielu osób, co było bardzo wygodne.

Jeśli dwa trolle, rzucające się w oczy na środku, zamierzały sprawić jakieś kłopoty, to wybrały sobie zły moment. Właśnie zmieniały się dyżury. W tej chwili bez sukcesu usiłowały zachowywać się zawiadaczko, stojąc w miejscu, obserwowane podejrzliwie przez siedmiu czy osiem funkcjonariuszy o różnych kształtach.

Same to na siebie sciągnęły. Bo to były baaardzo złe trolle. A przynajmniej chciały, by każdy tak myślał. Tyle że wszystko pokreciły. Vimes widywał już złe trolle i te nawet nie były podobne. Próbowaly. Och, starały się... Mech porastał ich głowy i ramiona. Klanowe graffiti zdobiło ciała, a jeden miał nawet rzeźbione ramie, co musiało boleć. Wszystko, by zrobić wrażenie twardego, luzackiego trolla. Noszenie tradycyjnego pasa z ludzkich albo krasnoludzkich czaszek skutkowało tym, że piety nosiciela ryłyby bruzdy aż do najbliższego posterunku, a czaszki małpie narazaly na wciągnięcie w zasadzkę przez krasnoludy bez żadnej wiedzy o antropologii kryminologicznej. Zatem te trolle... Vimes uśmiechnął się lekko. Ci chłopcy zrobili, co mogli, z... oj... czaszkami owiec i koz. Brawo, chłopaki, jesteście naprawdę przerazające.

Właściwie to smutne. Dawne złe trolle nie dbały o takie szczegóły. Po prostu tłukły kogoś w głowę jego ramieniem, a rozumiał, o co im chodzi.

–Słucham, panowie – odezwał się. – Jestem Vimes.

Trolle stoczyły pojedynek spojrzeń poprzez plataninę mchu i jeden z nich przegrał.

–Pan Chryzopraz chce cię zobaczyć – oznajmił ponuro.

–Doprawdy?

–Chce cię zobaczyć już – dodał troll.

–Przecież wie, gdzie mieszkam – odparł Vimes.

–Tak. Wie dobrze.

Trzy słowa walnęły cisze jak ołow. Chodziło o sposób, w jaki troll je wymówił. Sposób samobójczy.

Zazgrzytały rygle wsuwające się na miejsca, a potem głośno szczeknęło. Trolle się obejrzały. Sierżant Detrytus wyjmował klucz z zamka w wielkich, grubych podwójnych drzwiach komendy straży. A potem odwrócił się i jego wielkie łapska opadły trollom na ramiona.

Westchnał.

–Chłopcy – powiedział. – Gdyby przyznawali doktorat za bycie tepakiem, i tak byście nie mogli znaleźć ołowka.

Troll, który wygłosił taką niezbyt zawołowaną groźbę, popełnił kolejny błąd. Zapewne jego ręce przesunęła groźba albo tępy odruch demonstracyjnej odwagi. Nikt mający w mózgu choć jeden działający neuron nie wybrałby takiej właśnie chwili, żeby unieść ręce do tego, co dla trolli było pozycją ataku.

Pięść Detrytusa rozmasowała się od szybkości, a trzask jej zetknięcia z czaszką trolla sprawił, że zadygotały meble.

Vimes otworzył usta – i zamknął je znowu. Trollowy był językiem bardzo fizycznym. No a przecież trzeba szanować tradycje kulturowe, prawda? Nie tylko krasnoludom wolno je mieć. Poza tym czaszki trolla nie da się rozbijać nawet młotem i dłutem. A on groził twojej rodzinie, usłyszał jeszcze Vimes głos rozsądku. Sam się prosił.

Poczuł ukłucie z rany na dłoni, a po nim uderzenie bólu głowy. Do demona... Przecież Igor mówił, że to paskudztwo zadziała...

Trafiony troll kołysał się przez sekundy czy dwie, a potem runął do przodu, sztywno i nieruchomo.

Detrytus podszedł do Vimesa, w przejściu kopnąwszy leżacego.

–Przepraszam za to, sir – powiedział, a jego dłoń brzęknęła o helm w salucie. – Nie mają manier.

–No dobrze, wystarczy. – Vimes wrócił się do drugiego, nagle bardzo samotnego posłanca. – Po co Chryzopraz chce mnie widzieć?

–By tego przecież nie powiedział braciom tepolom, nie? – Detrytus uśmiechnął się przerażająco.

W poslancu nie pozostalo juz ani sladu zawadiactwa.

–Zesmy tylko wiedzieli, ze idzie o zabicie tego horuga – wymamrotal, szukajac uciezki w zgryzliwosci.

Na dzwiek tego slowa oczy wszystkich patrzacych krasnoludow zmruzyly sie troche bardziej – to bylo bardzo niedobre slowo.

–Oj chlopie, oj chlopie, oj... – Detrytus sie zawahal.

–...chlopie – rzucil Vimes samym kacikiem ust.

–...chlopie – dokonczyl tryumfalnie Detrytus. – Znajdujesz sobie przyjaciol jak nie wiem co...

–Gdzie to spotkanie? – spytal Vimes.

–W skladzie przyszlej wieprzowiny – odparl troll. – Ty masz przyjsc sam... – Urwal, gdy dotarla do niego swiadomosc wlasnej sytuacji. – Jesli mozna prosic – dokonczyl.

–Idz i powiedz swojemu szefowi, ze moze zechce sie przespacerowac w tamtej okolicy – rzekl Vimes. – A teraz wynos sie. Wypuscicie go, sierzancie.

–I zabierz swoje smieci! – ryknal Detrytus.

Zatrzasnal drzwi za trollem zgietym pod ciezarem nieprzytomnego towarzysza.

–No dobra – rzucil Vimes, kiedy napiecie opadlo. – Slyszeliscie tego trolla. Zatroskany obywatel chce pomoc strazy. Pojde sprawdzic, co takiego...

Zauwazyl pierwsza strone rozlozonego na biurku "Pulsu". Niech to demony, pomyslal ze znuzeniem. No to mamy... W takiej chwili! Funkcjonariusz troll trzyma krasnoluda, ktory nogami nie siega ziemi...

–Dobry obrazek Detrytusa, sir – zauwazyla nerwowo sierzant Tyleczek.

–"Dlugie ramie prawa" – przeczytal glosno Vimes. – To niby ma byc zabawne?

–Pewnie jest dla tych, ktorzy pisza tytuly – stwierdzila Cudo.

–"Combergniot zamordowany. Straz prowadzi sledztwo". – Podniosl azete. – Skad oni to biora? Kto im mowi? Niedlugo bede musial przeczytac "Puls", zeby sie dowiedziec, co tego dnia zrobie...

Rzucil azete na biurko.

–Cos waznego, o czym powinienem teraz wiedziec? – zapytal.

–Sierzant Colon melduje, ze dokonano kradziezy w Krolewskim... – zaczela Cudo, ale Vimes machnal tylko reka.

–Chodzilo mi o cos powazniejszego niz kradzieze.

–Ehm... Jeszcze dwoch funkcjonariuszy zrezygnowalo od czasu, kiedy przeslamam panu notatke, sir – oznajmila Cudo. – Kapral Ringfunder i funkcjonariusz Lupek na Flaku. Obaj mowia, ze to, no... z powodow osobistych, sir.

–Lupek byl dobrym straznikiem... – zahuczal Detrytus i pokrecil glowa.

–Wyglada na to, ze postanowil byc raczej dobrym trollem – mruknal Vimes.

Wyczul za soba poruszenie – nadal mial sluchaczy. Coz, pora na przemowienie.

–Wiem, jak trudno jest teraz funkcjonariuszom krasnoludom i trollom – powiedzial, zwracajac sie do wszystkich obecnych. – Wiem, ze przylozenie palaka komus ze swojej rasy, bo probuje kopnac was w rozkrok, moze budzic uczucie, ze pomagacie nieprzyjaciolom. Dla ludzi to tez nie jest zabawne, ale dla was gorsze. Odznaka wydaje sie troche ciezka, co? Widzicie, jak wasi patrzy na was i zastanawiaja sie, po czyjej stronie stoicie. Prawda? No wiec stoicie po stronie ludzi, czyli tam, gdzie powinno byc prawo. I mam na mysli wszystkich ludzi, ktorzy stoja tam za motlochom, ktorzy sa wystraszeni, nie rozumieja, co sie dzieje, i boja sie wychodzic po zmroku. Zabawne, ale ci idioci, ktorzy stoja przed wami i zmuszaja do samoobrony, tez sa ludzmi. Jednak wyraznie o tym nie pamietaja, wiec coz, wyswiadczycie im przysluge, kiedy troche ich ostudzicie. Pamietajcie o tym i trzymajcie sie razem. Myslicie, ze lepiej byloby zostac w domu i dopilnowac, zeby nic sie nie stalo waszej mamie? Ale co poradzicie przeciwko motlochowi? Razem mozemy nie dopuscic, by sprawy zaszly tak daleko. Sytuacja sama sie uspokoja. Wiem, ze jestescie zmeczeni, ale w tej chwili potrzebuje kazdego, a w zamian dostaniecie dzem jutro i darmowe piwo na dodatek. Moze nawet na chwile strace wzrok przy podpisywaniu kwitow z nadgodzin. Jasne? Ale chce, zebyscie wszyscy, kimkolwiek jestescie, wiedzieli jedno: nie mam cierpliwosci dla idiotow, ktorzy wloka dawne urazy przez piecset mil i tysiac lat. Jesteśmy w Ankh-Morpork! To nie jest dolina Koom. Wiecie, ze czeka nas ciezka noc. Ja bede na sluzbie. Jesli wy takze, chce miec pewnosc, ze moge na was polegac, kiedy bedziecie pilnowac moich plecow, a ja waszych. Jesli nie, to nie chce was widziec przy sobie. Jakies pytania?

Zapadla krepujaca cisza, jak zwykle w takich sytuacjach. Po chwili podniosla sie reka. Nalezala do krasnoluda.

–Czy to prawda, ze troll zabil graga? – Wsrod straznikow rozlegl sie gwar, a krasnolud dokonczyl, juz nie tak niesmialo: – No przeciez sam prosil.

–Kapitan Marchewa prowadzi śledztwo – odparł Vimes. – W tej chwili jeszcze błądzimy w ciemności. Ale jeśli rzeczywiście miało miejsce zabicie, to niezależnie od tego, jakiego mordercy jest rozmiar i kształt, kim jest i gdzie może się ukrywać, dopilnuje, żeby dosięgła go sprawiedliwość. Macie na to moja osobista gwarancja. Wystarczy?

Ogólna zmiana atmosfery powiedziała mu, że tak.

–Teraz idźcie i badzcie glinami – rzekł.

Sala opustoszała. Pozostali tylko ci, którzy nadal męczyli się z trudnym problemem, gdzie należy postawić przecinek.

–Może coś powiedzieć, sir? – Detrytus podszedł bliżej.

Vimes patrzył na niego i myślał: Kiedy pierwszy raz cie spotkałem, byłeś przykuty łańcuchem do ściany, jak pies podworzowy, i niewiele się odzywałeś poza stęknięciami. Rzeczywiście, lampart może się pozbyć swoich cetek.

–Tak, oczywiście.

–Nie mówi pan poważnie, co? Nie chce pan naprawdę biegać za takim koproliem jak Chryzopraz, sir, prawda?

–A co najgorszego może mi zrobić?

–Urwac panu głowę, sir, przemielic, a z kości ugotowac zupę – odpowiedział troll. – A gdyby pan był trollem, to jeszcze kazałby wybić panu zęby i zrobić sobie z nich spinki.

–Tylko czemu miałby to robić właśnie teraz? Myślisz, że chce z nami wojny? To nie w jego stylu. Zresztą raczej nie umawiałby się ze mną na zabicie, prawda? Chce ze mną porozmawiać. To musi mieć jakiś związek ze sprawą. Może coś wiedzieć. Nie osmielego się nie iść. Ale chce mieć cie ze sobą. Dobierz oddział, co?

Oddział będzie rozsądny, przyznał w myślach. Ulice są w tej chwili trochę... nerwowe. Ustąpił Detrytusowi i zabrał ze sobą wszystkich, którzy akurat nic nie robili.

O strażnicy można powiedzieć, że jest reprezentatywna. Jeśli ktoś opiera swoją politykę na tym, jak wyglądają ludzie drugiej strony, to nie może twierdzić, że straż stoi po stronie jakiegokolwiek kształtu. I warto się tego trzymać.

Na zewnątrz wydawało się spokojniej; widzieli mniej ludzi niż zwykle. Nie był to dobry znak. Ankh-Morpork potrafiło wyczuwać kłopoty z wyprzedzeniem, tak jak

pajaki jutrzejszy deszcz.

Co to takiego?

Stworzenie plywalo w umysle. Widzialo juz tysiace umyslow od poczatku wszechswiata, ale w tym bylo cos dziwnego.

Wygladal jak miasto. Widmowe, falujace budynki pojawialy sie wsrod nocnej mżawki. Oczywiście, zadne dwa umysly nie byly takie same...

Stworzenie bylo stare, choc dokladniejsze byloby stwierdzenie, ze istnialo od bardzo dlugiego czasu. Gdy na poczatku wszechrzeczy pierwotne chmury mysli skupily sie w bogow, demony i dusze wszelkich poziomow, ono znalazlo sie wsrod tych, ktore nie splynely w poblize znaczonego przyrastania. Wkroczylo wiec do wszechswiata bez celu, bez funkcji ani przynaloznosci – plywajacy swobodnie strzep istnienia, dopasowujacy sie, gdzie to mozliwe – rodzaj skomplikowanej mysli szukajacej odpowiedniego umyslu.

Obecnie – to znaczy od jakichs dziesieciu tysiecy lat – znajdowalo prace jako przesad.

A teraz znalazlo sie w tym dziwnym, mrocznym miescie. Wokol trwal ruch. To miejsce zylo. I padal deszcz.

Przez moment, wlasnie wtedy, stworzenie wyczulo otwarte drzwi, spazm wscieklosci, ktorego moglo uzyc. Ale kiedy skoczylo, by skorzystac z okazji, cos niewidzialnego i mocnego zlapalo je i odrzucilo.

Dziwne.

Z machnieciem ogona zniknelo w zaulku.

Magazyn przyszłej wieprzowiny był... jedna z tych rzeczy – to znaczy rzeczy tego rodzaju, jakie się pojawiają, kiedy miasto zbyt długo żyje z magią. Argumentacja okultystyczna, jeśli można w ten sposób ją określić, brzmiała tak: wieprzowina jest istotnym dla miasta towarem. Przyszła wieprzowina, a być może też wieprzowina jak dotąd nienarodzona, rutynowo staje się przedmiotem handlu. A zatem musi gdzieś istnieć. I tak zaistniał magazyn przyszłej wieprzowiny o lodowato zimnym wnętrzu, gdzie wieprzowina dryfuje pod prąd czasu. Było to popularne miejsce dla zamrażania różnych rzeczy, a także dla trolli, które chciały szybko myśleć.

Nawet tutaj, z daleka od wzburzonych regionów, ludzie na ulicy byli... czujni. Teraz obserwowali, jak Vimes i jego napredce zebrany oddział rozstawiają się przy jednej z bram.

–Uważam, że przynajmniej jeden by powinien z panem iść – zadudnił Detrytus, opiekunczy niczym kwoka. – Chryzopraz nie przyjdzie sam, to się może założyć.

Zdjął z pleców Piecmakera, kuszę, jaką własnoręcznie zbudował z dawnej maszyny oblezniczej. Wystrzeliwane z niej wiązki beltów miały tendencję do rozpadania się w powietrzu wskutek samych napreżeń przyspieszenia. Potrafiły usunąć drzwi nie tylko z futryny, ale też ze świata obiektów większych niż zapalka. Częścią uroku Piecmakera był też wyjątkowy brak celności. Reszta oddziału bardzo szybko stanęła za plecami trolla.

–W takim razie wy, sierzancie – zdecydował Vimes. – Reszta wchodzi, tylko jeśli usłyszysz krzyk. To znaczy mój krzyk. – Zawahał się, po czym wyjął Gooseberry'ego, który nadal nucił pod nosem. – I żadnego gadania, jasne?

–Tak jest, Wstaw Swoje Imię. Hmm, hum, hmm...

Vimes otworzył drzwi. Z jego ust wraz z oddechem natychmiast buchnęły kleby pary. Wokół popłynęło martwe, lodowate powietrze. Gruba warstwa szronu skrzypiała pod nogami.

Nienawidził magazynu przyszłej wieprzowiny. Wiszące w powietrzu półprzejrzyste platy jeszcze nie miasa, z każdym dniem nabierające realności, budziły w nim dreszcze, niemające nic wspólnego z temperaturą. Chrupiaczy bekon uważał za samodzielną grupę pożywienia, a widok jej podróżującej wstecz przez czas wywracał mu żołądek na niewłaściwą stronę.

Zrobił kilka kroków i rozejrzył się w wilgotnej, zimnej szarości.

–Komendant Vimes – poinformował, czując się trochę jak głupiec.

Tutaj, z daleka od drzwi, lodowata mgła sięgała kolan. Dwa trolle brnęły przez nią w jego stronę. Więcej mchu, jak zauważył. Więcej klanowego graffiti. Więcej owczych

czaszek.

–Tu zostawic bron – zahuczal jeden.

–Beee! – odpowiedzial Vimes i przeszedl miedzy nimi.

Za soba uslyszal szczek stali i delikatna melodie stalowych linek, naprezonych, ale teskniacych za wolnoscia. Detrytus przylozyl kusze do ramienia.

–Mozece probowac mi ja zabrac, jakbyscie tak chcieli – zaproponowal.

Glebiej w klebach mgly Vimes zauwazyl grupe trolli. Jeden czy dwoch wygladalo na wynajetych osilkow. Za to pozostale... westchnal tylko. Gdyby Detrytus wystrzelil w tamtym kierunku, spora czesc zorganizowanej przestepczosci miasta zostalaby bardzo zdeorganizowana, podobnie jak Vimes, jesli nie zdazylyby pasc na ziemie. Ale nie mogli na to pozwolic. Istnialy zasady siegajace glebiej niz prawo. A poza tym czterdziestostopowa dziura w scianie magazynu wymagalaby pewnych wyjasnien.

Chryzopraz siedzial na oszronionej skrzyni. Nawet w tlumie zawsze mozna bylo go rozpoznać. Nosil garnitury, kiedy niewiele trolli aspirowalo do czegos wiecej niz jakis strzep skorzanej przepaski. Nosil tez krawat z diamentowa spinka. A dzisiaj nawet narzucil na ramiona futro. Pewnie na pokaz, bo przeciez trolle lubia niskie temperatury. Szybciej potrafia myslec, kiedy ich mozgi stygna. Wlasnie dlatego Chryzopraz tutaj wyznaczyl spotkanie. No dobra, pomyslal Vimes, starajac sie opanowac szczekanie zebow; kiedy nastapi moja kolej, spotkamy sie w saunie.

–Pan Vimes! Milo, zes pan przyszedl – odezwal sie dobrodusznie Chryzopraz. – Ci dzentelmeni to szanowani ludzie interesu, moi znajomi. I pewnie potrafi pan dopasowac nazwiska do twarzy.

–Tak. Brekcja.

–No ale panie Vimes, przeciez pan wiesz, ze ona nie istnieje – oswiadczył niewinnie troll. – Tylko zbieramy sie razem, coby poprzez liczne akcje dobroczynne promowac w miescie interesy trolli. Mozna powiedziec, ze jestesmy przywodcami spolecznosci. Nie ma powodow, by tak brzydtko nas okreslac.

Przywodcy spolecznosci, myslal Vimes. Ostatnio wiele sie mowilo o przywodcach spolecznosci, jak na przyklad "przywodcy spolecznosci zaapelowali o spokoj" – tej frazy "Puls" uzywal tak czesto, ze drukarze pewnie zostawiali ja zlozona. Zastanawial sie czasem, kim oni sa i jak sie ich wyznacza, a takze czy "apelowanie o spokoj" nie oznacza mrugania i mowienia: "Nie uzywajcie tych blyszczacych nowych toporow bojowych, schowanych w tamtej szafie... Nie, nie tamtej, tej obok". Combergniot byl przywodca spolecznosci.

–Mowiles, ze chcesz ze mna porozmawiac sam na sam – rzucil i skinal w strone niewyraznych postaci. Niektore staraly sie ukrywac twarze.

–Tak jest. Ach, ci dzentelmeni za mna? Zaraz nas zostawia. – Chryzopraz machnal na nich reka. – Sa tu, cobys pan zrozumial, ze jeden troll, czyli panski szczerze oddany, mowi za wielu. A tez panski dzielny sierzant, a moj stary przyjaciel Detrytus, pewnie wyjdzie zapalic, zem zgadl? Ta rozmowa jest miedzy nami albo jej nie ma.

Vimes odwrocil sie i skinal na Detrytusa. Z wahaniem, rzuciwszy Chryzoprazowi grozne spojrzenie, sierzant sie wycofal. Tak samo jak trolle. Buty zachrzescily na szronie, a potem zatrzasnely sie wrota.

Vimes i Chryzopraz spogladali na siebie w doslownie lodowatej ciszy.

–Slyszes, jak dzwonia panu zeby – stwierdzil Chryzopraz. – To miejsce jest dobre dla trolla, ale w panu to ono zamrozi wszystko, co? Dlatego zem przyniosl to futro. – Zsunal je z ramion. – Jesteśmy tylko my dwa, nie?

Duma to jedna sprawa, ale nie czuc wlasnych palcow to calkiem inna. Vimes otulil sie pieknym, cieplym futrem.

–Dobrze. Nie ma co gadac z kims, komu zamarzyly uszy, nie? – Chryzopraz wyjal ogromna cygarnice. – Pierwsze: zem slyszal, ze jeden z moich chlopakow nie pokazal uszanowania. Zem slyszal, ze sugerowal, ze jestem takim trollem, co to chowa osobiste urazy, co to by reke podniosl na panska piekna dame i malucha, co tak pieknie rosnie. Czasami rozpacz mnie ogarnia, kiedy patrze na dzisiejsze mlode trolle. Nie maja szacunku. Nie maja stylu. Nie maja finezji. Jak pan chce nowy skalny ogrodek przed domem, wystarczy jedno slowo.

–Co? Dopilnuj tylko, zebym go wiecej nie ogladal – odparl krotko Vimes.

–To nie problem.

Troll wskazal ustawione za skrzynka nieduze pudlo, mniej wiecej stope na stope. Bylo o wiele za male, zeby pomiescic calego trolla.

Vimes staral sie je ignorowac, co nie bylo latwe.

–Tylko po to chciales mnie widziec?

Usilowal powstrzymac wyobraznie, by na wewnetrznych powierzchniach galek ocznych nie pokazywala mu amatorskich horrorow.

–Cygaro, panie Vimes? – Chryzopraz otworzyl cygarnice. – Te po lewej sa dobre dla ludzi. Najlepszy gatunek.

–Mam swoje. – Vimes wyjął z kieszeni pomietę pudełko. – O co chodzi? Mam mało czasu.

Chryzopraz zapalił cygaro. Zapachniało palona cyna.

–Tak, bardzo mało, bo ten krasnolud martwy – stwierdził, nie patrząc na Vimesa.

–I co?

–Nie troll to zrobił.

–Skąd wiesz?

Troll spojrział prosto na komendanta.

–Gdyby tak, to już bym się dowiedział. Zm zadawał pytania.

–My też.

–Ja zm zadawał głosniej. I dostawałem odpowiedzi. Dużo. Czasem dostaje odpowiedzi na pytania, co ich jeszcze nie zadalem.

Nie dziwie się, pomyślał Vimes. Ja muszę przestrzegać reguł.

–Dlaczego cię interesuje, kto zabił krasnoluda?

–Panie Vimes... Zm jest uczciwym obywatelem. Zainteresowanie to mój obywatelski obowiązek! – Chryzopraz obserwował twarz Vimesa, żeby sprawdzić, jak to działa. Wyszczepił żeby. – Cała ta gupia dolina Koom źle robi na interesy. Ludzie się denerwują, wtykają nosy, pytają. I ja też siedzę i się robię nerwowy. I nagle słyszę, że mój przyjaciel, pan Vimes, prowadzi sprawę, i tak sobie myślę, że ten pan Vimes bywa czasem bardzo nieczuły na nie-ansę trollowej kultury, ale jest prosty jak strzala i nie ma na nim much. On zobaczy, gdzie ten tak zwany troll zostawił po sobie swoją maczugę, i pewnie peka ze śmiechu, takie to przejrzyste jak szkło! Jakis krasnolud to zrobił i chce, żeby trolle źle wyglądały. Kuu Ee Dee. – Wyprostował się.

–Jaka maczugę? – zapytał cicho Vimes.

–Co?

–Nic nie mówiłem o maczudze. W azecie nic nie pisali o trollowej maczudze.

–Drogi panie Vimes, tak mówią te trawnikowe ozdoby.

–I krasnoludy mówią to tobie, co?

Troll w zamysleniu spojrzal w gore i dmuchnal dymem.

–W koncu tak... – powiedzial. – Ale to szczegol. Tak miedzy nami, tu i teraz. My rozumiemy te sprawy. To jasne jak cokolwiek, ze te powariowane krasnoludy sie pobily albo ten krasnolud umarl od tego, ze za dlugo byl zywy, albo...

–...albo zadales mu kilka pytan?

–To naprawde niepotrzebne, panie Vimes. Ta maczuga to tylko dla zmylki. Krasnoludy ja tam podlozily.

–Albo troll dokonal morderstwa, rzucil maczuge i uciekl – powiedzial Vimes. – Albo byl sprytny i pomyslal: Nikt nie uwierzy, zeby troll byl taki glupi i zostawil maczuge, wiec jesli ja zostawie, to wszystko bedzie na krasnoludy.

–Dobrze, ze tutaj tak zimno, bylbym calkiem nie nadazyl! – rozesmial sie Chryzopraz. – Ale wtedy ja pytam: Troll wlazi do gniazda tych paskudnych glebinowcow i zalatwia tylko jednego? A w zyciu... Przywalilby tylu, ilu by zdazyl, lups, lups!

Zauwazyl zdziwienie Vimesa i westchnal.

–Rozumiesz pan: troll, ktory tam wpadnie, to bedzie szalony troll. Wie pan, jak te dzieciaki sa nakrecone? Ludzie karmili ich historiami z honorem, chwala i przeznaczeniem, taki koprolit przezera mozg szybciej niz slab. A nawet szybciej niz spad. Z tego, co slyszalem, krasnolud oberwal fachowo, szybko i cicho. My tak nie robimy, panie Vimes. Gral pan w to, wie pan. Troll w srodku kupy krasnoludow to jak lis w tym... z tymi rzeczami ze skrzydlami, co znosza te rzeczy takie okragle...

–Lis w kurniku?

–A tu to jak... wie pan, futro, duze uszy...

–Krolik?

–Wlasnie. Walnac jednego i uciec? Troll na jednym nie skonczy, panie Vimes. To jak wy, ludzie, i fistaszki. Ta gra dobrze to pokazuje.

–Jaka to gra?

–Nigdy pan nie gral w lupsa? – Chryzopraz zdziwil sie wyraznie.

–Ach, to... Nie, nie lubie gier. A co do slabu, to przeciez ty prowadzisz najwiekszy kanal dostawczy. Tylko miedzy nami, tu i teraz.

–Nie, rzucam juz to wszystko. – Chryzopraz lekcewazaco machnal cygarem. –

Mozna powiedziec, zem zrozumial swoje bledy. Od tej chwili czyste zycie bez zbaczania na boki. Nieruchomosci i uslugi finansowe, to jest wlasciwa droga.

–Milo slyszec.

–Poza tym dzieciaki mi wchodza w interes – ciagnal troll. – Osadowe smiecie. Mieszaja slab ze zlymi siarczanami, doprawiaja chlorkiem zelazowym i innymi paskudztwami. Zes pan myslal, ze slab jest zly? No to niech pan sprawdzi spad. Po slabie troll idzie sobie, siada i gapi sie na te wszystkie sliczne kolory, cicho i spokojnie. Ale po spadzie czuje sie jak taki najsilniejszy, najmocniejszy troll na swiecie, spania mu nie trzeba, jedzenia mu nie trzeba... A po paru tygodniach zycia tez mu nie trzeba. To nie dla mnie.

–Sluszenie, po co zabijac klientow?

**–Niski cios, panie Vimes, bardzo niski. Nie, te nowe dzieciaki polowe czasu same laza na spadzie. Za duzo walk, za duzo braku szacunku. – Zmruzył oczy i pochylił się.
– Znam imiona i miejsca.**

–Wiec twoim obowiazkiem, jako uczciwego obywatela, jest powiedziec mi o nich – rzekl Vimes. Na bogow, za kogo on mnie bierze? Ale potrzebuje tych nazwisk. Z opisu sadzac, ten spad to straszne swinstwo. W tej chwili trolle w bitewnym szale sa nam potrzebne jak dziura w glowie, z ktora pewnie skonczymy.

–Nie moge powiedziec. To caly klopot. Pora nie jest dobra. Pan wie, co sie tam dzieje. Jak te glupie krasnoludy chca sie bic, to my potrzebujemy kazdego trolla. To wlasnie mowie. Powtarzam swoim: Dajmy szanse panu Vimesowi. Badzcie dobrzy obywatele, nie bujajcie pod lodzia. Ludzie ciagle jeszcze sluchaja mnie i moich... partnerow. Ale to juz nie za dlugo. Mam nadzieje, ze pan kierujesz ta sprawa, panie Vimes?

–Kapitan Marchewa prowadzi sledztwo.

Chryzopraz znowu zmruzył oczy.

–Marchewa Zelaznywladsson? Wielki krasnolud? Mily chlopak, bystry jak strumyk, ale powiem szczerze, dla trolli nie bedzie to dobrze wygladac.

–Dla krasnoludow tez nie wyglada dobrze, jesli juz o tym mowa. Ale to moja straz. Nikt mi nie bedzie mowil, kogo mam przydzielic do sprawy.

–Pan mu ufa?

–Tak!

–No dobra, on kombinuje, on błyskotliwy. Ale... Żelaznywładsson? Krasnoludzie imię. I to jest problem. A imię Vimes... Takie imię dużo znaczy. Nie da się przekupić, kiedyś aresztował Patrycjusza, nie najostrzejszy noż w szufladzie, ale uczciwy jak nie wiem co, i nie przestanie kopac. – Zauważył minę Vimesa. – Tak mówią. Chciałbym, żeby Vimes wziął się za tę sprawę, bo jest jak ja, chłopak z ulicy. I szybko wygrzebie prawdę. A jemu powiadam: Żaden troll tego nie zrobił, nie tak.

Nie myśl o tym, że gada ulicznym trollem, upominał sam siebie Vimes. Wydaje się porzadnym starym trollem. Ale to Chryzopraz. Wykurzył stąd gangsterów starej daty, którzy sami byli całkiem ostrymi gracjami, a Gildie Złodziei powstrzymuje jedną ręką. I to nawet nie siedząc w zaspie śnieżnej. Ale... nie najostrzejszy noż w szufladzie? No, dziękuję uprzejmie!

A kapitan Marchewa jest błyskotliwy, tak? Umysł Vimesa zawsze szukał powiązań i teraz podpowiedział:

–Kim jest pan Blysk?

Chryzopraz siedział absolutnie nieruchomo. Tylko smuzka zielonkawego dymu unosiła się spirala z czubka cygara. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił nietypowo dobroduszenie.

–On? Och, to taka historyjka dla dzieciaków. Jakby trollowa legenda z dalekich, przyszłych czasów*.

–Taki ludowy bohater?

–Cos w tym rodzaju, tak. Taka głupota, co to ludzie ja sobie opowiadają, kiedy czasy są trudne. Ale to taki błąd ognika, nieprawdziwy. To nowoczesne czasy.

I to chyba było wszystko.

Vimes wstał.

–No dobrze. Słyszałem, co mówiles – oświadczył. – A teraz muszę iść do pracy.

Chryzopraz zaciągnął się cygarem i strzepnął popiół na szron. Zaskwierczało.

–Pan wraca na komendę przez Kolejnego Zakretu?

–Nie, to całkiem nie... – Vimes urwał. W głosie trolla zabrzmiał cień sugestii.

–Niech pan przekaze wyrazy uszanowania tej damie obok cukierni.

–Tak zrobie, prawda? – odparł trochę zaskoczony Vimes. – Sierzancie!

Wrota na koncu hali otworzyły się z trzaskiem i wbiegł Detrytus z kusza gotowa do strzału. Vimes – świadom, że jedna z niewielu wad trolla jest niezdolność do rozumienia wszystkich implikacji terminu "bezpiecznik" – powstrzymał przerazające pragnienie, by rzucić się na ziemię.

–Idzie czas, kiedy wszyscy musimy wiedzieć, gdzie stoimy – mrucał Chryzopraz, jakby zwracał się do słuchającej widmowej wieprzowiny. – I kto stoi obok nas. – A kiedy Vimes szedł już do wyjścia, dodał jeszcze: – Daj pan futro swojej pani, panie Vimes. Z życzeniami ode mnie.

Vimes stanął jak wryty i spojrzał na płaszcz wiszący mu na ramionach. Uszyty był z jakiegoś srebrzystego futra, cudownie ciepłego, ale nie tak, jak wzbierająca w nim wściekłość. Prawie że wyszedł w tym płaszczu. Tak niewiele brakowało...

Strzasnął płaszcz z ramion i zwinął go w kule. Zapewne aby go uszyto, zginęło kilkadziesiąt rzadkich i piszczących zwierzątek. A teraz Vimes mógł dopilnować, by ich śmierć – w pewnym sensie – nie poszła na marne.

Cisnął zawiniątko w górę, krzyknął "Sierzancie!" i rzucił się na ziemię. Usłyszał szczęk kuszy, głos roju oszalałych pszczół, "brzdek, brzdek, brzdek!" – to odłamki strzał zmieniały krąg metalowego dachu w sito. Poczł zapach palonej sierści.

Wstał. Wokół niego opadało coś w rodzaju włochatego śniegu. Spojrzał na Chryzopraza.

–Proba przekupstwa funkcjonariusza straży to poważne przestępstwo – oświadczył.

Troll mrugnął.

–Uczciwy jak nie wiem co, tak im mówię. To była miła pogawędka, panie Vimes.

Kiedy byli już na zewnątrz, Vimes wciągnął Detrytusa do zaułka, o ile wciąganie trolla dokadkolwiek w ogóle było możliwe.

–Co wiesz o spadzie? – zapytał.

Trollowi błysnęły oczy.

–Zem słyszał plotki...

–Pojdziecie na Kopalni Melasy, sierzancie, i zbierzecie grupę uderzeniową. Potem ruszycie do alei Kolejnego Zakretu, za Szorami. Jest tam taki piekarz tortów weselnych, o ile pamiętam. Macie nosa do narkotyków. Powtykajcie go tu i tam.

–Tajest – odparł Detrytus. – Cos sie pan dowiedzial, sir?

–Powiedzmy tyle, ze szczerze probowano mnie przekonac o dobrych intencjach.

–To dobrze, sir. A kto sie szczerzyl?

–No... Ktos, kogo znamy, chce nam pokazac, jakim jest dobrym obywatelem. Bierz sie do tego.

Detrytus zarzucil sobie kusze na ramie, by latwiej ja przenosic, i poczlapal szybko przed siebie. Vimes oparl sie o mur. To bedzie dlugi dzien... A teraz...

Na murze, troche powyzej wysokosci glowy, jakis troll wyrysowal schematyczny obrazek diamentu. Latwo mozna bylo rozpoznać trollowe graffiti – robili je paznokciem i zawsze siegalo przynajmniej na cal gleboko w mur.

Obok diamentu wypisano BLYSK.

–Ehm... – odezwal sie cichy glos z jego kieszeni.

Vimes westchnal i ciagle wpatrujac sie w litery, siegnal po Gooseberry'ego.

–Tak?

–Mowiles, zeby ci nie przeszkadzac... – zaczal ostroznie chochlik.

–I co? Co masz mi do powiedzenia?

–Jest za jedenascie minut szosta, Wstaw Swoje Imie – oswiadczył chochlik zalekniony.

–Na bogow! Czemu nic nie mowiles?

–Bo powiedziales, ze mam ci nie przeszkadzac! – pisnal chochlik.

–Tak, ale nie... – Vimes urwal. Jedenascie minut. Nie dobiegnie na czas, nie o tej porze. – Szosta jest... wazna.

–Tego mi nie mowiles! – Chochlik zlapal sie za glowe. – Powiedziales tylko, zeby nie przerywac! Naprawde, naprawde bardzo mi przykro!

Zapominajac o Blysku, Vimes rozejrzal sie po okolicznych budynkach. Tutaj, gdzie dzielnica rzezni stykala sie z dokami, malo kto potrzebował sekarow, ale zauwazyl duza wieze semaforowa nad budynkiem dyrekcji dokow.

–Biegnij tam! – rozkazal, otwierajac pudelko. – Powiedz, ze przychodzisz ode mnie i

ze wiadomosc ma najwyzszy priorytet, jasne? Maja przekazac do Pseudopolis Yardu, skad wyruszam. Przekroczcie rzeke Bezprawnym Mostem i dalej pojde przez Dumy! W Yardzie beda wiedzieli, o co chodzi! Biegnij!

Chochlik natychmiast przeskoczył od rozpaczy do entuzjazmu.

–Tak jest! Zintegrowana Usługa Komunikacyjna Bluenose(TM) nie zawiedzie cie, Wstaw Swoje Imie! Natychmiast przeprowadze polaczenie!

Zeskoczył i zmienil sie w znikajaca zielona smuge.

Vimes zbiegl na nabrzeze i ruszył wzdłuż rzeki, mijając statki. W dokach zawsze był tłok, a droga przypominala tor przeszkod z belami, linami i stosami skrzyn, i z kłotniami co piec szani. Ale Vimes był urodzonym biegaczem i znalazł wszystkie sposoby pozwalające poruszac się po zatoczonych ulicach miasta. Pochylał się, przeskakiwał, kluczył i wymijał, a w razie konieczności przepychał. Potknął się o line, przetoczył i wstał. Zderzył się z dokerem, powalił go jednym ciosem i popędził dalej, na wypadek gdyby tamten miał w pobliżu kumpli.

To było ważne...

Z Malpatej wyjechała Isniaca czterokonna karoca; z tyłu stało dwóch lokajów. Vimes przyspieszył w rozpaczliwym zrywie, złapał uchwyt, podciągnął się między nimi, wpełził na rozkolysany dach i zeskoczył na kozioł obok młodego woznicy.

–Straz Miejska! – oznajmił i błysnął odznaka. – Jedz prosto!

–Ale powinienem przeciez skrecic w lewo na... – zaczął młody człowiek.

–I zakrec no batem, jesli mozna – przerwał mu Vimes. – To ważne!

–Ach, jasne! Przerazający pościg z najwyższą prędkością? – U woznicy wzbierał entuzjazm. – Pewno! Do tego się nadam! Trafił pan na właściwego człowieka, sir! Wie pan, potrafie przejechać tą karocą dwadzieścia piec szani na dwóch kolach! Tylko starsza panna Robinson mi nie pozwala. Prawa strona czy lewa, proszę tylko powiedziec słowo! Heja! Heja!

–Posłuchaj, wystarczy... – zaczął Vimes, gdy bat strzelił mu nad głową.

–Oczywiście, prawdziwa sztuka to zmusić konie do biegu na dwóch nogach. Właściwie to raczej podskakują, można powiedziec – ciągnął woznica. Odwrócił czapkę na głowie, by do minimum zmniejszyć opór powietrza. – Chce pan zobaczyc pełny zwrot?

–Niespecjalnie. – Vimes patrzył prosto przed siebie.

–Spod kopyt mniej strzelaja iskry, powaznie. Heja!

Pejzaz sie rozmywal. Przed nimi byl przejazd na Dok Dwuipolkwartowy. Zwykle prowadzil tam zwodzony most... Zwykle.

W tej chwili byl podniesiony. Vimes widzial maszty statku odnotowywanego od nabrzeza na rzeke.

–Prosze sie tym nie przejmowac, sir! – krzyknal woznica. – Przejedziemy nabrzezem i przeskoczmy!

–Nie da sie skoczyc czterokonnym powozem nad dwumasztowcem!

–Na pewno sie da, jesli wymierzyc miedzy maszty! Heja! Heja!

Przed karoca przechodnie rozbiegali sie na boki. Z tylu lokaje zaczeli sobie szukac innego zajecia. Vimes pchnal chlopaka na bok, porwal lejce, oparl obie stopy o dzwignie hamulca i szarpnal.

Kola sie zablokowaly. Konie zaczely skrecac. Karoca wpadla w poslizg, zelazne obrecze kol wyslaly strumienie iskier, chrapliwie zazgrzytal metal. Konie skrecily jeszcze kawalek. Karoca sunela dalej, ciagnac je za soba, krecac jak wierzchowcami w wesolym miasteczku. Ich kopyta kreslily na bruku ogniste smugi. W tym momencie Vimes puscil wszystko, jedna reka chwycil siedzenie od spodu, druga zlapal porecz, zamknal oczy i czekal, az ucichnie halas.

I na szczescie ucichl. Rozbrzmiewal jeszcze tylko jeden cichy dzwiek, zirytowane stukanie o dach karocy, powodowane zapewne przez laske. Dal sie slyszec gderliwy, starczy damski glos:

–Johnny? Znowu jechales za szybko, mlodziencze?

–Zwrot przemytnika... – szepnal Johnny, spogladajac na zaprzeg czterech parujacych koni, skierowanych teraz w strone, skad przyjechaly. – Jestem pod wzrazeniem...

Odwrocil sie do Vimesa, ktorego juz tam nie bylo.

Ludzie holujacy statek rzucili liny i rozbiegli sie na widok karocy z zaprzegiem sunacej droga w ich strone. Wyjscie z doku bylo waskie. Czlowiek latwo mogli wdrapac sie po linie na poklad, przebiec do drugiej burty i zjechać na bruk po przeciwnej stronie. I wlasnie to czlowiek zrobil...

Biegnacy Vimes widzial, ze Bezprawny Most bedzie problemem. Przeladowany woz z sianem zaklinowal sie miedzy szopami, ktore staly po obu stronach, zerwal czyjes

pieterko i równocześnie zgubił część ładunku. Trwała kłotnia między furmanem a niewzruszonym właścicielem nowego bungalowu. Cenne sekundy minęły na przeciskaniu się nad i przez bele siana, aż wreszcie Vimes znowu biegł obok czekających wozów na przeciwny koniec mostu. Przed sobą widział szeroką arterię, znaną jako Dumy, zastawioną pojazdami i cały czas prowadząca pod górę.

Nie uda się... Na pewno minęła już za piec szosta...

Sama myśl o tym, wspomnienie malej buzi...

–Panie Vimes!

Obejrzał się. Dylizans pocztowy właśnie wyjechał za nim na drogę i zbliżał się truchtem. Marchewa siedział obok woznicy i machał do niego gorączkowo.

–Proszę na stopień, sir! – krzyknął. – Nie ma pan dużo czasu!

Vimes raz jeszcze ruszył biegiem, a kiedy dylizans go dogonił, wskoczył na schodek przy drzwiach i chwycił się mocno.

–Czy to nie pocztowy do Quirmu?! – zawołał, gdy woznica popędził konie do klusa.

–Zgadza się, sir! – potwierdził Marchewa. – Wyjaśniłem, że chodzi o sprawę najwyższej wagi.

Vimes wzmocnił uchwyt. Dylizanse miały zawsze dobre konie. Szprychy koł, niezbyt od niego odległe, już teraz rozmazywały się od prędkości.

–Jak się tu dostaliście tak szybko?! – wrzasnął.

–Skrotem przez Aptekarskie Ogrody, sir!

–Co? Ta ścieżka nad rzeką? Przecież jest za wąska na taki powóz!

–Trochę było ciasno, sir, rzeczywiście. Zrobiło się łatwiej, kiedy ścięło nam lampy!

Vimes przyjrzał się, w jakim stanie jest burta dylizansu. Na całej długości miała zdarta farbę.

–Dobrze! – krzyknął. – Powiedz woznicy, że pokryje koszty, oczywiście! Ale to na nic, Marchewa! O tej porze aleja Parkowa jest zablokowana na glucho!

–Proszę się nie martwić, sir! Na pańskim miejscu bym się mocno trzymał, sir!

Vimes usłyszał strzał z bata. To był prawdziwy pocztowy dylizans – worki z pocztą nie dbają o wygodę. Czuł przyspieszenie.

Aleja Parkowa jest już niedaleko. Vimes niewiele widział, gdyż oczy mu łzawiły od pyłu powietrza, ale przed dyliżansem znajdował się jeden z najpopularniejszych korbów miasta. O każdej porze dnia wyglądał fatalnie, lecz wieczorami stawał się wyjątkowo straszny, a to dzięki zakorzenionemu w Ankh-Morpork przekonaniu, że pierwszeństwo jest przywilejem najcięższego pojazdu albo najbardziej bojowego woznicy. Drobne stłuczki zdarzały się bez przerwy, prowadząc nieodmiennie do blokady przejazdu przez oba powozy, gdy woznicy zeskakiwali z korbów i przystępowali do dyskusji na tematy bezpieczeństwa ruchu drogowego z odwołaniami do pierwszej broni, jaka wpadła im w ręce. I właśnie w ten maelstrom przeciskających się koni, przebiegających pieszych i przeklinających wozniców pedził dyliżans pocztowy, najwyraźniej w pełnym galopie.

Vimes zamknął oczy, ale po chwili – słysząc zmianę dźwięku kół – zaryzykował uchylenie powiek.

Dyliżans przemknął skrzyżowaniem. Vimes przez moment widział ogromną kolejkę, wściekłą i krzyczącą na parę nieruchomych funkcjonariuszy trolli. Potem pedzili już dalej, do alei Scoone'a.

–Zamknąłeś ulicę? Zamknąłeś ulicę! – wrzasnął, przekrzykując wiatr.

–I Królewska Droga także, sir! Na wszelki wypadek! – zawołał Marchewa.

–Zablokowałeś dwie główne trasy? Dwie piekielne trasy? W godzinie szczytu?

–Tak, sir! To był jedyny sposób!

Vimes wisiał u drzwiczek oniemiały. Czy on sam by się na to odważył? To właśnie cały Marchewa – mieli problem, a teraz już go nie było. Owszem, w tej chwili całe miasto jest zablokowane wozami, ale to już całkiem inny problem.

Dotrze do domu na czas. Czy jedna minuta miałaby znaczenie? Zapewne nie, chociaż zdawało się czasem, że Młody Sam dysponuje bardzo dokładnym wewnętrznym zegarem. Może i dwie minuty nie zaszkodzą. Nawet trzy. Niewykluczone, że można to przeciągnąć do pięciu. Ale to już koniec. Jeśli można dojść do pięciu minut, to można i do dziesięciu, potem do pół godziny, do kilku godzin... i nie zobaczyc syna przez cały wieczór. Tak że już nie dłużej. Punktualnie o szóstej. Codziennie. Czytać Młodemu Samowi. Żadnych usprawiedliwień. Absolutnie żadnych. Kiedy człowiek ma jakieś dobre usprawiedliwienie, otwiera drzwi złym usprawiedliwieniom.

Miał koszmary o tym, że się spóźnia.

Miał wiele koszmarów dotyczących Młodego Sama. Zawierały puste łozeczka i ciemność.

To było za... za dobre. W ciągu kilku krótkich lat on, Sam Vimes, wznosił się do góry niczym balon. Został diukiem, komendantem Straży Miejskiej, miał władzę, był mężem kobiety, na której współczucie, miłość i zrozumienie nie zasługiwał, na dodatek był też bogaty jak Kreozot. Fortuna sypała szczęściem, a on okazał się człowiekiem z wielką chochlą. I wszystko to wydarzyło się tak szybko...

A potem pojawił się Młody Sam. Z początku wszystko układało się świetnie. Niemowlak był... no, jak niemowlak: bezwładna głowa, odbijanie po jedzeniu, niezogniskowany wzrok, całkowite uzależnienie od matki. Aż nagle, pewnego dnia, syn odwrócił się i spojrzał wprost na Vimesa oczami, które dla ojca błyszczały mocniej niż wszystkie latarnie świata. I w życiu Sama Vimesa potężna fala wlała się trwoga. Cała ta radość, całe szczęście... Z pewnością wszechświat nie może pozwolić, by tyle dobrego spotkało jednego człowieka; z pewnością przedstawi mu rachunek. Gdzieś tam wzbiera ogromna ciemna fala, a kiedy załamie się nad jego głowę, porwie wszystko. W niektóre dni był pewien, że słyszy jej odległy ryk.

Wykrzykując niezborne podziękowania, zeskoczył, gdy tylko konie zwolniły, zamachał rękami, by utrzymać równowagę, i ostro skrecił na podjazd. Drzwi frontowe otwierały się już, gdy pedził ku nim, wyrzucając spod butów zwir; w progu stał Willikins i trzymał w ręku książkę. Vimes porwał ją i pognał schodami w górę w chwili, kiedy na mieście zegary zaczęły wybijać różne przybliżenia godziny szóstej.

Sybil twardo się upierała, że nie potrzebują opiekunki. Vimes przynajmniej ten jeden raz jeszcze bardziej się upierał, że potrzebują, a także jakieś dziewczyny na główną jaskiniową, która zajmie się rodowodowymi smokami w zagrodach. W końcu człowiek nie może sam robić wszystkiego.

Wygrał. Kiedy wpadł do pokoju, Purity – która wydawała się porządna dziewczyna – właśnie kończyła układać Młodego Sama w łóżeczku. Zdążyła zareagować mniej więcej jedną trzecią dygu, nim zauważyła jego zbolalą minę i przypomniała sobie zeszlotygodniowy, zaimprovizowany wykład o prawach człowieka. Wybiegła pośpiesznie. To ważne, by nie było tu nikogo innego. Ten moment w czasie zarezerwowany był wyłącznie dla Samów.

Młody Sam podciągnął się o poręcz łóżeczka i powiedział:

–Da!

Słowo zabrzmiało miękko.

Vimes pogładził syna po włosach. Właściwie to zabawne. Cały dzień wrzeszczał, krzyczał, mówił i ryczał – a tutaj, w tej spokojnej chwili, pachnącej (dzięki Purity) mydłem, nigdy nie wiedział, co powiedzieć. W towarzystwie czternastomiesięcznego dziecka słowa wiewły mu w gardle. Wszystko, co przychodziło mu do głowy – w stylu

"No i gdzie jest tatusiowy synus?" – brzmiało przerażająco fałszywie, jakby uczył się takich zdań z podręcznika. Nie miał nic do powiedzenia ani też – w tym cichym, pastelowym pokoju – niczego mówić nie musiał.

Cos steknelo pod lożeczką – drzemal tam Sliniak, smok. Bardzo stary, całkiem bez ognia, z wystrzepionymi skrzydłami i bezzębnym, codziennie wspinał się po schodach i obejmował swój posterunek. Nikt nie wiedział dlaczego. Pogwizdywał cicho przez sen.

Szczesliwa cisza otuliła Vimesa, ale nie mogła trwać długo. Musiał przedsięwziąć Czytanie Książki z Obrazkami. Taki był sens godziny szóstej.

To była wciąż ta sama książeczka, każdego dnia. Stronice rzeczony książki stały się zaokrąglone i miękkie w miejscach, gdzie Młody Sam je przewrócił, ale dla jednej osoby w tym pokoju stanowiła ona księgę ksiąg, najwspanialszą historię, jaką opowiedziała ludzkość. Vimes nie musiał już czytać – znał ją na pamięć.

Miała tytuł: "Gdzie jest moja krowka?".

Niezidentyfikowany skarżący zgubił gdzieś krowę. I to właściwie cała historia.

Pierwsza strona zaczynała się obiecująco.

Gdzie jest moja krowka?

Czy to moja krowka?

Mówi "Beee!".

To owieczka!

To nie moja krowka!

Potem autor zaczynał mierzyc się z materia opowieści.

Gdzie jest moja krowka?

Czy to moja krowka?

Mówi "haha!".

To konik!

To nie moja krowka!

W tym momencie autor osiągał stan twórczej agonii i zaczynał pisać z udreconych

glebi własnej duszy.

Gdzie jest moja krowka?

Czy to moja krowka?

Mowi "Hruumgh!".

To hipopotam!

To nie moja krowka!

To był dobry wieczor. Młody Sam uśmiechał się już szeroko i gaworzył wraz z postaciami fabuły.

W końcu krowka zostanie znaleziona. Tylko to mogło porwać czytelnika. Oczywiście, pewnie napięcie wzmagali fakt, że wszystkie pozostałe zwierzęta przedstawiono w sposób, który mogłyby prawdopodobnie zmylić kociaka dorastającego w ciemnym pokoju. Kon stał przed wieszakiem na kapelusze, jak przecież często robią konie, a hipopotam jadł ze złości, o który stały oparte odwrócone widły. Oglądany z niewłaściwego kąta, mógł przez sekundy przypominać krowę...

Ale Młody Sam ją uwielbiał. Była to chyba najbardziej ulubiona książka na świecie.

Niepokoili jednak Vimesa, chociaż naprawdę dobrze oddawał dźwięki i w swej prezentacji "Hrumgh!" mogłyby zmierzyć się z każdym. Ale czy to książka odpowiednia dla miejskiego dziecka? Kiedy Młody Sam w ogóle usłyszy takie odgłosy? W mieście jedynym dźwiękiem wydawanym przez wymienione zwierzęta było skwierczenie. Jednakże pokój dziecienny pełen był dowodów powszechnego spisku – zewsząd spoglądały beee-owieczki, pluszowe misie i puchate kaczuski.

Pewnego wieczoru, po ciężkim dniu, wypróbował Vimesowska wersję uliczną:

Gdzie jest mój tatuś?

Czy to jest mój tatuś?

Mowi "Demoniszczko! Tysiącletnia wskazówka i krewetki!".

To Paskudny Stary Ron!

To nie mój tatuś!

Szło całkiem dobrze, gdy nagle Vimes usłyszał znaczące ciche chrzasknięcie od drzwi, gdzie stała Sybil. Następnego dnia Młody Sam, z bezbłędnym dziecięcym

wyczuciem takich kwestii, powiedział do Purity "demoisce". I to był koniec, chociaż Sybil nigdy nie poruszała tego tematu, nawet gdy byli sami. Od tego dnia Sam trzymał się ściśle wersji autoryzowanej.

Wyrecytował ją dzisiaj, gdy wiatr stukal okiennicami, a mały świat dziecięcego pokoju – ze swym różowo-niebieskim spokojem, ze stworzonkami, które były bardzo miękkie, kudłate i puszyste – zdawał się obejmować ich obu. Na zegarze mała welnista owieczka hustała się, odmierzając sekundy.

Ocknął się w półmroku, z postrzępionymi pasmami mrocznych snów wciąż wypełniającymi umysł. Patrzył wokół, nic nie rozumiejąc. Ogarnęła go panika. Co to za miejsce? Skąd się tu wzięły te wszystkie usmiechnięte zwierzęta? Co leży mu na stopie? Kto zadaje te pytania i dlaczego jest przykryty niebieskim kocem w kaczuszki?

A potem napłynęły błogosławione wspomnienia. Młody Sam spał mocno, tuląc do siebie helm Vimesa jak pluszowego misia. Sliniak, zawsze szukający ciepłego miejsca do drzemki, oparł głowę na Vimesowym bucie – skóra pokrywała już lepka ślina.

Vimes ostrożnie zabrał synowi helm, otulił się kocykiem i zwlekł na dół, do głównego holu. Zobaczył światło pod drzwiami do biblioteki, więc pchnął je, ciągle jeszcze trochę zamroczony.

Dwoje strażników wstało natychmiast. Sybil odwróciła się na fotelu przed kominkiem. Vimes poczuł, że kaczuszki wolno zsuwają mu się z ramion i kończą w kłębku na podłodze.

–Pozwoliłam ci spać, Sam – oświadczyła lady Sybil. – Dzisiaj rano wróciłeś dopiero o trzeciej...

–Wszyscy mają podwójną służbę, moja droga – odparł, wzrokiem rzucając Marchewie i Sally wyzwanie, by choćby pomyśleli o zdradzeniu komukolwiek, że widzieli szefa owiniętego niebieskim kocykiem w kaczuszki. – Muszę dawać dobry przykład.

–Jestem pewna, że próbujesz, Sam, ale wyglądasz raczej jak przerażające ostrzeżenie. Kiedy ostatnio jadłeś?

–Zjadłem kanapkę z sałatą, pomidorem i bekonem, moja droga – odparł, próbując tonem zasugerować, że bekon był tylko dodatkiem, a nie grubym plastrem, ledwie przykrytym kromką chleba.

–Tak, zjadłeś – rzekła Sybil, nieco wyraźniej wyrażając tonem fakt, że nie wierzy w ani jedno słowo. – Kapitan Marchewa chce ci coś przekazać. Siadajcie, a ja sprawdzę, co się stało z kolacją.

Wyszła energicznym krokiem, a Vimes spojrzal na swych podwladnych i przez moment sie zastanawial, czy nie usmiechnac sie z zaklopotaniem i nie przewrocic oczami, co miedzy mezczyznami oznacza zwykle "Ech, te kobiety". Zrezygnowal jednak, poniewaz grupa podwladnych skladala sie z mlodszej funkcjonariusz Humpeding, ktora uznalaby go za durnia, oraz kapitana Marchewa, ktory by nie zrozumial, o co chodzi.

Ograniczyl sie zatem do:

–No wiec?

–Zrobilismy, co bylo mozna, sir – rzekl Marchewa. – Mialem racje. Ta kopalnia jest bardzo nieszczesliwym miejscem.

–Miejsca zbrodni zwykle takie sa, to prawda.

–Szczерze mowiac, nie sadze, zebysmy odnalezli miejsce zbrodni, sir.

–Nie widzieliscie ciala?

–Widzielismy, sir. Tak mysle. Doprawdy, sir, powinien pan tam byc...

–Chyba tego nie wytrzymam – syknela Angua, kiedy znów szli Melasowa.

–A o co chodzi? – spytal Marchewa.

Angua wskazala kciukiem ponad ramieniem.

–O nia. Wampiry i wilkolaki to zle towarzystwo.

–Przeciez jest czarnowstazkowcem – zaprotestowal delikatnie Marchewa. – Na pewno nie...

–Ona nie musi niczego robic! Ona po prostu jest! Dla kogos z nas przebywac w poblizu wampira to jak przezywac dzien, kiedy wlosy calkiem cie nie sluchaja. A wierz mi, wilkolaki wiedza, na czym to polega.

–Zapach?

–Nie jest dobry, ale chodzi o cos wiecej. Jest taka... opanowana. Taka perfekcyjna. Podchodze do niej i czuje sie... zarosnieta. Nic nie poradze, to siega tysiecy lat w przeszlosc! Chodzi o wizerunek. Wampiry zawsze sa takie rozluznione, takie zrownowane, gdy tymczasem wilkolaki to tepe zwierzeta. Petaki.

–Przecież to nieprawda! Wielu czarnowstazkowcow to totalni neurotycy. A ty jesteś taka wrażliwa, dobrze wychowana i...

–Nie wtedy, kiedy znajdzie się przy wampirach. One coś we mnie uwalniają! Możesz przestać być w tej kwestii logiczny, co? Nie cierpie, kiedy jesteś w stosunku do mnie logiczny! Dlaczego pan Vimes ustąpił? Dobrze, dobrze, panuje nad tym. Ale jest mi ciężko i tyle.

–Jestem pewien, że jej także nie jest łatwo... – zaczął Marchewa.

Angua rzuciła mu Spojrzenie. Cały on, uznała. On naprawdę tak myśli. Tylko że nie rozumie, kiedy powiedzenie czegoś takiego jest naprawdę fatalnym pomysłem. Nie jest jej łatwo? A mnie kiedyś było? Ona przynajmniej nie musi chować ubrań na zmianę po całym mieście! Pewnie, przejście na zimnego nietoperza nie jest przyjemne, ale my zaliczamy zimnego nietoperza co miesiąc! A kiedy w ogóle może rozerwać jakieś gardło? Poluje na kury! I jeszcze z gory za nie płace. Czy ona cierpi na ZNPT? Nie wydaje mi się! Bogowie, już przecież sporo po pierwszej kwadrze i czuje, jak rośnie mi sierść! Przeklęte wampiry! Tyle robią zamieszania z tego, że nie są już morderczymi krwiopijcami! I zdobywają ogólną sympatię! Nawet jego!

Wszystko to przemknęło jej przez myśli w jednej sekundzie, ale powiedziała:

–Zejdźmy tam na dół, załatwmy sprawę i wyjdźmy, co?

W pobliżu wejścia wciąż tkwił tłum gapiów. Wśród nich krążył Otto Chriek, który powitał Marchewę lekkim wzruszeniem ramion.

Wartownicy stali na posterunku, lecz było jasne, że ktoś już z nimi porozmawiał. Kiwnęli głowami trójce nowo przybyłych, a jeden nawet bardzo grzecznie otworzył przed nimi drzwi.

Marchewa skinął na obie strażniczki.

–Wszystko, co tu powiemy, będzie podsłuchane, jasne? – uprzedził. – Wszystko. Więc bądźcie ostrożne. I pamiętajcie, jeśli o nich chodzi, to w ciemności nic nie widzicie.

Wprowadził je do środka. Za progiem czekał Helmutluk, rozpromieniony i zdenerwowany.

–Witaj, Lupaczu Głowa – powiedział.

–Ehm... Jeśli mówimy po morporsku, wolalbym kapitan Marchewa – odparł Marchewa.

–Jak sobie zyczysz, wytapiaczu – zgodzil sie krasnolud. – Winda juz czeka.

Po chwili jechali juz w dol.

–Co ja napedza, jesli wolno spytac?

–Mechanizm – odparl Helmutluk. Duma pokonala jego zdenerwowanie.

–Naprawde? Duzo tu macie mechanizmow?

–Piaste i sztabe sredniujaca.

–Sztaba sredniujaca? Nigdy takiej nie widzialem, tylko o nich slyszalem.

–Mamy szczescie. Z radoscia ci pokaze. Jest nieoceniona przy szykowaniu jedzenia – paplal Helmutluk. – A w dole mamy tez troche szescianow o roznej mocy. Niczego nie wolno ukrywac przed wytapiaczem. Nakazano mi pokazac ci wszystko, co zechcesz zobaczyc, i wyjawic wszystko, co chcesz wiedziec.

–Dzikuje – rzekl Marchewa, gdy winda zatrzymala sie w czerni rozjasnianej tylko trupim lsnieniem vurmow. – Jak rozlegle sa tutaj wasze chodniki?

–Tego ci powiedziec nie moge – odparl szybko Helmutluk. – Nie wiem. Ach, jest Twardziec. Wroce na gore...

–Nie, Helmuduku, zostan z nami, prosze – odezwal sie ciemniejszy cien w mroku. – Ty rowniez powinienes to zobaczyc. Witam, kapitanie Marchewa i was... – Angua wyczula pewien element niesmaku -... panie. Prosze za mna. Przepraszam za brak swiatla. Byc moze, oczy wam sie przyzwyczajaja. Z przyjemnoscia opisze wam kazdy obiekt, ktorego dotkniecie. A teraz poprowadze was do miejsca, gdzie to straszne zdarzenie... sie zdarzylo.

Gdy szli, Angua rozgladala sie w tunelu. Zauwazyla, ze Marchewa musi w marszu uginac lekko kolana.

Lupacz Glowa, co? Zabawne, ze nigdy nie wspominasz o tym chlopakom...

Mniej wiecej co piec sazni Twardziec zatrzymywal sie przed okraglymi drzwiami, nieodmiennie otoczonymi przez vurmy, i przekrecal kolo. Drzwi skrzypialy i otwieraly sie z powolnoscia sugerujaca wielki ciezar. Tu i tam w tunelach mijali... mechaniczne obiekty wiszace na scianach najwyrazniej w jakims celu. Wokol nich swiecily vurmy. Nie miala pojecia, do czego te obiekty sluza, ale Marchewa przygladal sie im z entuzjastyczna radoscia, jak uczniak.

–Macie tu dzwony powietrzne i wodne buty, panie Twardziec! Dotad tylko o nich

slyszalem!

–Wychowywal sie pan w porzadnych skalach Miedzianki, kapitanie, prawda? Kopanie na tej podmoklej rowninie przypomina wiercenie tuneli w morzu.

–A te zelazne drzwi sa wodoszczelne, prawda?

–Tak, rzeczywiscie. Wodoszczelne takze.

–Zadziwiajace! Bardzo chcialbym znnow odwiedzić to miejsce, kiedy już skończy się ta paskudna sprawa. Krasnoludzia kopalnia pod miastem? Nie tak łatwo uwierzyć!

–Jestem przekonany, że uda się to zorganizować, kapitanie.

Tak właśnie pracował Marchewa. Potrafił mówić tonem tak niewinnym, tak przyjaznym, tak... głupim, w stylu szczeniaka, a potem nagle zmieniał się w wielki blok stali i człowiek na niego wpadał. Sądząc po zapachu, Sally obserwowała go z zaciekawieniem.

Badz rozsądna, tłumaczyła sobie Angua. Nie pozwól, żeby wampir wyprowadził cię z równowagi. Nie zaczynaj wierzyć, że jesteś głupia i owłosiona. Myśl jasno. Przecież masz mózg.

Ludzie chyba dostają obłędu, żyjąc w tym mroku... Angua odkryła, że jest łatwiej, jeśli zamknąć oczy. Tu, w dole, nos działał lepiej, jeśli nic nie odwracało jej uwagi. Przy zamkniętych oczach przez jej mózg wolno tancyły słabe kolory. Jednak bez smrodu tego przekletego wampira mogłaby wykryć więcej. Skazał każde wrażenie.

Nie, czekaj, nie myśl w ten sposób, pozwalasz, żeby umysł myślał za ciebie... nie, coś nie tak...

W kacie następnej komory, całkiem sporej, zauważyła słaby kontur. Wyglądał jak... jak kontur. Kredowy. Lśniący kredowy kontur.

–Jak rozumiem, to przyjęta metoda – wyjaśnił Twardziec. – Wie pan z pewnością o nocnej kredzie, kapitanie? Robi się ją ze sproszkowanych wurmów. Lśnienie trwa mniej więcej dzień. Na podłodze tutaj zobaczycie, a raczej wyczujecie maczugę, która zadano śmiertelny cios. Prosto pod pana rękę, kapitanie. Jest na niej krew. Przykro mi z powodu tej ciemności, ale nie dopuszczaliśmy tu wurmów. Zaczęłyby się żywić, rozumie pan.

Angua zobaczyła, jak Marchewa – wyrysowany permanentnym zapachem mydła – wymacuje sobie drogę przez komore. Jego ręka trafiła na kolejne metalowe drzwi.

–Dokąd one prowadzą, drogi panie? – zapytał, stukając w nie palcem.

–Do innych pomieszczen.

–Czy byly otwarte, kiedy troll zaatakowal graga?

Naprawde zakladasz, ze troll to zrobil? – zastanowila sie Angua.

–Mysle, ze tak – uznal Twardziec.

–W takim razie chcialbym otworzyc je i teraz, prosze.

–Nie moze sie zgodzic na te prosbe, kapitanie.

–To nie miala byc prosba, panie Twardziec. Po ich otworzeniu chce wiedziec, kto byl w kopalni w chwili, kiedy wdarl sie tu troll. Chce z nimi porozmawiac. A takze z tym, kto odkryl zwloki. Hara'g, j'kargra.

Dla Angui zapach Twardzca pod licznymi warstwami odziezy sie zmienil. Krasnoluda ogarnela niepewnosc. Sam sie w to wpakowal... Teraz wahal sie przez kilka sekund, nim odpowiedzial:

–Postaram sie spelnic twoja pro... zadanie, wytapiaczu. Teraz cie opuszczę. Chodzmy, Helmutluk.

–Grz dava'j? – odezwal sie Marchewa. – K'zakra'j? D'j h'ragna ra'd'j!

Twardziec sie zblizyl; jego niepewnosc rosla. Wyciagnal przed siebie rece dlonmi w dol. Przez moment, nim rekaw sie zsunal, Angua zauwazyla na prawym przegubie jasnijacy slabo symbol. Kazdy glebinowiec nosil draht jako osobisty dowod tozsamosci w tym swiecie zaslonietych postaci. Slyszała, ze wykonuja je metoda tatuazu krwia vurmow. Zapewne bylo to dosc bolesne.

Marchewa ujal na moment jego rece, po czym je wypuscil.

–Dziekuje – powiedzial, jakby to krasnoludzie interludium w ogole nie mialo miejsca.

Oba krasnoludy odeszly spiesznie.

Straznicy zostali sami w glebokim mroku.

–O co w tym chodzilo? – spytala Angua.

–Chcialem tylko dodac mu otuchy – odparl z satysfakcja Marchewa. Siegnal do kieszeni. – Teraz, kiedy juz dotarlismy na miejsce, przyda nam sie troche swiatla, prawda?

Angua wyczula, ze jego reka przesuwala sie energicznie po scianie raz i drugi, jakby

cos malował. Uniosł się aromat... wieprzowiny?

–Zaraz będzie widniej – stwierdził.

–Kapitanie Marchewa, to nie jest... – zaczęła Sally.

–Wszystko w swoim czasie, młodsza funkcjonariusz – przerwał jej stanowczo. – Na razie tylko obserwujcie.

–Ale muszę powiedzieć...

–Później, młodsza funkcjonariusz – rzekł Marchewa odrobine głośnie. Vurmy płynęły przez otwarte drzwi, przez które tu weszli, i ponad kamieniem. – A przy okazji, Sally... czy nie będzie ci przeszkadzać, jeśli obejrzymy ciało?

Pewno, pomyślała Angua; troszcz się o nią. Ja codziennie mam do czynienia z krwią. Spróbuj przejść miłe z moją wrażliwością na zapachy!

–Stara krew to nie problem, sir – zapewniła Sally. – I jest jej tu trochę. Ale...

–Przypuszczam, że zorganizowali kostnicę – powiedział szybko Marchewa. – Rytuały śmierci są dość skomplikowane.

Kostnica? Dla ciebie to jak dom z dala od domu, moja droga, warknął wewnętrzny wilk Angui.

Vurmy rozprzestrzeniały się, wyraźnie celowo pelzły po ścianie...

Przykucnęła, by zbliżyć nos do podłogi. Wyczuwam krasnoludy, dużo krasnoludów, myślała. Trudno wywachać trolle, zwłaszcza pod ziemią. Krew na maczudze niczym kwiat. Krasnoludzi zapach na maczudze, ale krasnoludzi zapach jest wszędzie... Wyczuwam... Zaraz, to coś znajomego...

Podłoga pachniała głównie mulem i łem. Wyróżniały się odciski stop Marchewy, a także jej. Było dużo zapachu krasnoludów i nadal potrafiła słabo wyczuć ich niepokój. Czy zatem tutaj znaleźli ciało? Ale ta plama błota, o tam, jest inna. Została wdeptana w podłogę, lecz pachniała całkiem jak ciężka glina z okolic alei Kamieniólomów. Kto mieszkał przy alei Kamieniólomów? Głównie trolle...

Ślad.

Uśmiechnęła się w szarzejącym wolno mroku. A cały kłopot ze śladami, jak mawia często pan Vimes, polega na tym, że tak łatwo je zostawić. Kilkanastu takich łobuzów można spokojnie nosić w kieszeni.

Ciemność odpływała, ponieważ światło było mocniejsze. Angua uniosła głowę.

Wielki, jasny symbol jarzył się na ścianie w miejscu, gdzie wcześniej dotykał jej Marchewa. Przejechał po niej miesem, pomyślała. I przybyły na ucztę...

Wrocil Twardziec, z włokacym się z tyłu Helmutlukiem.

Dotarł aż do:

–Drzwi tutaj można znowu otworzyć, ale niestety...

...i urwał.

To były szczęśliwe vurny. Według skali zielonkawego Isnienia były wręcz jaskrawe. Za Marchewa pojawiło się teraz jasniejące koło przecięte dwoma ukosnymi liniami. Oba krasnoludy patrzyły na nie jak zaczarowane.

–No więc może się przyjrzymy? – zaproponował Marchewa, najwyraźniej nie dostrzegając nic nadzwyczajnego w ich zachowaniu.

–My, niestety, woda... woda... nie całkiem szczelne... te drugie drzwi... troll spowodował zalania... – mamrotał Twardziec, nie odrywając wzroku od światła.

–Ale mówicie, że możemy przynajmniej tamtędy przejść? – Marchewa grzecznie wskazał zamknięte drzwi.

–Eee... No tak. Tak. Oczywiście.

Helmutluk wyjął klucz. Odblokowane koło dało się przekreślić bez trudu. Angua aż nadto wyraźnie dostrzegła, jak mięśnie na gołych ramionach Marchewy napięły się i poruszyły, kiedy odciągał metalowe drzwi.

Och, nie, jeszcze nie, na pewno! Powinna mieć jeszcze co najmniej dzień. To ten wampir, to przez nią – stoi tam i tak niewinnie wygląda... Niektóre części ciała Angui chciały zmienić się w wilka, natychmiast, żeby się bronić...

Po drugiej stronie drzwi była sala podparta słupami. Pachniała wilgocią i niedokonczaniem. Pod sufitem świeciły vurny, ale podłoga była błotnista i mlaskała pod stopami.

Angua zauważyła następne krasnoludzie drzwi na drugim końcu i po jednych w obu bocznych ścianach.

–Wykopana ziemię wynosimy na wysypisko – wyjaśnił Twardziec. – Hm... sadzimy, że troll dostał się właśnie tamtędy. To niewybaczalne przeoczenie z naszej strony.

Wciąż był wyraźnie zdenerwowany.

–I nikt tego trola nie widzial? – zdziwil sie Marchewa, kopiac noga w bloto.

–Nie. Te komory sa juz ukonczone. Kopacze odeszli gdzie indziej, ale po zdarzeniu przybiegli jak najszybciej. Uwazamy, ze grag przybyl tu, szukajac samotnosc. Zeby zginac z przypadkowej reki ohydztwa...

–Ten troll miał szczęście, prawda? – wtracila ostrym tonem Angua. – Przypadkiem sie tu zablakal i akurat trafil na Combergniota?

Marchewa butem zaczepil o cos metalicznego. Odgarnal jeszcze troche blota.

–Polozyliscie tory? – zdziwil sie. – Musieliscie przerzucac sporo ziemi.

–Lepiej pchac, niz dzwigac – stwierdzil krotko Twardziec. – Przygotowalem...

–Zaraz, a co to takiego? – przerwal mu Marchewa. Przykucnal i pociagnal cos jasnego. – Wyglada jak kawalek kosci. Na sznurku.

–Tu jest mnostwo starych kosci – odparl Twardziec. – Teraz...

Kosc z mlasnieciem wysunela sie z blota i wyszczerzyla do nich w slabym swietle.

–Nie wyglada na bardzo stara – stwierdzil Marchewa.

Angui wystarczyl jeden wdech.

–To czaszka owcy – oswiadczyla. – Martwej od jakichs trzech miesiecy.

Nastepny slad, dodala w myslach. Wyrazny i bardzo wygodny, akurat do znalezienia.

–Mogl ja zgubic troll – stwierdzil Marchewa.

–Troll? – Twardziec cofnal sie lekliwie.

Nie takiej reakcji spodziewala sie Angua. Twardziec juz wczesniej byl zdenerwowany, ale teraz, pod tymi wszystkimi warstwami, jego stan zblizal sie do paniki.

–Przeciez mowil pan, ze graga zaatakowal troll...

–Ale nigdy... nigdy tego nie widzielismy! Dlaczego nie znalezlismy tej czaszki wczesniej? Moze on wrocil?

–Wszystkie drzwi sa zamkniete – przypomnial cierpliwie Marchewa. – Prawda?

–Moze zamknelismy go tutaj z nami. – Glos Twardzca to byl praktycznie skrzek.

–Ale wiedzielibyscie przeciez! Trolle tak jakby... wystaja.

–Musze wezwac straze! – oswiadczył Twardziec, cofajac sie ku jedynym otwartym drzwiom. – On moze byc wszedzie!

–W takim razie moze pan wlasnie biegnie w jego strone – zauwazyla Angua.

Twardziec znieruchomial na moment, po czym wydal z siebie cichy jek i pognal w ciemnosc. Helmutluk biegł tuż za nim.

–No wiec jak waszym zdaniem nam poszlo? – spytala Angua z przerazajacym usmiechem. – I co wlasciwie powiedziales mu po krasnoludziemu? "Wiesz, ze jestem krasnoludem w braterstwie wszystkich krasnoludow"?

–Ehm... "Z empatyczna pewnoscia znasz mnie. Przestrzegam rytualow krasnoludow. Czym/kim jestem? Jestem Bracmi zjednoczonymi" – powiedziala wolno Sally.

–Brawo, mlodsza funkcjonariusz! – pochwalil Marchewa. – To znakomite tłumaczenie.

–Tak. Ukasilas kogos madrego? – spytala Angua.

–Jestem czarnowstazkowcem, sierzancie – odparla grzecznie Sally. – I mam wrodzone zdolnoscì jezykowe. A skoro zostalismy sami, kapitanie, czy moge powiedziec cos jeszcze?

–Naturalnie – zgodzil sie Marchewa, sprawdzajac kolo rygla na zamknietych drzwiach.

–Wydaje mi sie, sir, ze bardzo wiele rzeczy sie tu nie zgadza. Jest cos bardzo dziwnego w reakcji Twardzca na te czaszke. Skad wzial mu sie pomysl, ze ten troll ciagle tu jest, choc minelo tyle czasu?

–Troll, ktory dostanie sie do krasnoludziej kopalni, moze narobic wielkich szkod, zanim zostanie powstrzymany – wyjasnil Marchewa.

–Twardziec naprawde nie spodziewal sie tej czaszki, sir – upierala sie Sally. – Slyszalam, jak szybko bije mu serce. Byl przerazony. Ehm... i cos jeszcze, sir. Jest tu wielu miejskich krasnoludow, sir. Dziesiatki. Ich serca tez wyczuwam. I szesciu gragow. Ich serca bija bardzo powoli. Sa tez inne krasnoludy. Dziwne. I tylko kilka. Moze dziesieciu.

–Dobrze to wiedzieć, młodsza funkcjonariusz. Bardzo dziękuje.

–Pewnie. Nie wiem, jak sobie radziliśmy, zanim przyszedła – burknęła Angua.

Szybko przeszła na drugi koniec wilgotnej komory, żeby nie mogli zobaczyć jej twarzy. Potrzebowała świeżego powietrza, nie tego wszechobecnego, zatechnego smrodu piwnicy. W myślach krzyczała bezgłośnie. Liga Wstrzemięźliwości? "Ani kropli"? Czy ktokolwiek wierzył w to choćby przez chwilę? Tylko że każdy chciał dać się oszukać, bo przecież wampiry są takie czarujące. Pewnie, że są! To element bycia wampirem! Jedyną metodą skłonienia kogoś, żeby został na noc w straszliwym zamczysku! Każdy wie, że lampart nie może się pozbyć swoich cetek. Ale tutaj to coś innego, wystarczy przypiąć sobie tę głupią czarną wstążeczkę, nauczyć się słów "Kropla herbaty wystarczy" i ludzie za każdym razem dają się nabrać. A wilkolaki? Coż, to tylko smutna monstra, prawda? Nieważne, że życie jest codzienną walką z wewnętrznym wilkiem, nieważne, że przy każdej latarni trzeba się zmuszać, by przejść obok, nieważne, że przy każdym irytującym sporze trzeba z wysiłkiem tłumaczyć, by rozstrzygnąć go jednym kłapnięciem zębów... Nieważne, ponieważ wszyscy wiedzą, że stworzenie będące połączeniem człowieka i wilka to coś w rodzaju psa. Psy powinny być grzeczne. Część jej umysłu krzyczała, że to nieprawda, że to tylko ZNPT i zwykłe efekty obecności wampira w pobliżu, ale jakos teraz, kiedy zapach wokół niej stał się tak silny, że niemal dotykający, nie chciała słuchać. Chciała wachać świat, więc praktycznie wpełzała do własnego nosa. Przecież właśnie dlatego znalazła się w strażnicy, prawda? Ze względu na swój nos.

Nowy zapach, nowy zapach...

Wyraźne poszarzałe błękity mchu, brzozy i purpury starego ścierniska, odcienie drewna i skóry... nawet jako pełny wilk nigdy nie smakowała powietrza tak analitycznie jak teraz. Coś jeszcze, ostre i chemiczne... Powietrze wypełniał zapach wilgoci i krasnoludów. Ale te niewielkie ślady przebijały się jak głos trabki przez requiem i formowały jedno...

–Troll – wychrypięła. – Troll. Troll z pasem czaszek i głowłokami. Na słabie albo czymś podobnym! Troll! – Niemal szczełała na zamknięte drzwi. – Otworzyć! Tedy!

Praktycznie nie potrzebowała oczu – ale zauważyła, że na metalowej powierzchni drzwi ktoś wyrysował węglem koło przekreślone dwoma ukośnymi liniami.

Nagle obok znalazł się Marchewa. Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby nie pytać "Jestes pewna?", ale od razu szarpnął za wielkie koło. Drzwi były zamknięte.

–Nie sądzę, żeby za nimi była woda – stwierdził.

–Naprawdę? – wykrztusiła Angua. – Wiesz przecież, że... nie chcieli nas tam dopuścić...

Marchewa odwrócił się i zobaczył, jak biegnie w ich stronę oddział krasnoludów. Kierowały się ku drzwiom, jakby wcale nie dostrzegając obecności strażników.

– Nie pozwól im wejść pierwszym – syknęła Angua przez zacisnięte zęby. – Trop jest... słaby!

Marchewa dobył miecza, a druga ręka unosił do góry odznakę.

– Straż Miejska! – huknął. – Opuszczone bronię, jeśli można prosić! Dziękuję!

Oddział zwolnił, co oznaczało – zgodnie z naturą rzeczy – że ci z tyłu wpadli na tych wahających się w przednich szeregach.

– To miejsce przestępstwa – oznajmił Marchewa. – A ja nadal jestem wytapiaczem! Panie Twardziec, jest pan tam? Ma pan wartowników po tamtej stronie drzwi?

Twardziec przecisnął się między krasnoludami.

– Nie, raczej nie – powiedział. – Czy ten troll nadal się za nimi chowa?

Marchewa zerknął na Sally, która wzruszyła ramionami. Wampiry nigdy nie wyrobiły w sobie umiejętności nasłuchiwanie trollowych serc. To nie miało sensu.

– Możliwe, ale nie sądzę – rzekł Marchewa. – Proszę je otworzyć. Możemy jeszcze znaleźć tam jakiś trop.

– Kapitanie Marchewa, wie pan chyba, że najważniejsze jest zawsze bezpieczeństwo kopalni! – oświadczył Twardziec. – To oczywiste, że musi pan podjąć pościg. Ale najpierw trzeba otworzyć te drzwi i upewnić się, że nie ma za nimi żadnego zagrożenia. Musi pan dać nam tę możliwość.

– Pozwól – szepnęła Angua. – Będzie mieć wyraźniejszy zapach. Nic mi nie grozi.

Marchewa kiwnął głową.

– Dobra robota – szepnął w odpowiedzi.

Pod skórą poczuła, że ogon ma ochotę zamerdzać. Chciała Marchewę polizac po twarzy. Teraz psia jej część zajmowała się myśleniem. Dobry pies. To ważne, żeby być dobrym psem.

Marchewa odciągnął ją na bok, kiedy dwa krasnoludy stanowczym krokiem podeszły do drzwi.

– Ale on już dawno zniknął – mruknęła, kiedy zbliżyły się dwa następne. – Zapach ma co najmniej dwanaście godzin...

–Co oni robia? – mruknal ze zdziwieniem Marchewa, glownie do siebie.

Te dwa nowe krasnoludy od stop do glow okrywala skora, jak Twardzca, ale oba nosily na wierzchu kolczugi; pozbawione wszelkich ozdob helmy oslanialy im cale twarze i glowy, pozostawiajac otwarta tylko waska szczeline na oczy. Kazdy z nich mial na plecach duzy czarny pakunek, a przed soba trzymal lance.

–Och, nie... – jeknal Marchewa. – Chyba nie tutaj...

Padl krotki rozkaz i drzwi otworzyly sie, odslanjajac jedynie ciemnosc.

Lance plunely ogniem – dlugimi, zoltymi jezykami plomienia, a czarne krasnoludy szly za nimi powoli. Powietrze wypelnil ciezki, tlusty dym.

Angua zemdlala.

Ciemnosc...

Sam Vimes brnal pod gore, smiertelnie zmeczony.

Bylo cieplo, cieplej, niz sie spodziewal. Pot szczypal go w oczy. Woda chlupala pod nogami i buty slizgaly sie w blocie. A przed nim, w gorze zbocza, krzyczalo dziecko.

Wiedzial, ze sam tez krzyczy. Slyszal oddech swiszczacy w krtani, czul, ze porusza wargami, ale nie slyszal slow, ktore powtarzal raz za razem.

Ciemnosc oblewala go jak zimny tusz. Jej wici ciagnely jego umysl i cialo, spowalnialy go, wlokly z powrotem... A teraz zaatakowaly plomieniami...

Vimes zamrugal i zorientowal sie, ze patrzy w kominek. Plomienie falowaly spokojnie.

Zaszelescila suknia – to Sybil wrocila do pokoju, usiadla i siegnela po robotke. Vimes przygladal sie jej tepo. Cerowala jego skarpety. Mieli sluzace, a ona cerowala mu skarpety. Zreszta przeciez nie brakloby im pieniedzy, gdyby nawet codziennie kupowal nowa pare. Ale Sybil jakos wbila sobie do glowy, ze to obowiazek zony, wiec cerowala. Z jakiegos niezrozumialego powodu bylo to krzepiace. Szkoda tylko, ze tak naprawde cerowanie jej nie wychodzilo, wiec w skarpetach Sama piety byly wielkimi szramami wypelnionymi przecinajacymi sie wloknami welny. Nosil je jednak i nigdy o tym nie wspominal.

–Bron, ktora strzela ogniem – powiedzial wolno.

–Tak, sir – przyznal Marchewa.

–Krasnoludy maja bron, ktora strzela ogniem.

–Glebinowcy uzywaja takich lanc, zeby powodowac wybuchy gazu kopalnianego – wyjasnil kapitan. – Nie myslalem, ze zobacze je tutaj.

–To jest bron, jesli jakis dran z niej do mnie celuje! – stwierdzil Vimes. – Ile gazu spodziewaja sie znalezc pod Ankh-Morpork?

–Sir, nawet rzeka sie zapala w czasie letnich upalow.

–No dobrze, dobrze, przyznaje – zgodzil sie niechetnie Vimes. – Prosze dopilnowac, by rozeszla sie taka wiadomosc. Do kazdego, kogo zobaczymy z czyms takim na powierzchni, bedziemy najpierw strzelac, a potem nie bedzie juz sensu o nic pytac. Na bogow, tego tylko nam trzeba... Macie jeszcze cos do przekazania, kapitanie?

–No wiec potem pokazali nam ciało Combergniota – powiedzial Marchewa. – Co moze powiedziec? Na przegubie mial draht, ktory go identyfikowal, a jego skora byla blada. Mial potworna rane w tyle glowy. Mowili, ze to Combergniot. Nie moze tego udowodnic. Moze tylko stwierdzic, ze nie zginat tam, gdzie powiedzieli, ze zginat, ani wtedy, kiedy powiedzieli, ze zginat.

–Dlaczego? – zdziwil sie Vimes.

–Krew, sir – wyjasnila Sally. – Tam wszedzie powinna byc krew. Przyjrzałam sie ranie. To, co trafila w glowe ta maczuga, bylo juz trupem. I nie zginat w tym tunelu.

Vimes kilka razy odetchnal gleboko. Dowiedzial sie tylu niedobrych rzeczy, ze powinien przyjmowac je po jednej zgrozie naraz.

–Niepokoje sie, kapitanie – rzekl. – Wie pan dlaczego? Bo mam przeczucie, ze calkiem niedlugo zostane poproszony, by potwierdzic istnienie dowodow na to, iz troll popelnil ten czyn. A to, przyjacielu, bedzie jak ogloszenie wybuchu wojny.

–Kazal nam pan zbadac te sprawe...

–Tak, ale nie spodziewalem sie, ze przyjdziecie z niewlasciwymi rezultatami! Cala ta sprawa smierdzi! Glina z alei Kamieniolomow byla tam podrzucona, co?

–Musiala byc. Trolle rzadko wycieraja nogi, ale nosic bloto na podeszwach przez caly dzien? Nie ma szans.

–No i nie zostawiaja swoich maczug – mruknal Vimes. – Czyli sprawa jest ustawiona. A tymczasem okazuje sie, ze tam naprawde byl troll! Angua byla pewna?

–Oczywiscie, sir – zapewnil Marchewa. – Zawsze ufalismy jej nosowi. Prosze o

wybaczenie, sir, ale musiała iść zaczerpnąć świeżego powietrza. Wyteżala wszystkie zmysły, a potem wciągnęła pełne płuca tego dymu.

–Wyobrazam sobie.

Niech to piekło, myślał Vimes. Byliśmy już na takim etapie, na którym mogłem powiedzieć Vetinariemu, że wszystko to wygląda jak źle przygotowana robota od wewnątrz, upozorowana na atak trolla. I nagle odkrywamy, że był tam troll. Ha! Oto jak można wierzyć dowodom...

Sally chrząknęła uprzejmie.

–Twardziec był zaskoczony i przerażony, kiedy kapitan znalazł czaszkę, sir – powiedziała. – Nie udawał. Jestem tego pewna. Bliski omdlenia ze zgrozy. Tak samo zresztą Helmutluk, przez cały czas.

–Dziękuję wam, młodsza funkcjonariusz – rzucił ponuro Vimes. – Podejrzewam, że czułbym się tak samo, gdybym zszedł tam z megafonem i wrzasnął: "Hej, chłopaki, witamy w powtorce doliny Koom! Chodźcie, rozegramy ja tutaj, w mieście!".

–Nie wydaje mi się, żeby to było dobre porównanie, sir – uznał Marchewa.

–No tak. Skoro już pan o tym wspomniał, to pewnie starałbym się być bardziej subtelny.

–I byłaby to przynajmniej szesnasta z określanych jako "bitwa w dolinie Koom" – ciągnął Marchewa. – A nawet siedemnasta, jeśli doliczyć te na przełeczy Vilius, choć to była raczej potyczka. Tylko trzy z nich miały miejsce w oryginalnej dolinie Koom, tej uwiecznionej na obrazie Rascala. Podobno jest całkiem dokładny. Oczywiście, Rascal malował go przez wiele lat.

–Niezwykle dzieło – zauważyła Sybil, nie unosząc wzroku znad cerowania. – Wiecie, należało kiedyś do mojej rodziny, zanim przekazaliśmy je muzeum.

–Czyż postęp nie jest czymś cudownym, kapitanie? – spytał Vimes, wlewając w te słowa możliwie dużo sarkazmu, ponieważ Marchewa z trudem go rozpoznawał. – Kiedy będziemy mieli własną dolinę Koom, nasz przyjaciel Otto w ciągu ułamka sekundy wykona kolorowy ikonogram. Cudownie. Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz to miasto zostało spalone do gólej ziemi.

Powinien rzucić się do akcji. Dawno temu pewnie by tak zrobił. Ale teraz powinien może wykorzystać cenne chwile, by jeszcze przed rzuceniem się pomyśleć, co chce zrobić.

Próbował. Nie myślał o tej sytuacji jak o jednym wielkim wiadrze pełnym weży. Myślał o

jednym wezu naraz. Sprobuj jakos je rozplatac. A wiec co zrobic najpierw?

Wszystko.

No dobrze, spróbujemy inaczej.

–O co chodzi z tymi znakami gornicznymi? – zapytal. – Helmutluk tak jakby narysowal taki dla mnie. Widzialem podobne na scianie. I pan tez taki zrobil.

–"Nastepujaca ciemnosc". Tak. Jest nabazgrany wszedzie w korytarzach.

–Co oznacza?

–Ostrzezenie, ze stanie sie cos straszego – wyjasnil z powaga Marchewa.

–No wiec jesli ktorys z tych malych drani chocby wyjrzy na powierzchnie z ta ogniowa bronia w reku, bedzie to prawda. Ale chce pan powiedziec, ze rysuja ostrzezenie na scianach?

Marchewa przytaknal.

–Musi pan zrozumiec, czym jest krasnoludzia kopalnia, sir. To jakby...

...emocjonalna cieplarnia – tak Vimes to pojmowal, chociaz zaden krasnolud tak by jej nie okreslil. Ludzie dostaliby obledu, gdyby musieli tak zyc: w ciasnocie, bez zadnej prywatnosci, bez prawdziwej ciszy, widzac codziennie te same twarze, przez lata. A ze wszedzie lezalo sporo ostrej broni, tylko kwestia czasu bylo, by sklepienia zaczely ociekac krwia.

Krasnoludy nie dostawaly obledu. Pozostawaly zamyslone, powazne, skupione na pracy. Ale rysowaly znaki.

Przypominalo to nieoficjalne glosowanie poprzez graffiti. Wyrazenie swojej opinii o tym, co sie dzieje. W ciasnocie kopalni kazdy problem byl problemem wszystkich, napiecie przeskakiwalo od krasnoluda do krasnoluda. Znaki byly uziemieniem. Dawaly ujscie, uwolnienie, sposob okazania swoich uczuc bez drażnienia nikogo (z powodu tej ostrej broni).

Nastepujaca Ciemnosc – ze strachem oczekujemy tego, co nastapi. Inne tlumaczenie mogloby brzmiac: Okazcie skrucze, grzesznicy!

–Setki run oznaczaja ciemnosc – mowil Marchewa. – Niektore oczywiscie naleza do zwyklego krasnoludziego, na przyklad Długa Ciemnosc. Jest ich bardzo wiele. Ale niektore sa...

–Mistyczne? – podpowiedzial Vimes.

–Niewyobrazalnie mistyczne, sir. Powstały o nich księgi, wiele ksiąg. A to, jak krasnoludy myśla o księgach i słowach, i runach... No, nie uwierzyłby pan, sir. No... Uważają, że świat był spisany. Wszystkie słowa mają ogromną moc. Zniszczenie książki jest dla glebinowca gorsze niż morderstwo...

–Domysliłem się tego – zapewnił Dyżurny Klasowy Vimes.

–I niektórzy glebinowcy wierzą, że te mroczne znaki są prawdziwe.

–No wiesz, skoro widzimy napis na ścianie...

–Prawdziwe w sensie żywe, sir – uscislił Marchewa. – Jakby istniały gdzieś w glebi, w ciemności pod światem, i to one sprawiły, że zostają napisane. Jest Czekaająca Ciemność... to ciemność, która wypełnia nowy szyb. Zamykająca Ciemność... o tej nic nie wiem, ale jest również Otwierająca Ciemność. Oddychająca Ciemność, raczej rzadka. Wolająca Ciemność, bardzo niebezpieczna. Mówiąca Ciemność, Chwytająca Ciemność... Tajemna Ciemność... te widziałem. Wszystkie mogą być. Ale Następująca Ciemność to bardzo niedobry znak. Słyszałem kiedyś, jak starsze krasnoludy o tym rozmawiały. Mówiły, że może pogasić lampy i jeszcze gorzej. Jeśli ludzie zaczynają rysować ten znak, sytuacja stała się bardzo niedobra.

–To wszystko bardzo ciekawe, ale...

–W tej kopalni wszyscy są zdenerwowani jak demony. Napieci jak liny. Angua mówiła, że potrafi to wyczuć, ale i ja potrafiłem, sir. Dorastałem w kopalni. Kiedy coś jest nie tak, każdy to łapie. W takie dni, sir, mój ojciec zwykle przerywał wszystkie prace górnicze. Zbyt wiele zdarza się wtedy wypadków. I powiem szczerze, sir, tutaj krasnoludy szaleją z niepokoju. Wszędzie widac znaki Następującej Ciemności. Prawdopodobnie górnicy, których zatrudnili po przybyciu tutaj, czują, że jest coś bardzo niedobrego, a jedyną możliwą dla nich reakcją jest taki znak.

–Hm, zabili ich głównego grąga...

–Wyczuwam atmosferę kopalni, sir. Każdy krasnolud wyczuwa. Ona aż cuchnie strachem, grozą i straszną niepewnością... A są w Glebi rzeczy jeszcze gorsze od Następującej Ciemności.

Vimes przez moment miał wizję mściwej ciemności wzbierającej w jaskiniach jak fala, szybciej niż zdola uciekać człowiek...

To głupie. Przecież ciemności nie widac.

Chociaż zaraz... Czasami widac. Za dawnych czasów, kiedy ciągle miał nocne służby, poznał wszystkie odcienie ciemności. I czasami trafiała się tak gesta, że człowiek miał wrażenie, że musi się przez nią przeciskać. To były te noce, kiedy

konie się ploszyły, psy skomlały, a w dzielnicy rzeźni zwierzęta wyrwały się z zagrod. Pojawiały się niewytłumaczalnie, tak samo jak noce całkiem jasne i srebrzyste, chociaż na niebie nie świecił księżyc. Vimes nauczył się wtedy, by nie używać swojej małej strażniczej latarenki. Tylko oslepiała. Człowiek patrzył w ciemność, dopóki nie mrugnęła. Wygrywał pojedynek spojrzeń.

–Trochę się w tym gubie, kapitanie – przyznał Vimes. – Nie wychowywałem się w kopalni. Czy te znaki się pojawiają, ponieważ krasnoludy myślą, że wydarzy się coś złego i chcą temu zapobiec, czy myślą, że kopalnia zasługuje na coś złego, czy może chcą, żeby coś złego się wydarzyło?

–To może być wszystko naraz. – Marchewa się skrzywił. – Kiedy w kopalni źle się dzieje, uczucia bywają bardzo gwałtowne.

–Wielkie nieba!

–Och, bywa strasznie, sir. Może mi pan wierzyć. Ale nikt nigdy nie narysowałby najgorszego ze znaków, chcąc, by się zdarzył. Zresztą samo rysowanie nic nie da. Trzeba pragnąć, by to się stało, pragnąć do ostatniego tchu.

–A jaki to znak?

–Och, nie chce pan tego wiedzieć, sir.

–Chce, przecież spytałem.

–Nie. Naprawdę pan nie chce, sir. Naprawdę.

Vimes miał już zacząć krzyczeć, ale powstrzymał się i zastanowił.

–Właściwie nie, chyba faktycznie nie chce – ustąpił. – Tu chodzi o histerię i mistycyzm. To tylko dziwny folklor. Krasnoludy w to wierzą. Ja nie. Zatem, kapitanie... jak pan skłonił wórmy, żeby ułożyły ten znak?

–To łatwe, sir. Wystarczy posmarować ściany kawałkiem mięsa. Dla wórm to prawdziwa uczta. Chciałem trochę potrząsnąć Twardzcem. Chciałem, żeby się zdenerwował, tak jak mnie pan uczył. I pokazać, że wiem o znakach. Jestem przecież krasnoludem.

–Kapitanie, pora nie jest chyba odpowiednia, żeby pana przekonywać, lecz...

–Och, wiem, że ludzie się śmieją. Szczęsiostopowy krasnolud? Ale wie pan, sir, być człowiekiem znaczy po prostu mieć ludzkich rodziców. To łatwe. Być krasnoludem to niekoniecznie mieć krasnoludzkich rodziców, choć to niezły początek. Chodzi raczej o pewne ceremonie. Przestrzegalem ich. Dlatego jestem człowiekiem i krasnoludem.

Glebinowcom trudno sie z tym pogodzic.

–Znowu mistyka, co? – zapytal ze znuzeniem Vimes.

–O tak, sir.

Marchewa zakaszal. Vimes rozpoznał to szczególne kaszlniecie. Oznaczało, że kapitan ma złe wieści i zastanawia się, jak je ułożyć, by zmieściły się w dostępnej w głowie komendanta przestrzeni jeszcze-niedostawania-szalu.

–Proszę mówić, kapitanie.

–Ehm... Pojawił się ten maluch.

Marchewa otworzył dłoń. Chochlik Gooseberry usiadł.

–Pedziłem przez całą drogę, Wstaw Swoje Imię – oznajmił z dumą.

–Zauwazyliśmy go, jak biegł wzdłuż rynsztoka – wyjaśnił Marchewa. – Nietrudno było, bo jarzył się bladozielono...

Vimes wyjął z kieszeni pudełko i położył je na podłodze. Chochlik wlaź do środka.

–Ooo, jak przyjemnie – westchnął. – Nie mówicie mi tylko o szczurach i kotach!

–Gonili cie? – zdziwił się Vimes. – Przecież jesteś istotą magiczną!

–One tego nie wiedzą! – burknął chochlik. – Co to ja... A tak. Pytales mnie o usuwanie nocnych nieczystości, Wstaw Swoje Imię. Przez ostatnie trzy miesiące ładunek dodatkowych szambowozów dawał średnio czterdzieści ton co noc.

–Czterdzieści ton? To by wypełniło duży pokój! Czemu nic o tym nie wiedzieliśmy?

–Wiedziales, Wstaw Swoje Imię. Tylko że one wyjeżdżały wszystkimi bramami, więc prawdopodobnie żaden strażnik nie widział nigdy więcej niż jednego czy dwóch dodatkowych wozów.

–No tak, ale co noc pojawiały się w raportach! Dlaczego nie zauwazyliśmy?

Zapadło niezreczne milczenie. Chochlik odchrząknął.

–Nikt tych raportów nie czyta, Wstaw Swoje Imię. Są chyba tym, co w naszym fachu nazywamy dokumentami tylko do zapisu.

–Ale ktoś chyba powinien je czytać! – zirytował się Vimes.

Znowu zapadła cisza.

–Wydaje mi się, że ty, kochanie – powiedziała Sybil, skupiona na cerowaniu.

–Ja tam dowodzę! – zaprotestował Vimes.

–Tak, kochanie. O to właśnie chodzi.

–Nie mogę całego czasu poświęcać na przekładanie papierów!

–Wtedy wyznacz kogoś innego, żeby to robił, kochanie.

–Mogę?

–Tak jest, sir – potwierdził Marchewa. – Pan dowodzi.

Vimes zerknął na chochlika, który uśmiechnął się z entuzjazmem.

–Czy mogłbyś przejrzeć moją tacę z dokumentami przychodzącymi...

–Podłogę – mruknęła Sybil.

–...i powiedzieć, co tam jest ważnego?

–Z radością, Wstaw Swoje Imię. Mam tylko jedno pytanie, Wstaw Swoje Imię. Co jest ważne?

–No... fakt, że szambonurkowie wywożą z miasta o wiele więcej nieczystości, jest naprawdę ważny, nie myślisz?

–Nie mam pojęcia, Wstaw Swoje Imię – odparł chochlik. – Ja w sensie ścisłym nie myślę. Ale przypuszczam, że gdybym miesiąc temu zwrócił na ten fakt twoją uwagę, kazaliby mi wetknąć głowę w kaczy kuper.

–To prawda. – Vimes pokiwał głową. – Pewnie bym kazal. Kapitanie?

–Sir! – Marchewa wyprostował się na krześle.

–Jaka jest sytuacja na ulicach?

–Gangi trolli włożyły się po mieście przez cały dzień. Teraz liczne krasnoludy krecą się w okolicach placu Sator, a znaczna liczba trolli gromadzi się przy placu Pekniętych Ksieżyców.

–O jak wielkich grupach mówimy?

–Okolo tysiac, liczac ogolnie. Wszyscy pili, naturalnie.

–Czyli akurat w nastroju do bojki?

–Tak, sir. Akurat dosyc pijani, by zachowywac sie glupio, ale zbyt trzezwi, by sie przewracac.

–Interesujace spostrzezenie, kapitanie – mruknal Vimes w zadumie.

–Tak, sir. Podobno maja zaczac o dziewiatej. Jak rozumiem, dokonano pewnych ustalen.

–W takim razie uwazam, ze przed zmierzchem bardzo duzo glin powinno sie znalezc na Chrupie, pomiedzy nimi. Jak sadzisz? Przekazcie wiadomosc na komisariaty.

–Juz to zrobilem, sir – zapewnil Marchewa.

–I postarajcie sie o jakies barykady.

–Zorganizowalem to, sir.

–Wezwaliscie specjalnych?

–Godzine temu przeslalem wiadomosc, sir.

Vimes sie zawahal.

–Musze tam byc, kapitanie.

–Powinnismy miec wystarczajaca liczbe ludzi, sir.

–Ale nie bedziecie mieli wystarczajacej liczby komendantow – odparl Vimes. – Kiedy jutro Vetinari przeciagnie mnie po rozwarzonych weglach z powodu powaznych rozruchow w centrum miasta, nie chce mu tlumaczyc, ze wlasnie spedzalem cichy wieczor w domu. – Obejrzal sie na zone. – Przepraszam, Sybil.

Lady Sybil westchnela.

–Chyba porozmawiam z Havelockiem na temat godzin pracy, do jakich cie zmusza – oswiadczyla. – To wcale na ciebie dobrze nie wplywa. Sam wiesz.

–Taka praca, moja droga. Przykro mi.

–Kazalam w kuchni przygotowac ci termos zupy.

–Naprawde?

–Oczywiście. Znam cie, Sam. I jeszcze torbę z kanapkami. Kapitanie Marchewa, ma pan dopilnować, żeby zjadł jabłko i banana. Doktor Lawn twierdzi, że musi jeść coś najmniej pięć owoców albo warzyw dziennie!

Vimes patrzył nieruchomo na Marchewę i Sally, starając się przekazać ostrzeżenie, że pierwszego funkcjonariusza, który się uśmiechnie albo wspomni komuś o tym kiedykolwiek, kiedykolwiek... czekają naprawdę ciężkie chwile.

–A przy okazji, keczup nie jest warzywem – dodała Sybil. – Nawet ten zaschnięty na czubku butelki. No... na co jeszcze czekacie?

–Jest coś jeszcze, sir... Nie chciałem o tym mówić przy lady Sybil – powiedział Marchewa, gdy szybko szli w stronę Yardu. – Ehm... Hitherto nie żyje.

–Kto to jest Hitherto?

–Młodszy funkcjonariusz Horacy Hitherto, sir. Wczoraj wieczorem uderzony w tył głowy. Kiedy byliśmy na tym mityngu. Kiedy nastąpiły, te... zamieszki. Wysłany do Darmowego Szpitala.

–O bogowie... – westchnął Vimes. – Wydaje się, że minął już tydzień. Był w straży dopiero parę miesięcy...

–W szpitalu powiedzieli, że jego mózg umarł, sir. Jestem pewien, że zrobili wszystko, co możliwe.

A czy my także? – zastanawiał się Vimes. Ale to była ogólna bijatyka, brukowiec nadleciał znikąd. Mogł trafić mnie, mógł trafić Marchewę. Ale trafił tego dzieciaka. Co powiem jego rodzicom? Zginął podczas pełnienia obowiązków? Ale te obowiązki nie powinny obejmować powstrzymywania bandy zidiociałych obywateli przed wymordowaniem innej bandy zidiociałych obywateli.

Wszystko wymknęło się spod kontroli. Jest nas za mało. A teraz jest nas jeszcze o paru mniej.

–Muszę jutro iść pogadać z jego matką i tą... – zaczął, a wtedy jego ocieślała pamięć wreszcie zaskoczyła. – Czy on ma... miał brata w straży?

–Tak, sir – potwierdził Marchewa. – Młodszy funkcjonariusz Hektor Hitherto, sir. Zaciągnęli się razem. Pracuje na Flaku.

–Więc złap jego sierżanta i przekaz, że Hektor ma dzisiaj zakaz wychodzenia na ulicę, jasne? Chce, żeby się zapoznał z rozkoszami dokumentacji. W piwnicy, jeśli to

możliwe. I w bardzo grubym helmie na głowie.

–Rozumiem, sir.

–Co z Angua?

–Dojdzie do siebie, kiedy trochę poleży, sir. Ta kopalnia mocno nią wstrzasnęła.

–Naprawdę, naprawdę mi przykro... – zaczęła Sally.

–Nie wasza wina, młodsza funkcjonariusz... Sally – uspokoił ją Vimes. – Moja. Wiedziałem, co się dzieje między wampirami i wilkolakami, ale potrzebowałem na dole was obu. To jedna z tych trudnych decyzji... Sugeruje, żebyście wzięli sobie wolny wieczór. Nie, to rozkaz. Dobrze się spisaliście pierwszego dnia. A teraz złóżcie gdzieś głowy... czy co tam jeszcze.

Odprowadzili ją wzrokiem, nim ruszyli dalej.

–Jest bardzo dobra, sir – przyznał Marchewa. – Szybko się orientuje.

–Tak, bardzo szybko. Widzę, że będzie przydatna – przyznał zamysłony Vimes. – Czy nie wydaje się to panu dziwne, kapitanie? Wyskakuje znikąd, akurat kiedy jest potrzebna?

–Mieszka w Ankh-Morpork od kilku miesięcy – przypomniał Marchewa. – A Liga za nią reczy.

–Kilka miesięcy to mniej więcej taki sam okres, jaki przebywał tutaj Combergniot – zauważył Vimes. – A gdyby ktoś chciał się czegoś dowiedzieć, to nie jesteśmy zła instytucja, w której warto się znaleźć. Możemy oficjalnie wtykać nosy w różne sprawy.

–Sir, nie sądzi pan chyba...

–Och, nie wątpię, że jest czarnowstazkowcem, lecz wątpię, by jakiś wampir zjawił się tu aż z Uberwaldu tylko po to, żeby grać na wiołonczeli. No ale jednak, jak sam pan mówił, robi dobrą robotę. – Przez chwilę Vimes wpatrywał się w pustkę, po czym zapytał: – Czy jeden z naszych specjalnych nie pracuje dla kompanii sekarowej?

–To będzie Andy Hancock, sir.

–Na bogów... Chodzi panu o Dwumiecznika?

–O niego, sir. Ostry chłopak.

–Tak, widziałem kwity. Manekin szkoleniowy wytrzymuje zwykle parę miesięcy,

kapitanie. Nikt nie powinien w pol godziny porabac trzech!

–Bedzie teraz w Yardzie, sir. Chce pan z nim porozmawiac?

–Nie. Ty z nim porozmawiasz.

Vimes znizyl glos. Marchewa rowniez. Szeptali przez chwile. Potem Marchewa odezwal sie glosniej:

–Czy to scisle legalne, sir?

–Nie widze powodow. Przekonajmy sie, co? Nie prowadzilismy tej krotkiej rozmowy, kapitanie.

–Zrozumiano, sir.

Na bogow, bylo o wiele lepiej, kiedy stawalismy tylko we czterech przeciwko temu wsciekle wielkiemu smokowi, myslal Vimes, kiedy szli dalej ulica. Pewnie, pare razy niewiele brakowalo, zeby nas spalil zywcem, ale przynajmniej nic sie nie komplikowalo. To byl naprawde ogromny smok. Widzielismy, ze sie zbliza. Nie wyskakiwal nagle z polityka.

Zanim dotarli do Pseudopolis Yard, zaczel padac drobny, przenikliwy deszcz. Vimes z najwyzsza niechecia musial przyznac, ze Marchewa jest dobrym organizatorem. Na komendzie panowal ruch. Z dawnej fabryki lemoniady wyjezdzaly cale wozy zoltoczarnych barier. Straznicy docierali tu wszystkimi ulicami.

–Tym razem naprawde przygotowalem wszystkie srodki, sir – zapewnil Marchewa. – Uznałem, ze to wazne.

–Sluszenie, kapitanie – pochwalil go Vimes, kiedy tak stali niby ostatnie wyspy w powodzi. – Ale chyba pozostal pewien drobiazg dotyczacy planowania na przyszosc, ktory mogl pan przeoczyc.

–Naprawde, sir? – zdziwil sie Marchewa. – Mysle, ze zajalem sie wszystkim.

Vimes klepnal go w ramie.

–Prawdopodobnie nie tym – powiedzial.

I dodal, ale juz tylko do siebie: Poniewaz, kapitanie, nie jest pan draniem.

W oszolomieniu i bez celu troll wedruje po swiecie...

W glowie Cegly naprawde dzwonilo. Nie chcial tego robic, ale wpadl w zle towarzystwo. Czesto wpadal w zle towarzystwo, uswiadomil sobie, choc czasami caly dzien musial go szukac. Bo byl absolutna ofiara. Troll bez klanu czy gangu, nawet przez inne trolle uwazany za tepaka, musial korzystac z kazdego zlego towarzystwa, na jakie zdolal trafic. W tym przypadku spotkal Totalnie Szlake, Tlucznia i Duzego Marmura, no i latwiej bylo sie z nimi zabrac, niz postanowic, ze nie, a potem oni spotkali sie z innymi trollami i teraz...

Mozna na to popatrzec tak, myslal, kiedy czlapal z nimi i spiewal piesni gangow, troche spozniajac rytm, bo nie znal slow... Pewno, ze tkwic w srodku tego tlumu trolli to nie to, co sie ukrywac, jasna sprawa. Ale Totalnie Szlaka powiedzial, ze podobno straz tez szuka trolla, co byl na dole w tej kopalni, nie? A jak tak dobrze pomyslec, to najlepsza kryjowka dla trolla, nie, jest w kupie innych trolli. No bo straz bedzie pchac nosy do tych piwnic, gdzie siedza prawdziwe zle trolle, nie, a tutaj nie beda szukac. A jakby tak chcieli, nie, i jakby ruszyli go chocby palcem, to ci bracia trolle mu pomoga.

W najwiekszej glebi serca nie byl pewien tego ostatniego. Jego zapewne ujemne IQ, calkowity brak wiarygodnosci na ulicy, a przede wszystkim niezmienna sklonnosc, by wciagac, wsysac, polykac albo gryzc wszystko, co obiecywalo, ze mozg mu zaiskrzy, oznaczaly, ze byl odrzucany nawet przez gang Nie Mamy Pomyslu na Nazwe z ulicy Dziesiatego Jajka, podobno tak ociezaly umyslowo, ze jeden z ich czlonkow byl kawalkiem betonu na linie. Nie, trudno sobie wyobrazic trolla, ktory by sie przejmowal losem Cegly. Ale w tej chwili byli bracmi, a dodatkowo jedyna zabawa w miescie.

Szturchnal trolla z czaszkami na szyi, zdobionego graffiti, porosnietego mchem i wlokacego ciezka maczuga, maszerujacego stoicko obok.

–Szaclun, bro – powiedzial, zaciskajac pokryta strupami piesc.

–Czemu nie pojdiesz sie ghugh, Cegla, ty kawalku koprolitu? – wymruczal troll.

–Juz lece! – zgodzil sie Cegla.

Glowna sala byla gesto zatloczona, ale Vimes, rozpychajac sie i pokrzykujac, dotarl do biurka dyzurnego, ktore znajdowalo sie w stanie oblezenia.

–To wyglada gorzej, niz jest, sir! – zawolala Cudo, przekrzykujac gwar. – Detrytus i funkcjonariusz Bluejohn sa teraz na Chrupie, razem z trzema golemami. Zaczelismy rozstawiac bariery! Obie grupy sa za bardzo zajete wzmacnianiem bojowego nastroju!

–Dobra robota, sierzancie!

Cudo pochylila sie do niego i znizyla glos. Vimes musial trzymac sie biurka, by nie porwal go tlum.

–Fred Colon rejestruje specjalnych w starej fabryce lemoniady, sir. A o pana pytal pan de Worde z "Pulsu".

–Przepraszam, sierzancie, ale nie doslyszalem ostatniej kwestii! – odpowiedzial glosno Vimes. – Fabryka lemoniady, tak? W porzadku!

Odwrocil sie i niemal potknal o pana A.E. Pesymala, ktory trzymal rowny plik papierow.

–Ach, wasza laskawosc, mam tu kilka drobnych spraw, ktore chcialbym z panem omowic.

Vimes rozdziawil usta.

–I uwaza pan, ze to odpowiednia chwila? – wykrztusil w koncu, wyrwany z oslupienia zderzeniem z funkcjonariuszem niosacym wiazke mieczy.

–No wiec tak, gdyz natrafilem na kilka problemow proceduralnych i finansowych – odparl spokojnie A.E. Pesymal. – I uwazam, ze to niezwykle istotne, bym dokladnie zrozumial, co...

Vimes usmiechnal sie przerazajaco i chwycil go za ramie.

–Tak! Sluszenie! Absolutnie! – zawolal. – Moj drogi panie Pesymal, co ja mysle? Musi mnie pan zrozumiec! Prosze za mna!

Na wpol wywlakil oszolomionego inspektora tylnymi drzwiami, po drodze przez podworze uniosl go z ziemi i odsunal z drogi toczacego sie wozka, a potem wepchnal na dziedziniec starej fabryki, gdzie przygotowywali sie specjali.

Formalnie byli obywatelska milicja, ale – jak zauwazyl Fred Colon – "lepiej niech zsikuja sie tutaj, niz zeby byli tam i sikali na nas". Funkcjonariusze specjali byli mezczyznami – zwykle – ktorzy mogli pelnic sluzbe jako gliny w sytuacjach bezposredniego zagrozenia, ale zostali wykluczeni z formalnego czlonkostwa w strazy z powodu ksztaltu, zawodu, wieku albo niekiedy mozgu.

Wielu zawodowcow za nimi nie przepadalo, Vimes jednak doszedl ostatnio do wniosku, ze kiedy naprawde trzeba pchnac sprawy naprzod, lepiej, zeby wspolobywatele pchali razem z nimi. A skoro tak, to lepiej ich nauczyc, jak sie trzyma miecz, aby odcieta niezrecznie reka nie nalezala do niego.

Vimes ciagnal A.E. Pesymala za soba, az dotarl do Freda Colona. Sierzant wydawal helmy jednego rozmiaru, ktore wcale nie pasowaly na wszystkich.

–Mam dla ciebie nowego czlowieka, Fred – oznajmil Vimes. – Pan A.E. Pesymal albo po prostu A.E., jesli zdola sie z kims zaprzyjaznic. Jest rzadowym inspektorem. Wydaj mu ekwipunek, pelen zestaw, i nie zapomnij o tarczy. Nasz A.E. chce zrozumiec policje, wiec uprzejmie zglosil sie jako pelniacy obowiazki funkcjonariusza przy barierach, razem z nami.

A ponad glowa A.E. Pesymala mrugnal do Freda bardzo wyraznie i znacząco.

–Aha, to swietnie.

W migotliwym blasku plomieni Fred usmiechnal sie niewinnie – jak czlowiek, ktory ma wlasnie zmienic czyjes zycie w niewielki tygiel bulgoczacej zgrozy. Pochylil sie nad blatem.

–Wiecie, jak sie uzywa miecza, pelniacy obowiazki funkcjonariusza Pesymal? – zapytal i opuscil inspektorowi na glowe helm, ktory az sie zakrecil.

–No wiec ja wlasciwie... – zaczal inspektor, kiedy sierzant przysunal mu bardzo stary miecz, a po nim ciezka palke.

–No a tarcza? Jak sobie radzicie z tarcza? – Fred pchnal za mieczem taki wlasnie duzy element wyposazenia.

–Ja wlasciwie nie chcialem... – powtorzyl A.E. Pesymal, probujac utrzymac miecz i palke, i upuszczajac jedno i drugie, a potem miecz, palke i tarcze, i upuszczajac wszystko.

–A dacie rade przebiec piecdziesiat sznii w dziesiec sekund? W tym? – ciagnal Fred.

Poszarpana kolczuga niczym worek wezy zsunela sie powoli z blatu i wyladowala na blyszczacych bucikach A.E. Pesymala.

–Uhm, nie sadze...

–A stac bez ruchu i biegac do toalety bardzo szybko? – spytal Fred. – Zreszta niewazne, szybko sie nauczycie.

Vimes obrocil inspektora, podniosl trzydziesci piec funtow przezartej rdza kolczugi i rzucil mu w ramiona, az A.E. Pesymal zgial sie wpol.

–Przedstawie pana niektorym obywatelom, ktorzy beda dzisiaj walczyc z panem

ramie w ramie, dobrze? – zaproponował, gdy mały człowieczek kustykał za nim nerwowo. – To jest Willikins, moj kamerdyner. Zadnych zaostrzonych pensow w kapeluszu, Willikins?

–Nie, sir – zapewnil Willikins, przygladajac sie walczacemu z ekwipunkiem A.E. Pesymalowi.

–Milo to slyszec. To jest pelniacy obowiazki funkcjonariusza Pesymal. – Vimes mrugnal.

–To zaszczyt was poznac, pelniacy obowiazki funkcjonariusza, sir – rzekl z powaga Willikins. – Teraz, kiedy sir jest z nami, jestem przekonany, ze niegodziwcy szybko znikna. Czy sir mial juz okazje walczyc sir-na-jednego z trollem? Zatem drobna rada, sir. Najwazniejsze to stanac przed nim i uchylac sie przed pierwszym ciosem. One zawsze sie odslanjaja, wiec sir moze wtedy skoczyc szybko naprzod i wybrac odpowiedni dla sira cel.

–Eee... A co jesli... jesli nie jestem przed nim, kiedy probuje mnie zaatakowac? – spytal A.E. Pesymal, jakby zahipnotyzowany tym opisem. Znowu upuscil miecz. – A jesli zdarzy sie tak, ze on bedzie za mna?

–No coz, obawiam sie, ze w takim przypadku sir musi sie wrocic i zaczac od poczatku.

–A jak... no, jak sie to robi?

–Tradycyjnie pierwszym krokiem sa narodziny, sir. – Willikins potrzasnal glowa.

Vimes skinal mu i pociagnal drzacego Pesymala dalej przez rozgadany tłum. Padal drobny deszcz, unosila sie mgla i migotaly pochodnie.

–Dobry wieczor, sir! – rozlegl sie wesoly glos.

Stal tam... tak, to specjalny funkcjonariusz Hancock, przyjazny brodac z przyjaznym usmiechem i majacy na sobie tyle sztuccow, ze zagrazalo to zdrowiu psychicznemu Vimesa. Na tym polegaly problemy z niektórymi specjalnymi: okazywali autentyczny entuzjazm. Kupowali wlasny sprzet, ktory zawsze byl lepszy od sluzbowego ekwipunku strazy. Niektorzy dzwonili nawet glosniej od krasnoludow, noszac patentowane kajdanki, skomplikowane palki, wygodne wyscielane helmy i olowki, ktore pisza pod woda. A specjalny funkcjonariusz Hancock mial dwa przypiete na plecach, zakrzywione agatejskie miecze. Ci, ktorzy osmielili sie zajrzec na plac szkoleniowy, kiedy ich uzywal, twierdzili, ze robia wrazenie. Vimes slyszal, ze agatejski ninja potrafi ogolic i ostrzyc muche w locie, ale wcale nie czul sie od tego lepiej.

–O, witaj... Andy – powiedział. – Myśle...

–Rozmawiałem z kapitanem Marchewa. – Specjalny funkcjonariusz Hancock mrugnął porozumiewawczo. – Zajmie się tym!

–To dobrze. – Vimes był przerażająco świadom, że znalazł się w trudnej sytuacji związanej z koniecznością zasugerowania, iż może jeden miecz być wystarczający. – Ehm... Staniecie przeciwko trollom, przynajmniej na początku. Nie zapominajcie tylko, że obok was są ludzie, co? Pamiętajcie o specjalnym funkcjonariuszu Piggle'u, co?

–Ale przyzna pan uczciwie, sir, że to było czyste ciecie – bronił się Hancock. – Igor mówił, że nigdy niczego tak łatwo mu się nie przyszywało.

–Mimo to dzisiaj używamy tylko palek, Andy, dopóki nie wydam innego rozkazu. Jasne?

–Oczywiście, panie komendancie. Prawde mówiąc, właśnie przyniosłem nową palke.

Jakis szosty zmysł kazał Vimesowi powiedzieć:

–Naprawdę? Mogę ja zobaczyć?

–Proszę, sir. – Hancock wyjął coś, co dla Vimesa wyglądało całkiem jak dwie palki połączone kawalkiem lancucha. – To agatejskie numknyty, sir. Żadnych ostrych krawędzi.

Vimes machnął na próbę i uderzył się w łokieć. Oddał je pośpiesznie.

–Lepiej ty niż ja, chłopcze. Ale mam wrażenie, że nawet trolla skłonia, żeby zatrzymał się i zastanowił.

Pesymal patrzył ze zgrozą, której nie najmniej ważnym powodem było to, że kaprysne drewno minęło go o włos.

–Aha, to jest pan Pesymal, Andy – przedstawił inspektora Vimes. – Chce zobaczyć, jak tu pracujemy. Pan Hancock to jeden z naszych... najostrzejszych funkcjonariuszy specjalnych, panie Pesymal.

–Bardzo mi miło, panie Pesymal – powiedział Hancock. – Gdyby potrzebował pan jakichś katalogów, proszę od razu do mnie!

Vimes szybko ruszył dalej, na wypadek gdyby Hancock znow wyciągnął miecze. I wpadł na trochę bardziej pokrzepiającą postać.

–A tutaj mamy pana Boggisa – powiedział. – Miło pana widzieć. Pan Boggis jest

przewodniczącym Gildii Złodziei, panie Pesymal.

Pan Boggis zasalutował dumnie. Przyjął od Freda kolczugę, ale żadna siła z tego świata nie zmusiłaby go do rozstania z brązowym melonikiem. Dowolna siła, która jednak chciałaby spróbować, musiałaby zmierzyć się z dwoma mężczyznami o zmrużonych oczach i wysuniętych szczekach, stojących po obu stronach Boggisa. Obaj zrezygnowali z wszelkiej broni czy pancerzy... Jeden właśnie czyścił brzytwą paznokcie. W niezwykle, ale bardzo wyraźny sposób wyglądali na o wiele groźniejszych niż specjalny funkcjonariusz Hancock.

–Mamy też tutaj, jak widzę, Vinny'ego "Bezuchego" Ludda i Harry'ego "Nie Pamiętam Jego Ksywy" Jonesa – ciągnął Vimes. – Przyprowadził pan swoją ochronę, panie Boggis?

–Vinny i Harry lubią czasem wyjść na świeże powietrze, panie Vimes – wyjaśnił Boggis. – A pan też ma tu swojego ochroniarza? – Spojrzał rozpromieniony na A.E. Pesymala. – Trzeba uważać na takich kogucików, panie Vimes, mogą w mig wyciąć człowiekowi nos z twarzy. O tak, na pierwszy rzut oka potrafisz rozpoznać zbrojce... Życzę powodzenia, panie Pesymal.

Vimes pociągnął oszolomionego inspektora za sobą, zanim bog przesady poraził pana Boggisa na miejscu. I niemal zderzył się z jednym specjalnym, który na pewno nie będzie mówił za wiele.

–A tutaj, panie Pesymal, mamy uniwersyteckiego bibliotekarza – powiedział. – Dobry podczas walki w tłumie, co?

–Przecież to nie jest człowiek! To orangutan! Pongo-pongo, żyjący na BhangBhangduc i okolicznych wyspach!

–Uuk! – stwierdził bibliotekarz, poklepał pana Pesymala po głowie i wręczył mu skorokę od banana.

–Brawo, panie Pesymal – pochwalił go Vimes. – Niewielu potrafi to rozpoznać.

Włókł inspektora przez tłum mokrych i uzbrojonych ludzi, przedstawiając go na prawo i lewo. Potem wepchnął go w kąt i mimo zduszonych, niepewnych protestów, przeciągnął mu kolczugę przez głowę.

–Proszę się trzymać tuż za mną, panie Pesymal – powiedział, gdy inspektor spróbował się poruszyć. – Później może się zrobić trochę ciasno. Trolle są na Peknietych Ksieżycach, a krasnoludy na Sator. Jedni i drudzy piją dla dodania sobie odwagi do porządnej bijatyki. Dlatego właśnie ustawimy się na Chrupie, akurat między nimi. Takie cienkie brązowe pasmo, cha, cha. Krasnoludy preferują topory, trolle wola maczugi. Nasza brońa pierwszoliniowa będa palki, a brońa ostatniej

szansy nasze nogi. Inaczej mowiac, wiejemy jak najszybciej.

–Ale, ale... macie miecze – wykrztusil pan Pesymal.

–Mamy miecze, pelniacy obowiazki funkcjonariusza, zgadza sie. Ale wykluwanie dziur w obywatelach to brutalnosc strazy, a tego przeciez w tej chwili nie chcemy, prawda? No, ruszajmy. Nie chcialbym niczego przegapic.

I znow pociagnal inspektora za soba, na ulice, gdzie kolumna straznikow zmierzala na Chrup. Poza tym bylo pusto. Mieszkancy Ankh-Morpork mieli instynkt pozostawiania w domach, kiedy na zewnatrz pojawialo sie za wiele toporow i maczug z kolcami.

Chrup byl po prostu bardzo, bardzo szeroka droga, kiedys przeznaczona na ceremonialne defilady – smetna pozostalosc z czasow, kiedy miasto miało wiele powodow do ceremonii. Teraz wypelniala ja tylko mżawka, która niewiele robila poza zwilzaniem chodnikow i odbijaniem swiatel pochodni wzdluz barier.

Bariery... W strazy nazywali je barykadami. Ha! Kawalki drewna pomalowane w czarno-zolte pasy i ulozone na kozlach to zadne barykady, nie dla kogos, kto stal za taka prawdziwa, zbudowana z gruzu, mebli, beczek, strachu i skrecajacego jelita wyzwania. Nie, te proste obiekty byly fizycznym symbolem idei. Byly linia na piasku. Mowily: dotad i nie dalej. Mowily: tu wlasnie jest prawo. Przekrocz te linie, a znajdziesz sie poza prawem. Sprobujcie przekroczyc te linie ze swoimi masywnymi toporami, wielkimi morgensternami i ciezкими, bardzo ciezкими kolczastymi maczugami, a my nieliczni, my szczesliwi nieliczni, ktorzy stoimy tu z naszymi drewnianymi palkami, my... my...

...moze lepiej nie przekraczajcie tej linii, co?

Czarno-zolte granice prawa ustawiono w dwoch liniach, jakies dwanascie stop od siebie, co dawalo dosc miejsca dla dwoch szeregow straznikow stojacych twarzami na zewnatrz.

Vimes wciagnal pana Pesymala na sam srodek Chrupu, pomiedzy szeregi, i tutaj wypuscil.

–Jakies pytania? – rzucil, kiedy spoznieni nowo przybyli przebiegli obok, by zajac stanowiska.

Maly czlowieczek spojrzal ku Peknietym Ksiezycom, gdzie trolle rozpalily wielkie ognisko. Potem odwrocil sie w druga strone, do placu Sator, gdzie krasnoludy rozpalily kilka ognisk. Z daleka slychac bylo spiewy.

–A tak, najpierw spiewaja. W tym momencie chodzi tylko o to, zeby krew plynela

szybciej, rozumie pan – tłumaczył Vimes. – Piesni o bohaterach, wielkich zwyciestwach, zabijaniu swoich wrogow i picciu z ich ciepłych czaszek. Takie tam.

–A moze obejda nas bokiem, co? – zapytal z nadzieja A.E. Pesymal.

–Watpie. Nie beda w nastroju do waskich uliczek. Beda mysleli w liniach prostych. Pedz i wrzeszcz, powiedza, bos nie leszcz.

–Ach, tam przeciez stoi uniwersytet – oswiadczył A.E. Pesymal, jakby pierwszy raz w zyciu zauwazyl potezna bryle Niewidocznego Uniwersytetu. – Magowie na pewno moga...

–...magicznie wyrwac im bron z rak, byc moze pozostawiajac wszystkie palce? Przeniesc ich czarami do aresztu? Zmienic we fretki? A co potem, panie Pesymal? – Vimes zapalil cygaro, oslaniajac zapalke dlonmi tak, ze plomyk na moment rozjasnil jego twarz. – Czy podazymy tam, gdzie nas prowadzi magia? Machniemy rozdzka, zeby odkryc, kto jest winien i jakiego przestepstwa? Zaczarujemy ludzi, zeby byli dobrzy? Niewinni nie mieliby sie czego obawiac, mysli pan? Nie postawilbym na to nawet pensa, panie Pesymal. Magia jest taka troche zywa, troche podstepna. I kiedy juz pan mysli, ze trzyma ja za gardlo, ona gryzie pana w tylek. Zadnej magii w mojej strazy, panie Pesymal. Uzywamy tylko dobrej, staroswieckiej roboty policyjnej.

–Ale ich jest bardzo duzo, komendancie.

–Razem okolo tysiac, jak oceniam – odparl spokojnie Vimes. – Plus kto wie, ilu jeszcze, ktorzy sie wlacza, jesli stracimy kontrole nad sytuacja. W tej chwili to tylko zapalency i gangi.

–Ale... ale nie moze pan, no... zostawic ich, zeby to zalatwili miedzy soba?

–Nie, panie Pesymal, poniewaz nastapiloby to, co w strazy nazywamy "calkowitym i absolutnym krwawym chaosem". A ten chaos by trwal i bardzo szybko sie rozprzestrzenial. Nie, musimy to skonczyc od razu, wiec...

Od placu Peknietych Ksiezycow dobiegl gluchy huk. Byl dostatecznie glosny, by odbic sie echem od scian budynkow.

–Co to bylo? – Pan Pesymal rozejrzal sie nerwowo.

–Och, moza sie bylo tego spodziewac – odparl Vimes.

Pan Pesymal uspokoil sie troche.

–Moza?

–Tak. To gahanka, trollowy rytm wojenny. Podobno dziesięć minut po jego usłyszeniu człowiek jest martwy.

Za plecami Pesymala Detrytus usmiechnął się szeroko, a światło pochodni zmieniło jego diamentowe zęby w rubiny.

–To prawda? – zapytał inspektor niepewnie.

–Nie wydaje mi się. A teraz przepraszam na chwilę, pełniący obowiązki funkcjonariusza Pesymal. Zostawiam was w dobrych rekach sierżanta Detrytusa, muszę pogadać z moimi ludźmi. Usztywnić im sięgną, że tak powiem.

Vimes odszedł pośpiesznie. Powtarzał sobie, że nie powinien tego robić inspektorowi – to tylko urzędnik i prawdopodobnie nie jest złym człowiekiem. Kłopot polegał na tym, że trolle na Peknietych Ksieżycach też nie były złymi trollami, a krasnoludy na Sator – złymi krasnoludami. Ludzie, którzy prawdopodobnie nie są zli, mogą zabić.

Trollowy rytm zahuczał nad miastem w chwili, kiedy Vimes stanął obok Freda Colona.

–Widzę, że postanowili dać nam gahankę, panie Vimes – stwierdził sierżant z nerwową dobroduszością.

–Tak. Pewnie niedługo rusza do szturmów.

Vimes zmrużył oczy, próbując dostrzec wokół dalekiego ognia jakichś postaci. Trolle nie szturmowały szybko, ale kiedy już ruszały, wyglądało to jak sunący mur.

Jeśli wyciągnie się rękę i stanowczym głosem krzyknie "Stac!", to prawdopodobnie nie wystarczy.

–Myśli pan o innej barykadzie, panie Vimes? – spytał Fred.

–Hmm... – mruknął Vimes, odsuwając myślami wizję siebie wprasowanego w ulicę.

–Barykady, sir – podpowiedział Colon. – Ponad trzydzieści lat temu...

Vimes sztywno skinął głową. O tak, pamiętał Wspaniałą Rewolucję. Tak naprawdę to nie była rewolucja, a za Wspaniałą mogłoby ją uznać tylko ktoś, kto uważa, że przedwczesny grób jest wspaniałym. I ludzie też tam ginęli z powodu innych ludzi, którzy – poza jednym czy dwoma – prawdopodobnie nie byli złymi ludźmi...

–Tak – przyznał. – Wydaje się, że to było wczoraj.

Każdego dnia, pomyślał, wydaje się, że to było wczoraj.

–A pamięta pan sierżanta Keela? Tamtej nocy wykrecił pare sztuczek.

Głos sierżanta Colona, podobnie jak wcześniej pana Pesymala, brzmiał dziwnie zachecajaco. Vimes przytaknął.

–A przypadkiem nie chowa pan jednej czy dwóch w rekawie, sir? – ciągnął Fred, z naga już i bezwstydną nadzieją.

–Znasz mnie, Fred. Zawsze chętnie się czegoś ucze – odpowiedział dość niejasno Vimes.

Poszedł dalej. Skinieniem pozdrawiał strażników, których znalazł, innych klepał po plecach i starał się nie dać pochwycić żadnemu spojrzeniu. Każda twarz była w jakimś sensie odbiciem twarzy Freda Colona. Praktycznie widział ich myśli, gdy w bebenki walił jak młotem huk pięciuset maczug uderzających równocześnie o kamienie.

Wymyślił pan coś, prawda, panie Vimes? Nie będziemy tu tkwić scisnięci jak mięso w kanapce, prawda? To jakaś sztuczka, prawda? Sztuczka, sir? Sir?

Mam nadzieję, że tak, myślał Vimes. Ale sztuczka czy nie, straż musi tu być. I taka jest prawda.

Cos się zmieniło w rytmie gahanka. Trzeba było uważnie się wsłuchać, lecz niektóre maczugi uderzały o ziemię odrobine za szybko albo trochę spóźnione. Aha...

Dotarli do Cuda i Marchewa, którzy wpatrywali się w dalekie ogniska krasnoludów.

–Chyba uzyskujemy rezultat, sir – zauważył Marchewa.

–Mam nadzieję, do demona! Co się dzieje z krasnoludami?

–Mniej śpiewają, sir – zameldowała Cudo.

–Milo to słyszeć.

–Ale dalibyśmy im radę, prawda, sir? – zapytał Marchewa. – Z funkcjonariuszami golemami po naszej stronie? Gdyby przyszło co do czego?

Oczywiście, że nie, podsunął odpowiedź umysł Vimesa. Moglibyśmy najwyżej zginąć bohatersko. Widziałem ginących bohatersko ludzi. To nie ma przyszłości.

–Nie chce, żeby coś przychodziło do czegoś, kapitanie...

Vimes urwał. Zobaczył ciemniejszy cień w mroku.

–Podaj hasło! – zawołał pośpiesznie.

Niewyraźna postać w obszernej pelerynie z kapturem zawahała się.

–Haflo? Momencik, gdzieś je fobie zapifałem... – zaczęła.

–W porządku, Igorze, możesz przechodzić – rzucił Marchewa.

–Fkad pan wiedział, że to ja, fir? – zdziwił się Igor, schylając się pod bariera.

–Twój płyn po goleniu – wyjaśnił Vimes, mrugając do kapitana. – Jak poszło?

–Tak jak pan fadzil, fir. – Igor zrzucił kaptur. – A przy okazji, dobrze zefkrobałem blat, a mój kuzyn Igor czeka gotów do pomocy. Gdyby zaflo cof nieprzewidzianego, fir...

–Dziękuję, że o tym pomyślałeś, Igorze – rzekł Vimes, tak jakby Igory w ogóle myślały o czymś innym. – Mam nadzieję, że nie będzie potrzebny...

Spojrzał w obie strony Chrupu. Deszcz padał gęściej. Przynajmniej raz ten dobry przyjaciel gliny pojawił się wtedy, kiedy naprawdę mógł się przydać. Deszcz zwykle tłumi bojowy zapal.

–Ktos widział Nobby'ego?

–Jestem, panie Vimes – odezwał się głos z ciemności. – Stoje tu od pięciu minut.

–To czemu nic nie gadasz?

–Nie mogłem sobie przypomnieć hasła, sir. Pomyślałem, że zaczekam i podsłucham, jak Igor je mówi.

–No to włącz. Jak poszło?

–Lepiej, niż mogłoby pan sobie wyobrazić, sir – zapewnił Nobby. Deszcz sciekał mu z peleryny.

Vimes popatrzył wokół.

–No dobra, chłopcy, to by było tyle. Marchewa i Cudo, wy prowadzicie do krasnoludów, ja i Detrytus weźmiemy trolle. Znacnie zasady. Szeregi mają się przesuwac powoli. I zadnej ostrej broni. Powtarzam: zadnej ostrej broni, chyba że zagrozi nam śmierć. Złatwimy to po policyjnemu, jasne? Na mój sygnał!

Pospieszył z powrotem wzdłuż podwójnej linii barier tak szybko, jak sunęło poruszenie w szeregach strażników. Detrytus czekał ze stoickim spokojem.

–Maczugi własnie wzięły przestaly, sir – zameldował.

–Slyszalem, sierzancie. – Vimes zdjal naoliwiony skorzany plaszcz i powiesil na barierze. Musial miec wolne rece. – A przy okazji, jak poszlo na Kolejnego Zakretu?

–Och, cudownie, sir – odparl rozmarzony Detrytus. – Szesciu alchemikow i piecdziesiat funtow swiezego spadu. Wejście, wyjscie, szybko i mило, wszyscy siedza na Tantach.

–Nie wiedzieli nawet, co ich trafilo, co?

Detrytus zrobil lekko urazona mine.

–No nie, sir – powiedzial. – Zem dopilnowal, coby wiedzieli, zem to ja ich trafil.

Vimes zauwazyl pana Pesymala, w miejscu gdzie go zostawil. Twarz inspektora byla bladym kregiem w mroku. No, wystarczy juz tej zabawy. Moze ten maly duren czegos sie nauczyl, tkwiac na deszczu i czekajac, az znajdzie sie miedzy dwoma grupami wscieklego motlochu. Moze mial czas pomyslec, jak to jest, kiedy zycie staje sie ciagiem własnie takich chwil. To troche trudniejsze od przesuwania papierow, co?

–Na panskim miejscu zaczekalbym tutaj, panie Pesymal – powiedzial mozliwie lagodnie. – Tam moze sie miejscami zrobic groznie.

–Nie, komendancie. – A.E. Pesymal uniosl wzrok.

–Co?

–Uwazalem na to, co zostalo powiedziane, i chce zmierzyc sie z wrogiem, komendancie – oswiadczył A.E. Pesymal.

–Prosze posluchac, panie Pe... Posluchaj mnie, A.E. – rzekl Vimes, kladac mu dlon na ramieniu. I urwal. A.E. Pesymal trzasil sie tak bardzo, ze jego kolczuga lekko podzwaniala. Jednak Vimes nie zrezygnowal. – Lepiej idz do domu, co? To nie jest twoje miejsce.

Kilka razy klepnal to ramie, calkiem zaklopotany.

–Komendancie Vimes! – rzekl stanowczo inspektor.

–Slucham.

A.E. Pesymal zwrocił do niego twarz bardziej wilgotna, niz mógł to usprawiedliwic deszcz.

–Jestem pelniacym obowiazki funkcjonariusza, prawda?

–No tak, wiem, że tak mówilem, ale nie sadziłem, że potraktuje to pan poważnie...

–Jestem poważnym człowiekiem, komendancie. I nie ma takiego miejsca, w którym wolalbym teraz być zamiast tutaj – zapewnił pełniący obowiązki funkcjonariusza Pesymal, szczerkając zębami. – I takiej chwili, w której chciałbym być tutaj, zamiast teraz. Załatwmy to należycie, dobrze?

Vimes zerknął na Detrytusa, który wzruszył potężnymi ramionami. Coś się tam działo w głowie małego człowieczka, któremu pewnie jedna reka mogłaby przetracić kark.

–No dobrze, skoro się upierasz – mruknął Vimes bezradnie. – Słyszeliście inspektora, sierżancie. Załatwmy to.

Detrytus kiwnął głową. Odwrócił się w stronę dalekiego obozowiska trolli, unosił dłoń do ust i wykrzyknął ciąg trollowych słów rozbrzmiewających głośno między ścianami budynków.

–Może coś, co byśmy wszyscy rozumieli? – zaproponował Vimes, kiedy ucichły echa.

A.E. Pesymal wystąpił naprzód i nabral tchu.

–No chodźcie, jeśli wam się wydaje, że jesteście twardzi! – wrzasnął na całe gardło.

Vimes odchrząknął.

–Dziękuję, panie Pesymal – rzekł słabym głosem. – Sadzę, że to powinno wystarczyć.

Ksiezyc chował się gdzieś za chmurami, lecz Angua nie musiała go widzieć. Marchewa zamówił kiedyś dla niej na urodziny specjalny zegar. Z małym ksiezycem, który obracał się na zmianę ciemną i jasną stroną, co dwadzieścia osiem dni. Musiał sporo kosztować i Angua nosiła go teraz na obroży – jedynym elemencie odzieży, którego mogła używać przez cały miesiąc. Nie powiedziała Marchewie, że zegar nie jest jej potrzebny. I tak wiedziała, w jakiej ksiezyc jest fazie.

W tej chwili też bardzo dobrze to wiedziała, ponieważ myślała nosem. To był problem z tym czasem wilka: nos przejmował kontrolę.

Przeszukiwała zaułki wokół ulicy Melasowej, oddalając się po spirali od wejścia do kopalni krasnoludów. Krazyła przez świat kolorów; zapachy nachodziły na siebie, dryfowały i utrzymywały się.

Nos jest także jedynym organem, który potrafi spojrzeć wstecz przez czas.

Odwiedziła już stos odpadków na wysypisku i odkryła zapach trolla. Wydostał się tamteady, ale nie warto było podążać za tropem tak wystygłym. Przecież setki ulicznych trolli nosiły ostatnio mech i czaszki. Ale to ohydne, oleiste paliwo... ten zapach tkwił jej w pamięci. Te małe demony musiały mieć jakieś inne wejścia, prawda? I jakos trzeba przemieszczać powietrze w kopalni. Więc ślad tego oleju wydostanie się na zewnątrz razem z powietrzem. Zapach nie będzie mocny, ale nie potrzebowała mocnego. Wystarczy najmniejszy ślad. Wystarczy z nawiązką.

Kiedy biegła przez zaułki i przeskakiwała przez mury na ciemne dziedzince, trzymała scisnięta w paszczy nieduża skorzana sakwa, niezbędna każdemu wilkolakowi, który musi pamiętać, że ubranie nie podąża za nim magicznie.

W torbie była lekka jedwabna sukienka i duża butelka płynu do ust, który Angua uważała za największy wynalazek ostatnich stu lat.

To, czego szukała, znalazła za Broad-Wayem: wyróżniało się na tle znajomych, organicznych zapachów miasta jak wąska czarna wstążeczka smrodu, która pozostawiała w powietrzu zygzaki, kiedy przeciągały ją tu i tam przypadkowe podmuchy wiatru i przejeżdżające wozy.

Zaczęła poruszać się ostrożniej. Ta okolica nie przypominała ulicy Melasowej; tutaj mieszkali ludzie z pieniędzmi, a te pieniądze często wydawali na wielkie psy i tabliczki "Nieproporcjonalna reakcja" na podjazdach. Rzeczywiście, Angua słyszała brzeki lancucha i od czasu do czasu skomlenie. Nie cierpiała, kiedy atakował ją agresywny pies. Zawsze zostawał balagan, a woda do ust nigdy potem nie była dostatecznie mocna.

Ślad smrodu płynął przez parkany Empirycznego Sierpu, jednego z wielkich polszlachetnych kamieni architektury. Trudno było znaleźć ludzi skłonnych tu zamieszkać, mimo że okolica należała do atrakcyjnych. Lokatorzy rzadko zostawali dłużej niż kilka miesięcy, wyprowadzali się pośpiesznie, często zostawiając wszystkie swoje rzeczy*.

Bezgłownie i swobodnie przeskoczyła nad parkanem i wylądowała na czterech łapach na tym, co kiedyś było zwirowa ścieżka. Mieszkańcy uliczki rzadko kiedy pracowali w ogrodzie, bo nawet jeśli człowiek posadził cebulki, nigdy nie wiedział, w którym ogrodzie wyrosną.

Angua podążyła za wskazaniem nosa do grządki wybujałych ostów. Było tam kilka ułożonych w krąg popekanych cegieł – pozostałości studni.

Oleisty smród wisiał tu ciężko, ale pojawił się też świeższy, o wiele bardziej złożony zapach, od którego Angui zjeżyły się włosy na karku. Tam w dole był wampir.

Ktos odciagnal na bok zielsko i odpadki, wsrod nich gnijacy materac i rozpadajacy sie fotel*. Sally? Co by tutaj robila?

Z murszejacej cembrowiny Angua wyjela cegle i pozwolila jej spasc. Zamiast plusku uslyszala wyrazny, drewniany stuk.

No coz... Wrocila do czlowieczentwa, by zejsc na dol; pazury sa wygodne, lecz z pewnymi rzeczami malpy radza sobie lepiej. Sciany byly oczywiscie oslizle, ale przez lata wypadlo z nich tak wiele cegiel, ze zejście okazalo sie nadspodziewanie latwe. Studnia miala tylko szescdziesiat stop glebokosci; zbudowano ja w czasach, gdy ludzie powszechnie wierzyli, ze woda, w ktorej zyje wiele malutkich wasatych stworzonek, musi byc zdrowa.

Na dnie lezaly swieze deski. Ktos – a przeciez mogly to byc tylko krasnoludy – przebil sie do studni od dolu i polozyl tu pare desek. Dokopaly sie tak daleko i przerwaly. Dlaczego? Z powodu studni?

Tuz pod deskami byla brudna woda. Albo wodopodobna ciecz. Tunel troche sie rozszerzal, a krasnoludy byly tu – pociagnela nosem – kilka dni temu, nie wiecej. Tak. Krasnoludy trafily tutaj, pogrzebaly dookola, a potem odeszly wszystkie naraz. Nawet nie zadaly sobie trudu, zeby sprzatnac. Wyczuwala to, jakby widziala obraz.

Sunela naprzod; mapa tuneli rysowala sie w jej nozdrzach. Nie byly tak solidnie wykonane jak te, po ktorych poruszal sie Twardziec. Byly nierowne, z calym mnostwem zygzakow i slepych zaulkow. Szorstkie deski i belki powstrzymywaly cuchnace bloto rownin, ktore jednak i tak przesaczalo sie wszedzie. Te tunele nie mialy przetrwac dlugo. Powstaly dla jakiejs szybkiej i stanowczo brudnej roboty; mialy wytrzymac, dopoki nie zostanie wykonana.

No wiec... Kopacze czegos szukali, ale nie byli pewni, gdzie to jest, dopoki nie znalezli sie w odleglosci... jakiej? Okolo dwudziestu stop, a wtedy... wyczuwali to? Wykrywali? Ostatni odcinek do studni byl idealnie prosty. Czyli wtedy wiedzialy juz, dokad ida.

Angua przekradala sie coraz dalej, zgieta wpol, by zmiescic sie pod niskim stropem. W koncu zrezygnowala i wrocila do formy wilka. Tunel znowu sie wyprostowal. Od czasu do czasu mijala boczne odgalezienia, ale ignorowala je, choc pachnialy jak dlugie. Zapach wampira wciaz byl irytujacym tematem nosowej symfonii i niemal zacieral odor saczacej sie ze scian brudnej wody. Tu i tam sklepienie skolonizowaly vurmy. I nietoperze.

I nagle, kiedy przechodzila obok wylotu tunelu, pojawil sie nowy zapach. Byl dosc slaby, ale rozroznila w nim wyrazny powiew zgnilizny. Swieza smierc...

Trzy swieze smierci. Na koncu krotkiego boczego tunelu lezaly ciala dwoch, nie,

trzech krasnoludów, na wpol zalane błotem. Jarzyły się. Vurmy nie miały zębów, jak tłumaczył jej Marchewa. Czekaly, aż ich przyszedł posiłek sam z siebie stanie się niemal płynny. A póki czekały, świeciły ten najszczęśliwszy traf, na jaki mogły liczyć. Tutaj, w świetle bardzo dalekim od ulic, krasnoludy rozpuszczały się w świetle.

Pociągnęła nosem. Raczej bardzo świeże...

–Cos znalazły – odezwał się głos za nią. – A potem to ich zabiło.

Angua skoczyła.

Skok nie był zamierzony. Tyłomozgowie zrealizowało go całkiem samodzielnie. Platy czołowe, które wiedziały, że sierzanci nie powinni bez prowokacji wypruwac flaków młodszym funkcjonariuszom, próbowały zatrzymać ten skok w powietrzu, ale tutaj rządziła już prosta balistyka. Angua zdołała tylko skrecić ciało w locie i uderzyła o miękka ścianę ramieniem.

Niedaleko zatrzepotały skrzydła i zabrzmiał przeciągły organiczny dźwięk niosący sugestie, że człowiek w rzeźni miał pewne problemy z niewygodnym fragmentem chrząstki.

–Wam, wilkołakom, łatwiej – mówiła Sally, jakby nic się nie wydarzyło. – Zostajecie w jednym ciele i masa tego ciała nie sprawia wam kłopotów. Czy wie pani, sierzancie, w ile nietoperzy muszę się zmienić przy mojej wadze? Ponad sto pięćdziesiąt, nic mniej. I zawsze trafi się jeden, który polecą nie w tę stronę albo gdzieś się zgubi. Nie da się myśleć rozsądnie, dopóki nie zbierze się wszystkich swoich nietoperzy. I nawet nie zamierzam poruszać kwestii reasymilacji. To jakby największe kichnięcie, jakie można sobie wyobrazić. Wstecz.

W tych ciemnościach na dole skromność nie miała sensu. Angua zmusiła się do przemiany powrotnej – wszystkie neurony w jej mózgu wspólnymi siłami starały się przegłosować kły i pazury. Gniew pomagał.

–Dlaczego tu jesteś, do demona? – spytała, kiedy miała już działające usta.

–Nie mam służby. Pomyslałam, że zobaczę, co da się znaleźć. – Sally wynurzyła się z mroku. Była całkiem naga.

–Nie mogłaś mieć takiego szczęścia – warknęła Angua.

–Och, nie mam pani nosa, sierzancie. – Sally uśmiechnęła się słodko. – Ale korzystałam ze stu pięćdziesięciu pięciu całkiem niezłych latających, a one potrafią

zbadac spory teren.

–Myslalam, ze wampiry potrafia rematerializowac odziez – stwierdzila Angua. – Otto Chriek potrafi!

–Kobiety nie potrafia. Nie wiemy czemu. To pewnie ma jakis zwiazek z przejrzystymi koszulami nocnymi. I tu znowu pani ma przewage. Kiedy jest sie w cialach stu piecdziesieciu nietoperzy, trudno pamietac, by zmusic dwa do zabierania pary spodni. – Sally spojrzala w gore i westchnela. – Sluchaj, wiem, do czego to prowadzi. Pojawi sie kwestia kapitana Marchewy, tak?

–Widzialam, jak sie do niego usmiechalas!

–Przepraszam! Bywamy calkiem sympatyczne. Wampiry juz takie sa.

–Chcialas zrobic na nim wrazenie, co?

–A ty nie? To taki czlowiek, na ktorym kazdy chcialby zrobic wrazenie!

Przygladaly sie sobie czujnie.

–Wiesz, ze on jest moj – oswiadczyla Angua, czujac pod paznokciami ucisk rodzacych sie pazuwow.

–Ty jestes jego, chcialas powiedziec. Wiesz, ze tak to dziala. Wloczysz sie za nim!

–Przykro mi, ale wilkolaki juz takie sa! – wrzasnela Angua.

–Zaczekaj! – Sally w gescie pokoju wyciagnela przed siebie rece. – Jest cos, co powinniśmy zalatwic, zanim ta sprawa rozwinie sie dalej!

–Tak?

–No tak. Obie nie mamy nic na sobie, stoimy w czymś, co, jak pewnie zauwazyilas, coraz bardziej zmienia sie w bloto, i szykujemy sie do walki. W porzadku. Ale czegos tu brakuje, prawda?

–A to cos to...?

–Publicznosc placaca za bilety. Moglybysmy zbic majatek. – Sally mrugnela. – Albo mozemy zajac sie tym, co nas tu sprowadzilo.

Angua z wysilkiem rozluznila miesnie. Ona powinna to powiedziec – przeciez byla sierzantem, prawda?

–Dobra, dobra – mruknela. – Zostawmy to. Mowilas, ze krasnoludy zabilo jakies...

cos ze studni?

–Mozliwe. Ale jesli tak, uzylo topora. Przyjrzyj sie, zdrap troche blota. Saczy sie na nich, odkad przyslam. Pewnie dlatego to przeoczylas – dodala Sally wielkodusznie.

Angua wydobyła jednego z krasnoludow z jasnijacej mazi.

–Widze – stwierdzila i puscila cialo. – Ten jest martwy od niecalych dwoch dni. Ale zauwazylam, ze nikt specjalnie nie staral sie ich ukryc.

–Czemu mial sie przejmowac? Przestali wypompowywac wode z tych tuneli, szalunki wygladaja na prowizoryczne, bloto wlewa sie z powrotem. A kto bylby tak glupi, zeby tu schodzic?

Fragment sciany zsunal sie w dol i plasnal o ziemie z lepkim, organicznym dzwiekiem krowiego placka. Wszedzie rozbrzmiewaly ciurkania i plusniecia – podziemia Ankh-Morpork stopniowo odzyskiwaly to, co do nich nalezalo.

Angua skoncentrowala sie, zamknela oczy. Odor mazi, zapach wampira i woda, gleboka juz do kostek, staraly sie odwrocic jej uwage, ale nadeszla chwila proby. Nie mogla pozwolic, by wampir objal przewodnictwo. To byloby takie... tradycyjne.

–Byly tu inne krasnoludy – wymruczala. – Dwa... nie, trzy... eee... cztery. Wyczuwam... czarny olej. Daleka krew. W glebi tunelu. – Wyprostowala sie tak gwałtownie, ze o malo nie uderzyla glowa w strop. – Chodzmy!

–Robi sie troche niebezpiecznie...

–Mozemy rozwiazac te sprawe! Chodz! Chyba nie boisz sie umrzec? – Angua ruszyla tunelem.

–A tobie sie wydaje, ze spedzenie paru tysiecy lat pod szlamem bedzie takie zabawne?! – zawolala Sally, ale zwracala sie juz tylko do kapiacej wody i cuchnacego powietrza.

Zawahala sie, jeknela i pobiegla za Angua.

Dalej w glebi od glownego tunelu odchodzily kolejne chodniki. Po obu stronach wyplywaly z nich juz rzeki blota niby zimna lawa. Brodzac, Sally przeszla obok czegos, co wygladalo jak wielka mosiezna trabka wirujaca delikatnie w nurcie.

Tunel byl tu zbudowany solidniej niz fragmenty blizsze studni. A tam, na jego koncu, jarzylo sie blade swiatlo. Angua przykucnela przy duzych, okraglych krasnoludzych drzwiach. Sally nie zwracala na nia uwagi. Ledwie zerknela na krasnoluda siedzacego bezwladnie z plecami opartymi o dol drzwi.

Patrzyła na symbol nabazgrany na metalowej powierzchni. Był wielki, prymitywny i mógł przedstawiać okrągłe, wytrzeszczone oko z ogonem. Lśnił zielonkawym blaskiem vurmow.

–Narysował to krwia – stwierdziła Angua, nie podnosząc głowy. Zostawili go jak trupa. Umierał. Doczołgał się aż tutaj, ale zbrojcy zatrzasnęli drzwi. Drapał o nie... tu zapach... i starł sobie paznokcie. A potem narysował ten znak własną krwią i zaciskając rane, patrzył, jak przybywają vurmy. Moim zdaniem nie żyje od jakichś osiemnastu godzin. Hm?

–Powinnysmy natychmiast się stąd wynieść – stwierdziła Sally i cofnęła się o krok.
– Wiesz, co to za symbol?

–Wiem, że to znak gorniczy, nic więcej. A ty go znasz?

–Nie, ale wiem, że to jeden z tych naprawdę niedobrych. I źle jest go tutaj zobaczyć. Co robisz? – Sally cofnęła się dalej.

–Probuje odkryć, kim był – odparła Angua, przeszukując ubranie krasnoluda. – Rozumiesz, w strażnicy robimy takie rzeczy. Nie stoimy bezczynnie i nie martwimy się bazgrołami na ścianach. O co chodzi?

–W tej chwili? – mruknęła wampirzyca. – On... trochę cieknie.

–Skoro ja mogę to wytrzymać, ty też możesz. W tej robocie często widuje się krew. Nie próbuj jej pić, to moja rada. – Angua wciąż szukała. – Aha... Ma runiczny wisior. I jeszcze... – Wyjęła rękę z kaftana zabitego krasnoluda. – Nie bardzo da się to obejrzeć, ale wyczuwam atrament, czyli to może być list. No dobra. Wynosmy się stąd. – Obejrzała się na Sally – Słyszysz mnie?

–Ten znak wyrysował ktoś konający – stwierdziła wampirzyca.

–I co?

–W takim razie to prawdopodobnie kłątwa.

–Co z tego? Nie musimy go zabijać.

–Myślisz, że ja to obchodzi? – spytała rzeczowo Sally.

Angua wstała z pewną trudnością. Płynne błoto sięgało jej do kolan.

–Nie. Ale wydaje mi się, że przez ten ostatni tunel, który mineliśmy, może prowadzić inna droga na zewnątrz. – Angua wyciągnęła rękę. Kolumna vurmow ze ślepa determinacją pędziła po kamiennym stropie niemal tak szybko jak płynące w dół

bloto. Jasniejacy strumieniem sunela do bocznego tunelu.

Sally wzruszyła ramionami.

–Warto spróbować, nie?

Odeszły, a mlaskanie ich kroków szybko ucichło. Wkrótce bloto podniosło się wyżej, szumiąc w ciemności. Linia wurmów powoli gasła w gorze. Jednak te, które tworzyły znak, pozostały, ponieważ taka ucztą była warta, by dla niej zginąć. Lśnienie gasło stopniowo, jeden wurm po drugim.

Ciemność pod światłem piścila znak, który rozblysnął czerwienią i umarł.

Ciemność pozostała.

Tego dnia roku 1802 malarz Methodia Rascal próbował wcisnąć to pod stos starych worków, na wypadek gdyby zbudziło kurczaki. Dokonał ostatniego trolla, używając najcięższego pedzelka, by namalować oczy.

Była piąta rano. Deszcz sypał z nieba – niezbyt gęsto, ale z delikatnym uporem. Na placu Sator i na placu Peknietych Księżyców syczał na białych popiołach ognisk, niekiedy odsłaniając pomarańczowy żar, który przez chwilę skwierczał i przyskał.

Rodzina gnolli weszła dookoła, a każde wlokło za sobą wózek. Kilku funkcjonariuszy miało na nich oko. Gnolle nie były wybredne w kwestii tego, co zbierały, pod warunkiem że się nie bronilo, a nawet jeśli... krzyły różne pogłoski. Ale tolerowano je. Nic nie sprzątało tak dobrze jak gnolle.

Z tego miejsca przypominały małe trolle, każdy z wielkim stosem kompostu na plecach. Ten stos stanowił cały ich majątek, a cały ich majątek w większości gnill.

Sam Vimes skrzywił się, czując ból w boku. Zwyczajny pech. Dwoch gliniarzy rannych w całej tej nieszczęsnej akcji, i akurat on musiał być jednym z nich? Igor zrobił, co mógł, ale polamane zebra to polamane zebra, więc minie tydzień czy dwa, zanim podejrzana zielona masc zrobi jakąś różnicę.

Mimo to grzał się w ciepłym blasku satysfakcji. Sprawdzała się metoda dobrej, staroswieckiej policyjnej roboty, a że dobrzy, staroswieccy policjanci są nieodmiennie w mniejszości, zastosował też dobre, staroswieckie metody sprytu, przebiegłości i dowolnej broni, jaka wpadnie w rękę.

Wlasciwie trudno to nazwac starciem. Krasnoludy glownie siedzialy i spiewaly ponure piesni, poniewaz przewracaly sie, kiedy probowaly wstac, a teraz lezaly i chrapaly. Trolle za to glownie staly, ale padaly, kiedy sie je pchnelo. Jeden czy dwa, nie tak bardzo otumanione, probowaly stanac do ociezalej i smiechu wartej walki, jednak runely po wykorzystaniu najbardziej staroswieckiej ze wszystkich policyjnych metod: dobrze wymierzonego buta. No, w kazdym razie wiekszosc z nich. Vimes zmienil pozycje, by stlumic bol w boku; powinien tego jednego zauwazyc.

No, ale wszystko dobre, co sie dobrze konczy, prawda? Zadnych ofiar, a zeby dolozyc wisienke do tortu, mial wlasnie w reku poranne wydanie "Pulsu", w ktorым autor wiodacego artykulu rozpaczal nad gangami krazacymi po miescie i zastanawial sie, czy straz zdola oczyszcic ulice.

No wiec uwazam, ze zdola, ty nadety dupku. Vimes uderzyl zapalka o cokol i zapalil cygaro dla uczczenia tego niewielkiego, ale posepnie satysfakcjonujacego tryumfu. Bogowie swiadkami, ze go potrzebowali. Straz zbierala ciegi w calej tej sprawie doliny Koom, dobrze wiec dac chlopakom cos, z czego – dla odmiany – moga byc dumni. W koncu bez watpienia osiagneli sukces.

Patrzyl na cokol. Nie pamietal, jaki posag na nim stal. Teraz stanowil pamiatke po generacji artystow graffiti.

Zdobil go element trollowego graffiti, zacierajacy wszystko, czego dokonali tworczy korzystajacy ze zwyklej farby. Vimes przeczytal:

PAN BLYSK

ON DIAMENT

Gorniczy znak, miejski napis, pomyslal. Sytuacja zle sie uklada i ludzie odczuwaja potrzebe pisania na murach.

–Komendancie!

Odwrocil sie. Kapitan Marchewa w blyszczacym pancerzu spieszyl ku niemu, a jego twarz jak zwykle promieniala stuprocentowo czystym zapalem.

–Zdawalo mi sie, ze wszystkim funkcjonariuszom poza pelniacymi sluzbe w areszcie kazalem troche sie przespac, kapitanie – przypomnial Vimes surowo.

–Chcialem tylko wyczyszcic pare spraw, sir – odparl Marchewa. – Lord Vetinari przeslal do Yardu wiadomosc. Oczekuje raportu. Pomyslalem, sir, ze lepiej panu to przekaze.

–Tak sie zastanawiam, kapitanie – rzekl serdecznym tonem Vimes. – Moze wmurujemy jakas nieduza tablice? Moglaby stwierdzac cos w rodzaju: "W tym miejscu 5 grune'a roku Krewetki nie stoczono bitwy w dolinie Koom". A moze namowic ich, zeby wydali jakis znaczek? Jak sadzicie?

–Mysle, ze pan tez powinien sie przespac, komendancie. I oficjalnie Dzień Doliny Koom wypada dopiero w sobote.

–Naturalnie, pomniki bitew, ktore nie mialy miejsca, sa idea troche naciagana, ale znaczek...

–Lady Sybil naprawde sie o pana martwi, sir. – Marchewa wrecz ociekal zatroskaniem.

Szum w glowie Vimesa przycichl. Jakby zbudzeni wspomnieniem o Sybil, wierzytiele jego ciala ustawili sie w kolejce, wymachujac swoimi zalegлыми wekslami; stopy: smiertelnie zmeczone i pragnace kapieli; brzuch: burczacy; zebra: w ogniu; plecy: obolale; mozg: pijany wlasnymi truciznami. Kapiel, sen, jedzenie... dobre pomysly. Ale mial jeszcze to i owo do zalatwienia.

–Jak tam nasz pan Pesymal? – zapytal.

–Juz poskladany przez Igora, sir. Troche jest zdziwiony calym zamieszaniem. Sir, ja wiem, ze nie moze panu rozkazac isc na spotkanie z jego lordowska moscia...

–Nie, nie moze pan, poniewaz to ja jestem komendantem, kapitanie. – Vimes ciagle odczuwal lekkie zamglenie umyslu i oszolomienie bedace skutkiem wyczerpania.

–...ale jego lordowska mosc moze i to zrobil, sir. A kiedy tylko pan wyjdzie, przed palacem bedzie czekala panska karetka. To rozkaz lady Sybil, sir. – Marchewa odwolal sie do wladzy wyzszej.

Vimes obejrzal sie na brzydka bryle palacu. Czysta posciel wydala mu sie tak cudownym pomyslem...

–Nie moze tam pojsc w takim stanie – mruknal.

–Rozmawialem z sekretarzem Drumknottem, sir. W palacu beda czekaly goraca woda, brzytwa i duzy kubek kawy.

–Pomyslales o wszystkim, Marchewa...

–Mam nadzieje, sir. A teraz prosze...

–Ale ja tez o czymys pomyslalem, co? – Vimes kolysal sie radosnie. – Lepiej pijany

do nieprzytomności niż pobity do nieprzytomności, co?

–To klasyczny podstęp, sir – zapewnił Marchewa. – Nadaje się do podręczników historii. A teraz proszę ruszać, sir. Ja sam będę musiał poszukać Angui. Nie spała w swoim łóżku.

–Ale w tym okresie miesiąca...

–Wiem, sir. Nie spała też w swoim koszyku.

W wilgotnej piwnicy, która kiedyś służyła za strych, a teraz była na wpol wypełniona błotem, wurmy wylewały się przez niewielki otwór w przegniłych deskach.

Pięść przebiła je od dołu. Wilgotne drewno rozpadło się i rozkruszyło.

Angua podciągnęła się w nową ciemność, po czym sięgnęła w dół, by pomóc Sally.

–No to następne bagno... – stwierdziła wampirzyca.

–Miejmy nadzieję – odparła Angua. – Myślę, że musimy się przedostać przynajmniej o jeszcze jeden poziom wyżej. Tam jest przejście. Chodź!

Miały za sobą już zbyt wiele ślepych zaułków, zapomnianych i cuchnących sal, fałszywych nadziei, a przede wszystkim o wiele za dużo paskudnej mazi.

Przechodziły i przedzierały się od jednego śmierdzącego pomieszczenia do następnego, na zablokowanych ścianach szukając ukrytych drzwi, wypatrując choćby małego punkciku światła na sufitach obwieszonych interesującymi, ale obrzydliwymi porostami. Po pewnym czasie zapach stał się niemal dotykalny, a potem udało mu się zmienić w jeszcze jeden element ciemności.

Teraz usłyszały muzykę. Pięć minut brnięcia i ślizgania doprowadziło je do zamurowanego przejścia, ale że zamurowano je przy użyciu bardziej nowoczesnej ankhmorporskiej zaprawy z piasku, konskiego nawozu i obierek, kilka cegieł zdążyło już wypaść. Sally jednym ciosem usunęła większość pozostałych.

–Przepraszam za to – powiedziała. – Wampiry już takie są.

Piwnica za zdemolowaną ścianą skrywała kilka beczek i wyglądała, jakby była regularnie używana. Miała też normalne drzwi. Spomiędzy desek stropu syczała się powolna, monotonna muzyka. Była tam kłapa.

–No dobra – mruknęła Angua. – Na gorze są ludzie. Wyczuwam ich...

–Naliczyłam pięćdziesiąt siedem bijących serc – stwierdziła Sally.

Angua rzuciła jej spojrzenie.

–Wiesz, na twoim miejscu tę szczególną umiejętność zachowałabym raczej dla siebie.

–Przepraszam, sierzanie.

–To nie jest coś, co ludzie chcieliby słyszeć – ciągnęła Angua. – Rozumiesz, ja bez trudu mogę zgnieść w szczękach czaszkę człowieka, ale nie przechwalam się tym dookoła.

–Zapamiętam to sobie, sierzancie – obiecała Sally z pokora, całkiem możliwe, że udawana.

–No dobrze... Jak wyglądamy? Jak potwory z bagien?

–Tak, sierzancie. Pani włosy są straszne. Jak wielka bryła zielonego sluzu.

–Zielonego?

–Obawiam się, że tak.

–A moja sukienka awaryjna leży gdzieś tam na dole... I jest już po wschodzie słońca. Czy możesz, ehm... przejść w nietoperze?

–W świetle dnia? Sto pięćdziesiąt pięć moich dezorientowanych kawałków? Nie. Ale pani, sierzancie, mogłaby wyjść jako wilk, prawda?

–Tylko że wolalabym nie być potworem z bagien, który przebija się przez podłogę, jeśli ci to nie przeszkadza.

–Tak, rozumiem... Taka reklama się nie opłaca. – Sally strzepnęła bryłkę sluzu. – Faj, alez to paskudztwo.

**–Czyli możemy tylko mieć nadzieję, że kiedy zaczniemy uciekać, nikt nas nie rozpozna – stwierdziła Angua i zgarnęła z włosów grude trzesacej się zielonej materii.
– Przynajmniej... Och, nie!**

–Co się stało? – zapytała Sally.

–Nobby Nobbs! Jest na gorze! Wyczuwam go!

–Kapral Nobbs? – upewniła się Sally. – Mały, z pryszczami?

–Chyba nie jesteśmy pod komisariatem... – Angua rozejrzała się przerażona.

–Raczej nie. Sądząc po odgłosach, ktoś tam tanczy. Ale jak może pani wywachać jednego człowieka w takim... wszystkim?

–Uwierz mi, to się zapamiętuje na zawsze.

Zapachy starej kapusty, masła na trądzik i niezłoslwej choroby skórnej w kapralu Nobbsie ulegały transmutacji w dziwny odor, który kładł się na nosie jak piła na harfie. Nie był nieprzyjemny w ścisłym sensie, ale przypominał swojego właściciela: dziwny, przenikliwy i piekielnie trudny do zapomnienia.

–To przecież także funkcjonariusz, prawda? Pomoże nam chyba?

–Jestesmy nagie, mlodsza funkcjonariusz!

–Tylko w sensie technicznym. To bloto jest strasznie lepkie.

–Chodzi mi o pod blotem – warknela Angua.

–No tak, ale w ubraniu tez pod nim jestesmy nagie! – zauwazyla Sally.

–To nie jest odpowiednia chwila na logike! To jest chwila, zeby nie widziec, jak Nobby sie do mnie szczyrzy!

–Ale przeciez widzial pania w postaci wilka, prawda?

–I co z tego?

–No wiec technicznie jest pani wtedy naga...

–Nigdy mu tego nie mow!

Nobby Nobbs – cien w cieplym, czerwonawym polmroku – szturchnal sierzanta Colona.

–Nie musi pan zamykac oczu, sierzancie – szepnal. – Wszystko jest legalne. Chodzi o artystyczna celebacje kobiecego ciala, jak mowi Plova. A zreszta jest przeciez ubrana.

–Dwa fredzle i zlozona chustka do nosa to nie ubranie, Nobby – oswiadczył Fred, kulac sie na krzesle.

Rozowy Kociak! Trzeba uczciwie przyznac: Fred sluzyl w wojsku i w strazy, a nie da sie spedzic tylu lat w mundurze, zeby czlowiek nie zobaczyl przy tym jednego czy drugiego... albo i trzeciego, jak sobie wlasnie przypomnial. To prawda, jak zauwazyl Nobby, ze tancerki w operze tez niewiele pozostawialy wyobrazni, w kazdym razie nie Nobby'ego. Jednak czlowiek musi dojsc do wniosku, ze balet to sztuka, nawet jesli troche w nim brakuje cokolow i urn, a to dlatego, ze ogladanie go jest raczej kosztowne, no i baleriny nie kreca sie glowa w dol. A co najgorsze, zdazyl juz wypatrzyc wsrod widzow dwoch znajomych. Na szczescie go nie zauwazyli, bo kiedy tylko dyskretnie na nich zerkal, obaj patrzyli w zupełnie przeciwnym kierunku.

–Teraz bedzie naprawde trudny kawalek – szepnal swobodnie Nobby.

–Naprawde? – Fred Colon znowu zamknal oczy.

–O tak. Nazywa sie potrojna sruba...

–Sluchaj, czy kierownictwo nie ma nic przeciw temu, ze tu przychodzisz? – wyszeptal Fred, zsuwajac sie jeszcze nizej na siedzeniu.

–Nie, skad. Odpowiada im, kiedy na sali jest straznik. – Nobby nie odrywal wzroku od sceny. – Uwazaja, ze ludzie sie lepiej zachowuja. Zreszta przychodze, tylko zeby potem odprowadzic Betty do domu.

–A Betty to...?

–Plova to jej pseudonim nadragowy. Mowi, ze nikt by sie nie zainteresowal egzotyczna tancerka, ktora ma na imie Betty. Bo uwaza, ze to brzmi tak, jakby lepiej jej szlo z wyrabianiem ciasta.

Colon znow zamknal oczy, probujac usunac myslowe skojarzenie tej opalonej, gietkiej postaci na scenie oraz misy z ciastem.

–Chyba przyda mi sie troche swiezego powietrza – wykrztusil.

–Nie, jeszcze chwile, sierzancie! Nastepna bedzie Brokoli. Ona potrafi dotknac sie stopa z tylu glowy...

–Nie wierze! – oswiadczył Colon.

–Potrafi, sierzancie, sam widzialem...

–Nie wierze, ze jest tancerka, ktora sie nazywa Brokoli...

–No, kiedys sie nazywala Candi, ale potem ktos jej powiedzial, ze brokuly sa zdrowe...

–Kapralu Nobbs!

Zdawalo sie, ze glos dobiegl spod stolu.

Nobby popatrzył na Freda Colona, po czym spojrzal w dol.

–Tak? – zapytal ostroznie.

–Tu sierzant Angua – oznajmila podloga.

–Och... – odparl Nobby.

–Co to za lokal?

–Klub Rozowego Kociaka, sierzancie – poinformowal Nobby poslusznie.

–O bogowie... – Z dolu dobiegły odgłosy rozmowy, po czym Angua zapytała: – Sa tam jakieś kobiety?

–Tak, sierzancie. Eee... Co pani tam robi, sierzancie?

–Wydaje ci rozkazy, Nobby. Czyli sa tam kobiety?

–Tak, sierzancie. Mnostwo.

–Dobrze. Poprosz kóras, żeby zeszła do piwnicy z piwem. Potrzebujemy dwóch wiader ciepłej wody i ręczników. Zrozumiałaś?

Nobby zauważył, że orkiestra przestała grać, a Plova znieruchomiała w połowie zjazdu z rozwarciem. Wszyscy słuchali gadającej podłogi.

–Tak, sierzancie. Zrozumiałem – zapewnił.

–I jakieś czyste ubrania. I... – Znowu podziemne szepty. – Może lepiej czterech wiader wody. I szczotki. I grzebienia. I drugiego grzebienia. I więcej ręczników. Aha, i dwóch par butów, rozmiar sześć i... cztery i pół? Poważnie? No dobrze. I czy jest z toba Fred Colon, czy to może głupie pytanie?

Fred odchrząknął.

–Jestem tu, sierzancie – przyznał. – Ale przyszedłem tylko dlatego...

–Dobrze. Chcę pożyczyć komplet pasków. Mam nieprzyjemne przeczucie, że przez najbliższe kilka godzin będzie mi zależało, by nikt nie zapomniał o tym, że jestem sierzantem. Zapamiętajcie wszystko obaj?

–Jest pełnia – szepnął Fred do Nobby'ego, jak mężczyzna do mężczyzny. A potem powiedział głośno: – Tak, sierzancie. To może chwile potrwać...

–Nie! Nie potrwa! Bo macie tu na dole wilkolaka z wampirem, jasne? Mnie zupełnie się włosy nie słuchają, a ja bola zeby. W takim klubie z dziewczynkami na pewno nie ma buraków! Co? No dobrze, a jabłko wystarczy? Nobby, młodsza funkcjonariusz Humpeding pilnie potrzebuje jabłka. Albo czegoś innego, co może ukąszyć. A teraz rusz się!

Kawa była jedynie sposobem kradzieży czasu, który zgodnie z prawem powinien należeć do trochę starszego Vimesa. Vimes wypił dwa kubki, umył się i przynajmniej spróbował ogolić, dzięki czemu poczuł się zasadniczo człowiekiem, o ile tylko ignorował te swoje części, które wydawały się napelnione ciepłą watą. W końcu

uznal, że lepiej już się czuł nie będzie i że prawdopodobnie jest w stanie rozumieć dość długie pytania – i został wprowadzony do Podłużnego Gabinetu Patrycjusza Ankh-Morpork.

–Ach, komendancie... – Po odpowiednio długim milczeniu lord Vetinari unosił głowę i odsunął na bok jakieś papiery. – Dziękuję, że pan przyszedł. Jak slyszalem, gratulacje byłyby jak najbardziej na miejscu. Tak mi mówiono.

–A to czemu, sir? – Vimes przybrał specjalny, tępy wyraz twarzy, używany do rozmów z Vetinarim.

–Niech pan da spokój, Vimes. Wczoraj wydawało się, że w samym środku miasta wybuchnie wojna międzygatunkowa, i nagle jej nie ma. Te gangi były całkiem groźne, jak rozumiem.

–W większości spali, kiedy przybyliśmy, sir – stwierdził Vimes. – Musielismy ich tylko uprzatnąć.

–W samej rzeczy – zgodził się Vetinari. – To było doprawdy zadziwiające. Niech pan siadzie, nawiasem mówiąc. Naprawdę nie ma powodu, żeby stał pan tu przede mną jak kapral na służbie.

–Nie wiem, o co panu chodzi, sir – oznajmił Vimes i z wdzięcznością zwałił się na krzesło.

–Nie? Mówiłem, Vimes, o szybkości, z jaką obie grupy zdołały w tym samym czasie pozbawić się sił za pomocą mocnych trunków.

–Nic mi o tym nie wiadomo, sir.

To była reakcja automatyczna. Dzięki niej życie stawało się łatwiejsze.

–Nie? Wydaje się, Vimes, że szykując się do nadchodzącej potyczki, i trolle, i krasnoludy weszły w posiadanie czegoś, co, jak zakładam, uważały za piwo...?

–Przez cały dzień starały się na... upić, sir.

–Istotnie, Vimes. Może właśnie dlatego grupa krasnoludów była mniej niż ostrożna podczas obfitego spożywania piwa, które zostało znacząco... wzmocnione? Pewne obszary na placu Sator, jak rozumiem, lekko pachną jabłkami, Vimes. Można zatem dojść do wniosku, że to, co pily, było raczej mieszanka mocnego piwa i jabłkownika, który, jak pan wie, jest destylowany z jablek...

–Głównie z jablek, sir – podpowiedział Vimes.

–Rzeczywiscie. Koktajl taki znany jest podobno jako Puszek. Co do trolli, mozna sie domyslac, ze trudno znalezc cos, co uczyniloby ich piwo jeszcze grozniejszym, niz chyba jest normalnie. Nie wiem jednak, czy pan slyszal, Vimes, ze mieszanina rozmaitych soli metali tworzy napoj zwany luglarr albo Wielki Mlot?

–Trudno powiedziec, zebym slyszal, sir.

–Vimes, niektore kamienie brukowe na placu sa wytrawione przez te ciecz!

–Bardzo mi przykro, sir.

Vetinari zabebnil palcami po stole.

–Co by pan zrobil, Vimes, gdybym zadal panu bezposrednie pytanie?

–Odpowiedzialbym oczywistym klamstwem, sir.

–A wiec tego nie zrobie. – Vetinari usmiechnal sie blado.

–Dziekuje, sir. Ja rowniez nie.

–Gdzie sa wiezniowie?

–Rozprowadzilismy ich na dziedzince komisariatow, sir – wyjasnil Vimes. – Kiedy sie budza, splukujemy ich do czysta woda, zapisujemy nazwiska, wydajemy pokwitowanie na odebrana bron oraz cos goracego do picia, a potem wyrzucamy ich na ulice.

–Ta bron ma dla nich wielkie znaczenie kulturowe – stwierdzil Vetinari.

–Tak. Wiem o tym, sir. Osobiscie jestem silnie kulturowo uprzedzony wobec rozwalenia mojego mozgu i odrabiania mi kolan. – Vimes stlumil ziewniecie i syknal cicho, gdy zaprotestowaly polamane zebra.

–No tak... Czy w starciu ponieslismy jakies straty?

–Nic, co sie nie zagoi, sir. Musze jednak zameldowac, ze pan A.E. Pesymal doznal zlamania reki i licznych stluczen.

Vetinari naprawde wygladal na zdumionego.

–Inspektor? Co on robil?

–Hm... atakowal trolla, sir.

–Przepraszam, ale... pan Pesymal atakowal trolla?

–Tak, sir.

–Calego trolla?

–Tak jest, sir. Zebami, sir.

–A.E. Pesymal? – Vetinari wciaz nie mogli uwierzyc.

–Wlasnie on, sir.

–Pan A.E. Pesymal? Jest pan pewien? Niewysoki? Bardzo czyste buty?

–Tak jest, sir.

Vetinari porwal sensowne pytanie z ich gromadzacego sie tlumu.

–Dlaczego?

Vimes odchrzaknal.

–No wiec, sir...

Tlum trolli przypominal nieruchomy obraz. Trolle staly, siedzialy albo lezaly tam, gdzie sie znalazly, kiedy uderzyl Wielki Mlot. Bylo wsrod nich kilku wolniej absorbujacych, ktore stawialy slaby opor, a jeden, ktoremu zostala butelka ukradzonej sherry, walczył do jej ostatniej kropli, az w koncu funkcjonariusz golem Dorfl podniosl go i pare razy uderzyl jego glowa o ziemie.

Vimes szedl przez to wszystko, a oddzial wlakil albo przetaczal drzemiacie trolle i ustawial w rowne rzedy, by czekaly na wozy. I wtedy...

Dzien wcale nie wydawal sie coraz lepszy. Cegla wypil piwo. No, moze nawet wiecej niz jedno. Ale co niby w tym zlego?

A teraz, akurat przed nim, w takim paskudnym helmie i wszystkim, stal... tak, to mogl byc krasnolud, o ile skwierczace, szumiace sciezki jego mozgu w ogole byly zdolne do rozpoznania czegokolwiek. Ale niech to pieklo pochlonie, uznal, to przeciez nie troll, a o to wlasnie chodzi, nie? A tu zaraz byla jego maczuga, akurat w reku...

Wiedziony instynktem Vimes odwrocil sie i zobaczyl czerwone slepia trolla, ktory zamachnal sie maczuga. Za wolno, za wolno probowal odskoczyc, poczul, jak maczuga trafia go w bok, unosi w gore i rzuca na ziemie. Slyszal krzyki, gdy troll potoczyl sie naprzod ze wzniesiona maczuga, by uczynic Vimesa jednocia ze skala

macierzysta.

Cegla uswiadomil sobie, ze cos go atakuje. Przerwal to, czym sie zajmowal, i poprzez skwierczace w mozgu iskry spojrzal na prawe kolano. Jakis maly gnom czy cos innego uderzalo go tepym mieczem, kopalo i wrzeszczalo jak jakies wariactwo. Pomyslal, ze to przez picie, tak samo jak to uczucie, ze wypuszcza uszami plomienie. No wiec strzepnal tego gnoma jednym machnieciem reki.

Bezradny Vimes patrzyl, jak A.E. Pesymal turla sie po placu, a troll wraca do bezposredniego walenia maczuga. Ale pojawil sie Detrytus, chwycil trolla jedna reka wielkosci lopaty i zaraz, niczym gniew bozy, nadleciala piesc Detrytusa.

Dla Cegly zapadla ciem...

–Chce pan, abym uwierzył, że pan A.E. Pesymal własnorecznie zaatakował trolla? – rzekł lord Vetinari.

–Użył obu własnych rak, sir. I stop także. Wydaje mi się również, że usiłował go gryźć.

–Czy to nie oznacza pewnej śmierci?

–Zdawało się, że go to nie martwi, sir.

Kiedy ostatnio Vimes go widział, A.E. Pesymal był opatrywany przez Igora. Uśmiechał się na wpol świadomie. Straznicy podchodzili przez cały czas, żeby powiedzieć coś w rodzaju "Niezłe, chłopie!" i klepnąć go w plecy.

Dla A.E. Pesymala świat się odwrócił.

–Czy mogę spytać, Vimes, dlaczego jeden z moich najbardziej skrupulatnych i bardzo stanowczo cywilnych urzędników znalazł się na pozycji umożliwiającej mu takie działanie?

Vimes poruszył się niepewnie.

–Prowadził inspekcje. Chciał się wszystkiego o nas dowiedzieć, sir.

Rzucił Vetinariemu spojrzenie, które mówiło: Jeśli posuniesz się dalej, będę musiał klamać.

Vetinari odpowiedział mu takim, które mówiło: Wiem!

–A pan nie jest poważnie ranny? – zapytał Patrycjusz.

–Tylko kilka otarc, sir – odparł Vimes.

Vetinari rzucił mu spojrzenie mowiące: Polamane zebra. Jestem pewien.

Vimes odpowiedział mu takim, które mówiło: Nic.

Vetinari podszedł do okna i spojrzał na budzące się miasto. Przez pewien czas milczał, a potem westchnął.

–Taka szkoda, moim zdaniem, że wielu z nich tutaj się urodziło – stwierdził.

Vimes milczał. Zwykle to wystarczało.

–Może powinienem podjąć jakieś działania przeciwko temu nieszczęsnemu krasnoludowi? – ciągnął Vetinari.

–Tak, sir.

–Myśli pan? Rozsądny władca dwa razy się zastanowi, nim zastosuje wobec kogoś przemoc tylko dlatego, że nie podoba mu się, co owi ktoś mówi.

Vimes nadal powstrzymywał się od komentarzy. Osobście codziennie i z pewną dozą entuzjazmu stosował przemoc wobec ludzi tylko dlatego, że nie podobano mu się, co mówią – na przykład "Oddaj mi swoje pieniądze!" albo "No i co mi zrobisz, glino?". Ale może władcy muszą myśleć w inny sposób.

–Ktoś inny się nie zastanawiał – powiedział głośno.

–Dziękuję za to, Vimes. – Patrycjusz odwrócił się gwałtownie. – A odkryliście już, kto to był?

–Śledztwo wciąż trwa, sir. Ta sprawa z ostatniej nocy chwilowo je przerywała.

–Czy są jakieś dowody, że zrobił to troll?

–Sa... zagadkowe dowody, sir. My... układamy lamigłówek, można powiedzieć.

Tylko że nie mieli żadnych krawędzi, a pomogłoby, gdyby znaleźli wieko pudełka, dodał do siebie. A że na twarzy Vetinariego wciąż dostrzegał wyraz zachłanności, mówił dalej:

–Jeśli spodziewa się pan, sir, że wyciągnę z helmu magicznego krowka, to będzie ugotowany. Krasnoludy są pewne, że to troll. Nie potrzebują dowodów. Mówią im to tysiące lat historii. A trolle nie uważają, że to troll, ale pewnie by tego chcieli. Tu nie chodzi o morderstwo, sir. Coś w nich przeskoczyło i nadeszła pora, by wszyscy dzielni ludzie... wie pan, sir, o co mi chodzi... stanęli do walki w dolinie Koom. W tej

kopalni dzieje sie cos jeszcze. Wiem o tym. Cos powazniejszego niz morderstwo. Po co im te tunele? I klamstwa... Umiem wyczuc klamstwa, a jest ich tam pelno.

–Wiele od tego zalezy, Vimes – oswiadczył Vetinari. – Ta sprawa jest powazniejsza, niz moglby pan sadzic. Dzis rano odebralem sekara od Rhysa Rhyssona, dolnego krola. Oczywiscie, kazdy polityk ma swoich wrogow. Dzialaja, tak je nazwijmy, frakcje, ktore nie zgadzaja sie z nim, z jego polityka wobec nas, jego pojednawczym podejsciem do klanow trolli, stanowiska zajmowanego wobec calej tej nieszczesnej sprawy Ha'ak... A teraz kraza pogloski, ze troll zabil graga, a takze, owszem, ze straz grozila krasnoludom...

Vimes otwieral juz usta, by zaprotestowac, ale Vetinari uniosl blada dlon.

–Musimy poznac prawde, Vimes. Prawde komendanta Sama Vimesa. Moze sie liczyc bardziej, niz pan sobie wyobraza. Na Rowninach, naturalnie, ale i o wiele dalej. Ludzie pana znaja, komendancie. Potomek straznika, ktory wierzyl, ze jesli skorumpowany sad nie skaze zlego krola na sciecie, straznik powinien wlasnymi rekami...

–To byl tylko jeden krol! – zaprotestowal Vimes.

–Sam Vimes aresztowal mnie kiedys za zdrade – przypomnial chlodno Vetinari. – I aresztowal kiedys smoka. Sam Vimes powstrzymal wybuch wojny miedzy dwoma panstwami, areztujac oba sztaby. To areztujacy gosc. Golymi rekami zabil wilkolaka. I niesie przed soba prawo jak swiatlo...

–Skad pan to wszystko wzial, sir?

–Straznicy z polowy kontynentu uwazaja ze Sam Vimes jest prosty jak strzala, nie da sie przekupic ani powstrzymac, nigdy nie wzial lapowki. Prosze mnie posluchac. Jesli Rhys upadnie, nastepny dolny krol nie bedzie sklonny do rozmow z trollami. Czy moze wyjasnic to panu w prosty sposob? Klany, ktorych przywodcy rozmawiali z Rhysem, najprawdopodobniej uznaja, ze zrobiono z nich durniow, obala tych przywodcow i zastapia ich trollami zbyt wojowniczymi i glupimi, by byc durniami. I wybuchnie wojna, Vimes. Dotrze az tutaj. To nie bedzie potluczka gangow, do jakiej nie dopuscil pan ostatniej nocy. Nie zdolamy trzymac pozycji ani zachowac neutralnosc, poniewaz mamy wlasnych glupcow, o czym z pewnoscia pan wie, ktorzy beda nalegac, bysmy staneli po ktorejs ze stron. Dolina Koom bedzie wszedzie. Znajdzcie mi morderce, Vimes. Wytropcie go i wyciagnijcie na swiatlo dnia. Troll, krasnolud czy czlowiek, to bez znaczenia. Wtedy przynajmniej bedziemy znali prawde i mozemy jakos ja wykorzystac. W tej chwili naszymi wrogami sa plotka i niepewnosc. Tron dolnego krola drzy, Vimes, a wraz z nim drza fundamenty naszego swiata.

Vetinari przerwał i starannie wyrównał papiery na swoim biurku, jakby ogarnęło go uczucie, że posunął się za daleko.

–Jednakże nie chce wywierac na pana jakichkolwiek naciskow, komendancie – zakonczyl.

W zamglonym, letnim mozgu Vimesa na powierzchni wyplynelo jedno slowo.

–Potluczka?

Sekretarz lorda Vetinariego pochylil sie i szepnal cos do ucha zwierzchnika.

–Ach, zapewne mialem na mysli potyczke – wyjasnil spokojnie Patrycjusz.

Vimes wciaz usilowal jakos przyswoic ten skrot informacji miedzynarodowych.

–Wszystko to z powodu jednego morderstwa? – zdziwil sie, usilujac stlumic ziewniecie.

–Nie, Vimes. Sam pan powiedzial, tu chodzi o tysiace lat napiec, walk o wladze i politycznych starc. W ostatnich latach sprawy ulozily sie w pewien okreslony sposob, powodujac zmiane ukkladu sil. Sa tacy, ktorzy chcieliby przesunac je z powrotem, nawet jesli dawny ukklad powroci na fali krwi. Kogo obchodzi jeden krasnolud? Ale jesli jego smierc mozna wykorzystac jako casus belli... – w tym miejscu lord Vetinari spojrzal w senne oczy Vimesa i podjal gladko: -...czyli powod do wojny, to nagle ten jeden staje sie najwazniejszym krasnoludem na swiecie. Kiedy ostatnio porzadnie sie pan wyspal, Vimes?

Vimes wymamrotal cos na temat "calkiem niedawno".

–To prosze przespac sie jeszcze troche. A potem znalezc mi morderce. Szybko. Zycze milego dnia.

Nie tylko trony drza, zdolal pomyslec Vimes. Twój stolec też się trochę kołysze. Niedługo ludzie zaczną pytać: Kto w ogóle wpuszczał tutaj tych krasnoludów? Podkopują nasze miasto i nie przestrzegają naszych praw. I te trolle! Kiedyś trzymaliśmy je na lancuchu jak psy podwórzowe, a teraz pozwala się im chodzić po ulicach i grozić prawdziwym ludziom!

Pewnie już się gromadzą – intryganci, ludzie, którzy na przyjęciach rozmawiają cicho po kątach, ludzie, którzy wiedzą, jak przekuwać opinie w szeptylety. Nocna awantura zmieniła się w komedię, która pewnie zniechęciła tych ludzi, ale drugi raz ta sztuczka się nie uda. Kiedy już konflikt zacznie się rozlewać, kiedy zginie kilka osób, nie trzeba już będzie rozmawiać za zamkniętymi drzwiami. Motloch będzie wrzeszczał w imieniu tych ludzi.

Podkopują nasze miasto i nie przestrzegają naszych praw...

Wspiał się do powozu na nogach, które tylko marginalnie były pod jego kontrolą. Wymamrotał polecenie, by jechać do Pseudopolis Yardu, i zasnął.

W mieście nieustannego deszczu wciąż panowała noc. Nigdy nie było tutaj nienocy. Nie wschodziło żadne słońce.

Istota leżała zwinięta w zaułku.

Cos się tu bardzo poważnie nie zgadzało. Istota spodziewała się oporu. Zawsze pojawiał się opór, a ona zawsze go pokonywała. Ale nawet teraz, kiedy niewidoczna krzatanina miasta zwolniła, nadal nie było drogi wejścia. Raz za razem miała już pewność, że znalazła jakiś punkt zaczepienia, jakiś przyływ wściekłości, który może wykorzystać... i raz za razem odbijało ją z powrotem tutaj, do tego ciemnego zaułka z przelewającymi się rynsztokami.

To nie był zwyczajny umysł. Istota walczyła. Ale żaden umysł jeszcze jej nie pokonał. Zawsze istniał sposób...

Przez gruzy świata brnie troll...

Cegła wytoczył się z komisariatu przy Siostrach Dolly. Jedną ręką trzymał się za głowę, w drugiej sciskał woreczek zawierający tyle jego zębów, ile tylko Detrytus zdołał odnaleźć. Sierżant zachował się bardzo przyzwoicie, uznał Cegła. Detrytus wytłumaczył mu też dokładnie, co by się wydarzyło, gdyby trafił człowieka drugim ciosem, bardzo obrazowo sugerując, że szukanie zębów Cegły byłoby kwestią wtórną wobec szukania głowy, by je tam wstawić.

Ale za to potem powiedział jeszcze, że w straży może się znaleźć miejsce dla każdego trolla, który potrafi ustać po Wielkim Młocie, i że Cegła mógłby kierować swoim przyszłym zachowaniem, mając to w pamięci.

Czyli, myślał Cegła – o ile można użyć tego określenia dla dowolnej aktywności mózgowej w ciągu dwóch dni po Wielkim Młocie – przyszłość rysowała się tak jasna, że musiał iść z zamkniętymi oczami... Chociaż to pewnie znowu za sprawą Wielkiego Młota.

Ale...

Słyszał, co mówiątrolle. I strażnicy też. Całe to gadanie o trollu, co zabił krasnoluda

w tej ich nowej kopalni... No wiec Cegla byl pewny, ze zadnego krasnoluda nie zabil, nawet po pol uncji skrobu. Raz po raz odtwarzal sytuacje w tym, co obecnie pozostalo z jego umyslu. Problem w tym, ze straz miala dzisiaj takie chytne sztuczki, znaczy, az potrafili zgadnac, co kto jadal na sniadanie, jak tylko popatrzyli na jego talerz. W dodatku byl pewny, ze zgubil na dole czaszke. Znaczy, wystarczy im ja powachac i beda wiedziec, ze to on! Tylko ze to nie on, jasne? Bo przeciez mowili, ze troll rzucil maczuge, a on ciagle mial swoja maczuge, no bo przylozyl nia temu straznikowi, czyli moze to jest cos, co oni nazywaja alli-bi? Nie?

Mimo mozgowego bulgotu Wielkiego Mlota, odpływającego z wyższych funkcji mozgu, Cegla podejrzewal, ze jednak nie. Zreszta jak oni szukaja trolla, co to zrobil, i sie dowiedza, zem tam byl, zem stracil czaszke i w ogole, a ja powiem dobra, zem byl, ale zem w ogole zadnemu krasnoludowi nie przywalil, to oni powiedza, wez rzuc czym innym, ten ma dzwonki.

W tym miejscu, w tym momencie Cegla poczul sie bardzo samotnym trollem.

Nic sie nie da zrobic. Tylko jedna osoba mogla mu teraz pomoc. Za duzo myslenia jak na jednego trolla...

Przemykajac sie zaulkami, przyciskajac do murów, z opuszczona glowa, unikajac wszystkich zywych istot, Cegla zaczal szukac pana Blyska.

Angua zdecydowala, by wracac prosto do Pseudopolis Yardu, a nie do najblizszego komisariatu. Tam w koncu znajdowal sie sztab glowny, a poza tym zawsze trzymala w swojej szafce zapasowy mundur.

Irytujace bylo to, ze Sally tak swobodnie szla na szesciocalowych obcasach. Jak to wampiry... Angua swoje musiala zdjac i niosla w reku – w przeciwnym razie pewnie skrecilaby noge. Klub Rozowego Kociaka dysponowal dosc ograniczonym wyborem obuwia. Co do odziezy, jej zakres tez byl raczej waski, jesli pod slowem "odziez" rozumiec cos, co rzeczywiscie probuje cokolwiek zakrywac.

Angua byla zaskoczona odkryciem, ze ta dziwna garderoba zawiera tez damski uniform strazy, ale ze skapym pancerzem z papier mache i spodniczka o wiele za krotka, by cokolwiek oslaniala. Plova wyjasnila dosc ostroznie, ze mezczyzni lubia czasem popatrzec na ladna dziewczynne w mundurze. Dla Angui, ktora dobrze wiedziala, ze zatrzymywani mezczyzni nigdy sie nie ciesza na jej widok, byl to material do przemyslenia. Na razie wybrala zlocista, wyszywana cekinami sukienke, ktora jednak wyraznie sie nie sprawdzala. Sally zdecydowala sie na cos prostego w blekicie i z rozcieniem do uda, co oczywiscie wygladalo oszalamiajaco od chwili, gdy to wlozyla.

Kiedy wiec Angua weszla przed Sally do glownej sali i zatrzasnela za soba drzwi, zabrzmial ironiczny gwizd, a nierozsadny straznik odkryl, ze jest odpychany do tyłu, az uderzyl plecami o sciane. Poczul przycisniete do szyi dwa ostre szpice.

Angua zawarczala:

–Chcialbys tu wilka, co? Powiedz: Nie, sierzancie Angua.

–Nie, sierzancie Angua!

–Nie? Czyli pewnie mi sie wydawalo, ze gwizdnales?

Dwa ostrza nacisnely mocniej. W wyobrazni straznika twarde jak stal pazury mialy wlasnie rozerwac mu tetnice.

–Nie jestem pewien, sierzancie Angua!

–Nerwy mam teraz ciut napiete – zaskowyczala Angua.

–Nie zauwazyłem, sierzancie Angua!

–Wszyscy jestesmy dosyc zdenerwowani, co?

–To zawsze jest prawda, sierzancie Angua!

Angua pozwolila, by straznik butami dotkнал podlogi. W jego bezwladne dlonie wcisnela pare czarnych, lsniacych i wyraznie zaostrzonych szpilek.

–Czy moglbys wyswiadczyć mi naprawde wielka przysluge i zanieśc je do Klubu Rozowego Kociaka? – spytala slodko. – Naleza chyba do kogos, kto nazywa sie Cudnee. Bede wdzieczna...

Odwrocila sie i podeszla do biurka dyzurnego, skad z rozdziawionymi ustami obserwowal ja Marchewa. Zdajac sobie sprawe z rozbrzmiewajacych wokol szeptow, przeszla obok zaszokowanej widowni i rzucila na ksiege raportow zablocony wisior.

–Cztery krasnoludy zamordowane przez inne krasnoludy na dole w Dlugiej Ciemnosci – poinformowala. – Wlasny nos za to daje. To nalezalo do jednego z nich. Mial tez to... – Obok wisiora upadla brudna koperta. – Troche jest upaprana, ale da sie przeczytac. Pan Vimes dostanie szalu. – Spojrzala w blekitne oczy Marchewy. – Gdzie on jest?

–Spi na materacu w swoim gabinecie. – Marchewa wzruszyl ramionami. – Lady Sybil wiedziala, ze nie wroci do domu, wiec przyslala Willikinsa, zeby tutaj przygotowal mu poslanie. Nic sie wam nie stalo?

–Wszystko w porządku, sir – zapewniła Sally.

–Zaczynałem się poważnie martwić...

–Cztery trupy, kapitanie – przerwała mu Angua. – Krasnoludy z miasta. Raczej tym powinien się pan martwić. Trzy na wpol zalane błotem, jeden się odczłogal.

Marchewa wziął wisior i odczytał runy.

–Lars Mocnogi – mruknął. – Chyba znam te rodziny. Jesteś pewna, że został zamordowany?

–Poderznięte gardło. Trudno uznać to za samobójstwo. Ale nie umarł od razu. Dotarł do tych przeklętych drzwi, które zatrzasnęli, i własną krwią wyrysował jeden z tych ich znaków. Potem siedział i czekał, aż umrze w ciemności. W tej piekielnej ciemności, Marchewa! To były pracujące krasnoludy! Miały łopaty i taczki! Tam na dole wykonywały swoją robotę, a kiedy nie były więcej potrzebne, ktoś je zalał! Pociął i zostawił w błocie! Może ten jeden żył jeszcze, kiedy pan Vimes i ja tam zeszliśmy! Konał za tymi piekielnie grubymi drzwiami! A wiesz, co to znaczy?

Wyjęła spod gorsu złożoną kartkę i wręczyła Marchewie.

–Menu drinków? – zdziwił się.

–Otwórz – warknęła Angua. – Przepraszam, musiałam rysować szminkę. Nie znaleźliśmy nic lepszego.

Marchewa otworzył kartkę.

–Kolejny mroczny symbol? – zdziwił się. – Tego chyba nie znam.

W sali było jeszcze kilku funkcjonariuszy krasnoludów. Marchewa podniósł kartkę do góry.

–Czy ktokolwiek tutaj wie, co to oznacza?

Kilka głów w hełmach poruszyło się przecząco, a kilka krasnoludów się cofnęło. Za to od drzwi zabrzmiał głęboki głos:

–Tak, kapitanie Marchewa, przypuszczam, że wiem. Czy wygląda jak oko z ogonem?

–Tak... eee... sir. – Marchewa wytrzeszczył oczy.

Cień się przesunął.

–Został nakreslony w ciemności? Przez konającego krasnoluda? Jego własna krew? To Przyzywająca Ciemność, kapitanie, i będzie się przemieszczać. Dzień dobry panu. Jestem pan Błysk.

Marchewa otworzył usta; strażnicy odwrócili się wszyscy, by spojrzeć na przybysza. Stał przy drzwiach, niemal równie szeroki jak wysoki, w czarnym płaszczu z kapturem, który ukrywał twarz.

–Ten pan Błysk? – upewnił się.

–Niestety tak, kapitanie. I czy mogę prosić o dopilnowanie, żeby nikt w tym pomieszczeniu nie wychodził przez kilka minut po moim odejściu? Chciałbym, by moje poruszenia pozostały... sprawa osobista.

–Nie sądzilem, że jest pan rzeczywisty, sir!

–Uwierz mi, młody człowieku, naprawdę żałuję, że nie udało się utrzymać cie w tym szczęśliwym stanie umysłu – stwierdził zakapturzony osobnik. – Jednakże nie miałem wyboru.

Pan Błysk wszedł dalej, ciągnąc za sobą wychudłą postać. To był troll, którego ponure, wyzywające spojrzenie nie mogło całkiem zamaskować trzesacej kolanami grozy.

–To jest Cegła, kapitanie. Oddaje go z powrotem pod osobistą opiekę waszego sierżanta Detrytusa. Posiada użyteczne dla was informacje. Wysłuchałem jego opowieści. Wierzę mu. Musicie działać szybko. Przyzywająca Ciemność zapewne znalazła już reprezentanta. Co jeszcze...? A tak, proszę dopilnować, by symbol nie był przechowywany w ciemnym miejscu. Przez cały czas niech pada na niego światło. A teraz, jeśli wybaczy pan te teatralne efekty...

Czarny płaszcz zafalował. Ostre, białe, oslepiające światło na moment zalało salę, a kiedy zgasło, nie było już pana Błyska. Na brudnej podłodze został tylko duży, jajowaty kamień.

Marchewa zamrugał, ale szybko wziął się w garść.

–Słyszeliście wszyscy – powiedział, zwracając się do ożywionej nagle sali. – Nikomu nie wolno iść za panem Błyskiem, rozumiano?

–Iść za nim, kapitanie? – odezwał się jakiś krasnolud. – Nie zwariowaliśmy.

–Zgadza się – potwierdził troll. – Mówią, że on może tak niby sięgnąć komus do środka i mu zatrzymać serce!

–Pan Blysk? – spytała Angua. – To ten, o którym pisza na murach?

–Na to wyglada – odparl krotko Marchewa. – I powiedzial, ze nie mamy wiele czasu. Pan... Cegla, tak?

Trolle Chryzopraza potrafiły zawadiacko stac w miejscu, natomiast Cegla zdolal tloczyc sie jednoosobowo. Zwykle trzeba do tego co najmniej dwoch osob, ale oto stal przed nimi troll, ktory probowal sie za soba schowac. Inna rzecz, ze nikt nie zdolalby sie ukryc za Cegla – jak na trolla byl chudy jak patyk, do granic guzowatosci. Mech mial tani i poplatany, wcale nie ten prawdziwy, ale pewnie zrobiony z lodyg brokulow gdzies w bocznych zaułkach alei Kamieniolomow. Pas z czaszkami przynosl mu wstyd – niektore byly wyraznie zabawkami z papier mache, jakie mozna kupic w kazdym sklepie z przebraniami. Jedna miala czerwony nos.

Rozejrzal sie nerwowo. Maczuga wypadla mu z reki z glosnym stuknieciem.

–Zem jest w glebokim kopro, nie? – zapytal.

–Na pewno musimy z toba porozmawiac – odparl Marchewa. – Chcesz dostac adwokata?

–Nie, juz jadlem.

–Zjadasz adwokatow? – zdziwil sie kapitan.

Cegla patrzyl na niego tepo, dopoki nie zmobilizowal do pracy odpowiednio duzej czesci mozgu.

–A jak sie nazywa to, co sie tak jakby kruszy, jak sie to zjada? – zapytal.

Marchewa spojrzal na Detrytusa i Angue, sprawdzajac, czy z ich strony nadejdzie jakas pomoc.

–Moze byc adwokat – przyznal.

–Sie robi takie namokniete, jak je w cos wsadzić – tłumaczyl Cegla, jakby referowal wyniki analizy kryminologicznej.

–To chyba raczej biszkopty – zasugerowal Marchewa.

–Moze byc. Takie paczki w papierze. Tak, biszkopty.

–Chodzilo mi o to – wyjasnil Marchewa – ze kiedy bedziemy z toba rozmawiali, czy chcesz, zeby ktos byl po twojej stronie?

–Tak, prosze. Wszyscy – odparl natychmiast Cegla.

Znalezienie się w centrum uwagi całej sali strażników było jego najgorszym koszmarem... Nie, zaraz, najgorszy to raczej będzie wtedy, kiedy wzięł ten faktycznie brudny słab, co go zmieszali z azotanem amonu? Uuuch... Zegnajcie, platy! Tak! No więc to jest jego drugi najgorszy kosz... Nie! Bo jak się zastanowić, to raczej wtedy, kiedy wzięł ten towar, co go Tłuczeń rabnał Jednookiemu Przekłętowi, juuu, tak! Kto wie, co tam było! Wszystkie te tanczące zeby! No więc to był jego... Czekać no, a wtedy, co zeszjadł skroba i rece ci odleciały? Jasne, wtedy było paskudnie, więc teraz jest... Nie, moment, nie można zapomnieć tego, kiedy zesz się nacpał skrawka i wciągnął nosem proszek cynku i zesz myślał, że wyrzycasz własne stopy?

Aaargh, a potem znowu idzie ten czas, kiedy zesz... aaargh, nie, kiedy zesz...
Aaargh...

Cegła doszedł aż do dziewiętnastego najgorszego koszmaru, nim głos Marchewy uciął ten wątek.

–Panie Cegła?

–Eee... to ciągle ja? – upewnił się Cegła.

Naprawdę, ale naprawdę przydałoby mu się trochę słabu...

–Na ogół adwokat to jedna osoba – tłumaczył Marchewa. – Musimy zadać panu kilka trudnych pytań. Ma pan prawo wskazać kogoś, kto będzie panu pomagał. Może mógłby pan wezwać kogoś z przyjaciół?

Cegła rozważył te kwestie. Jedynymi osobami, które przychodziły mu do głowy w takim kontekście, byli Totalnie Szlaka i Wielki Marmur, choć tak dokładnie to wpadali raczej do kategorii tych, co nie rzucali w niego niczym i czasem pozwalali wałnąć trochę słabu. W tej chwili to nie były chyba idealne kwalifikacje.

Wskazał sierżanta Detrytusa.

–On – oświadczył. – Pomógł mi z zębami.

–Nie jestem pewien, czy funkcjonariusz w czynnej służbie jest... – zaczął Marchewa.

–Zgłaszam się na ochotnika do tej roli, kapitanie – odezwał się cienki głos.

Marchewa wyjrzał nad brzegiem biurka.

–Pan Pesymal? Chyba nie powinien pan jeszcze wstawac z łozka.

–Uhm... Jestem właściwie pełniącym obowiązki młodszego funkcjonariusza, kapitanie – poprawił go A.E. Pesymal uprzejmie, ale stanowczo. Przyszedł o kulach.

–Co? A tak. Nadal jednak uwazam, ze powinien pan byc w lozku.

–Mimo to musimy przestrzegac zasad sprawiedliwosci.

Cegla pochylik sie i przyjrza! inspektorowi.

–To ten gnom z wczoraj w nocy – powiedzial. – Nie chce go!

–Nikt ci nie przychodzi do glowy? – spyta! Marchewa.

Cegla zastanowil sie i wreszcie troche powesela!.

–Pewno, ze przychodzi – oswiadczy! – To latwe. Ktos, zeby mi pomagala! odpowiadac na te pytania, tak?

–Zgadza sie.

–Prosta sprawa. Jakbyscie tak sciagneli tego krasnoluda, co zem go widzial w tej nowej krasnoludziej kopalni, toby mi pomogli.

W sali zapadla martwa cisza.

–A dlaczego mialby to zrobic? – zapyta! ostroznie Marchewa.

–By powiedzial, czemu walil tego drugiego krasnoluda po glowie – wyjasnil Cegla. – Znaczy sie, ja nie wiem. Ale pewnie by nie przyszedl, a to dlatego, zem jest trollem. No wiec bede sie trzymal sierzanta, jak to wam nie przeszkadza.

–Mysle, ze tego juz zbyt wiele, kapitanie! – zaprotestowala! pan Pesymal.

W ciszy, jaka potem zapadla, odpowiedz Marchewy wydalala! sie bardzo glosna.

–Mysle, panie Pesymal, ze to jest ten punkt, w ktorym budzimy komendanta Vimesa.

Jest takie stare wojskowe powiedzenie, ktorego uzywal Fred Colon, by opisac absolutne oszolomienie i zagubienie. Osobnik w takim stanie, wedlug Freda, "nie potrafil odroznic wlasnej dupy od pory sniadaniowej".

To stwierdzenie zawsze wydawalo! sie Vimesowi zagadkowe. Zastanawial! sie, czy dokonano jakichkolwiek badan. Nawet w tej chwili, gdy czul w ustach smak odgrzanego dnia wczorajszego, a wszystko w polu widzenia wydawalo! sie dziwnie ostre, uwazal, ze latwo by poznal roznice. Na przyklad tylko jedna z tych mozliwosci zawieralaby kubek kawy.

Wlasnie trzymal taki w reku, a zatem byla to pora sniadaniowa. Blizsza raczej obiadowej, ale szczegoly nie mialy znaczenia.

Troll, znany wszystkim – a czasem nawet i sobie – jako Cegla, siedzial w jednej z duzych cel przeznaczonych dla trolli. Jednak w uznaniu faktu, ze nikt nie potrafil powiedziec, czy jest, czy nie jest wiezniem, drzwi celi zostawiono otwarte. Ogolne zalozenie bylo takie, ze jesli tylko nie sprobuje wyjsc, nikt nie bedzie mu wyjscia utrudnial. Cegla pochlanial wlasnie trzecia miske bogatego w minerały błota, ktore – dla trolla – bylo pozywna zupa.

–Co to jest skrob? – zapytal Vimes, siadajac wygodniej w jedynym zapasowym krzesle w tym pomieszczeniu i patrzac na Cegle tak jak zoolog na fascynujacy, ale wysoce nieprzewidywalny nowy gatunek. Kamienne jajo od tajemniczego pana Blyska polozyl na stole obok miski, by sprawdzic, czy wywola jakas reakcje, ale troll nie zwracal na nie uwagi.

–Skrob? Nieczesto sie go teraz widuje, jak slab jest taki tani – zadudnil Detrytus, ktory spogladal na swoje nowe znalezisko z mina wlasciciela, tak jak kwoka moglaby patrzyc na kurczaka, ktory wlasnie ma opuscic gniazdo. – To jest to, co sie wyskrobuje, tak? Troche slabu jakosci rynsztokowej, gotowane w puszcze z alkoholem i odchodami golebi. Cos takiego robia uliczne trolle, jak im braknie forsy i... czego jeszcze im braknie, Cegla?

Lyzka znieruchomiala.

–Onym brakuje szacunku do siebie, sierzancie – odpowiedzial Cegla jak ktos, komu przez dwadziescia minut wykrzykiwano te lekcje prosto do ucha.

–Na lo, zalapal! – ucieszyl sie Detrytus i klepnal chudego Cegle w plecy tak mocno, ze mlody troll upuscil lyzke w dymiaca papke. – Ale ten chlopak mi obiecal, ze wszystko juz za nim i teraz jest calkiem czysty, a to z powodu mojego jednostopniowego programu! Dobrze mowie, Cegla? Dla tego chlopaka juz koniec ze slabem, skrobem, skiba, spadem, splawem, ssawa i skrawkiem, tak?

–Tak, sierzancie – zgodzil sie poslusznie Cegla.

–Sierzancie, dlaczego nazwy trollowych narkotykow wszystkie zaczynaja sie na S? – spytal Vimes.

–No, coby latwiej bylo zapamietac. – Detrytus z madra mina pokiwal glowa.

–Ach, rzeczywiscie. Nigdy bym nie odgadl. – Vimes zwrocil sie do Cegly. – Czy sierzant Detrytus wyjasnil ci, dlaczego nazywa to programem jednostopniowym?

–Eee... Bo nie mam okazji zle postawic nogi, sir? – odpowiedzial Cegla, jakby czytal

z kartki.

–A Cegla ma panu jeszcze cos do powiedzenia, co, Cegla? – zapytal macierzynski Detrytus. – No juz, powiedz panu Vimesowi.

Cegla wpatrywal sie w blat stolu.

–Przepraszam, zem probowal pana zabic, pani Vimes – wyszeptal.

–No, pomyslimy o tym, prawda – rzekl Vimes z braku lepszych pomyslow. – A przy okazji, chodzilo ci pewnie o pana Vimesa, ale wole, kiedy panem Vimesem nazywaja mnie tylko ci, ktorzy walczyli razem ze mna.

–No, technicznie to Cegla walczył... – zaczął Detrytus.

Vimes energicznie odstawil kubek. Zebra go bolaly.

–Nie. Walczyl razem ze mna, to znaczy obok mnie, a nie przeciwko mnie. To nie to samo, sierzancie. Powaznie.

–To naprawde nie jego wina – tłumaczył Detrytus. – To byla pomylna to-ze-samosc.

–Sugerujecie, ze nie wiedzial, kim jestem? – upewnily sie Vimes. – To jakos go nie...

–Nie, sir. Nie wiedzial, kim on jest, sir. Myslal, ze jest kupa swiatel i fajerwerkow. Prosze mi wierzyc, sir. Ale chyba cos moglbym z niego jeszcze zrobic. Sir, byl po Wielkim Mlocie, a jednak chodzil!

Vimes patrzyl przez chwile na Detrytusa, a potem zerknal na Cegle.

–Panie Cegla, prosze mi opowiedziec, jak sie pan dostal do kopalni, dobrze? – powiedzial.

–Zem mowil temu drugiemu polisantowi... – zaczął Cegla.

–A teraz gadaj panu Vimesowi! – warknal Detrytus. – Juz!

Trwalo to dluzsza chwile, z przerwami na to, by fragmenty mozgu Cegly wsunely sie na miejsca, ale Vimes poskladal cos takiego:

Nieszczesny Cegla przyszykowal skrob z kilkoma innymi rynsztokowymi trollami w starym skladzie, gdzie w labiryncie uliczek za aleja Parkowa. Zawedrowal do piwnicy, szukajac chlodnego miejsca, zeby tam ogladac pokaz, a podloga sie pod nim zalamala. Po odglosach sadzac, spadal bardzo daleko, ale oceniajac po naturalnym stanie trolla, prawdopodobnie splynal w dol lekko jak motyl. Skonczył w

tunelu, takim jak w kopalni, znaczy, z całym tym drewnem trzymającym sufit, no i powlokł się nim, bo miał nadzieję, że doprowadzi go z powrotem na powierzchnię albo do czegoś jadalnego.

Zaczął się martwić dopiero wtedy, kiedy dotarł do tunelu o wiele wspanialszego, a słowo "krasnołudy" osiągnęło te części jego mózgu, które nie miały nic lepszego do roboty, niż słuchać.

Troll w krasnołudzkiej kopalni zaczyna szerzyć zniszczenie. To jeden z pewników – niczym byk w składzie porcelany. Ale Cegła wydawał się odświeżająco wolny od nienawiści do kogokolwiek. Jeśli tylko świat dostarczał wystarczającej ilości rzeczy zaczynających się na S, od których głowa robiła "bzzz!" – a w mieście ich nie brakowało – to nie przejmował się specjalnie, co robił poza tym. Cegła w rynsztoku spadł poniżej nawet takiego horyzontu, więc nic dziwnego, że ludzie Chryzopraza nie zdołali go schwytac. Cegła był czymś, nad czym się przestępuje.

Kiedy stał tak w ciemności, słysząc w dali głosy krasnołudów, mogło mu nawet przyjść do głowy, żeby się bac. Ale potem zobaczył przez duże, okrągłe drzwi, jak jeden krasnołud trzyma drugiego i wali go po głowie. Panował jaskiniowy mrok, lecz trolle dobrze widzą w nocy, a poza tym zawsze są też vurmy. Troll nie rozpoznał zbyt wielu szczegółów, ale też specjalnie się nie przypatrywał. Kogo obchodzi, co krasnołudy robią sobie nawzajem? Dopóki nie robiły tego jemu, nie widział problemów. Ale potem krasnołud, który bił, zaczął krzyczeć, a wtedy pojawił się problem wielki jak życie.

Duże metalowe drzwi obok otworzyły się nagle i uderzyły go w twarz. Kiedy zza nich wyjrzał, zobaczył, jak obok przebiega kilka uzbrojonych krasnołudów. Nie interesowało ich, co może się chować za drzwiami, w każdym razie jeszcze nie. Robili to, co zwykle robią wszyscy, to znaczy biegli w stronę źródła krzyków. Cegła za to interesowało jedynie jak najszybsze oddalenie się od krzyków, a tuż obok miał otwarte drzwi. Skorzystał z nich i pobiegł, i nie zatrzymywał się, póki nie dotarł na świeże powietrze.

Nie było pogoni. Vimesa to nie zdziwiło. Żeby być wartownikiem, niezbędny jest szczególny rodzaj umysłu. Umysłu gotowego przebywać w ciele, które stoi i na nic właściwie nie patrzy, często przez długie godziny. Taki umysł nie zarabia wysokich pensji. Taki umysł raczej nie zaczyna poszukiwan od sprawdzenia tunelu, którym właśnie przybył. Nie będzie najostrzejszym nożem w szufladzie.

I tak, bezcelowo, bez takiego zamiaru, bez złej woli czy choćby ciekawości, wędrowny troll zawedrował do krasnołudzkiej kopalni, z zabarwionymi narkotykiem zmysłami był świadkiem morderstwa, a potem wywedrował na powierzchnię. Kto mógłby coś takiego zaplanować? Gdzie w tym logika? Gdzie sens?

Vimes przyjrzał się wodnistym oczom, przypominającym sadzone jajka, zabiedzonych sylwetce, struzce bogowie wiedza czego sciekającej z zaskorupiałego nozdrza. Cegła nie klamał. Cegła miał dość kłopotów z tym, co nie zostało wymyślone.

–Opowiedz panu Vimesowi o wukwuk – zachęcił go Detrytus.

–A tak... W tej jaskini był wielki wukwuk.

–Odnoszę wrażenie, że tracie jakiś ważny watek... – mruknął Vimes.

–Wukwuk to takie coś, co się robi z drzewnego wungla, saletry i slabu – wyjaśnił sierżant. – Wszystko zwinięte w papier jak cygaro, wie pan... Mówił, że...

–Nazywamy je wukwuk, bo one wyglądają jak... no, jak wukwuk – wtracił Cegła z zakłopotanym uśmiechem.

–Tak, mam już ogólny obraz – rzucił Vimes ze znużeniem. – I próbowałeś to wypalic?

–Nie, psze pana... Wielkie było. Całe zwinięte w tej ich jaskini, akurat przy tym paskudnym tunelu, co zemdlał do niego wpadł.

Vimes usiłował jakos wkomponować to w swoje wnioski, ale na razie zostawił na boku. Czyli... zrobił to krasnolud? Jasne. W tej chwili wierzył Cegle, choć kubek w ręku byłby pewnie lepszym świadkiem niż chudy troll. I nie ma sensu mocniej go naciskać, przynajmniej w tej chwili.

–No dobra. – Schylił się i podniósł kamień, który tajemniczy przybysz zostawił na podłodze w komendzie. Kamień miał jakieś osiem cali średnicy, ale był dziwnie lekki.
– Opowiedz mi o panu Błysku. To twój przyjaciel?

–Pan Błysk jest wszędzie! – zapewnił gorączkowo Cegła. – On diament!

–No, pół godziny temu przebywał w tym budynku – przypomniał Vimes. – Detrytus?

–Sir? – odpowiedział sierżant z miną winowajcy.

–Co wiecie o panu Błysku?

–Eee... on to jest trochę jak taki bog trolli – wymamrotał Detrytus.

–Zasadniczo bogowie tutaj nie bywają. Ktoś zwał sekret ognia, czy nie widzieliście moich złotych jabłek? Az dziwne, jak często nie widzimy takich przestępstw w raportach. Jest trollem, tak?

–No, taki... krol – powiedział Detrytus tonem, jakby każde słowo wyrywano z niego

przemoca.

–Myslałem, że trolle nie maja krolow. Wydawalo mi sie, ze kazdy klan sam sie rzadzi.

–Zgadza sie, zgadza – przyznal Detrytus. – Rozumie pan, panie Vimes, on pan Blysk. Nie mowimy o nim duzo. – Na twarzy trolla malowalo sie cierpienie i bunt rownoczesnie.

Vimes postanowil uderzyc w slabszy cel.

–Gdzie go znalazles, Cegla? Chce tylko...

–On przyszedl, coby panu pomoc! – warknal Detrytus. – Co pan robi, panie Vimes? Czemu pan ciagle pyta? Z krasnoludami to na paluszkach, nie mozna zezloscic, o nie, ale co pan robi, jak to trolle, co? Z kopa wziac nie problem! Pan Blysk daje Cegle, daje dobra rade, a pan rozmawia, jakby to byl zly troll! Slysze, jak kapitan Marchewa opowiada krasnoludom – on Dwaj Bracia. I pan myśli, że się ciesze? My znamy te klamliwe krasnoludzie klamstwa, o tak! I jeczemy na te klamstwa, tak! Pan chce spotkac pana Blyska, pan okazuje pokore, okazuje szacunek, tak!

Znowu dolina Koom, pomyslal Vimes. Nigdy jeszcze nie widzial Detrytusa tak rozzloszczonego, przynajmniej na niego. Troll zawsze byl na miejscu, zawsze pewny i godny zaufania.

W dolinie Koom spotkaly sie dwa plemiona i nikt nie mrugnal.

Vimes mrugnal.

–Przepraszam – powiedzial. – Nie wiedzialem. Nie chcialem nikogo urazic.

–Sluszenie! – rzekl Detrytus i potezna piescia walnal w biurko.

Lyzka wyskoczyla z pustej miski Cegly. Tajemnicza kamienna kula z nieuniknionym cichym turkotem przetoczyla sie po blacie, spadla na podloge i pekla na dwoje.

Vimes przyjrzal sie rownym czesciom.

–Jest pelen krysztalow – zauwazyl.

Schylil sie. W jednej z migotliwych polkul zauwazyl kawalek papieru.

Podniosl go i przeczytal:

Pointer Pickles, Kryształy, Minerale i Artykule Toczace, ul. Dziesiatego Jajka 3, Ankh-Morpork

Ostrożnie odłożył karteczki i podniósł obie części kamienia. Złożył je razem i połączył; pozostała tylko cieniutka rysa i ani śladu, by stosowano wcześniej jakiś klej.

Spojrzał na Detrytusa.

–Wiedziales, że coś takiego się stanie?

–Nie – odparł troll. – Ale się myślę, że pan Blysk wiedział.

–Podaj mi swój adres, sierzanie.

–Tak. Może chce, żeby go pan odwiedził – przyznał Detrytus. – Wielki zaszczyt, nie ma co. To nie pan znajduje pana Blysk. To pan Blysk znajduje pana.

–A jak znalazł pana, panie Cegla? – zainteresował się Vimes.

Cegla rzucił Detrytusowi przerażone spojrzenie. Sierzant wzruszył ramionami.

–Zabrał mnie któregoś dnia, dał jeszcze – wymamrotał Cegla. – Pokazał, gdzie iść po jeszcze. Mówił, żeby nie brać towaru. Ale...

–Tak...? – zachęcił go Vimes.

Cegla zamachał parą chudych ramion. Ten gest mówił o wiele wyrazniej, niż potrafiłby on sam, że po jednej stronie stał cały wszechświat, a po drugiej samotny Cegla i co można zrobić przy takiej przewadze?

I dlatego został przekazany Detrytusowi. A to trochę wyrównywało szanse.

Vimes wstał i spojrzał na Detrytusa.

–Powiniennem coś zabrać, sierzanie?

Troll się zastanowił...

–Nie. Ale może trochę myślenia by pan mógł zostawić tutaj.

To ja powiniennem prowadzić szturm na kopalnię, myślał Vimes. Bo możemy jednak doprowadzić do wojny i ludzie na pewno chcieliby wiedzieć, że ktoś z góry był na miejscu, kiedy to się wydarzyło. No więc czemu uważam, że jest ważniejsze, bym się spotkał z panem Blyskiem?

Kapitan Marchewa nie marnował czasu. Miejskie krasnoludy go lubiły. Dlatego

zrobil cos, czego nie moglby zrobic Vimes – a przynajmniej nie moglby tego zrobic dobrze. To znaczy zabral zablozony wisior na Nowa Szewska i opowiedzial parze krasnoludzych rodzicow, gdzie go znaleziono. Potem wszystko dzialo sie juz szybko. Kolejnym powodem do pospiechu byl fakt, ze kopalnia zostala zamknieta. Wartownicy, robotnicy i krasnoludy szukajace duchowego przewodnictwa na sciezce krasnoludzkosci zastali zamkniete drzwi. Pieniadze nie zostaly zaplacone, a krasnoludy maja bardzo stanowcze poglady w kwestii takich zjawisk jak kontrakty. Spora czesc bogatej krasnoludziej tradycji poswiecona jest kontraktom. Powinny byc dotrzymywane.

Dosc polityki, powiedzial sobie Vimes. Ktos zabil czterech krasnoludow, naszych, nie jakiegos oblakanego podzegacza, i zostawil ich tam w ciemnosci. Nie obchodzi mnie, kto to byl – wywleke go na swiatlo dnia. Postawie przed obliczem sprawiedliwosci. Do samego dolu i do samej gory.

Ale musza to zalatwic krasnoludy. Krasnoludy wejda do tej studni i jeszcze raz wykopia to bloto. I przyniosa dowod.

Wszedl do glownej sali. Byl tam Marchewa i szesciu funkcjonariuszy krasnoludow. Mieli ponure miny.

–Wszystko gotowe? – spytal Vimes.

–Tak, sir. Spotkamy sie z pozostalymi na Empirycznym Sierpie.

–Macie dosyc kopaczy?

–Wszystkie krasnoludy sa kopaczami, sir – zapewnil z powaga Marchewa. – Jedzie juz do nas drewno i wyciagarki. Niektorzy gornicy, jacy sie do nas przylaczyli, pomagali kopac ten tunel, sir. Znali tych chlopkow. Sa troche zdezorientowani i rozgniewani.

–Trudno sie dziwic. Czyli nam wierza, tak?

–No... mniej wiecej, sir. Ale jesli nie znajdziemy cial, wpadniemy w powazne klopoty.

–To prawda. Czy twoi chlopcy wiedza, czego tamci szukali?

–Nie, sir. Dostawali tylko rozkazy od tych czarnych krasnoludow. I rozne zespolo kopaly w roznych kierunkach. Bardzo daleko w roznych kierunkach. Sadza, ze az do alei Forsolapki i ulicy Bulawnikow.

–To spory kawal miasta!

–Tak, sir. Ale bylo w tym cos dziwnego.

–Prosze mowic dalej, kapitanie – zachecil go Vimes. – Jesteśmy przyzwyczajeni do dziwnosci.

–Co jakis czas wszyscy musieli przerwac prace, a te cudzoziemskie krasnoludy nasluchiwały przy scianach z taka duza... no, takim czymś podobnym do trabki. Sally znalazła cos podobnego, kiedy była na dole.

–Nasluchiwały? W tym mokrym blocie? Czego? Spiewajacych dżdżownic?

–Krasnoludy nie wiedza, sir. Sadržili, ze szukali uwiezionych gornikow. To dosc sensowne. Duza czesc tuneli prowadzila przez stare mury i pewnie jest mozliwe, by inni gornicy ugrzezli gdzieś, gdzie jest powietrze.

–Ale przeciez nie przetrwaliby calych tygodni, prawda? I po co kopac w rozne strony?

–To prawdziwa lamiglowka, sir, trudno zaprzeczyc. Ale szybko dotrzemy do rozwiazania, sir. Wszyscy sa pelni zapalu.

–Dobrze. Ale niech straz bedzie dyskretna. Mamy tu grupe zaniepokojonych obywateli, ktorzy staraja sie odszukac swoich bliskich, gdyz uzyskali informacje o katastrofie w kopalni. Jasne? Straznicy tylko im pomagaja.

–Chce pan powiedziec, zebym pamietal, ze jestem krasnoludem, sir?

–Dziekuje ci za to, Marchewa. Wlasnie tak. A teraz ide spotkac sie z legenda, ktora nazywa sie jak puszka pasty do polerowania.

Kiedy wychodzil, zauwazyl jeszcze symbol Przyzywajacej Ciemnosci. Karta drinkow z Klubu Rozowego Kociaka zostala starannie ustawiona na polce przy oknie, gdzie miala najwiecej swiatla. Lsnil. Moze dlatego, ze Oszroniona Roza Goracych Warg zostala zaprojektowana tak, by zobaczyc ja w zatloczonym barze przy slabym oswietleniu... ale znak zdawal sie plywac nad och, jakze smiesznymi nazwami drinkow, takimi jak Tylko Seks, Pussy Galore czy Bezmozgowiec, ktore wskutek tego wydawaly sie wyblakle i nierzeczywiste.

Ktos – a nawet kilku ktosow, mozna przypuszczac – na czas nocy zapalil przed znakiem swiece.

Nie moze pozostawac w mroku, pomyslal Vimes. Ja tez bym tak chcial.

Lokal Pointer Pickles wydawal sie przede wszystkim zakurzony. Kurz byl podstawowym tonem sklepu. Vimes musial tedy przechodzic z tysiac razy – byl to

własnie taki sklep, obok ktorego sie przechodzi. Kurz i martwe muchy lezaly w nieduzym oknie wystawowym, na którym jednak dostrzegl w glebi kawaly skal, takze pokryte kurzem.

Kiedy wszedl do mrocznego wnętrza, dzwonek nad drzwiami wydal zakurzone brzekniecie. Dzwiek ucichl i pojawilo sie wyrazne wrazenie, ze oznaczal koniec rozrywek na dzisiaj. Po chwili w glebokiej ciszy narodzilo sie odlegle szuranie. Okazalo sie, ze jego zrodlem jest bardzo stara kobieta, ktora na pierwszy rzut oka wydawala sie rownie zakurzona jak te kamienie, ktore zapewne sprzedawala. Vimes mial pewne watpliwosci nawet w tej kwestii – tego rodzaju sklepy czesto traktowaly sprzedaz towaru jak zdrade swietego powiernictwa.

Jakby na potwierdzenie jego watpliwosci, dzwigala maczuga z wbitym gwozdzem. Kiedy zblizyla sie dostatecznie dla prowadzenia rozmowy, odezwal sie Vimes.

–Przyszedlem, aby...

–Czy wierzysz w uzdrawiajaca moc krysztalow, mlodziencze? – warknela, groznie unoszac maczuga.

–Co? Jaka uzdrawiajaca moc? – zdziwil sie Vimes.

Starucha usmiechnela sie krzywo i opuscila maczuga.

–Dobrze – pochwalila. – Lubimy, jak nasi klienci traktuja geologie z powaga. W tym tygodniu mamy troche trollitu.

–Swietnie, ale...

–To jedyny mineral, ktory przesuwa sie w czasie do tyłu.

–Przyszedlem, zeby sie spotkac z panem Blyskiem – wyjasnil Vimes.

–Panem jakim? – Staruszka przylozyla dlon do ucha.

–Panem Blyskiem – powtorzyl, czujac, jak gasnie w nim nadzieja.

–Nigdy o nim nie slyszalam, kochany.

–Dal mi to. – Vimes pokazal jej dwie polowki kamiennego jaja.

–Ametystowa geoda. Bardzo ladny egzemplarz. Dam ci za niego siedem dolarow, mlodziencze – zaproponowala staruszka.

–Jest pani, hm, Pickles czy Pointer? – Vimes uznal, ze nie pozostalo mu juz nic wiecej.

–Jestem panna Pickles, kochany. Panna Poin...

Urwała. Zmienił się wyraz jej twarzy, stała się trochę młodsza i wyraźnie bardziej czujna.

–A ja jestem panna Pointer, kochany – przedstawiła się. – Nie przejmuj się Pickles, ona tylko kieruje tym ciałem, kiedy ja mam inne zajęcia. Komendant Vimes?

Vimes wytrzeszczył oczy.

–Chce pani powiedzieć, że jest pani dwoma osobami? W jednym ciele?

–Tak, kochany. Podobno to choroba, ale chce zaznaczyć, że zawsze żyliśmy w zgodzie. Ale nie mówiłam jej o panu Blysku. Nigdy dość ostrożności. Chodźmy tedy.

Poprowadziła go między zakurzonymi kryształami i kamiennymi bryłami na tył sklepu, skąd biegł szeroki korytarz z polkami na ścianach. Kryształy wszelkich rozmiarów mrugały do niego.

–Trolle zawsze interesowały geologów, jako że są zbudowane ze skał metamorficznych – mówiła swobodnym tonem panna Pointer/Pickles. – A pan nie jest przypadkiem kolekcjonerem, komendancie?

–Zdarzało się, że niekiedy rzucono we mnie jakimś kamieniem – przyznał Vimes. – Ale nigdy nie chciało mi się sprawdzać, jaki to rodzaj.

–Ha. Jaka szkoda, że mieszkamy tutaj na ilach – westchnęła kobieta. Cichy gwar głosów się nasilił. Otworzyła drzwi i odsunęła się na bok. – Wynajmuje im sale – wyjaśniła. – Proszę wejść.

Vimes zobaczył kilka stopni schodów prowadzących w dół. A niech to, pomyślał, znowu schodzimy do podziemia. Ale w dole widział światło, a gwar rozbrzmiewał głośniej.

Piwnica okazała się duża i chłodna. Wszędzie stały stoliki, a przy każdym siedziały dwie osoby pochylone nad kraciastą planszą. Sala gier? Graczami były krasnoludy, trolle i ludzie, ale wszystkich łączyło wyraźnie widoczne skupienie. Niektórzy spoglądali obojętnie na Vimesa, który zatrzymał się w połowie schodów, a potem wracali do rozgrywki.

Po chwili zszedł do poziomu podłogi. To pewnie jest ważne, prawda? Pan Blysk chciał mu to pokazać. Ludzie – to znaczy ludzie, trolle i krasnoludy – grają w gry. Od czasu do czasu któraś dwójka spoglądała na siebie i podawała sobie ręce. Po czym jeden z graczy przechodził do innego stolika.

–Co pan tu zauwazył, panie Vimes? – odezwał się głęboki głos za jego plecami.

Vimes zmusił się, by odwrócić się powoli. Postać siedząca w cieniu obok schodów była całkowicie okryta czernią. Wydawała się o dobrą głowę wyższa od Vimesa.

–Wszyscy są młodzi? – próbował zgadnąć. I dodał: – Pan Blysk?

–Otoż to! A jeszcze więcej młodych przychodzi wieczorami. Ale proszę usiąść.

–Dlaczego przyszedłem się z panem spotkać, panie Blysk?

–Ponieważ chce się pan dowiedzieć, dlaczego pan przyszedł się ze mną spotkać – odparła mroczna postać. – Ponieważ błądzi pan w ciemności. Ponieważ pan Vimes, ze swoją odznaką i swoją pałką, jest pełen gniewu. To znaczy bardziej niż zwykle. Niech pan uważa na ten gniew, panie Vimes.

Mistyka, pomyślał Vimes.

–Chciałbym zobaczyć, z kim rozmawiam – oświadczył. – Kim pan jest?

–Nie zobaczyłby mnie pan, gdybym zdjął kaptur – odparł pan Blysk. – W kwestii tego, kim jestem, zadam panu pytanie: Czy to prawda, że kapitan Marchewa, choć zadowolony ze stanowiska oficera straży, jest w rzeczywistości prawowitym królem Ankh-Morpork?

–Mam pewne kłopoty z terminem "prawowity".

–Tak słyszałem. To może być jeden z powodów, dla których jeszcze nie zdecydował się ujawnić. Ale to nieistotne. No więc jestem prawowitym... proszę wybaczyć... i bezdyskusyjnym królem trolli.

–Doprawdy? – mruknął Vimes. Nie była to może najlepsza odpowiedź, ale w tych okolicznościach nie miał zbyt wielu opcji.

–Tak. I kiedy mówię, że bezdyskusyjnym, dokładnie to mam na myśli. Ukrywający się ludzie królowie muszą wykorzystywać magiczne miecze i legendarne czyny, by odzyskać swoje dziedzictwo. Ja nie. Mnie wystarczy to, że jestem. Słyszał pan o koncepcji skał metamorficznych?

–Chodzi panu o to, że trolle wyglądają jak pewne odmiany skał?

–Tak jest. Lupek, Mika, llolupek i tak dalej. Nawet Cegła, ten biedny młody Cegła... Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje, a użyto tysięcy słów, by to powiedzieć. Zresztą do demona z tym, jak zwykły pan mawiać. Zasłużył pan na spojrzenie. Proszę osłonić oczy. Ja, panie Vimes...

Wyciagnelo sie ramie w czarnej szacie, zsunela sie czarna aksamitna rekawica. Vimes zdazyl zamknac oczy, ale wewnetrzne strony powiek rozjarzyly sie czerwienia.

–...jestem diamentem – dokonczyl pan Blysk.

Blask przygasl nieco i Vimes zaryzykowal leciutkie uchylenie powiek. Rozroznil ksztalt dloni, a kazdy poruszajacy sie palec migotal jak pryzmat. Gracze uniesli glowy, ale juz to widywali.

–Szron szybko osiada – zauwazyl pan Blysk.

Kiedy Vimes odwazyl sie spojrzec, dlon migotala jak samo serce zimy.

–Ukrywa sie pan przed jubilerami? – zapytal poruszony.

–Ha! Trzeba przyznac, ze to miasto jest idealnym miejscem dla tych, ktorzy nie chca byc widziani, panie Vimes. Mam tu przyjaciol. I mam zdolnosc. Przekonalby sie pan, jak trudno mnie znalezc, jesli chce pozostac niedostrzegalny. Jestem rowniez, wyznam szczerze, inteligentny, i to inteligentny przez caly czas. Nie potrzebuje skladu przyszlej wieprzowiny. Moge odbijac cieplo i w ten sposob regulowac temperature mozgu. Diamentowe trolle sa bardzo rzadkie, a kiedy juz sie pojawiajamy, krolestwo jest naszym przeznaczeniem.

Vimes czekal. Odnosil wrazenie, ze pan Blysk – ktory wlasnie wciagal z powrotem rekawice – ma chyba jakies plany. Najrozsadniej bedzie pozwolic mu mowic, az wszystko nabierze sensu.

–A wie pan, co sie dzieje, kiedy juz zostajemy krolami? – spytal pan Blysk, znowu bezpiecznie okryty.

–Dolina Koom? – domyslil sie Vimes.

–Brawo. Trolle sie jednocza i mamy znowu te sama stara wojne, a po niej cale wieki starc. To smetna, bezsensowna historia trolli i krasnoludow. A tym razem wojna ogarnie tez Ankh-Morpork. Wie pan, ze populacja trolli i krasnoludow w miescie pod wladza Vetinariego ogromnie wzrosla.

–No dobrze, ale jesli jest pan krolem, nie moze pan zwyczajnie zawrzec pokoju?

–Tak po prostu? Do tego trzeba czegos wiecej. – Kaptur pochylil sie ze smutkiem. – Tak naprawde niewiele pan o nas wie, panie Vimes. Widzi pan nas na rowninach, kiedy powloczymy nogami i mowimy "zem". Nie wie pan o spiewie historii, o Dlugim Tancu ani o kamiennej muzyce. Widzi pan tylko zgarbionego trolla, ktory wlecze maczuga. To wlasnie zrobily dla nas krasnoludy, dawno temu. Zmienily nas, w waszych umyslach, w bezmozgic potwory.

–Prosze na mnie nie patrzyc, kiedy pan to mowi – oburzył sie Vimes. – Detrytus to jeden z moich najlepszych funkcjonariuszy!

Zapadla cisza. Po chwili znowu odezwal sie pan Blysk.

–Czy mam powiedziec, czego moim zdaniem szukaly krasnoludy, panie Vimes? Czegos nalezacego do nich. To rzecz, ktora mowi. Znalazly te rzecz i sadze, ze to, co miala do powiedzenia, stalo sie bezposrednia przyczyna pieciu zgonow. Wydaje mi sie, ze wiem, jak odkryc tajemnice doliny Koom. Za kilka tygodni kazdy zdola to zrobic. Ale wtedy, jak sadze, bedzie juz za pozno. Pan rowniez musi rozwiaczac te zagadke, zanim wojna ogarnie nas wszystkich.

–Skad pan to wie?

–Poniewaz jestem magiczny – odpowiedzial glos spod kaptura.

–No coz, jesli tak pan...

–Cierpliwosci, komendancie. Ja tylko... uprosilem. Prosze wiec uznac, ze jestem bardzo... bystry. Mam analityczny umysl. Studiowalem historie i tradycje moich dziedzicznych wrogow. Mam przyjaciol, ktorzy sa krasnoludami. Bardzo madrymi krasnoludami. Calkiem... poteznymi krasnoludami, ktorzy tak samo jak ja chca zakonczyc te glupia wasn. A takze kocham gry i lamiglowki. Kodeks nie byl zbyt trudnym wyzwaniem.

–Jesli ma mi to pomoc znalezc zabojcow tych krasnoludow w kopalni, powinien mi pan powiedziec, co wie!

–Ale czemu ma pan wierzyc w to, co powiem? Jestem trollem, jestem stronniczy. Moze zechce skierowac panskie domysly na bledna sciezke.

–A moze juz pan to zrobil! – odpowiedzial gniewnie Vimes. Wiedzial, ze robi z siebie durnia, i zloscilo go to jeszcze bardziej.

–Dobrze, oto bojowy duch! – pochwalil go pan Blysk. – Prosze sprawdzac wszystko, co panu mowie! Gdzie byśmy sie znalezi, gdyby komendant Vimes opieral sie na magii? Nie, tajemnica doliny Koom musi byc odkryta poprzez obserwacje, analize i fakty, fakty, fakty. Moze pomagam panu odkryc ja odrobine szybciej. Musi pan myslec o wszystkim, co pan wie, komendancie. A tymczasem zagramy partyjke? – Podniosl stojace obok krzesla pudlo i wysypal zawartosc na stol. Male kamienne figurki potoczyly sie po blacie.

–To jest leps, panie Vimes. Krasnoludy przeciwko trollom. Osiem trolli i trzydziesci dwa krasnoludy nieustannie toczace swoje male bitwy w kartonowej dolinie Koom.

Zaczal rozstawiac figury. Dlonie w czarnych rekawicach poruszaly sie z nietrollowa szybkościa. Vimes odsunal krzeslo.

–Milo sie rozmawialo, ale slysze od pana tylko zagadki i...

–Prosze usiasc, komendancie. – Cichy glos mial w sobie nauczycielskie tony, od ktorych pod Vimesem ugiely sie nogi. – Dobrze – rzekl pan Blysk. – Osiem trolli, trzydziesti dwa krasnoludy. Krasnoludy zawsze zaczynaja. Krasnolud jest maly i szybki, wiec moze sie przesunac przez dowolna liczbe kwadratow w dowolnym kierunku. Troll... poniewaz jestesmy glupie i wleczemy ze soba maczugi, jak wszyscy wiedza... porusza sie tylko o jedno pole w dowolnym kierunku. Sa tez inne typy posuniec, ale co pan rozumie do tej pory?

Vimes probowal sie skupic. Nie bylo to latwe – to przeciez gra. To nie jest naprawde. Poza tym odpowiedz byla tak oczywista, ze nie mogla byc prawidlowa.

–Wyglada na to, ze za kazdym razem musza wygrac krasnoludy – sprobował.

–No tak, to naturalne podejrzenie. Podoba mi sie. Jednakze wsrod najlepszych graczy panuje opinia o lekkiej przewadze trolli. Przede wszystkim dlatego, ze w odpowiednich okolicznosciach troll moze wyrzadzic wielkie szkody. A przy okazji, jak panskie zebra?

–Swietnie. Dzieki, ze pan zapytal – odparl kwasnym tonem Vimes.

Zapomnial o nich na dwadziescia blogoslawionych minut, a teraz znow go bolaly.

–To dobrze. Ciesze sie, ze Cegla trafil na Detrytusa. Ma niezly mozg, jesli tylko da sie przekonac, zeby go co pol godziny nie wysmazac. Wracajmy jednak do naszej gry. Otoz przewaga ktorejkolwiek ze stron nie ma wlasciwie znaczenia, poniewaz pelna gra sklada sie z dwoch bitew. Jedna musi pan rozegrac krasnoludami, druga trollami. Jak mozna sie spodziewac, krasnoludom latwo jest grac strona krasnoludow, wymagajaca strategii i metod ataku, ktore przychodza im naturalnie. To samo stosuje sie do trolli. Ale aby wygrac, musi pan zagrac po obu stronach. Musi pan myslec jak panski odwieczny wrog. Naprawde zdolny gracz... Prosze spojrzec, komendancie. Niech pan popatrzy o tam, gdzie moj przyjaciel Fyllit toczy rozgrywke z Nilsem Mysiomlotem.

Vimes sie odwrocil.

–Na co mam patrzec?

–Na to, co pan widzi.

–No wiec ten troll, tam daleko, nosi cos, co wyglada jak wielki krasnoludzi helm...

–Tak, dostał go od jednego gracza krasnoluda. Mówi też całkiem niezłe po krasnoludziemu.

–I pije z rogu, tak jak krasnoludy...

–Zamówił taki zrobiony z metalu. Trollowe piwo rozpuszciliby naturalny rog. Nils natomiast potrafi zaspiewać całkiem sporo trollowych śpiewów historii. Proszę spojrzeć na Gabro, o tam. Dobry trollowy chłopak, ale wie też praktycznie wszystko o krasnoludzim pieczywie bojowym. Wydaje mi się wręcz, że przy nim na stoliku leży bumerangowy croissant. Wylacznie do celów ceremonialnych, naturalnie.

Komendancie?

–Hm? – mruknął Vimes. – Co takiego?

Krasnolud drobnej budowy, siedzący przy jednym ze stolików, obserwował go z zaciekawieniem, jakby Vimes był jakimś fascynującym stworzeniem.

Pan Blysk parsknął śmiechem.

–Aby studiować przeciwnika, musi pan wejść w jego skorę. A kiedy jest pan już w jego skorze, zaczyna pan widzieć świat jego oczami. Gabro tak dobrze gra krasnoludami, że cierpi na tym jego trollowa rozgrywka. Zamierza wybrać się do Miedzianki i uczyć się u tamtejszych krasnoludzych lupsmajstrów. Mam nadzieję, że mu się uda i nauczy go grać jak troll. Żaden z tych chłopców nie był wczoraj na zewnątrz i nie próbował walczyć po pijanemu. W taki sposób wyównujemy góry. Woda ścieka na kamień, rozpuszcza go i wypłukuje. Kropla za kroplą zmieniają kształt świata. Woda na kamieniu, komendancie. Woda płynąca pod ziemią i wypływająca w niespodziewanych miejscach.

–Obawiam się, że potrzebny będzie silniejszy strumień – stwierdził Vimes. – Nie sadzę, żeby grupka ludzi grających w jakąś grę zdołała w rozsądnym czasie zniwelować górę.

–Zależy od tego, gdzie upadnie kropla. Z czasem może uda się im przynajmniej wypłukać dolinę. Powinien pan sam siebie zapytać, czemu tak panu zależało, żeby dostać się do tej kopalni.

–Bo tam popełniono morderstwo!

–To był jedyny powód? – zapytał pan Blysk.

–Oczywiście!

–A wszyscy wiedzą, że krasnoludy to straszni plotkarze. No cóż, na pewno zrobi pan wszystko, co możliwe, komendancie. I mam nadzieję, że schwyta pan

mordercow, zanim dopadnie ich XCiemnoc.

–Panie Blysk, niektorzy z moich funkcjonariuszy zapalili swiece przy tym nieszczesnym symbolu!

–Dobry pomysl, uwazam.

–Wiec naprawde pan wierzy, ze to jakies zagrozenie? A niby skad pan tyle wie o znakach gornicznych?

–Studiowalem je. Akceptuje fakt ich istnienia. Niektorzy z panskich ludzi w nie wierza. Wiekszosc krasnoludow wierzy gdzies w glebi ich sekatych duszyczek. Szanuje to. Mozna wyprowadzic krasnoluda z ciemnosci, ale nie da sie usunac ciemnosci z krasnoluda. Te symbole sa bardzo stare. Maja prawdziwa moc. Kto wie, jakie pradawne zlo istnieje w glebokiej ciemnosci pod gorami? Zadna inna ciemnoc jej nie dorowna.

–Ale gliniarzy tez da sie nabrac – stwierdzil Vimes.

–Panie Vimes, mial pan ciezki dzien. Tyle sie dzialo, a tak malo bylo czasu na myslenie. Pora na refleksje nad wszystkim, co pan wie. Ja sam jestem osoba sklonna do refleksji.

–Komendant Vimes? – Glos nalezal do panny Pickles/Pointer stojacej w polowie schodow. – Taki wielki troll o pana pyta.

–Jaka szkoda – westchnal pan Blysk. – To na pewno sierzant Detrytus. Obawiam sie, ze nie ma dobrych wiesci. Gdybym mial zgadywac, powiedzialbym, ze trolle poslaly taka-taka. Musi pan isc, panie Vimes. Jeszcze sie spotkamy.

–Nie sadze, zebym sie z panem zobaczył – rzekl Vimes. Wstal. – Jeszcze tylko jedno pytanie, dobrze? Tylko zadnych pokretnych odpowiedzi. Dlaczego pomogl pan Cegle? Czemu sie pan przejal jakims nacpanym rynsztokowym trollem?

–A czemu pan sie przejmowal zabitymi krasnoludami? – zapytal pan Blysk.

–Bo ktos musi!

–No wlasnie. Do widzenia, panie Vimes.

Vimes wbiegl po schodach i wszedl za panna Pickles/Pointer do sklepu. Detrytus stal miedzy kawalkami mineralow i wydawal sie niepewny jak czlowiek w kostnicy.

–O co chodzi? – spytal Vimes.

Detrytus niepewnie przestapil z nogi na noge.

–Przepraszam, panie Vimes, ale zem byl jedyny, co wiedzial, gdzie...

–Tak, w porzadku. Chodzi o taka-taka?

–Skad pan to wie, sir?

–Nie wiem. Co to jest taka-taka?

–To taka slawna wojenna maczuga trolli.

Vimes, wciaz jeszcze myslac o tym, co widzial na dole, zapytal odruchowo:

–A jak nie ma czuga, to co ma?

Jednak takie hasla marnowaly sie przy Detrytusie. On dowcipy uwazal za ludzka aberracje, ktora mozna pokonac, mowiac powoli i cierpliwie.

–Nic, sir. Kiedy klany trolli przesyrlaja sobie taka-taka, to jest wezwaniem na wojne.

–Niech to... Dolina Koom?

–Tak, sir. I zem slyszal, ze dolny krol i krasnoludy z Uberwaldu sa juz w drodze do doliny Koom. W miescie wszyscy o tym mowia.

–Ehm... dzyn, dzyn, dzyn...? – odezwal sie cichy, nerwowy glosik.

Vimes wyjal Gooseberry'ego i spojrzal groznie. W takiej chwili...

–Co jest? – warknal.

–Jest dwadziescia dziewiec minut po piatej, Wstaw Swoje Imie – odparl niepewnie chochlik.

–Wiec?

–Piesz, o tej porze, musisz ruszyc juz teraz, zeby zdazyc na szosta do domu.

–Patrycjusz chce pana widziec, sir, i sekary przychodza, i w ogole – nalegal Detrytus.

Vimes patrzyl nieruchomo na wyraznie zaklopotanego chochlika.

–Ide do domu – oznajmil i ruszyl naprzod.

Ciemne chmury przewalaly sie po niebie, zwiastujac kolejna letnia burze.

–Znalezli trzy zabite krasnoludy niedaleko studni, sir – opowiadal Detrytus, czlapiac

za nim. – Wyglada, ze te inne krasnoludy ich pozabijaly, jasna sprawa. Wszystkie gragi zniknely. Kapitan Marchewa ustawil straze przy wszystkich wyjsciach, co je znalazl...

Ale oni kopali, myslal Vimes. Kto wie, dokad siegnely tunele?

–...i prosi o zgode na wywalenie tych wielkich zelaznych drzwi przy Melasowej, sir – ciagnal Detrytus. – Bo tamtedy sie moga dostac do ostatniego krasnoluda.

–A co na to krasnoludy? – rzucil przez ramie Vimes. – Znaczy te zywe?

–No, duzo ich widzialo, jakzesmy wynosili zabite krasnoludy. Se mysle, ze wiekszosc to mu chetnie poda lom.

Zrobmy przedstawienie dla motlochu. Chwycmy go za sentymentalne serce. A zreszta nadchodzi burza, nie ma co sie martwic o dodatkowa krople deszczu.

–No dobra – rzekl. – Przekaz mu, ze wiem, ze na pewno jest tam Otto z tym swoim przeklętym obrazkowym pudelkiem, wiec kiedy wyrwa te drzwi, niech to robia krasnoludy, jasne? Obrazek pelen krasnoludow?

–Tajest, sir!

–A jak tam mlody Cegla? Zlozy zeznanie pod przysiega? Zrozumie, o co chodzi?

–Se mysle, ze moze, sir.

–Przed krasnoludami?

–Tak, jak go poprosze, sir – stwierdzil Detrytus. – Tyle moge obiecac.

–Dobrze. I niech ktos pchnie sekarami wiadomosc do kazdej straży miejskiej i kazdego wiejskiego posterunku stad do gor. Niech wypatruja grupy czarnych krasnoludow. Jestem pewien, ze znalazly to, czego szukaly, a teraz probuja uciec.

–Pan chce, zeby oni ich zatrzymali? – spytal sierżant.

–Nie! Niech nikt nawet nie probuje! Przekaz, ze maja bron, ktora strzela ogniem! Niech tylko dadza znac, dokad tamci sie kieruja.

–Tak im powiem, sir.

A ja ide do domu, powtorzyl w myslach Vimes. Kazdy czegos chce od Vimesa, chociaz nie jestem najostrzejszym nozem w szufladzie. Do demona, pewnie jestem raczej lyzka. Ale mam zamiar byc Vimesem, a o szostej Vimes czyta Mlodemu Samowi "Gdzie jest moja krowka?". Ze wszystkimi odglosami.

Dotarł do domu różnym krokiem, wykorzystując wszystkie znane sobie niewielkie skroty. Jego umysł falował wte i wewte jak rzadka zupa, a zebra szturchały go od czasu do czasu, by powiedzieć: Tak, nadal tu jesteśmy i klujemy. Stanął przed drzwiami w chwili, gdy Willikins je otworzył.

–Przekaze lady Sybil, że już pan wrócił, sir! – zawołał, gdy Vimes biegł na górę po schodach. – Czyszczy zagrody smoków.

Młody Sam stał w swoim łóżeczku i obserwował drzwi. Dzień Vimesa stał się miękki i rozowy.

Na krzesle leżały ulubione chwilowo zabawki – szmaciana pileczka, nieduża obroż i welniany waz z jednym okiem z guzika. Vimes zepchnął je na dywan, usiadł i zdjął helm. A potem ściągnął wilgotne buty. Kiedy Sam Vimes ściągał buty, nie trzeba już było ogrzewać pokoju. Na ścianie tykał zabawkowy zegar, a z każdym Lyknieciem i Laknieciem nad parkanem przeskakiwała tam i z powrotem mała owieczka.

Sam otworzył mocno wyssana i mocno przezuta książeczkę.

–Gdzie jest moja krowka? – oznajmił, a Młody Sam zachichotał. Deszcz bebnął o szyby.

Gdzie jest moja krowka?

Czy to moja krowka?

...Rzecz, która mówi, myślał, gdy oczy i usta wykonywały najpilniejsze zadanie. Musze się więcej dowiedzieć. Dlaczego sprawiła, że krasnoludy chciały się wzajemnie pozabijać?

Robi "Beee!".

To owieczka!

...Dlaczego poszliśmy do tej kopalni? Bo slyszelismy, że popełniono tam morderstwo, dlatego!

To nie moja krowka!

...Wszyscy wiedzą, że krasnoludy plotkują. Głupio było kazać im zachować to przed nami w tajemnicy! To właśnie cali glebinowcy – wydaje im się, że wystarczy coś powiedzieć, a to już staje się prawda!

Gdzie jest moja krowka?

...woda sciekająca na kamień...

Czy to moja krowka?

Gdzie ja ostatnio widziałem taka plansze do lupsa?

Robi "lhaha!".

A tak, u Helmutluka. Bardzo sie denerwowal, prawda?

To konik!

On miał plansze. Powiedział, że jest zapalonym graczem.

To nie moja krowka!

Ten krasnolud był w napięciu, trudno nie zauważyć. Wyglądał, jakby wręcz umierał z chęci powiedzenia mi czegoś...

Gdzie jest moja krowka?

To jego spojrzenie...

Czy to moja krowka?

Byłem taki wściekły! Nie mówić straży? Czego oni się spodziewali? Można by sądzić, że beda wiedzieli...

Robi "Hruumgh!".

Wiedział, że dostane szalu!

To hipopotam!

On chciał, żebym się rozzłościł!

To nie moja krowka!

Do demona, on chciał, żebym się rozzłościł!

Vimes prychnął i parsknął przez całą resztę zoo, nie pomijając ani jednego warknięcia czy pisnięcia, a na końcu ułożył syna i pocałował go na dobranoc.

Z dołu dobiegł brzęk tłuczonego szkła. O, ktoś upuścił szklanke, stwierdziły czołowe płyty mózgu. Ale tylna część mózgu, która od ponad pięćdziesięciu lat sterowała nim bezpiecznie po wrogich ulicach, szepnęła: Akurat, upuścił!

Kucharz miał wolny wieczór, Purity jest pewnie w swoim pokoju, Sybil karmi smoki.

Pozostawal zatem Willikins. Kamerdyneryzy niczego nie upuszczaja.

Z dolu dobieglo ciche "ugh!", a potem "lups!" czegos uderzajacego w mieso.

Miecz Vimesa wisial na haku na drugim koncu holu, poniewaz Sybil nie lubila, kiedy nosil go w domu.

Jak najciszej rozejrzal sie po pokoju, szukajac czegos, czegokolwiek, co mogloby sluzyc za bron. Niestety, wybierajac zabawki dla Mlodego Sama, calkowicie zaniedbali caly obszar twardych przedmiotow o ostrych krawedziach. Kroliczki, ludki i prosiaczki byly licznie reprezentowane, ale... Aha! Vimes zauwazyl cos, co moglo sie nadac, wyrwal to i scisnal mocno.

Sunac bezglosnie na grubych, grubo pocerowanych skarpetach, zszedl schodami na dol.

Drzwi do piwnicy z winem byly otwarte. Vimes juz teraz nie pil, ale Willikins, wypelniajac kamerdynerskie zobowiazania wobec pokolen, ktore dopiero sie pojawily albo dopiero nadejda, dbal o nia i uzupelnial niekiedy o obiecujace roczniki.

Czy to chrzest deptanego szla? Zaraz sie przekona.

Dotarl do sklepionej piwniczki i ostroznie wysunal sie poza plame swiatla wpadajacego tu z korytarza. Teraz wyczuwal lekki odor czarnego oleju.

Male dranie! W dodatku widza w ciemnosci, tak? Grzebal w kieszeni, szukajac zapalek, a puls dudnil mu w uszach. Palce natrafily na zapalke. Nabral tchu.

Jakas dlon chwycila go za przegub, a kiedy szalenczo uderzyl ciemnosc tylna noga konia na biegunach, ona takze zostala mu wyrwana. Kopnal odruchowo i uslyszal stekniecie. Poczul, ze rece ma wolne, a gdzies sponad podlogi rozlegl sie glos Willikinsa, dosyc zduszony:

–Prosze wybaczyc, sir, ale chyba wpadlem na panska stope.

–Willikins? Co sie tu dzieje, do demona?

–Kilku krasnoludzych dzentelmenow zlozylo wizyte, kiedy byl pan na gorze, sir. – Kamerdyner prostowal sie powoli. – Zjawili sie przez sciane piwnicy. Z przykroscia stwierdzam, ze uznalem za konieczne potraktowanie ich dosc surowo. Obawiam sie, ze jeden z nich moze byc martwy.

Vimes rozejrzal sie dookola.

–Moze byc martwy? A oddycha jeszcze?

–Tego nie wiem, sir. – Willikins z wielka ostroznoscia przytknal zapalke do malego ogarka. – Slyszałem, jak bulgocze, ale teraz wydaje sie, ze przestal. Przepraszam, lecz spotkali sie ze mna, kiedy opuszczalem komorke z lodem, zostalem wiec zmuszony, by broniec sie pierwsza rzecza, jaka wpadla mi w reke.

–To znaczy?

–Nozem do lodu, sir – odparl spokojnie Willikins. Uniosl osiemnascie cali ostrej zebatej klingi przeznaczonej do ciecia lodu w poredzne bloki. – Tego drugiego dzentelmena zawiesilem na haku na mieso, sir.

–Chyba nie... – zaczal przerazony Vimes.

–Tylko za ubranie, sir. Przepraszam, ze podnioslem na pana reke, sir, ale obawialem sie, ze ten paskudny olej moze byc palny. Mam nadzieje, ze dostalem ich wszystkich. I chcialbym skorzystac z okazji i przeprosic za balagan...

Vimes byl juz w polowie piwnicznych schodow.

W holu poczul, ze serce mu zamarlo. Niska czarna figura na szczycie schodow wlasnie znikala w drzwiach pokoju dziecinnego.

Szerokie, okazale schody wznosily sie przed nim – stopnie na sam szczyt nieba. Pognal nimi, slyszac wlasne wrzaski:

–Zabijecie zabijecie zabijecie zabijecie zabij zabij zabij...

Dlawila go straszliwa furia, wscieklosc i przerazenie rozpalaly pluca, a schody wciaz sie rozwijaly. Nie mialy konca. Ciagnely sie w nieskonczonosc, gdy on tymczasem spadal w dol, do piekla. Ale pieklo wynosilo go, dawalo skrzydla wscieklosci, posylalo z powrotem...

Az wreszcie, gdy oddech byl juz tylko dlugim bluznierczym krzykiem, dotarl do ostatniego stopnia...

Krasnolud wybiegl z drzwi sypialni Sama tyłem, uderzyl w balustrade, przelamal ja i runal na podloge w dole. Vimes biegł dalej, slizgajac sie po wypolerowanym drewnie, z poslizgiem skrecil do pokoju dziecinnego, bojac sie, co zobaczy...

Zobaczyl Mlodego Sama, ktory spal spokojnie. Mala owieczka na scianie odmierzala czas nocy.

Sam Vimes podniosl syna, otulil niebieskim kocykiem i osunal sie na kolana. Nie nabieral oddechu przez caly ten bieg po schodach i teraz jego ciało realizowalo weksle, w poteznych, szarpiacych szlochach zasysajac powietrze i odkupienie. Lzy

plynely mu z oczu; dygotal...

Przez te rozmazana, wilgotna mgle zauwazyl cos na podlodze. Na dywanie, tam gdzie upadly, lezaly szmaciana pilka, obrecz i welniany waz.

Pilka przetoczyla sie mniej wiecej na srodek obreczy. Waz lezal czesciowo rozwiniety, z glowa na jej brzegu.

Razem, w slabym swietle, mogly sie wydawac wielkim okiem z ogonem.

–Sir! Czy wszystko w porzadku?

Vimes uniosl glowe i skupil wzrok na zaczerwienionej twarzy Willikinsa.

–Eee... tak... co? Tak... dobrze... dzieki... – wykrztusil, przywołujac rozbiegane zmysly. – W porzadku, Willikins, dziekuje.

–Ktorys musial mnie jakos ominac w ciemnosci...

–He? Tak, to wyjatkowa niedbalosc. – Vimes podniosl sie, wciaz tulac do siebie syna. – Zaloze sie, ze wiekszosc kamerdynerow w tej okolicy zalatwilaby wszystkich trzech jednym trzepnieciem sciereczki do kurzu, co?

–Dobrze sie pan czuje, sir? Bo...

–Ale ty uczeszczales do Falszonogiej Szkoły Karmerdynerow! – Vimes zachichotal. Kolana mu drzaly. Czesc jego umyslu zdawala sobie sprawe, co zaszlo. Po zgrozie nadchodzilo uczucie upojenia, kiedy czlowiek uswiadamił sobie, ze nadal zyje, i wszystko wydawalo mu sie smieszne. – No wiesz, inni kamerdynerzy zwyczajnie wiedza, jak powalic kogos jednym spojrzeniem, ale ty, Willikins, wiesz, jak ich powalic...

–Prosze posluchac, sir! On jest na dworze, sir! – przerwal mu niespokojnie Willikins. – Lady Sybil rowniez!

Uśmiech Vimesa stezal.

–Czy mam wziac mlodego panicza? – Willikins wyciagnal rece.

Vimes cofnal sie. Troll z lomem i beczka smaru nie wyrwalby mu syna z rak.

–Nie! Ale daj mi ten noz! A potem idz i sprawdz, czy nic sie nie stalo Purity!

Przyciskajac do siebie Mlodego Sama, biegł na dol, przez hol i do ogrodu. To bylo glupie, glupie, glupie. Tak powiedzial sobie pozniej. Ale w tej chwili myslal tylko w kolorach podstawowych. Bylo mu trudno, bardzo trudno wejsc do pokoju

dziecinnego, wobec tych wszystkich obrazów, jakie tłoczyły się w jego wyobraźni. Nie miał zamiaru już nigdy tego przeżywać. I wściekłość napłynęła znowu, już łatwo, już pod kontrolą... Gładka jak rzeka ognia. Znajdźcie ich wszystkich, wszystkich co do jednego, i będa płonąć...

Do największej smoczej szopy dało się teraz dotrzeć, tylko zygzakując między trzema wielkimi, odlanymi z żelaza deflektorami płomieni, ustawionymi ledwie dwa miesiące temu. Hodowla smoków nie jest zajęciem dla maminsynków ani ludzi, którym przeszkadza to, że od czasu do czasu muszą odnawiać całą boczną ścianę domu. Po obu stronach szopy znajdowały się duże żelazne wrota. Vimes skierował się do bliższych, wpadł do wnętrza i zaryglował je za sobą.

Tutaj zawsze było ciepło, ponieważ smokom stale się odbijało – gdyby nie to, wybuchalyby, co zresztą także niekiedy się zdarzało. Sybil w pełnym kombinezonie do opieki nad smokami szła wolno między zagrodami z wiadrami w obu rękach. Za nią przeciwne drzwi otwierały się powoli i pojawiła się niska ciemna postać, i trzymała pret z małym płomykiem zapłonu na końcu, i...

–Uważaj! Za toba! – krzyknął Vimes.

Zona popatrzyła na niego, odwróciła się, upuściła wiadra i zaczęła coś wołać.

I wtedy rozkwitł płomień. Trafił Sybil w pierś, trysnął nad zagrodami i zgasł nagle. Krasnolud spojrzał w dół i zaczął rozpaczliwie stukac w rurę.

Kolumna ognia, która była lady Sybil, powiedziała stanowczym głosem, który nie dopuszczał żadnego sprzeciwu:

–Połóż się, Sam. Natychmiast.

Po czym sama opadła na piaszczyste klepisko, a w całej linii zagrod na długich smoczych szyjach unosiły się smocze głowy. Nozdrza im falowały. Smoki nabierały tchu. Zostały wyzwane. Zostały obrażone. A właśnie jadły kolację.

–Grzeczne chłopaki – powiedziała Sybil z ziemi.

Dwadzieścia sześć strumieni odwetowego smoczego ognia nie zawiodło oczekiwań. Vimes, leżący na ziemi tak, by ciałem osłaniać Młodego Sama, czuł, jak przypalają mu włoski na karku.

To nie była przydymiona czerwień krasnoludzkiego ognia – to było coś, co daje się wytworzyć tylko w żołądku smoka. Płomienie wydawały się prawie niewidoczne. Przynajmniej jeden z nich musiał trafić bronią krasnoluda, ponieważ nastąpiła eksplozja i coś wyleciało przez dach. Smocze szopy były zbudowane jak fabryka sztucznych ogniów – bardzo grube mury i dach możliwie cienki, by zapewnić łatwiejsze

przejscie do nieba.

Kiedy ucichl huk ognia, zastapiony wielokrotna podniecona czkawka, Vimes zaryzykował rzut okiem. Sybil podnosiła się trochę niezgrabnie z powodu odzieży ochronnej, która nosi każdy hodowca smoków*.

Zelazo dalszych drzwi jarzyło się czerwono wokół czarnej sylwetki krasnoluda. A kawalek przed nimi para żelaznych butów stygła od białego żaru w kaluży roztopionego piasku.

Brzeknal metal.

Lady Sybil uniosła dłonie w ciężkich rekawicach i zdusiła plomyki kilku plam oleju na swym skorzanym fartuchu. Potem zdjęła helm. Z głuchym stukiem wylądował na piasku.

–Och, Sam – powiedziała cicho.

–Nic ci się nie stało? Młody Sam jest cały i zdrowy. Musimy się stąd wydostać.

–Och, Sam...

–Sybil! Musisz go wziąć ode mnie! – Vimes mówił powoli i wyraźnie, by przebić się przez szok. – Mogą tu być jeszcze inni!

Oczy lady Sybil się zogniskowały.

–Oddaj mi go. A sam weź Raje!

Vimes spojrzał w miejsce, gdzie wskazywała. Zamrugał do niego młody smok z obwisłymi uszami i wyrazem lekko oszłomionego dobrego humoru. To był złoisty wouter, rasa o płomieniu tak mocnym, że jednego z nich użyli kiedyś złodzieje, by wytopić sobie przejście do bankowego skarbcza.

Vimes podniósł go ostrożnie.

–Daj mu węgla – poleciła Sybil.

To chyba dziedziczne, myślał Vimes, wsuwając bryły antracytu w łakoma gardziel Rai. Przodkinie Sybil meźnie wspierały swych meżów w oblezonych dalekich ambasadach, rodziły na grzbietach wielbłądów albo w cieniu powalonych słoni, częstowały czekoladkami w złotej folii, gdy trolle próbowały wdrzeć się do rezydencji, albo po prostu zostawały w domach i pielegnowały te fragmenty meżów i synów, które zdołały powrócić z niezliczonych drobnych wojen. Rezultatem była taka odmiana kobiety, która na wezwanie obowiązku zmieniała się w lita stal.

Vimes drgnal, gdy Raja czknał cicho.

–To był krasnolud, prawda? – spytała Sybil, kolysząc na rękach Młodego Sama. – Jeden z tych glebinowych?

–Tak.

–Dlaczego próbował mnie zabić?

Jeśli ludzie próbują cię zabić, to znaczy, że robisz coś, jak należy. To była reguła, według której żył Sam Vimes. Ale to... Nawet prawdziwy kamienny zbrojca, taki jak Chryzopraz, nie próbowałby czegoś takiego. To przecież szalenstwo. Bada planac. Bada planac!

–Myśle, że przestraszyli się tego, co mogę odkryć – stwierdził. – Wszystko im poszło nie tak i teraz usiłują mnie powstrzymać.

Czy mogą być aż tak głupi? – zastanowił się. Zabita żona? Zabite dziecko? Wyobrazali sobie, że mnie to choć na chwilę powstrzyma? A teraz, kiedy złapie tego, kto to zlecił, mam nadzieję, że będzie ze mną ktoś, kto mnie powstrzyma. Bo bada planac za to, co zrobili.

–Och, Sam – szepnęła Sybil; jej żelazna maska zsunęła się na moment.

–Przepraszam. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

Odstawił smoka i objął ją ostrożnie, niemal lekliwie. Wściekłość była tak wielka... Obawiał się wręcz, że wyrosną mu kolce albo że popeka w ostre odłamki. W dodatku ból głowy powracał niby kawał ołowiu przybity tuż nad oczami.

–Co się stało z tym całym, no wiesz, z hej-ho, hej-ho i z opiekowaniem się biednymi, błądzącymi po lesie sierotkami? – szepnęła Sybil.

–Willikins jest w domu – powiedział. – Purity też.

–No to chodźmy ich poszukać. – Sybil uśmiechnęła się trochę luzawo. – Wolalabym, żebyś nie przynosił pracy do domu, Sam.

–Tym razem sama za mną przyszła – odparł ponuro. – Ale możesz mi wierzyć, załatwie to szybko.

Bada plo... Nie. Bada wytropieni w każdej dziurze, w której spróbują się ukryć, i wyciągnięci, by stanęli przed obliczem sprawiedliwości. Chyba że (och, błagam!) spróbują stawiać opór przy aresztowaniu...

Purity stała w holu obok Willikinsa. Bez większego przekonania sciskała w dłoniach

zdobyczny klatchianski miecz. Kamerdyner uzupełnił swój ekwipunek o dwa tasaki do mięsa, które trzymał z niepokojącą wprawą.

–Na bogów, człowieku! Cały jesteś we krwi! – wykrzyknęła Sybil.

–Tak, wasza łaskawość – zgodził się Willikins. – Chciałbym dodać dla uspokojenia, że nie należy ona do mnie.

–Krasnolud był w szopie dla smoków – oświadczył Vimes. – Jakies ślady innych?

–Nie, sir. Ten w piwnicy posiadał urządzenie do wyrzucania ognia, sir.

–Ten, którego widzieliśmy, też takie miał. Nie na wiele mu się przydało.

–Doprawdy, sir? Osobiście zaznajomiłem się z jego obsługą, sir, i sprawdziłem swoje zrozumienie, odpalając je do tunelu, którym przybyli, dopóki nie skończył się jego ogniотwórczy sok, sir. Na wszelki wypadek, gdyby było ich tam więcej. Z tego właśnie powodu, jak przypuszczam, płoną w tej chwili krzaki pod numerem piątym.

Vimes nie spotkał Willikinsa, kiedy obaj byli młodzi. Ryczące Chłopaki z Kogudziobnej mieli układ z Falszonogą, co pozwalało im ignorować te flanki i koncentrować się na powstrzymaniu agresji terytorialnej Gangu Zdechłej Pazurczatki ze Swińskiej Górki. Teraz cieszył się, że nie stanął naprzeciw młodego Willikinsa.

–Pewnie przebili się tam na powierzchnię, żeby doprowadzić powietrze – stwierdził. – Jeffersonowie są na wakacjach.

–Coż, jeśli nie są przygotowani na takie wypadki, to w ogóle nie powinni sadzić rododendronów – orzekła Sybil. – Co teraz, Sam?

–Przenieśmy się na noc do Pseudopolis Yardu – zdecydował Vimes. – I nie kłóc się.

–Ramkinowie nigdy przed nikim nie uciekali – oznajmiła Sybil.

–A Vimesowie wiali przez cały czas – odparł Vimes, dyplomatycznie nie wspominając przodków, którzy wracali do domu w kawalkach. – To znaczy, że walczysz tam, gdzie chcesz walczyć. Teraz wszyscy pojedziemy, zapakujemy się do karety i pojedziemy do Yardu. Kiedy już tam będziemy, przysle tu ludzi po rzeczy. Tylko na jedną noc, zgoda?

–Co mam zrobić z gośćmi, sir? – zapytał Willikins, zerkając z ukosa na lady Sybil. – Jeden istotnie nie żyje. Jak pan pamięta, musiałem pchnąć go nożem do lodu, który akurat trzymałem, gdyż wycinałem lod do kuchni – dodał z nieruchomą twarzą.

–Wrzuc go na dach powozu.

–Ten drugi także wydaje się martwy, sir. Przysiaglibym, że nic mu nie dolegało, kiedy go wiazałem, sir, gdyż przeklinał mnie w swojej mowie.

–Nie uderzyłeś go chyba za mocno... – zaczął Vimes i urwał.

Gdyby Willikins chciał kogoś zabić, nie brałby go do niewoli. To musiała być paskudna niespodzianka – przebiec się do piwnicy i spotkać kogoś takiego jak Willikins. Zresztą do demona z nimi!

–Po prostu... umarli? – zapytał.

–Tak, sir. Czy krasnoludy mają naturalnie zieloną ślinę?

–Co?

–Pozieleniał wokół ust. Moim zdaniem to może być ślad.

–No dobra, jego też wrzuc na dach. Ruszajmy już.

Vimes musiał nalegać, żeby Sybil jechała w środku. Zwykle stawiała na swoim, a on bez sprzeciwu ustępował, ale niewypowiedziana umowa między nimi była taka, że kiedy mu naprawdę zależało, słuchała. To takie małżeńskie sprawy.

Vimes jechał na kozle obok Willikinsa. Kazał mu się zatrzymać w połowie drogi ze wzgórza, gdzie jakiś człowiek sprzedawał wieczorne wydanie "Pulsu", wilgotne jeszcze, prosto spod prasy.

Obrazek na pierwszej stronie ukazywał tłum krasnoludów. Wywazali te wielkie, okrągłe, żelazne drzwi kopalni, które wisiały już wyrwane z zawiasów. Pośrodku grupy, trzymając brzeg drzwi, stał kapitan Marchewa z napreżonymi mięśniami, łśniący od potu i bez koszuli.

Vimes mruknął coś z satysfakcją, złożył azetę i zapalił cygaro. Drzenie nog było już ledwie zauważalne. Ognie straszliwej furii przygasły, ale wciąż się zarzyły.

–Wolna prasa, Willikins. Nie da się jej pokonać – stwierdził.

–Często słyszałem z pańskich ust takie uwagi, sir – odparł Willikins.

Istota pelzła po mokrych od deszczu ulicach. Znowu nic! A już się przebijała – wiedziała to dobrze! Została usłyszana! Ale za każdym razem, kiedy próbowała podać słowa, coś ją odrzucało. Przejście blokowały kraty, otwarte drzwi ryglowały się, gdy podchodziła. I co to niby takiego? Jakis marnej klasy żołnierz! Normalnie miałaby już berserkerów rozgryzających tarcze na połowy!

Ale nie na tym polegał główny problem. Była obserwowana. A coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy.

Przed Yarem klebil się tłum krasnoludów. Nie wyglądały wojowniczo – to znaczy nie bardziej wojowniczo, niż normalnie wygląda gatunek, którego przedstawiciele tradycyjnie noszą wielkie i ciężkie helmy, kolczugi i żelazne buty, a także topory. Ci jednak sprawiali wrażenie zagubionych, dezorientowanych i niepewnych, co właściwie tu robią.

Vimes kazał Willikinsowi wjechać przez bramy na dziedziniec i zanieść ciała napastników Igorowi, który znalazł się na takich kwestiach jak ludzie konający z zielonymi ustami.

Sybil, Purity i Młody Sam zostali zaprowadzeni do czystego gabinetu. To ciekawe, myślał Vimes, patrząc, jak Cudo i grupa funkcjonariuszy krasnoludów zachwyca się Młodym Samem. Nawet teraz – a właściwie zwłaszcza teraz, kiedy w napiętej atmosferze wszyscy wracali do dawnych pewników – nie był pewien, ile ma w strażnicy krasnoludzkich kobiet. Wielkiej odwagi bowiem musiała być kobieta ujawniająca ten fakt w społeczeństwie, w którym noszenie choćby przyzwoitej, długiej do ziemi sukni z kolczugi zamiast nogawic stawiało człowieka moralnie daleko poza Plova i jej ciężko pracującymi koleżankami z Klubu Różowego Kociaka. Ale wystarczy wprowadzić do pokoju gaworzące dziecko, a można je rozpoznać natychmiast, mimo wszystkich groźnych brzeków metalu i mimo brod, w których mogłoby zablądzić szczur.

Marchewa precyzyjnie się do niego i zasałutował.

–Wiele się wydarzyło, sir!

–Cos takiego! Rzeczywiście? – spytał Vimes z maniackalnym entuzjazmem.

–Tak, sir. Wszyscy byli mocno... zagniewani, kiedy wynieśliśmy z kopalni zabitych krasnoludów, a w rezultacie otworzenie tych wielkich drzwi przy Melasowej okazało się bardzo popularne. Glebinowcy zniknęli, sir, oprócz jednego...

–To pewnie Helmutluk. – Vimes skierował się do swojego gabinetu.

Marchewa zdziwił się wyraźnie.

–Zgadza się, sir. Siedzi w celi. Jeśli można, chciałbym, żeby pan na niego spojrzal. Plakał, jęczał i dygotał w kacie, cały obstawiony zapalonymi świecami.

–Znowu świece? Może się boi ciemności?

–Możliwe, sir. Igor uważa, że ma kłopoty z głową.

–Nie pozwól, żeby próbował przyszyć mu nowa! – uprzedził szybko Vimes. – Zejść tam jak najszybciej.

–Próbowałem z nim rozmawiać, ale on tylko patrzy tępo, sir. Skąd pan wiedział, że właśnie jego znajdziemy?

–Mam już parę fragmentów brzegów i kilka kawałków o ciekawych kształtach – odparł Vimes, siadając za biurkiem. A ponieważ Marchewa nie rozumiał, musiał wyjaśnić: – Z układanki, kapitanie. Ale jest bardzo dużo kawałków nieba. Jednak sądzę, że jestem już blisko celu, bo chyba dostałem narożnik. Co mówi pod ziemią?

–Sir?

–Wiemy przecież, że krasnoludy nasłuchiwały czegoś pod ziemią. Zastanawiał się pan, czy może ktoś został uwieczony w korytarzu, prawda? Ale czy istnieje... bo ja wiem... coś stworzonego przez krasnoludy, co potrafi mówić?

Marchewa zmarszczył czoło.

–Nie pyta pan chyba o szescian, prawda?

–Nie wiem. A pytam? Niech pan mi to powie.

–Glebinowcy mieli kilka w swojej kopalni, sir, ale jestem pewien, że żadna nie jest zakopana tutaj. Na ogół znajduje się je w twardych skalach. Zresztą nie dałoby się ich znaleźć, nasłuchując. Nigdy nie słyszałem, żeby szescian mówił, kiedy się go znajdzie. Niektóre krasnoludy poświęciły lata, ucząc się używać choćby jednego!

–Co to jest szescian? – zapytał Vimes, zerkając na stos dokumentów. Dobrze; nie było żadnych notatek od A.E. Pesymala.

–Hm... jest jakby książka, sir. Która mówi. Myślę, że to coś takiego jak panski terminarz Gooseberry. Większość zawiera interpretacje krasnoludzkich tradycji, omawiane przez starożytnych medrców. To bardzo stara... magia, jak przypuszczam.

–Przypuszcza pan?

–No, technomantyczne Mechanizmy wyglądają na coś, co zostało zbudowane, wie pan, z...

–Kapitanie, wolniej, bo się zgubiłem. Co to za Mechanizmy i dlaczego wymawia je pan przez duże M?

–Szesciany to typ Mechanizmu, sir. Nikt nie wie, kto je skonstruował i w jakim oryginalnie celu. Mogą być starsze niż świat. Znajdują się w wulkanach i w najgłębszych skalach. Większość jest w posiadaniu glebinowców. Trafiają się w różnych...

–Chwileczkę. To znaczy, że kiedy się je wykopie, są w nich głosy krasnoludów sprzed milionów lat? Przecież krasnoludy nie...

–Nie, sir. Krasnoludy wkładają tam swoje głosy dopiero później. Nie orientuje się za dobrze. Wydaje mi się, że zaraz po znalezieniu większość zawiera dźwięki naturalne: płynąca woda, ptaki, przesuwające się skały. Gragowie znajdują sposób, żeby się tego pozbyć i zrobić miejsce dla słów. Tak myślę. Słyszałem o takim, w którym były odgłosy lasu. Dziesięć lat głosu w szescianie o krawędzi poniżej dwóch cali.

–I te Mechanizmy są cenne?

–Niewiarygodnie cenne, sir, zwłaszcza szesciany. Warto przekopania całej góry granitu, jak u nas mówią... Ehm... To było krasnoludzie "nas", nie policyjne, sir.

–Czyli przekopanie paru tysięcy ton ankhmorporskiego błota by się opłacało?

–Żeby zdobyć szescian? Tak! O to chodziło? Ale jak on się tu znalazł? Przeciętny krasnolud może przez całe życie żadnego nie zobaczyć. Używają ich tylko gragowie i wielcy wodzowie! I dlaczego miałby mówić? Wszystkie krasnoludzie można ożywić jedynie kluczowym słowem.

–Nie mam pojęcia. A jak one wyglądają? Poza tym, że są pewnie szescienne?

–Widziałem tylko kilka, sir. Mają krawędź długości do szesciu cali, przypominają stary brąz i migoczą.

–Zielono i niebiesko? – spytał ostro Vimes.

–Tak, sir. Mieli ich kilka w kopalni przy Melasowej.

–Chyba je widziałem. I przypuszczam, że teraz mają o jeden więcej. Głosy z przeszłości, tak? A jak to się stało, że jeszcze o nich nie słyszałem?

Marchewa się zawahał.

–Jest pan bardzo zajetym człowiekiem, sir. Nie może pan wiedzieć wszystkiego.

Vimes wyczuł w tym odrobine cząsteczki wyrzutu.

–Chce pan powiedzieć, że jestem człowiekiem o ograniczonych horyzontach, kapitanie?

–Ależ nie, sir. Interesują pana wszystkie aspekty pracy policyjnej i kryminologii.

Czasami z twarzy kapitana niczego nie dało się odczytać. Vimes nawet nie próbował.

–Cos tu mi ucieka – przyznał. – Ale chodzi o dolinę Koom, wiem o tym. Proszę powiedzieć, jaka jest tajemnica doliny Koom.

–Nie wiem, sir. Nie wydaje mi się, żeby była jakaś tajemnica. Przypuszczam, że wielką zagadką to ta, która strona zaatakowała pierwsza. Jak pan wie, sir, obie twierdzą, że zostały wciągnięte w pułapkę przez przeciwników.

–Czy to takie strasznie ciekawe? Czy teraz miałoby znaczenie?

–Kto zaczął? Myślę, że tak, sir! – oświadczył Marchewa.

–Wydawało mi się, że walczyli od początku czasu...

–Tak. Ale dolina Koom była pierwszym oficjalnym starciem, sir.

–Kto wygrał?

–Sir?

–To nie jest trudne pytanie, prawda? Kto wygrał pierwszą bitwę w dolinie Koom?

–Chyba można powiedzieć, że przerwał ją deszcz, sir.

–Przerwali takie starcie z powodu deszczu?

–Z powodu strasznego deszczu, sir. Rozpetęła się burza w górach ponad doliną, rwące potoki niosły glazy, powalały walczących i porywały z prądem. Pioruny waliły...

–To popsuło cały dzień – uznał Vimes. – No dobrze. Kapitanie, czy mamy pojęcie, dokąd dranie mogli uciec?

–Mieli przygotowany tunel ucieczkowy...

–Jasne.

–...i zawalili go za soba. Wyslalem ludzi do kopania...

–Niech pan ich wycofa. Bandyti moga teraz siedziec w jakiejś kryjowce, moga uciekac wozem... Do demona, przeciez moga nosic helmy i kolczugi, udawac zwykłe miejskie krasnoludy! Dosc tego, bo wykonczymy naszych ludzi. Dajmy na razie spokoj. Mysle, ze uda sie odnalezc ich znowu.

–Tak, sir. Gragowie uciekli tak szybko, ze zostawili inne Mechanizmy. Zabezpieczylem je dla miasta. Musieli byc bardzo wystraszeni. Wzieli tylko szesciany i uciekli. Dobrze sie pan czuje, sir? Wyglada pan na troche wzburzonego.

–Prawde mowiac, kapitanie, jestem w niewytlumaczalnie dobrym nastroju. Chce pan posluchac, jak minal moj dzien?

Cale miasto mowilo o prysznicach na komendzie strazy. Vimes sam za nie zaplacil, kiedy Vetinari wyglosil jakas kasliwa uwage na temat kosztow. Wygladaly dosc prymitywnie i tak naprawde byly to sitka konewek podlaczone do paru zbiornikow z woda pietro wyzej. Ale po nocy spedzonej w podziemiach Ankh-Morpork mysl o prawdziwej czystosci wydawala sie bardzo atrakcyjna. Mimo to Angua sie wahala.

–Cudownie! – westchnela Sally, obracajac sie powoli pod strumieniem wody. – Co z toba?

–Radze sobie, jasne? – burknela Angua stojaca tuz poza zasiegiem prysznic. – Jest pelnia, tak? No wiec wilk jest dosyc silny.

Sally przerwala szorowanie.

–Ach, rozumiem... Tu chodzi o K.A.P.I.E.L.?

–Musialas to powiedziec, prawda? – Angua zmusila sie, by stanac na kafelkach.

–No a jak to robisz normalnie? – Sally podala jej mydlo.

–Zimna woda i udaje, ze to deszcz. I nie probuj nawet sie smiac. Zmieniamy temat, ale juz!

–Dobrze, dobrze. Co myslisz o tej dziewczynie Nobby'ego?

–O Plovej? Sympatyczna. Ladna.

–Moze raczej: perfekcyjne fizyczne piekno? Oszalamiajace proporcje? Zywa

klasyczna rzeźba?

–No... tak. Właściwie tak – przyznała Angua.

–I jest dziewczyna Nobby'ego Nobbsa?

–Ona chyba tak uważa.

–Nie wmowisz mi, że zasługuje na Nobby'ego – oświadczyła Sally.

–Wiesz, Verity Pushpram też nie zasługuje na Nobby'ego, chociaż ma dziwnego zęza, ramiona jak tragarz i utrzymuje się z gotowania malzy. Tak już bywa.

–To jego poprzednia dziewczyna?

–Tak zwykle mówił. O ile wiem, fizyczna strona ich związku polega na tym, że ile razy Nobby spróbuje się do niej zbliżyć, ona tłucze go mokrymi rybami.

Angua wycisnęła z włosów resztkę mazi. Nielatwo było się jej pozbyć. Niektóre kawałki walczyły, by nie spłynąć do ścieku.

Wystarczy. Nie lubiła długo siedzieć pod P.R.Y.S.Z.N.I.C.-em. Jeszcze szczęście, może siedem sesji, a zapach całkiem zniknie. Teraz trzeba pamiętać, żeby użyć ręcznika, a nie otrzepywać się do sucha.

**–Myślisz, że zeszlłam na dół, żeby zrobić wrażenie na kapitanie Marchewie, prawda?
– odezwała się z tyłu Sally.**

Angua znieruchomiała z głową owiniętą ręcznikiem. No cóż, prędzej czy później musiało do tego dojść...

–Nie – powiedziała.

–Twoje bicie serca mówi coś innego – stwierdziła ostrożnie Sally. – Ale nie martw się. Nie miałabym żadnych szans. Jego serce bije szybciej, gdy jesteś obok, a twoje traci rytm, kiedy go zobaczysz.

No dobrze, więc to teraz, uznał wilk, który nigdy nie był zbyt daleko. Rozstrzygniemy to od razu, pazury przeciwko kłom... Nie! Nie słuchaj wilka! Ale byłoby łatwiej, gdyby ta głupia suka przestała słuchać nietoperza.

–Trzymaj się z daleka od cudzych serc – warknęła.

–Nie mogę. Ty też nie możesz wyłączyć nosa, prawda? Prawda?

Chwila wilka minęła. Angua rozluźniła się trochę. Serce bije mu szybciej, tak?

–Nie – przyznała. – Nie moge.

–Czy kapitan kiedyś ci widział bez munduru?

Bogowie! – pomyślała Angua i podeszła do ubrania.

–No... pewnie... – wymamrotala.

–Chodziło mi o to, czy wkładasz czasem coś innego. Na przykład... sukienkę? – ciągnęła Sally. – Daj spokój, każdy gлина spędza trochę czasu poza mundurem. Dzięki temu wiesz, że nie jesteś na służbie.

–Ale to właściwie robota na dwadzieścia cztery godziny, osiem dni w tygodniu. Zawsze jest...

–Chcesz powiedzieć, że jest taka dla niego, bo on tak lubi, a ty się go trzymasz? – spytała wampirzyca i te słowa przebiły się przez osłony Angui.

–To moje życie! Dlaczego mam słuchać rad wampira?

–Bo jesteś wilkolakiem – odparła Sally. – Tylko wampir osmielił się ci ich udzielić. Nie musisz chodzić mu przy nodze przez cały czas.

–Już to przerabiałam, rozumiesz? Takie już są wilkolaki. To nasza natura!

–Natura? Pomyśl o mnie! Czarnej wstążeczki nie dostaje się za podpisanie zobowiązania. I ona nie oznacza, że nie pragnę już krwi. Po prostu nic w tej kwestii nie robisz. Nocami gonisz kury.

Zapadła lodowata cisza. Po chwili odezwała się Angua:

–Wiesz o kurach?

–Tak.

–Place za nie, rozumiesz...

–Jestem pewna, że tak.

–I przecież nie każdej nocy...

–Jestem tego pewna. Ale wiesz, że żyją tu ludzie, którzy by chętnie i z własnej woli... dotrzymali wampirowi towarzystwa przy kolacji? Pod warunkiem że wszystko odbędzie się w odpowiednim stylu? I to nas uważają za dziwacznych... – Pociągnęła nosem. – A przy okazji, czym umyłaś włosy?

–"Grzeczna Dziewczynka!", szampon przeciwpchelny braci Willard. Wzmacnia polysk – wyjasnila niechetnie Angua. – Posluchaj, wyjasnijmy to sobie od razu, co? Przez cale godziny lazilyśmy w blocie pod miastem, no i rzeczywiście, pare razy wzajemnie uratowalysmy sobie zycie, ale to nie znaczy, ze sie przyjaznimy, jasne? Po prostu przypadkiem... bylyśmy tam w tym samym czasie.

–Potrzebujesz troche wolnego – uznala Sally. – I tak chcialam postawic drinka Plovej, zeby jej podziekowac, a Cudo ma ochote sie przylaczyc. Co ty na to? Na razie nas wycofali. Moze sie troche zabawimy?

Angua usilowala zapanowac nad wrzacymi, sprzecznymi emocjami. Plova byla bardzo mila i pomogla im o wiele bardziej, niz mogly oczekiwac od kogos noszacego szesc cali obcasow i cztery cale kwadratowe ubrania.

–No chodz – zachecala Sally. – Nie wiem, jak u ciebie, ale ja bede musiala sie dobrze postarac, zeby usunac z ust smak tego blota.

–Niech bedzie! Ale to nie znaczy, ze nawiazujemy bliskie stosunki.

–Jasne. Jasne.

–Nie jestem stosunkowa osoba – dodala Angua.

–Tak, tak – zgodzila sie Sally. – To widze.

Vimes wpatrywal sie w swoj notes. Zapisal w nim: "Mowiacy szescian" i zakreslil kolkciem.

Katem ucha slyszal szum budzacej sie strazy – gwar na dziedzincu dawnej fabryki lemoniady, gdzie na wszelki wypadek znowu zbierali sie specjalni; turkot wiezniarki; ogolny pomruk glosow spod podlogi...

Po chwili namyslu dopisal: "Stara studnia" i tez zakreslil.

Razem z innymi dzieciakami podkradal sliwki w ogrodach przy Empirycznym Sierpie. Polowa domow stala pusta i nikt sie nimi nie przejmowal. Owszem, byla tam studnia, ale od bardzo dawna zasypana roznymi smieciami, nawet wtedy. Trawa ja zarosla. Znalezli cegly obmurowania tylko dlatego, ze ich szukali.

Powiedzmy wiec, ze cokolwiek zagrzebanego na samym dnie, dokad zmierzaly krasnoludy, musialo byc tam wyrzucone, no... jakies piecdziesiat, szescdziesiat lat temu.

Nawet czterdzieści lat temu w Ankh-Morpork rzadko widywało się krasnoludy, zresztą absolutnie nie były tak bogate ani potężne, by mieć własny szescian. Pracowały ciężko w nadziei – a nuz się uda... – na lepsze życie. Zatem: jaki człowiek wyrzuciłby warte gołe złota mowiące pudełko? Musiałby być totalnie obłąkany...

Vimes siedział sztywno, wpatrzony w gryzmoly na kartce. Z oddali dobiegły krzyki Detrytusa wydającego jakies rozkazy.

Czuł się jak człowiek, który przekracza rzekę po kamieniach. Dotarł już prawie do połowy, ale następny kamień, leżący odrobine za daleko, mógłby osiągnąć jedynie kosztem poważnego napreżenia pachwin. Mimo to jego stopa kołysała się już w powietrzu. Albo to, albo kąpiel...

Napisał: "Rascal" i zakreślił to słowo kilka razy; ołówek wbijał się w papier.

Rascal musiał być w dolinie Koom. Przypuszcmy, że znalazł tam szescian, kto wie, w jaki sposób... Tak sobie leżał? W każdym razie przywiózł go do domu. Namalował swój obraz i wpadł w obłęd, ale gdzieś po drodze szescian zaczął do niego przemawiać.

Vimes zapisał: "SPECJALNE SLOWO". Narysował kolko – tak mocno, że aż złamał ołówek.

Może Rascal nie znalazł słowa dla "przestanie mówić"? W każdym razie wrzucił szescian do studni...

Spróbował napisać: "Czy Rascal mieszkał kiedyś przy Empirycznym Sierpie?", ale zrezygnował i postarał się to zapamiętać.

No i... w końcu Rascal umarł, a jakiś czas później napisano tę przekleśną książkę. Nie sprzedano wielu egzemplarzy, lecz ostatnio została wydana po raz drugi i... Ach, ale teraz w mieście żyje bardzo wielu krasnoludów. Niektórzy ją przeczytali i jakos odgadli, że tajemnica tkwi w tym szescianie. Chca więc odkryć, gdzie on jest. Jak? Do licha... Czy książka nie stwierdza, że tajemnica doliny Koom jest na obrazie? No dobra. Może Rascal... na tym obrazie jakos zaszyfrował wiadomość, gdzie leży szescian? Ale co z tego? Czego tak bardzo nie powinno się słyszeć, że trzeba zabić czterech biedaków, którzy usłyszeli?

Chyba niewłaściwie na to patrze. To nie jest moja krowka, to owieczka z widłami. Niestety, robi "kwa".

Chyba się pogubił. Biegł w kolko. Ale postawił czubek stopy na kolejnym kamieniu i czuł, że posuwa się naprzód. Tylko do jakiego celu?

To znaczy, co by się naprawdę stało, gdyby znalazł się dowód, że – powiedzmy –

krasnowlody zastawily pulapke na trolle? Nic, co juz sie nie dzieje, prawda? Zawsze da sie znalezc jakies wytлумaczenie, ktore wasna strona uzna, a kogo obchodzi, co myśli nieprzyjaciel? W rzeczywistym swiecie nie zrobiloby to zadnej rozniczy.

Uslyszal slabe pukanie do drzwi – takie, jakiego sie uzywa, gdy pukajacy w sekrecie ma nadzieje, ze nikt mu nie odpowie. Vimes poderwal sie z krzesla i otworzyl drzwi.

W progu stal A.E. Pesymal.

–Ach, A.E. – powiedzial Vimes, wrocil do biurka i odlozyl olowek. – Wejdz, prosze. Co moze dla ciebie zrobic? Jak tam reka?

–Ehm... Czy moglbym zajac panu chwile, wasza laskawosc?

Wasza laskawosc, pomyslal Vimes. Ale tym razem nie mial serca, by protestowac.

Usiadl przy biurku. A.E. Pesymal wciaz mial na sobie kolczuge i odznake specjalnego funkcjonariusza. Nie wygladal schludnie – uderzenie Cegly przetoczylo go po placu jak pilke.

–Ehm... – zaczal.

–Bedziesz musial zaczac od mlodszeo funkcjonariusza, ale czlowiek o twoich zdolnosciach powinien w ciagu roku awansowac do sierzanta. I mozesz miec wasny gabinet.

A.E. Pesymal zamkнал oczy.

–Skad pan wiedzial? – szepnal.

–Zaatakowales zebami pijanego trolla. Pomyslalem wtedy: oto czlowiek zrodzony do odznaki – wyjasnil Vimes.

I tego zawsze chciales, pomyslal. Ale byles za maly, za slaby, za wstydlivy, zeby zostac straznikiem. Tylko ze wielkich i silnych moze kupic wszedzie. W tej chwili potrzebny mi ktos, kto wie, jak trzymac olowek, zeby go nie polamac.

–Bedziesz moim adiutantem – mowil dalej. – Zajmiesz sie dokumentami. Bedziesz czytال raporty i sprobujesz odkryc, co w nich jest waznego. A zeby wiedziec, co jest wazne, bedziesz musial zaliczyc co najmniej dwa patrole tygodniowo.

A.E. Pesymalowi lza splynela po policzku.

–Dziekuje, wasza laskawosc – wyszeptal chrapliwie.

Gdyby A.E. Pesymal mial mozliwa do wypinania piers, bylaby teraz wypieta.

–Oczywiscie najpierw musisz dokonczyc swoja kontrole strazy – dodal Vimes. – To sprawa miedzy toba a jego lordowska moscia. A teraz wybacz, ale musze wracac do pracy. Czeka mnie cierpliwie, az zaczniecie pracowac dla mnie, mlodszego funkcjonariuszu Pesymal!

–Dziekuje, wasza laskawosc!

–Aha... nie bedziesz sie do mnie zwracal "wasza laskawosc". – Vimes zastanowil sie i uznal, ze Pesymal na to zasluzył. – Wystarczy "panie Vimes".

I tak robimy postepy, powiedzial do siebie, kiedy pan Pesymal wyszedl. A jego lordowskiej mosci sie to nie spodoba, wiec sytuacja nie ma tu zadnych minusow. Quis custodiet ipsos custodes, eee, qui custodes custodient? Czy tak bedzie poprawnie dla "Kto pilnuje straznika, ktory pilnuje straznikow?". Pewnie nie. A jednak... Panski ruch, wasza lordowska mosc.

Znowu myslal nad swoim notatnikiem, kiedy drzwi otworzily sie bez wstepnego stukniecia.

Weszla Sybil z talerzem w reku.

–Za malo jesz, Sam – stwierdzila. – A tutejszy bufet to skandal. Wszystko tluste i maczne.

–Obawiam sie, ze ludzie tak wlasnie lubia – wyjasnil zawstydzony Vimes.

–Wyczyscilam przynajmniej termos na herbate – dodala z satysfakcja.

–Wyczyscilas termos? – szepnal glucho Vimes.

To jakby sie dowiedziec, ze ktos starl patyne z pieknego i starego dzieła sztuki.

–Tak. W srodku byl jak smola. Na skladzie nie macie tu porzadnego jedzenia, ale udalo mi sie zrobic dla ciebie kanapke z bekonem, pomidorem i salata.

–Dziekuje, moja droga.

Vimes ostrocznie uniosl zlamanym olowkiem brzeg kromki. Wewnatrz bylo chyba za duzo salaty, czyli, inaczej mowiac, byla salata.

–Wielu krasnoludow przyszlo sie z toba zobaczyc, Sam – powiedziala Sybil, jakby ja to dreczylo.

Vimes poderwal sie tak gwaltownie, ze przewrocil krzeslo.

–Mlody Sam jest bezpieczny? – zapytal.

–Tak. To sa miejskie krasnoludy. Wydaje mi sie, ze znasz ich wszystkich. Mowia, ze chcieliby z toba porozmawiac o...

Ale Vimes pedzil juz po schodach, w biegu wyciagajac miecz.

Krasnoludy tloczyly sie niespokojnie przy biurku podoficera dyzurnego. Demonstrowały zdobnosc elementow metalowych, gladkosc brod i obfitosc obwodow, co wyroznialo ich jako krasnoludy, ktorym dobrze sie powodzi, a przynajmniej powodzilo sie az do teraz.

Vimes pojawil sie przed nimi niczym wir slusznego gniewu.

Wy smiecie, wy szczurozerne robaki! Wy pogarbione tuptacze w ciemnosci! Coscie przyniesli do mojego miasta? O czym mysliecie? Czy chcieliście tu glebinowcow? Czy mieliscie dosc odwagi, by potepic to, co wygadywal Combergniot, te jego zolc i jego stare klamstwa? Czy moze mowiliscie: "No coz, nie zgadzamy sie z nim, oczywiscie, ale cos w tym jest"? Mowiliscie: "Och, posuwa sie troche za daleko, ale najwyzszy czas, zeby ktos powiedzial to glosno"? A teraz przyszliscie tu, zeby umyc rece i zapewnic, ze to straszne i ze nie ma z wami nic wspolnego? Czy nie jestescie przywodcami spolecznosci? Dokad ja doprowadziliscie? I czemu jestescie tu teraz, wy paskudne, biadolace pokurcze? Czy to mozliwe, czy mozliwe, ze teraz, kiedy ochroniarze tego drania probowaly wymordowac moja rodzine, przyszliscie tu sie poskarzyc? Czyzbym zlamal jakas tradycje, nadepnal na prastary odcisk? Do demona z tym! Niech pieklo pochlonie was wszystkich!

Czul, jak slowa cisna sie, walcza, by sie wyrwac. Wysilek powstrzymywania ich wypelnil zoladek kwasem i zbudzil puls bolu w skroniach. Wystarczy jedna skarga, myslal. Jeden napuszony jek! No juz...

–Tak? – spytal groznie.

Krasnoludy wyraznie sie cofnely. Vimes zastanowil sie, czy moze uslyszaly jego mysli – z pewnoscia dostatecznie glosno rozbrzmiewaly echami w glowie.

Jeden z krasnoludow odchrzaknal.

–Panie komendancie... – zaczal.

–Jestes Pors Wrecemocny, tak? – przerwal mu Vimes. – Polowa Burleigha i Wrecemocnego? Robicie kusze?

–Tak, komendancie, i...

–Zlozcie bron! Cala! I wszyscy! – warknal Vimes.

W sali zapadła cisza. Katem oka Vimes zauważył, że dwóch funkcjonariuszy krasnoludów, którzy przed chwilą udawali zajętych papierami, teraz podrywa się z krzesel.

Jakas część umysłu zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się niebezpiecznie głupio, lecz w tej chwili chciał tylko zranić jakos krasnoluda, a nie wolno mu było użyć do tego stali. Większość broni, która zwykle nosili, i tak służyła głównie do brzczenia, ale przecież krasnolud raczej zrzuci spodnie, niż odłoży topór. A tu miał przed sobą poważne miejskie krasnoludy, zasiadające w gildiach i w ogóle. Na bogów, posuwa się chyba za daleko.

–No dobra – burknął. – Możecie sobie zostawić topory. Wszystko inne złóżcie na biurku. Dostaniecie pokwitowanie.

Przez chwilę – dość długa chwila – miał nadzieję, że odmówia. Ale któryś z nich, gdzieś w środku grupy, powiedział:

–Myśle, że powinniśmy to zrobić dla komendanta. Nastal trudny czas i należy się do niego dopasować.

Vimes wrócił do gabinetu, słysząc za sobą stuki i brzeki, i rzucił się na fotel tak gwałtownie, że odłamał kolko. Pokwitowanie było paskudnym zagraniem. Był z niego dumny.

Na biurku, na niewielkiej podstawce, która specjalnie w tym celu zrobiła Sybil, leżała jego oficjalna urzędowa palka. Miała ten sam rozmiar co zwyczajna policyjna, tyle że wykonano ją z palisandru i srebra zamiast z gwajakowca albo debu. Zachowała jednak odpowiedni ciężar. Dostateczny, by słowa "Obronca Krola Attribut" odbiły się tyłem do przodu na krasnoludziej czaszce.

Krasnoludy weszły do gabinetu. Wyglądały na trochę mniej ciężkie.

Wystarczy jedno słowo, myślał Vimes, gdy burzył się w nim kwas. Jedno nieszczęsne słowo. No, dalej! Choćby niewłaściwy oddech!

–No więc dobrze. W czym moglbym panom pomoc? – zapytał.

–Um... Jestem pewien, że zna pan nas wszystkich – zaczął Pors, próbując się usmiechnąć.

–Prawdopodobnie. Krasnolud obok pana to Grabpot Gromowydech, który właśnie wypuścił Sekrety Damy, nowa linie perfum i kosmetyków. Moja żona używa ich regularnie.

Gromowydech – w tradycyjnej kolczudze, trojrogim helmie i z ogromnym toporem

bojowym na plecach – z zaklopotaniem kiwnął głową. Vimes przesunął spojrzenie dalej.

–A pan to Setha Staloskorka, właściciel sieci piekarni o tej właśnie nazwie. Pan zaś to z pewnością Swidro Swidro, właściciel dwóch popularnych krasnoludzkich delikatesów oraz nowo otwartego Jo, Szczur! na ulicy Antycznej Pszczoły.

Zmierzył wzrokiem zebranych, jednego po drugim, aż wrócił do pierwszego rzędu i krasnoluda w skromnej – jak na krasnoluda – odzieży, który przyglądał mu się uważnie. Vimes miał niezłą pamięć do twarzy i te z pewnością widział całkiem niedawno, chociaż nie potrafił jej umiejscowić. Może kryła się za celnie rzuconą połowką cegły...

–Pana chyba nie znam – stwierdził.

–Och, nie byliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, komendancie – odparł grzecznie krasnolud. – Ale bardzo się interesuje teoria gier.

...albo w Akademii Lupsa u pana Blyska, zastanawiał się Vimes. Głos krasnoluda brzmiał tak jak ten, który – musiał to przyznać – okazał się dyplomatycznie pomocny na dole. Krasnolud miał na sobie prosty okrągły hełm, prosta skorzana kurta z narzuconą standardową kolczugą, a brode nosił przystrzyżoną do czegoś bardziej uładzonego niż typowy efekt "krzak jałowca". W porównaniu z innymi krasnoludami wyglądał... gładko. Vimes nie dostrzegł nawet topora.

–Doprawdy? – zapytał. – Ja właściwie nie grywam. A jak pańskie nazwisko?

–Niesmiał Niesmiałsson, komendancie. Grag Niesmiałsson.

Vimes bez słowa sięgnął po palke i obrócił ją w palcach.

–Nie w podziemiach? – zapytał.

–Niektórzy z nas idą z postępem. Niektórzy z nas uważają, że ciemność to nie głębokość, ale stan umysłu.

–To miło z pańskiej strony – pochwalił go Vimes.

Czyli teraz jesteśmy przyjazni i postępowi, tak? A gdzie był wczoraj? Tylko że teraz to ja mam wszystkie asy. Ci dranie zamordowali cztery miejskie krasnoludy! Wdarli się do mojego domu, próbowali zabić moją żonę! A teraz wzięli nogi za pas! Ale dokadkolwiek uciekli, ja ich załatwię.

Odłożył palke na podstawkę.

–Co moze dla was zrobic... panowie?

Mial uczucie, ze wszyscy zwracaja sie – fizycznie albo w myslach – do Niesmialssona. Rozumiem, pomyslal. Mamy tutaj tuzin malpek i jednego kataryniarza...

–Co my mozemy dla pana zrobic, komendancie? – zapytal grag.

Vimes patrzyl na niego nieruchomo.

Mogliście ich powstrzymać – tak moglibyście mi pomóc. I nie gapcie się teraz ponuro. Może nie powiedzieliście "tak", ale pewnie jak demony, że nie powiedzieliście też "nie!", w każdym razie nie dość głośno. Nic wam nie jestem winien, zupełnie nic. Więc nie przychodźcie do mnie po rozgrzeszenie.

–W tej chwili? Moglibyście wyjść na ulicę, podejść do największego trolla w polu widzenia i serdecznie uściskać mu dłoń. Albo po prostu wyjść na ulicę. Prawde mówiąc, panowie, jestem raczej zajęty, a wyciągi konne to nie czas, żeby naprawiać bariery.

–Kierują się w stronę gór – powiedział Niesmialsson. – Omina z daleka Uberwald i Lancre. Nie są pewni, czy spotkają tam przyjaciół. To znaczy, że muszą wybrać drogę przez Llamedos. Jest tam wiele jaskin.

Vimes wzruszył ramionami.

–Widzimy, że jest pan zdenerwowany, panie Vimes – odezwał się Wrecemocny. – Ale my...

–Mam w kostnicy dwóch martwych zamachowców – przerwał mu Vimes. – Jeden umarł od trucizny. Co wiecie na ten temat? I jestem komendantem Vimesem, bardzo dziękuję.

–Mówi się, że zanim rusza na ważną misję, przyjmują wolno działającą truciznę – oświadczył Niesmialsson.

–Nie ma odwrotu, co? To ciekawe. Ale w tej chwili bardziej interesują mnie żywi. – Vimes wstał. – Muszę się zobaczyć z aresztowanym krasnoludem, który nie chce ze mną rozmawiać.

–A tak. To pewnie Helmutluk – domyślił się Niesmialsson. – Urodził się tutaj, komendancie, ale ponad trzy miesiące temu wyjechał studiować w górach, wbrew życzeniom rodziców. Jestem pewien, że nie chciał, by coś takiego się wydarzyło. Próbował odnaleźć siebie.

–No to może zacząć szukać w celi – burknął Vimes.

–Czy mogę być obecny podczas przesłuchania? – spytał grag.

–Po co?

–No, na przykład może to powstrzymać plotki, że był źle traktowany.

–Albo je zapoczątkować?

Kto pilnuje strażników, zapytał sam siebie Vimes. Ja!

Niesmialsson spojrzał na niego chłodno.

–Mogłbym... załagodzić sytuację, komendancie.

–Nie mam zwyczaju bić więźniów, jeśli coś takiego pan sugeruje...

–I jestem pewien, że nie chciałby pan zacząć dzisiaj.

Vimes otwierał już usta, by wyrzucić graga z budynku, ale milczał. Bo ten bezczelny mały łobuz trafił w punkt. Od chwili, kiedy wyjechali z domu, Vimes był blisko wybuchu. Czuł mrowienie skóry, ucisk w żołądku, ostry, paskudny ból głowy... Ktoś powinien zapłacić za to... za tę wszystkość, ale przecież to nie musi być taki pomyłony trzecioplanowy aktorzyzna jak Helmutluk.

Kiedy wymierzana jest sprawiedliwość, musi być widziana, więc dopilnuje, żeby została wymierzona jak należy.

–Panowie – rzekł, nie spuszczać wzroku z graga, ale zwracając się do wszystkich.

– Znam was i wy mnie znacie. Jesteście szanowanymi krasnoludami, inwestującymi w tym mieście. Chce, byście poręczyli za graga Niesmialssona, ponieważ spotykam go po raz pierwszy w życiu. Proszę, Setha. Znamy się od lat. Co powiesz?

–Zabili mojego syna – oznajmił Stalorskorka.

Jakby noż wpadł Vimesowi do głowy. Zsunął się wzdłuż tchawicy, przebił serce, rozpruł żołądek i zniknął. Tam, gdzie była wściekłość, pozostał chłód.

–Przykro mi, komendancie – rzekł cicho Niesmialsson. – To prawda. Nie sadzę, żeby Gunder Stalorskorka interesował się polityką, rozumie pan. Zaczął pracować w kopalni, ponieważ chciał się poczuć jak prawdziwy krasnolud i przez kilka dni popracować łopata.

–Zostawili go w błocie – powiedział Stalorskorka głosem dziwnie wypranym z emocji.

– Udzielimy każdej pomocy, jakiej pan potrzebuje. Każdej. Ale kiedy pan ich znajdzie,

niech pan zabije wszystkich.

Vimes nie wiedzial, co moglby powiedziec procz:

–Zlapiemy ich.

Nie powiedzial: Zabic ich? Nie. Nie, jesli sie poddadza, jesli nie przyjda do mnie uzbrojeni. Wiem, dokad to prowadzi.

–W takim razie odejdziemy i pozwolimy panu spokojnie pracowac – oswiadczyl Wrecemocny. – Grag Niesmialsson istotnie jest nam znany. Moze troche zbyt nowoczesny. Troche za mlody. Nie taki grag, do jakich bylismy przyzwyczajeni, ale... Tak, mozemy za niego reczyc. Dobrej nocy, komendancie.

Wychodzili kolejno, a Vimes wpatrywal sie w blat biurka. Kiedy uniosl glowe, grag nadal stal przed nim z cierpliwym usmiechem na twarzy.

–Nie wyglada pan na graga. Wyglada pan jak zwyczajny krasnolud – uznal Vimes. – Czemu nigdy o panu nie slyszalem?

–Bo jest pan policjantem, moze? – odpowiedzial lagodnie Niesmialsson.

–No dobra, przyznaje, ze to jest jakis powod. Ale nie jest pan glebinowcem?

Niesmialsson wzruszyl ramionami.

–Potrafie myslec glebokie mysli. Urodzilem sie tutaj, komendancie, tak jak Helmutluk. Nie wierze, bym musial miec gore nad glowa, zeby byc krasnoludem.

Vimes kiwnal glowa. Miejscowy chlopak, nie jakis madrala z gor. I bystry. Nic dziwnego, ze przywodcy krasnoludow go lubia...

–No dobrze, panie Niesmialsson, moze pan pojsc ze mna – oswiadczyl. – Ale pod dwoma warunkami, zgoda? Pierwszy: ma pan piec minut, zeby zdobyc zestaw do gry w lupsa. Mysle, ze da pan rade.

–Ja tez tak sadze. – Krasnolud usmiechnal sie lekko. – A ten drugi warunek?

–Ile czasu zajmie panu nauczzenie mnie tej gry?

–Pana? Nigdy pan nie gral?

–Nie. Pewien troll pokazal mi lupsa niedawno, ale ja, odkad doroslem, nie galem w zadne gry. Chociaz jako dzieciak bylem calkiem niezly we wlane szczury*.

–Mysle, ze kilka godzin powinno... – zaczal Niesmialsson.

–Nie mamy tyle czasu – przerwal mu Vimes. – Daje panu dziesięć minut.

Impreza zaczęła się Pod Kubłem przy Błyskotnej – w pubie dla glin. Właściciel, pan Cheese, rozumiał gliniarzy. Lubili pić w miejscach, gdzie nie widzieli niczego, co by im przypominało, że są gliniarzami. Nie zachęcał do zabawy.

Plova zaproponowała, żeby się przenieśli do Dzięki Bogom Otwarte.

Angua nie była w nastroju, ale nie miała serca odmówić. Oczywisty fakt był taki, że Plova miała ciało, za które każda kobieta powinna ją nienawidzić, a żeby dopełnić tej obrazę, okazała się też bardzo sympatyczna. To dlatego, że miała poczucie własnej wartości mniej więcej takie jak gasienica oraz – co człowiek odkrywał po krótkiej z nią rozmowie – mniej więcej tyle samo mózgu. Może jakos się to równowazyło, może jakieś dobrotliwe bóstwo powiedziało jej: "Przykro mi, mała, będziesz tupe jak beczka smalcu, ale dobra wiadomość jest taka, że to nie będzie miało znaczenia".

Miała też żoladek z żelaza. Angua się zastanawiała, ilu pełnych nadziei mężczyzn zginęło, próbując ją upić tak, by spadła pod stół. Alkohol jakby w ogóle nie uderzał jej do głowy. Może nie mógł jej znaleźć. Ale stanowiła miłą, niekrepującą towarzystwo, pod warunkiem że człowiek unikał aluzji, ironii, sarkazmu, ripost, satyry i słów dłuższych niż "kurczak".

Angua była rozdrażniona, ponieważ marzyła o piwie, a młody człowiek za barem uważał, że "kufel winkles" to nazwa koktajlu. Biorąc pod uwagę, jakie oferowali tu drinki, pewnie trudno się dziwić.

–Co to jest... – Angua przeglądała kartę – Szalency Orgazm?

–Oj, dziewczyno – westchnęła Sally. – Wygląda na to, że spotkaliśmy się w samej porze.

–Nie – mruknęła Angua, gdy pozostałe się rozesmiały. To była taka wampirza odpowiedź... – Chodziło mi o to, z czego jest zrobiony.

–Almonte, wahlulu, whiskey cream Bearhuggera i wódka – odparła Plova, która znalazła chyba przepis na każdy koktajl, jaki kiedykolwiek powstał.

–I jak to działa? – spytała Cudo, wyciągając szyję, by wyjrzec zza baru.

Sally zamówiła cztery, po czym wróciła się do Plovej:

–No więc... Ty i Nobby Nobbs, co? Jak to jest?

Trzy pary uszu zastrzygły.

Inna rzecz, do której człowiek się przyzwyczajał w obecności Plovej, to cisza. Gdziekolwiek poszła, milkły rozmowy. Aha, i jeszcze spojrzenia. Milczące spojrzenia. Tylko czasami gdzieś w cieniu – westchnienie. Same boginie byłyby gotowe zabić, by wyglądać jak Plova.

–Jest miły – powiedziała. – Rozsmiesza mnie i trzyma ręce przy sobie.

Trzy twarze znieruchomiały w wyrazie koncentracji. O Nobbym mowa?! Tak wielu pytań na pewno nie zadadza...

–Pokazał ci sztuczki, które robi ze swoimi pryszczami? – spytała Angua.

–Tak. Myślałam, że się posiusiam! Jest taki zabawny!

Angua wpatrzyła się w swojego drinka. Cudo zakaszlała. Sally studiowała kartę.

–Można na nim polegać – powiedziała Plova. I jakby niejasno zdając sobie sprawę z faktu, że to nie wystarczy, dodała ze smutkiem: – Jeśli już musicie wiedzieć, to pierwszy chłopak, który mnie gdzieś zaprosił.

Sally i Angua odetchnęły razem. Coś zaczęło im świtać. Czyli na tym polega problem... I to naprawdę fatalny przypadek.

–To znaczy, włosy wszędzie mi wleza, mam za długie nogi i wiem, że moje lono jest za... – mówiła dalej Plova, ale Sally przerwała jej, unosząc dłoń.

–Przede wszystkim, Plova...

–Naprawdę mam na imię Betty. – Plova wytarła nos tak cudownie, że największy rzeźbiarz świata popłakałby się, gdyby mógł go wyrzeźbić. Brzmiało to "blort!".

–A więc przede wszystkim... Betty – powtórzyła Sally -...żadna kobieta poniżej czterdziestu pięciu lat...

–...piecdziesięciu... – poprawiła ją Angua.

–Słusznie, piecdziesięciu. Żadna kobieta poniżej piecdziesięciu lat nie użyje słowa "lono", by określić cokolwiek związanego ze sobą. Tak się po prostu nie mówi.

–Nie wiedziałam – zaszlochala Plova.

–To fakt – zgodziła się Angua.

Ojej, jak zacząć wyjaśniać, na czym polega syndrom palanta? Komus takiemu jak

Plova, do której imię Betty pasowało jak wół do karety? To nie był przypadek syndromu palanta, to był sam syndrom, jego kwintesencja, klasyczny, czysty platoński przykład, który należało wypchac, oprawic i zachowac jako pomoc naukowa dla studentów na przyszłe wieki. A ona była szczęśliwa z Nobby!

–Musze ci teraz powiedziec... – zaczęła i wycofała się przed tym niemożliwym zadaniem. – Chodzi o to... Słuchajcie, może jeszcze się czegoś napijemy? Jaki jest następny koktajl na liście?

Cudo zerknęła w kartę.

–Wielki, Różowy i Drzazgi – przeczytała. – Klasa! Weźmiemy cztery!

Fred Colon zajrzał przez kratę. Trzeba przyznać, że był niezłym dozorcą: zawsze miał przygotowaną gorącą herbatę, na ogół był przyjaźnie nastawiony do większości ludzi, a przy tym zbyt powolny, by łatwo dać się oszukać. Klucze do cel trzymał w blaszanym pudełku w dolnej szufladzie swojego biurka, całkowicie poza zasięgiem dowolnego kija, reki, psa, zrezygnowanego paska albo wytresowanego malpiego pajaka z Klatchu*.

Ten krasnolud trochę go niepokoił. Różni siedzieli tu w areszcie, często nawet trochę wrzeszczeli, ale z tym tutaj nie wiedział, co gorsze – szloch czy milczenie. Postawił świecę na stoliku przy krześle, ponieważ krasnolud zaczynał się niepokojąco zachowywać, jeśli nie miał dostatecznego światła.

W zadumie pomieszał herbatę i podał kubek Nobby'emu.

–Moim zdaniem mamy tu jakiegoś dziwoląga – stwierdził. – Krasnolud, który się boi ciemności? Musi mieć coś poprzestawiane w głowie. Nie dotknął nawet herbaty i kanapki. Co o tym myślisz?

–Myślę, że zjem jego kanapkę. – Nobby sięgnął do talerza.

–A w ogóle to skąd się tu wzięła? – zdziwił się Fred. – Jestem zdumiony, że nie gapisz się na młode kobiety.

–Plova dzisiaj pije z dziewczętami – wyjaśnił Nobby.

–Ach, powinieneś ją ostrzec. Sam wiesz, co się dzieje w centrum, kiedy ludzie wychodzą z pubów i klubów. Wymioty, wrzaski, zachowanie nieuchodzące damom, ściąganie gorsetów i sam nie wiem co jeszcze. To się nazywa... – poskrobał się po głowie -...picie na pomor.

–Poszła tylko z Angua, Sally i Cudo, sierzancie. – Nobby wziął druga kanapkę.

–Ojoj, Nobby, lepiej uważaj. Kobiety, które zbierają się przeciw mężczyznom... – Fred zastanowił się. – Wampir i wilkolak na tej imprezie? Posłuchaj mojej rady, chłopcze, i nie wychodź wieczorem na ulicę. A jeśli zaczną się zachowywać...

Urwał, bo od spiralnych kamiennych schodów dobiegł głos Sama Vimesa, za którym podążał jego właściciel.

–Czyli nie mogę dopuścić, żeby uformowały blok, tak?

–Tak, jeśli gra pan trollami – odpowiedział ktoś. – Zwarta grupa krasnoludów to zła wieść dla trolli.

–Trolle pchają, krasnoludy rzucają.

–Zgadza się.

–I skala centralna... Nikt nie może jej przeskoczyć, tak?

–Tak.

–Nadal uważam, że krasnoludy mogą zrobić, co chcą.

–Zobaczymy. Najważniejsze to...

Vimes zatrzymał się, gdy zobaczył Nobby'ego i Colona.

–W porządku, chłopcy. Porozmawiam z więźniem. Co z nim?

Fred wskazał narozna cele, gdzie na wąskiej pryczy siedziała przygarbiona postać.

–Kapitan Marchewa próbował z nim gadać prawie pół godziny, a wie pan, że ma podejście do ludzi. Ale z tego tutaj nie wyciągnął ani jednego zdania. Odczytałem mu jego prawa, ale proszę nie pytać, czy cokolwiek zrozumiał. W każdym razie nie chciał herbaty ani kanapki. To prawa 5 i 5b – dodał, mierzac wzrokiem Niesmialssona. – Prawo 5c przysługuje mu tylko wtedy, kiedy mamy mieszankę herbatnikowa.

–Może chodzić? – spytał Vimes.

–Tak jakby szura nogami, sir.

–No to wyprowadź go – polecił Vimes. A widząc, jak Fred obserwuje Niesmialssona, dodał jeszcze: – Ten dżentelmen jest tutaj, by się upewnić, że nie użyjemy gumowej pałki.

–Nie wiedziałem, że mamy gumowa, panie Vimes – zdziwił się Fred.

–Nie mamy. Po co bic czymś, co odskakuje?

Spojrzał na Niesmialssona, który uśmiechnął się znowu tym swoim dziwnym uśmiechem.

Na stole paliła się świeca. Z jakiegoś powodu Fred uznał za stosowne drugą postawić na stolku przy jedynej zajętej celi.

–Trochę tu ciemno, Fred – zauważył Vimes, odsuwając zwalony kubek i starych azet pokrywające prawie cały blat.

–Tak, sir. Krasnoludy przyszły i zwinęły nam świecę, żeby ją postawić dookoła tego pogan... tego paskudnego znaku – wyjaśnił Fred, zerkając nerwowo na Niesmialssona. – Przepraszam, sir.

–Nie rozumiem, czemu nie możemy go zwyczajnie spalić – mruzczał Vimes, rozkładając lupsowa plansze.

–Teraz, kiedy Przyzywająca Ciemność jest na świecie, byłoby to niebezpieczne – rzekł Niesmialsson.

–Wierzy pan w to wszystko?

–Czy wierze? Nie – zapewnił grag. – Ja wiem, że ona istnieje. Figury trolli stawia się dookoła centralnego kamienia – odpowiedział.

Rozstawienie małych wojowników na planszy zajęło trochę czasu, podobnie też doprowadzenie Helmutluka. Fred Colon sterował nim, delikatnie trzymając za ramię, a krasnolud szedł jak ktoś pogrążony we śnie. Oczy miał wywrocone, widac było same białka. Żelaznymi butami drapał kamienną podłogę.

Fred usadził go ostrożnie na stolku i postawił przy nim drugą świecę. Niemal magicznie krasnolud skupił wzrok na kamiennych armiach, z wykluczeniem wszystkiego innego w areszcie.

–Zagramy, panie Helmutluk – oznajmił cichym głosem Vimes. – Może pan wybrać stronę.

Helmutluk wyciągnął drżącą rękę i dotknął figury trolla... Krasnolud wołał grac trollami. Vimes spojrzał pytająco na stojącego z tyłu Niesmialssona i uzyskał w odpowiedzi kolejny uśmiech.

No dobra, mamy dużo tych małych drani w formacji obronnej, tak? Vimes zawiesił

na chwile dlon nad plansza, po czym przesunal krasnoluda na drugi koniec. Stuknieciu, kiedy go stawial, natychmiast odpowiedzialo echo nastepnego, kiedy Helmutluk przestawil trolla. Krasnolud wydawal sie senny, ale jego reka poruszala sie z szybkościa kobry.

–Kto zabil czterech krasnoludow w kopalni, panie Helmutluk? – zapytal Vimes cicho. – Kto zabil chlopcow z miasta?

Zamglone oczy spojrzaly na niego, a potem znacząco na plansze. Vimes przesunal pierwszego z brzegu krasnoluda.

–Czarni zolnierze – szepnal Helmutluk, gdy maly troll wyladowal ze stukiem.

–Na czyj rozkaz?

Znowu to spojrzenie, znowu ruch przypadkowego krasnoluda, a po nim ruch trolla tak szybki, ze zdawalo sie, iz stuknely o plansze rownoczesnie.

–Na rozkaz graga Combergniota.

–Dlaczego?

Klik/klik.

–Slyszeli, jak to mowi.

–Szescian?

Klik/klik.

–Tak. Zostal wykopany. Mowil, ze przemawia glosem B'hriana Krwawego Topora.

Vimes uslyszal, jak Niesmialsson nabiera tchu. Pochwycil spojrzenie Freda. Skinal glowa w strone drzwi aresztu i bezglosnie uformowal wargami kilka slow.

–Czy to ten slawny krol krasnoludow? – zapytal na glos.

Klik/klik.

–Tak. Dowodzil krasnoludami w dolinie Koom – odparl Helmutluk.

–I co powiedzial? – spytal Vimes.

Klik/klik. Trzecie klikniecie zabrzmialo z tylu, kiedy Fred Colon zaryglowal drzwi i stanal przed nimi z niewzruszona mina.

–Nie wiem. Twardziec mowil, ze opowiadal o bitwie. Mowil, ze to byly klamstwa.

–Kto zabil graga Combergniota?

Klik/klik.

–Nie wiem. Twardziec wezwal mnie na spotkanie i powiedzial, ze wybuchla straszliwa bitwa miedzy gragami, jeden z nich zabil w ciemnosciach graga Combergniota mlotkiem gornicznym, ale nikt nie wie kto. Wszyscy szamotali sie razem.

Wszyscy tak samo ubrani, myslal Vimes. Tylko sylwetki, jesli nie mozna obejrzec ich przegubow...

–Dlaczego chcieli go zabic?

Klik/klik.

–Musieli go powstrzymac przed zniszczeniem stow! Krzyczal i walil w szescian mlotkiem!

–Szescian... ma czule miejsce i jesli dotknie sie ich w niewlasciwej kolejnosci, caly dzwiek moze zniknac – szepnal Niesmialsson.

Vimes obejrzal sie na niego.

–Mlotek pewnie zalatwi sprawe niezaleznie od tego, w co trafi – stwierdzil.

–Nie, komendancie. Mechanizmy sa bardzo wytrzymale.

–Musza byc! – rzekl Helmutluk.

Vimes zwrocil sie do planszy.

–Niesluszne jest niszczenie klamstw, ale nie szkodzi, jesli sie zabija gornikow? – zapytal.

Klik.

Uslyszal westchnienie Niesmialssona. No fakt, moze daloby sie to lepiej wyrazic.

Ruch na planszy nie nastapil. Helmutluk zwiesil glowe.

–Zle jest zabijac gornikow – szepnal. – I czemu nie niszczyz klamstw? Ale niedobrze jest myslec takie mysli, wiec ja... milczalem. Starzy gragowie byli zagniewani i zagubieni, wiec Twardziec przejal dowodztwo. Powiedzial, ze jeden krasnolud zabil

drugiego pod ziemia, a wiec jest oczywiste, ze to nie sprawa dla ludzi. Powiedzial, ze on to zalatwi. Powiedzial, ze wszyscy musza go sluchac. Polecil czarnym straznikom przeniesc ciało do nowej, zewnetrznej komory. I... i kazal mi przynieśc moja maczuga...

Vimes zerknal na Niesmialssona i bezglosnie wymowil slowo "maczuga?". Odpowiedzia bylo energiczne kiwniecie glowa.

Helmutluk siedzial przygarbiony i milczacy. Po chwili wyciagnal reke i przesunal trolla. Klik.

Klik/klik. Klik/klik. Klik/klik. Vimes staral sie wydzielic na gre kilka komorek mozgu, gdy tymczasem reszta umyslu usilowala jakos poskladac te przypadkowe informacje, jakimi zasypywal go Helmutluk.

Czyli... wszystko zaczelo sie wtedy, kiedy zjawili sie tu w poszukiwaniu magicznego szescianu, ktory umie mowic...

–Czemu przybyli do miasta? Skad wiedzieli, ze szescian jest tutaj?

Klik/klik.

–Kiedy ruszyłem tam, by zacząć naukę, zabrałem ze sobą Kodeks. Twardziec go skonfiskował, ale potem wezwali mnie na spotkanie, powiedzieli, że to bardzo ważne i że uczynia mi zaszczyt, pozwalając iść ze sobą do miasta. Twardziec tłumaczył, że to wspaniała okazja i że grag Combergniot ma misję.

–Nie wiedzieli o obrazie?

–Zyli pod górą. Wierza, że ludzie nie są rzeczywiscy. Ale Twardziec jest sprytny. Według niego od dawna już opowiadano, że coś wyszło z doliny Koom.

Założe się, że jest sprytny, myślał Vimes. No wiec zjawiają się tutaj, zajmują lekka robota duszpasterska i podzeganiem, no i szukaniem szescianu w bardzo krasnoludzym stylu. Znajdują go. Biedacy, którzy kopali, słyszą, co szescian ma do powiedzenia. A każdy wie, że krasnoludy plotkują, wiec czarni straznicy dopilnowują, żeby ta czwórka nie miała takiej szansy.

Klik/klik. Klik/klik.

Potem naszemu przyjacielowi Combergniotowi też się nie podoba to, co usłyszał. Chce zniszczyć szescian. W ciemności następuje szamotanina. Któryś z gragów wyswiadcza światu przysługę i wali Combergniota w makówkę. Ale, och nie, to duży błąd, bo motloch będzie tęsknił za nim i jego wesolymi zachećkami do hurtowej rzezi trolli. Wiadomo, jak krasnoludy plotkują, a przeciez nie można pozabijać wszystkich.

No wiec poki jestesmy tylko my w ciemnosci, musimy wymyslic jakis plan. Wystepuje pan Twardziec, ktory mowi: "Ja wiem! Wyniesiemy zwloki do tunelu, do ktorego troll moglby sie dostac i rozbic mu czaszke maczuga". Troll to zrobil. Jaki rozsadnie myslacy krasnolud moglby uwierzyc w cokolwiek innego?

Klik/klik.

–Po co swiece? – spytal Vimes. – Kiedy ich spotkalem, starzy gragowie siedzieli w ostrym blasku swiec!

Klik/klik.

–To na ich rozkaz – szepnal Helmutluk. – Bali sie, co moze przyjsc po nich w ciemnosci.

–A co takiego mogloby przyjsc?

Klik...

Dlon Helmutluka znieruchomiala w powietrzu. Przez kilka sekund w niewielkim kregu zoltego swiatla nie poruszalo sie nic procz samych plomieni; w ciemnosci poza nimi cienie wyciagaly szyje, by lepiej slyszec.

–Ja... nie moze powiedziec – szepnal krasnolud.

Klik... Klik/klik... klik... klik.

Vimes spojrzal na plansze. Skad sie tu wzial ten troll? Helmutluk w jednym ruchu usunal z gry trzy krasnoludy!

–Twardziec powiedzial, ze zawsze jest jakis troll. Troll dostal sie do kopalni – mowil Helmutluk. – Gragowie powiedzieli, ze tak musialo byc.

–Ale znali prawde?

Klik/klik... klik... klik. Kolejne trzy krasnoludy stracone, ot tak...

–Prawda jest tym, co grag uzna za prawde. Swiat pod sloncem to i tak tylko zly sen. Twardziec zabronil o tym mowic. Mnie kazal powiedziec straznikom... o trollu.

Zrzucic wine na trolla, myslal Vimes. Dla krasnoluda to calkiem naturalne. Wielki troll to zrobil, a potem uciekl.

To nie dzdzownice sie tak wija, to przeklete gniazdo zmij!

Patrzyl na plansze. Niech to demon, trafilem na slepy mur. Co wlasciwie mi zostalo?

Cegla widzial, jak krasnolud tlucze innego krasnoluda, ale to nie bylo morderstwo – to byl Twardziec lub ktos inny nadajacy zwlokom Combergniota wyglad ofiary trolla. I wcale nie jestem pewien, czy to powazne przestepstwo. Morderstwo zostalo dokonane w ciemnosci, przez jednego z szesciu krasnoludow, a pozostala piatka moze nawet nie wiedziec, kto je popelnil. No dobrze, powiem moze, ze spiskowali w celu ukrycia przestepstwa, ale... chwileczke...

–Ale to nie Twardziec zabronil zawiadamiania strazy – powiedzial. – To pan, prawda? Chcial pan, zebym sie rozzloscil, panie Helmutluk?

Przesunal krasnoluda. Klik!

Helmutluk spuscil wzrok.

Poniewaz odpowiedz nie padala, Vimes przechwycil wedrownego trolla i zdjal z planszy.

–Nie wierzyłem, że pan przyjdzie... – Głos Helmutluka był ledwie słyszalny. – Combergniot był... myśle... ja nie... Twardziec powiedział, że nie będzie się pan przejmował, bo grag stanowił zagrożenie. Powiedział, że to grag rozkazał zabić tych gorników, więc teraz sprawa jest zakończona. Ale ja pomyślałem, że... tak nie można. Ze to niedobrze! Słyszałem, że jest pan pełen dumy, więc chciałem pana... zainteresować... On...

–Myslał pan, że sam się nie zainteresuje? Troll oskarżony o zamordowanie krasnoluda, w takiej chwili, a ja się nie zainteresuje?

–Twardziec mówił, że nie, bo ludzie nie są zamieszani. Mówił, że pan nie dba o to, co się zdarza krasnoludom.

–Powinien częściej wychodzić na powietrze!

Helmutlukowi ciekło już z nosa i oczu; krople kapaly na plansze. Deszcz powstrzymał bitwę, pomyślał Vimes. Krasnolud zapłakał.

–Te maczugi dał mi troll, pan Blysk, za wygranie pięciu partii z rzędu! – szlochał. – Był moim przyjacielem! Powiedział, że jestem taki dobry jako troll, że powinienem mieć maczugi! Tłumaczyłem Twardzcowi, że to wojenne trofeum! Ale on mi ja zabrał i walil w tego biednego trupa!

Woda ścieka na kamień, myślał Vimes. I wszystko zależy od tego, gdzie upadnie kropla. Prawda, panie Blysk? Co dobrego przyniosło to temu biedakowi? Miał nieodpowiednia pracę; nie mógł sobie pozwolić na waplivości.

–No coż, panie Helmutluk, bardzo panu dziękuje. – Wyprostował się. – Mam jeszcze

tylko jedno pytanie. Czy wie pan, kto poslal krasnoludy do mojego domu?

–Jakie krasnoludy?

Vimes spojrzal w zaplakane, zaczerwienione oczy. Albo ich wlasciciel mowil prawde, albo swiat sceny przeoczyl wybitny talent.

–Przybyli, by napasc na mnie i moja rodzine.

–Ja... slyszalem, jak Twardziec rozmawia z kapitanem straznikow – wymamrotal Helmutluk. – Cos o... ostrzezeniu.

–Ostrzezenie? To pan nazywa... – zaczal Vimes i urwal, gdy zauwazyl, jak Niesmialsson kreci glowa. Sluszenie, sluszenie. Nie warto czepiac sie tego biedaka, i tak ledwie sie trzyma.

–Sa teraz bardzo wystraszeni – ciagnal Helmutluk. – Nie rozumieja miasta. Nie rozumieja, dlaczego wpuszcza sie tutaj trolle. Nie rozumieja ludzi, ktorzy ich nie... rozumieja. Boja sie pana. Teraz boja sie juz wszystkiego.

–Dokad uciekli?

–Nie wiem. Twardziec powiedzial, ze i tak by wyjechali, bo maja juz szescian i obraz. Powiedzial, ze obraz pokaze, gdzie sa kolejne klamstwa, by mozna bylo je zniszczyc. Ale najbardziej boja sie Przyzywajacej Ciemnosci, komendancie. Czuja, ze przybywa po nich.

–To tylko rysunek – odparl Vimes. – Nie wierze w to.

–Ja wierze – oswiadczył spokojnie Helmutluk. – Jest w tym pomieszczeniu. Skad sie tu wziela? Przybywa w ciemnosci, w zemscie i w przebraniu.

Vimes poczul dreszcz. Nobby rozejrzal sie po ponurych kamiennych scianach. Niesmialsson siedzial sztywno wyprostowany. Nawet Fred Colon nerwowo przestepowal z nogi na noge.

To tylko mistyczne bajki, tłumaczyl sobie Vimes. I nawet nie ludzkie mistyczne bajki. Nie wierze w nie. Tylko dlaczego nagle zrobilo sie tu chlodniej?

Odchrzaknal.

–Kiedy sie juz zorientuje, ze odeszli, zapewne wyruszy za nimi.

–Przyjdzie tez po mnie – rzekl Helmutluk tym samym spokojnym tonem. Zalozył rece na piersi.

–Po pana? Nikogo pan nie zabil!

–Nie rozumie pan! Oni... oni... Kiedy zabili gornikow, jeden nie byl jeszcze calkiem martwy i... i... i slyszelismy, jak tlucze piesciami o drzwi, a ja stalem w tunelu i pragnalem, zeby umarl, zeby ustal ten halas, ale... ale kiedy juz ucichl, dalej rozbrzmiewal mi w uszach, bo ja moglem, moglem, moglem przekrecic kolo, ale balem sie czarnych straznikow, ktorzy nie maja dusz, i dlatego teraz ciemnosc zabierze moja...

Umilkl.

Nobby zakaszlal nerwowo.

–No coz, dziekuje raz jeszcze – rzekl Vimes.

Wielkie nieba, alez pomieszali w glowie temu biedakowi! A ja nie mam niczego... Moglbym dorwac Twardzca pod zarzutem falszowania dowodow. Nie moze postawic Cegly na miejscu dla swiadkow, bo udowodnie tylko, ze w kopalni byl troll. Mam jedynie tego mlodego Helmutluka, ktory nie jest w stanie zeznawac.

Obejrzal sie na Niesmialssona i wzruszyl ramionami.

–Mysle, ze zatrzymamy naszego przyjaciela jeszcze na te noc, dla jego dobra. Nie wyobrazam sobie, zeby mial dokad pojsc. Oczywiscie, zeznanie jest objete...

Jego glos cichl z wolna. Odwrocil sie znowu i spojrzal badawczo na zalosnego Helmutluka.

–Jaki obraz?

–Obraz bitwy w dolinie Koom, pedzla Methodii Rascala – odparl krasnolud, nie podnoszac glowy. – Jest bardzo wielki. Ukradli go z muzeum.

–Co?! – zawolal Fred Colon, ktory w kacie parzyl herbate. – To oni?

–Jak to? Wiedziales o tym, Fred? – zapytal groznie Vimes.

–My... Tak, panie Vimes, napisalismy raport...

–Dolina Koom! Dolina Koom! Dolina Koom! – ryknal Vimes i uderzyl piescia w stol tak mocno, ze az podskoczyly lichtarze. – Raport?! Do demona, po co komu raport? Czy ja ostatnio mam czas na czytanie raportow? Dlaczego nikt mi o tym nie powie...

Jedna swieca sturlala sie na podloge i zgasla. Juz na krawedzi blatu Vimes probowal zlapac druga, ale wymknela mu sie i knotem w dol wyladowala na kamieniach.

Ciemnosc opadla jak topor.

Helmutluk jeknal. Byl to gleboki, rozdzierajacy jek, jakby smiertelne charczenie z zywych jeszcze ust.

–Nobby! – wrzasnal Vimes. – Zapal natychmiast te piekielna zapalke i to jest piekielny rozkaz!

W ciemnosci rozleglo sie goraczkowe szuranie, a potem glowka zapalki rozjarzyla sie jak supernowa.

–Dawaj ja tutaj, czlowieku! – wolal Vimes. – Zapalaj swiece!

Helmutluk wciaz wpatrywal sie w stol, gdzie to wywolane zloscia uderzenie przewrocilo figury pod koniec gry.

Kiedy zapalily sie plomyki swiec, Vimes zerknal na plansze.

Jesli czlowiek mial sklonnosc do widzenia znakow, moglby uznac, ze krasnoludy i trolle upadly mniej wiecej w kregu wokol centralnego glazu, a kilka dodatkowych krasnoludow przetoczylo sie dalej w jednej linii. Mozna by wrecz powiedziec, ze utworzily kontur okraglego oka. Z ogonem.

Helmutluk westchnal lekko i osunal sie bokiem na podloge. Vimes poderwal sie, by mu pomoc, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie o zasadach. Opanowal sie, odstapil z rekami uniesionymi w gore.

–Panie Niesmialsson... – rzucil. – Ja nie moze go dotknac. Prosze...

Grag skinal glowa i przykleknal obok Helmutluka.

–Nie ma pulsu, serce nie bije – poinformowal po kilku sekundach. – Przykro mi, komendancie.

–Czyli wyglada na to, ze jestem w panskich rekach.

–Istotnie. W rekach krasnoluda. – Grag wstal. – Komendancie Vimes, przysiegne, ze w mojej obecności Helmutluk traktowany byl z szacunkiem i troska. I ze byl pan wobec niego az za bardzo zyczliwy. Nie ma pan jego smierci na sumieniu. Wezwala go Przyzywajaca Ciemnosc. Krasnoludy rozumieja.

–Ale ja nie rozumiem! Dlaczego go zabila? Co ten nieszczesnik zrobil zlego?

–Raczej nalezaloby stwierdzic, iz umarl ze strachu przed Przyzywajaca Ciemnoscia – odparl Niesmialsson. – Zostawil uwiezionego gornika, slyszal w ciemnosci jego krzyki... i nie zrobil nic. Dla wszystkich krasnoludow to straszna zbrodnia.

–Tak straszna jak starcie słowa? – zapytał kwasno Vimes. Był wstrzasniety bardziej, niż miał ochotę przyznac.

–Niektorzy powiedza, że o wiele straszniejsza. Strach i własne sumienie zabily Helmutluka. Calkiem jakby miał w głowie swoja Przyzywajaca Ciemnosc. W pewnym sensie, oczywiscie, wszyscy ja mamy, komendancie. Albo cos podobnego.

–Wasza religia naprawde moze ludziom zaszkodzie.

–To przesadne stwierdzenie, jeśli porownamy z tym, co sami robia sobie nawzajem. – Grag skrzyzował martwemu krasnoludowi rece na piersi. – Zreszta to nie religia, komendancie. Nasz tak spisał Prawa i Świat, a potem odszedł. Nie wymaga, byśmy o Nim mysleli, tylko byśmy mysleli.

Wstal.

–Wyjasnie moim rodakom sytuacje, komendancie. A przy okazji, chcialbym prosic, zeby zabral mnie pan ze soba do doliny Koom.

–Czyzbym jakos zasugerował, że wybieram się do doliny Koom? – zdziwil się Vimes.

–No dobrze – odparł grag spokojnie. – Powiedzmy zatem, że gdyby ogarnęła pana ochota na wycieczke do doliny Koom, zabierze mnie pan? Znam to miejsce. Znam historie. Wiem nawet sporo o znakach gorniczych, zwlaszcza Głównych Ciemnoscach. Moge się przydac.

–I zada pan tego za samo powiedzenie prawdy?

–Oczywiscie nie. J'ds hasfak 'ds'. Czyli pertraktuje bez topora w dłoni. Powiem prawde niezależnie od tego, co pan postanowi. Jednakże skoro nie wybiera się pan do doliny Koom, komendancie, nie bede nalegal. To byla taka przypadkowa mysl.

Zabawa... Po co komu zabawa?

Nie jest to przyjemnosc, radość, rozkosz, wesolosc czy zadowolenie. To plytki, okrutny i zlosliwy maly dran, slowo oznaczajace cos, czego szuka się z para smiesznych czulkow na głowie i napisem "Chce Tego!" na koszulce; zwykle zostawia czlowieka budzacego się z twarza przyklejona do ulicy.

Angua zdobyła jakos purpurowe boa z pior. Nie bylo jej. Nie bylo niczyje. Po prostu sie pojawilo. Jego otchlanna sztuczność ja przygnebiala. Angue bardzo irytowalo, że nie wie, co to takiego.

Skonczyły w Katafalkach, a ona wiedziała, że tak będzie. Był to bar dla nieumarłych, ale tolerował każdego, kto nie był nazbyt normalny. Z pewnością tolerował Plova.

Ta dziewczyna po prostu nie rozumiała, prawda? Nie rozumiała powodów, dla których mężczyźni nigdy jej nie zagadywali. Kłopot polega na tym, myślała Angua, że Nobby nie jest tak naprawdę złym... zła osoba. Jako taka. O ile wiedziała, zawsze był wierny pannie Pushpram, co oznacza, że jeśli chodziło o bicie ryba, a potem obrzucanie małzami, nigdy nie myślał o żadnej innej. Właściwie miał duszę romantyczna, niestety osadzona w czymś, co można nazwać jedynie... Nobbym Nobbsem.

Sally poszła z Plova do damskiej, zawsze szokującej ludzi, którzy wcześniej jej nie widzieli. Angua patrzyła na listę koktajli nad barem, wymalowana, bardzo chwiejnym pismem przez Igora*, który starał się podać z zeitgeistem – albo starał się, gdyby wiedział, co to słowo znaczy – ale zupełnie nie rozumiał subtelności nowoczesnego koktajlbaru, więc wśród proponowanych drinków znalazły się:

CIOŚ CUCHNACOM PIACHOM W ZEMBY

GŁOWA PRZYBITA DO DRZWI

KOPNIAK W ROZKROK

SRUBA SZYJNA

Angua musiała przyznać, że Sruba Szyjna nie jest zła.

–Przepraszam – odezwała się Cudo, kolysząc się na barowym stolku – ale o co chodzi z tą Plova? Widziałam, jak ty i Sally kiwacie do siebie głowami.

–Och, to syndrom palanta. – Angua przypomniała sobie, z kim rozmawia, i dodała: – Krasnoludy pewnie tego nie mają. To znaczy... czasami kobieta jest taka piękna, że każdy mężczyzna, mający chociaż połowę mózgu, nawet nie spróbuje się z nią umówić. Bo to oczywiste, że jest zbyt wspaniała dla niego. Nadasz?

–Chyba tak.

–Taka jest Plova. A dla celów tej ilustracji, Nobby nie ma połowy mózgu. Jest tak przyzwyczajony do kobiet, mowiących mu "nie", kiedy je zaczepia, że nie obawia się odrzucenia. Dlatego zaczepia ją, bo myśli sobie: czemu nie? A ona, która zaczyna już wierzyć, że coś z nią nie w porządku, jest taka wdzieczna, że się zgadza.

–Ale ona go lubi.

–Wiem. W tym miejscu wszystko robi sie dziwne.

–U krasnoludow jest o wiele latwiej – stwierdzila Cudo.

–Tak podejrzewam.

–Ale pewnie nie tak zabawnie – dodala Cudo z wyraznym smutkiem.

Wracala juz Plova. Angua zamowila trzy Sruby Szyjne, a Cudo z nadzieja negocjowala Szalency Orgazm*. Potem, niekiedy z pomoca Sally, Angua wyjasnila Plovej... no... wszystko.

Zajelo to troche czasu. Musiala zmieniac ksztalt zdan, by wpasowaly sie w dostepne aktualnie miejsce w mozgu Plovej. Jednak mocno trzymala sie wiary, ze dziewczyna nie moze byc az tak glupia. Pracowala przeciez w nocnym klubie, prawda?

–No bo jak myslisz, czemu mezczyzni placa, zeby ogladac cie na scenie? – spytala.

–Bo jestem bardzo dobra – odparla natychmiast Plova. – Kiedy mialam dziesiec lat, dostalam nagrode tancerki roku w klasie tanca i stepu panny Deviante.

–Stepowalas? – Sally sie usmiechnela. – A wlasciwie czemu nie probujesz robic tego w czasie wystepu?

Angua zamknela umysl przed wizja stepujacej Plovej. Caly klub pewnie by splonal do golej ziemi.

–Sprobujemy inaczej – zaproponowala. – I mowie ci to jako kobie... osoba plci zenskiej...

Plova sluchala w skupieniu i nawet sposob, w jaki wygladala na zaciekawiona, byl nieuczciwy wobec reszty jej plci. Angua skonczyla i z nadzieja popatrzyła na ten anielski wyraz twarzy.

–Czyli mowisz... – powiedziala Plova – ze chodzenie z Nobbym jest jak wyjście do eleganckiej restauracji i zjedzenie tylko buleczki?

–Otoz to! – ucieszyla sie Angua. – Zalapalas!

–Ale ja sie nigdy nie spotykam z mezczyznami. Babcia mi mowila, ze nie moge sie zachowywac jak ulicznica.

–I uwazasz, ze praca w... – zaczela Angua, ale przerwala jej Sally.

–Czasami trzeba sie przejsc ulica – stwierdzila. – Czy zdarzylo ci sie wejsc czasem

do baru i wypic drinka z mezczyzna?

–Nie.

–Jasne. – Wampirzyca osuszyla swoja szklanke. – Nie smakuja mi te Sruby Szyjne. Chodzmy gdzies i... otworzmy umysl na mozhliosci.

Dziwnie bylo miec Sybil w Pseudopolis Yardzie. Zanim przekazala ten budynek Strazy Miejskiej, byla to jedna z rezydencji Ramkinow. Tutaj Sybil spedzila byla dziewczecze lata. To byl kiedys jej dom.

Pewna swiadomosc tego przesaczyla sie do poobijanych, zbrukanych dusz straznikow. Mezczyzni, ktorzy nie byli znani z elegancji i wykwinnych manier, nagle zaczeli odruchowo wycierac nogi przed wejciem i z szacunkiem zdejmowac helmy.

Mowili tez inaczej: powoli i z wahaniem, nerwowo wyszukujac w zdaniach slow niecenzuralnych, by je wykasowac. Ktos nawet znalazl miotle i pozamiatal, a w kazdym razie przesunal brud w miejsce, gdzie mniej rzucal sie w oczy. Na gorze, w pokoju sluzacym dotad jako kasa, Mlody Sam spal spokojnie w prowizorycznym lozeczku. Pewnego dnia Vimes mu opowie, jak to pilnowalo go czterech trolli. Byli po sluzbie, ale zglosili sie na ochotnika i az swierzbialy ich rece na mysl, ze przyjda krasnoludy. Vimes mial nadzieje, ze na chlopcu robi to wrazenie. W koncu inne dzieci mogly liczyc najwyzej na anioły.

Vimes zajal bufet, poniewaz byl tam odpowiednio duzy stol. Rozlozyl na nim mape miasta. Spora czesc reszty blatu zajmowaly stronice z Kodeksu. Kodeksu doliny Koom.

To nie byla gra, to byla lamiglowka. Rodzaj... tak, rodzaj puzzli. I powinienem byc w stanie ja ulozyc, myslal, bo mam wszystkie rogi.

–Ulica Bulawnikow, aleja Forsolapka, Placzmalą, Dziedziniec Plotki, Jeebies, Blonne Schody – powiedzial – Wszedzie tunele. Mieli szczescie, ze go znalezli po szukaniu w ledwie trzech czy czterech. Pan Rascal zamieszkiwal chyba na co drugiej ulicy w tym rejonie. Takze na Empirycznym Sierpie!

–Alez dlaczego? – zdziwil sie sir Reynold Szyty. – Znaczy, po coz kopali hwszedzie thunele?

–Wytlumaczcie mu, Marchewa. – Vimes wyrysowal linie przez miasto.

–Poniewaz to krasnoludy, sir, a w dodatku glebinowcy – rzekl Marchewa. – Nie przyszloby im do glowy, zeby nie kopac. Zreszta i tak sprowadzalo sie to glownie do

oczyszczenia jakichs zasypanych pokojow. Dla krasnoluda to spacer. Kladli tez szyny, wiec wydobywana ziemie mogli wyrzucac gdziekolwiek.

–No thak, ale z pehwnoscia... – zaczął sir Reynold.

–Nasluchiwali. Szukali czegos, co mowi na dnie starej studni – tłumaczył Vimes, wciaz pochylony nad mapa. – Jaka byla szansa, ze to cos wciaz jest widoczne? A ludzie robia sie troche nerwowi, kiedy gromada krasnoludow zaczyna im kopac dziury w ogrodzie.

–To by sie dzialo bardzo pohwoli, nieprahwdaz...

–No tak, sir. Ale odbywaloby sie w ciemnosci, pod ich kontrola i potajemnie – odparł Marchewa. – Mogli dotrzec wszedzie, gdzie chcieli. Mogli zygzakowac, jesli nie byli pewni, mogli sunac na wprost, jesli tak im wskazala ta rura do sluchania, i wcale nie musieli rozmawiac z ludzmi ani widziec swiatla dnia. Ciemnosc, poczucie wladzy, tajemnica.

–Glebinowcy w skrocie – podsumowal Vimes.

–To bardzo podniecajace – entuzjazmowal sie sir Reynold. – I przekopali sie do pihwnicy w moim muzeum?

–Ty wytlumacz, Fred – rzucil Vimes i wyrysowal na mapie nastepna linie.

–Juz sie robi – zaczął Fred Colon. – Eee... Nobby i ja odkrylismy to dopiero pare godzin temu. – Uznal, ze rozsadniej bedzie nie dodawac: "kiedy pan Vimes na nas nawrzeszczal, kazal opowiedziec wszystko ze szczegolami, a potem wyslal z powrotem i powiedzial, czego szukac". – Byli bardzo sprytni, sir. Nawet zaprawa wygladala na brudna. Zaloze sie, ze mowi pan sobie teraz "Ahah"...

–Mohwie? – zdumial sie sir Reynold. – Normalnie pohwiedzialbym raczej "Hwielkie nieba!".

–Spodziewam sie, ze mowi pan sobie: Aha, ale jak mogli zabudowac sciane, kiedy juz wyniesli muriel. No wiec uwazamy...

–No hwiec hwyobrazam sobie, ze jeden krasnolud zostal z thylu, zrobil shwoje, przyczail sie, jak to hwy mohwicie, i hwywedrowal rankiem – stwierdzil sir Reynold. – Ludzie hwchodzili i hwychodzili przez caly czas. Przeciez szukalismy hwielkiego malohwidla, nie osoby.

–Tak jest, sir. Uwazamy, ze jeden krasnolud zostal z tylu, zrobil swoje, przyczail sie i wywedrowal rankiem. Ludzie wchodzili i wychodzili przez caly czas. Przeciez szukaliscie wielkiego malowidla, nie osoby – wyjasnil Fred Colon.

Był bardzo dumny z tej swojej teorii, więc zamierzał opowiedzieć o niej głośno choćby nie wiem co.

Vimes stuknął palcem w mapę.

–A tutaj, sir Reynoldzie, jest miejsce, gdzie troll Cegła wpadł przez podłogę w jakiejś piwnicy do ich tunelu. Powiedział nam też, że w ich głównej kopalni zauważył coś, co z opisu wygląda na Rascala.

–Ale niestety, nie udało się nam go odzyskać?

–Przykro mi, sir Reynoldzie. Prawdopodobnie już dawno został wywieziony z miasta.

–Dlaczego? – Kustosz nie mógł zrozumieć. – Mogli go w muzeum oglądać do woli! Ostatecznie jesteśmy bardzo interaktywni!

–Interaktywni? – powtórzył Vimes. – Co pan ma na myśli?

–No przecież ludzie mogą... oglądać obrazy, ile tylko chcą – wyjaśnił sir Reynold nieco zirytowany. Ludzie nie powinni zadawać takich pytań.

–A co robią obrazy?

–Ehm... hwisza, komendancie – odparł sir Reynold. – To oczywiste.

–Czyli chodzi panu o to, że ludzie mogą przychodzić i oglądać obrazy, a obrazy są oglądane?

–Cos w tym rodzaju, tak. – Kustosz zastanowił się i świadom, że to chyba nie wystarczy, dodał jeszcze: – Ale w sposób dynamiczny.

–Chce pan powiedzieć, że ludzie są poruszeni tym, co zobaczą? – podsunął Marchewa.

–Tak! – wykrzyknął sir Reynold z widoczną ulgą. – Brahwo! Tak właśnie się dzieje! A przecież Rascal był wystawiony przez lata! Mamy tam nawet drabinę, na wypadek gdyby ktoś chciał się przyjrzeć gorom. Czasami przychodzi ludzi z taką obsesją, że ktoś z walczących pokazuje jakąś ledwie widoczną grochę czy coś takiego. Szczerze, gdyby był tam jakiś sekret, już dawno bym go odkrył. Ta kradzież nie miała sensu!

–Chyba że ktoś odkrył ten sekret i nie chciał, żeby inni go poznali – mruknął Vimes.

–To byłby niezwykły zbieg okoliczności, nie sądzi pan, komendancie? Przecież nic się tam ostatecznie nie zmieniło. Pan Rascal nie przyszedł i nie domalował jeszcze

jednej gory! I chociaz hwolalbym nie mohwic thego glosno, hwystarczyloby zniszczyc obraz, prahwda?

Vimes obszedl stol dookola. Wszystkie kawalki, myslal. Na pewno mam juz wszystkie kawalki.

Zacznijmy od legendy o tym krasnoludzie, ktory zjawil sie ledwie zywy pare tygodni po bitwie i mowil o skarbie.

No dobrze, to mogl byc ten gadajacy szescian, myslal. Krasnolud przezył bitwe, ukryl sie gdzies, mial ten szescian, ten wazny. Powinien go przeniesc w bezpieczne miejsce... A moze ludzie powinni go wysluchac? Oczywiscie, krasnolud nie zabral go ze soba, bo pewnie po okolicy krecily sie trolle, przypuszczalnie w takim nastroju, zeby najpierw walic maczugami, a dopiero potem probowac wymyslic jakies pytania. Czyli krasnolud potrzebuje ochrony...

Udaje mu sie przekonac kilku ludzi, ale kiedy prowadzi ich do miejsca, gdzie ukryl szescian, umiera.

Przesuwamy sie o dwa tysiace lat do przodu. Czy szescian tak dlugo wytrzyma? Do demona, przeciez wyplywaja nawet w roztopionej lawie!

Wiec ten szescian sobie lezy. Zjawia sie Methodia Rascal, szukajac... ladnego widoku czy czegos takiego, patrzy pod nogi i znajduje to pudelko. Pewnie tak, bo przeciez je sklania do mowienia, kto moze wiedziec, w jaki sposob. Ale nie potrafi go zatrzymac, wiec wrzuca do studni. Krasnoludy je znajduja. Sluchaja, ale nienawidza tego, co uslyszaly. Nienawidza tak bardzo, ze Combergniot kaze zabic czterech gornikow tylko dlatego, ze tez slyszeli. Tylko co ma do tego obraz? Pokazuje to, o czym mowi pudelko? I gdzie ono jest? Przeciez jesli ma sie je w reku, to wlasnie tam.

Zreszta kto powiedzial, ze przemawia w nim Krwawy Topor? To moglby byc kazdy. Dlaczego czlowiek ma wierzyc w to, co zostalo powiedziane?

Vimes zorientowal sie, ze sir Reynold rozmawia z Marchewa.

–...thlumaczylem hwaszemu sierzanthowi Colonowi, ze obraz pokazuje miejsce odlegle o kilka mil od thego, gdzie thoczyla sie bithwa. W calkiem niehwlasciwej czesci doliny Koom! To chyba jedyna khwestia, co do kthorej obie sthrony sie zgadzaja.

–Wiec dlaczego akurat tam malowal? – wtracil Vimes.

Patrzyl na stol, jakby mial nadzieje, ze sila woli uzyska od niego jakies wskazowki.

–Kto hwie? To dolina Koom. Ma prahwie dhwiescie piecdziesiat mil khwadratowych.

Podejrzejwam, że hwybrał miejsce, kthore po prosthu hwyglada dramathycznie.

–Napijcie się może herbaty, panowie? – odezwiała się od drzwi lady Sybil. – Czuje się bezrobotna, więc zaparzyłam w dzbanku. A ty powinienes się trochę przespac, Sam.

Sam Vimes spojrzal przerażony – człowiek z autorytetem przyłapany w sytuacji rodzinnej.

–Och, lady Sybil, ukradli nam Rascala! – oznajmil sir Reynold. – Hwiem, że był pani krewnym.

–Mój dziadek mawiał, że to tylko utrapienie – odparła Sybil. – Ale pozwalał mi rozwijać obraz na podłodze w sali balowej. Wszystkim krasnoludom nadawałam imiona. Szukaliśmy tajemnicy, bo dziadek powiedział, że jest tam ukryty skarb i obraz pokazuje, gdzie jest schowany. Oczywiście nic nie znaleźliśmy, ale przynajmniej nie marudziłam w deszczowe popołudnia.

–Och, to nie była chwielka sztuka – przyznał sir Reynold. – A then człowiek był całkiem oblakany, oczywiście. Ale obraz jakos przemawiał do ludzi.

–Chciałbym, żeby i do mnie się odezwał – mruknął Vimes. – Naprawdę nie musisz robić herbaty dla ludzi, moja droga. Któryś z funkcjonariuszy...

–Nonsens. Musimy być gościnni – odparła Sybil.

–Oczywiście, próbowano go skopiować – mówił kustosz, biorąc filiżankę. – Doprahwdy, efekty były sthraszne! Obraz szeroki na pięćdziesiąt sthop i hwysoki na dziesięć jesth prakthycznie niemożliwy do skopiowania z jakas rozsadna dokładnością...

–Nie, jeśli rozłoży się go w sali balowej i kaze komus zrobić pantograf – stwierdziła Sybil. – Ten dzbanek to prawdziwa zgroza, Sam. Gorszy niż termos. Czy w ogóle ktoś go kiedyś czyścił? – Przyjrzała się ich minom. – Powiedziałam coś niewłaściwego?

–Zrobiła pani kopie Rascala? – upewnił się sir Reynold.

–O tak. Całość w skali jeden do pięciu. Miałam wtedy czternastcie lat i to był projekt szkolny. Przerabialiśmy historie krasnoludów, rozumie pan, a że mieliśmy ten obraz, nie mogłam przepuścić okazji. Wie pan, co to jest pantograf, prawda? To bardzo prosty sposób wykonywania zwiększonych albo zmniejszonych kopii obrazów przy użyciu geometrii, kilku drewnianych dźwigni i zastrzonego ołówka. Właściwie to zrobiłam pięć paneli dziesięć na dziesięć stop, pełny wymiar, żeby mieć pewność, że odwzorowałam wszystkie szczegóły, a potem jeszcze wersje pięć razy mniejsza, żeby

ja wystawic tak, jak biedny pan Rascal zaplanowal. Dostalam od panny Turpitude najwyzsza ocene. Uczyla nas matematyki, a wlosy nosila zwiniete w kok, z wbitymi w niego cyrklem i linijka. Mawiala zawsze, ze dziewczyna, ktora umie uzywac ekierki i katomierza, zajdzie w zyciu daleko.

–Jaka szkoda, ze nie ma juz pani tej kopii – westchnal sir Reynold.

–Czemu pan tak uwaza, sir Reynoldzie? Jestem pewna, ze nadal gdzieś u nas lezy. Przez jakis czas wisiala pod sufitem w moim pokoju. Niech pomysle... Czy wzielismy ja ze soba, kiedy sie przeprowadzalismy? Jestem pewna, ze... – Uśmiechnela sie. – A tak. Byles kiedyś tutaj na strychu, Sam?

–Nie – przyznal Vimes.

–Najwyzszy czas.

–Nigdy jeszcze nie bylam na takim dziewczecym wieczorku – oswiadczyla Cudo, kiedy niezbyt pewnie szly noca przez miasto. – Czy ten ostatni fragment tez powinien sie zdarzyc?

–Jaki fragment? – zdziwila sie Sally.

–Ten fragment, kiedy bar sie zapalil.

–Zwykle nie – przyznala Angua.

–Nigdy jeszcze nie widzialam, zeby mezczyzni walczyli o kobiete – mowila dalej Cudo.

–Tak, to bylo niezle, prawda? – mruknela Sally.

Odprowadzily Plova do domu. Dziewczyna byla wyraznie zamyslona.

–A przeciez ona tylko sie do kogos usmiechnela – dodala Cudo.

–Tak – zgodzila sie Angua. Starala sie skoncentrowac na chodzeniu.

–Ale troche bedzie szkoda Nobby'ego, jesli ona wezmie sobie to wszystko do serca – mowila Cudo.

Ratujcie mnie od gadatliwych pijniczek... pijaczkow... pijaczek, myslala Angua.

–No tak, ale co z panna Pushpram? – spytala. – Przez lata cisnela w Nobby'ego sporo calkiem drogich ryb.

–Zadalysmy cios w imieniu brzydkiej kobiecosci – oznajmila glosno Sally. – Buty, mezczyzni, trumny... nigdy nie bierz pierwszych, ktore sie trafia.

–Och, buty! – zawolala Cudo. – O butach mozemy pogadac. Ktoras widziala u Yana Skalomlota nowe czolenka z pelnej miedzi?

–My nie chodzimy po obuwie do kowala, moja droga – oswiadczyla Sally. – Oj... Chyba mi niedobrze...

–To nauczka za picie... wina – stwierdzila zlosliwie Angua.

–Och, cha, cha – odpowiedziala z mroku wampirzyca. – Absolutnie mi nie przeszkadza sarkastyczna pauza przed slowem "wino", dzieki za wspolczucie! Ja nie powinienam pic tych lepkich drinkow z nazwami wymyslonymi przez ludzi, ktorzy maja jeszcze mniejsze poczucie humoru niz... o, nieeeee...

–Nic ci nie jest? – wystraszyła się Cudo.

–Wlasnie wyrzygalam mala, bardzo smieszna papierowa parasolke.

–Ojej...

–I zimny ogien.

–To pani, sierzancie Angua? – odezwal sie glos w mroku.

Latarnia oswietlila twarz funkcjonariusza Wizytuja, ktory niosl pod pacha gruby plik ulotek.

–Czesc, Kociol – powiedziala Angua. – Co jest?

–...wyglada na plasterek cytryny... – mruknal ktos w cieniu chrapliwym glosem.

–Pan Vimes polecil mi szukac pani w barach niegodziwych i nedznych miejscach grzechu – wyjasnil Wizytuj.

–A ta literatura? – spytala Angua. – A przy okazji, slowa "nic osobistego" tak latwo mogly byc dodane na koncu ostatniego zdania.

–Poniewaz mialem odwiedzac swiatynie wystepku, sierzancie, pomyslam, ze przy okazji moze wykonywac swiete dzieło Oma – odparl Wizytuj, ktorego niestrudzony ewangelizacyjny entuzjazm tryumfowal nad wszelkimi przeciwnosciami*. Zdarzalo sie, ze ludzie w zatloczonych barach lezeli na podlodze przy zgaszonych swiatlach, gdy tylko slyszeli, ze zbliza sie ulica.

W ciemnosci ktos wymiotowal.

–Biada tym, co naduzywaja wina – oswiadczył funkcjonariusz Wizytuj. Zauwazyl mine Angui i dodal: – Nikogo nie urazajac.

–I my przeszlysmo przez to wszystko... – jeknela Sally.

–Czego on chce, Kociol?

–Znow chodzi o doline Koom. Macie wrocic do Yardu.

–Przeciez dal nam wolne! – jeknela Sally.

–Przykro mi – odparl z satysfakcja Wizytuj. – Jak rozumiem, znowu jestescie szybkie.

–Historia mojego zycia... – westchnela Cudo.

–No trudno, trzeba ruszac – uznala Angua, starajac sie nie okazywac ulgi.

–Kiedy mowie "historia mojego zycia", to oczywiscie nie chodzi mi o cala historie – mruzcala Cudo, pozornie do siebie, kiedy wlokla sie za nimi przez swiat cudownie pozbawiony zabawy.

Ramkinowie nigdy niczego nie wyrzucali. W ich strychach bylo cos niepokojacego – i wcale nie to, ze lekko pachnialy dawno zdechlym golebkiem.

Ramkinowie opisywali rzeczy. Vimes byl na wielkim strychu przy alei Scoone'a, zeby znieśc stamtad konia na biegunach i lozeczko oraz cala skrzynie starych, ale bardzo mocno kochanych pluszowych zabawek pachnacych naftalina. Niczego, co moglo jeszcze kiedys sie przydac, nie wyrzucano – starannie to opisano i wyniesiono na strych.

Jedna reka odgarniajac pajeczyny, a w drugiej trzymajac latarnie, Sybil prowadzila ich obok skrzyń z "Butami meskimi, roznymi", "Zabawnymi kukielkami, marionetkami i pacynkami" oraz "Modelem teatru z dekoracjami".

Moze stad wlasnie bralo sie ich bogactwo: kupowali takie rzeczy, ktore wytrzymywaly bardzo dlugo, wiec teraz juz rzadko musieli kupowac cokolwiek. Oprocz jedzenia, naturalnie, ale Vimes nie bylby zdziwiony, gdyby znalazl pudlo z etykieta "Ogryzki jablek, rozne" czy "Resztki, wymagaja dojedzenia"*.

–Aha, tutaj jest – stwierdzila Sybil.

Odsunela pek floretow szermierczych oraz kijow do lacrosse i przyciagnela do swiatla dluga, gruba tube.

–Nie pokolorowalam go, naturalnie – powiedziala, gdy niesli znalezisko do schodow. – To by trwalo cala wiecznosc.

Zniesienie ciezkiej tuby do bufetu wymagalo pewnego wysilku i sporej dawki przepychania, ale w koncu ulozono ja na stole i usunieto trzeszczaca oslone.

Kiedy sir Reynold rozwijal wielkie, dziesieciostopowe kwadraty, by sie nimi zachwycic, Vimes wyjal stworzona przez Sybil kopie w niewielkiej skali. Rysunek byl akurat tak maly, zeby sie zmiescic na stole; z jednego konca obciazyl go brudnym kubkiem, na drugim postawil solniczke.

Notatki Rascala stanowiły przygnebiajaca lektura. I trudna, poniewaz wiele bylo na wpol spalonych, a i tak charakter pisma byl taki, jakiego mozna by sie spodziewac u pajaka na batucie podczas trzesienia ziemi.

Ten czlowiek wyraźnie byl oblakany, piszac notatki, ktore chcial zachowac w tajemnicy przed kurczakami; czasami przerywal w pol zdania, kiedy sadzil, ze jakis kurczak podglada. Zapewne przykro bylo na niego patrzec, dopoki nie chwytal pedzla, bo wtedy zaczynal pracowac calkiem spokojnie i z dziwnym blaskiem na twarzy. To bylo jego zycie: jedno wielkie plotno. Methodia Rascal urodzil sie, namalowal slynnny obraz, myslal, ze jest kurczakiem, umarl.

Biorac pod uwage, ze ten czlowiek wlasnego siedzenia nie umialby znalezc, jak mozna zrozumiec cokolwiek, co napisal? Jedyna notka, ktora wydawala sie tresciwa, choc przerazajaca, byla ta, ktora powszechnie uznawano za ostatnia, gdyz znaleziono ja pod jego bezwladnym cialem. Brzmiala: Awk! Awk! Nadchodzi! NADCHODZI!

Zadlawil sie. W gardle mial pelno pior. A na plotnie schla jeszcze farba po ostatnich pociagnieciach pedzla.

Wzrok Vimesa przyciagnela notatka, oznaczona dosc przypadkowo numerem 39: "Myslalem, ze to dobra wrozba, ale krzyczy po nocach". Czego wrozba? A co z numerem 143: "Ciemnosc, w ciemnosci jak gwiazda w lancuchach"? Vimes zapamietal ja sobie. Zapamietal tez wiele innych. Ale najgorsze w nich – albo najlepsze, jesli ktos kochal tajemnice – bylo to, ze mogly oznaczac cokolwiek. Kazdy mogl sobie wybrac wlasna teorie. Ten czlowiek niemal glodowal i smiertelnie bal sie kurczakow zyjacych w jego glowie. Rownie dobrze mozna by szukac sensu w kroplach deszczu.

Vimes odsunal kartki na bok i przyjrzel sie dokladnemu szkicowi. Nawet w tym rozmiarze mogl zaszokowac. Z przodu twarze byly tak wielkie, ze dalo sie zobaczyc pory na nosie krasnoluda. Na dalekim planie Sybil starannie skopiowala postacie wzrostu cwierci cala.

Wymachiwano toporami i maczugami, wysuwano wlocznie, byly ataki, kontrataki i pojedyncze starcia. Na calej dlugosci obrazu krasnoludy i trolle zwarly sie w zacietej bitwie, rabiac i tlukac.

Kogo brakuje? – pomyslal Vimes.

–Sir Reynoldzie, moze mi pan pomoc? – zapytal cicho, by rodzaca sie mysl nie podkulila ogona i nie uciekla.

–Thak, komendancie? – Kustosz podszedl natychmiast. – Doprahwdy, lady Sybil hwykonala bezbledna...

–Jest bardzo dobra, rzeczywiscie – zgodzil sie Vimes. – Prosze mi wyjasnic, skad Rascal to wszystko wiedzial.

–Isthnieje hwiele krasnoludzych piesni na then temat. I kilka trollohwych opohwiesci. Och, takze kilku ludzi bylo shwiadkami.

–Czyli Rascal mogl o tym przeczytac?

–O thak. Poza thym, ze umiescil bithwe w niehwlasciwej czesci doliny, przedstawil ja calkiem dokladnie.

Vimes nie odrywal wzroku od papierowej bitwy.

–Czy zatem ktos wie, czemu umiescil ja nie tam, gdzie sie odbyla?

–Isthnieje kilka theoryj. Jedna sthwierdza, ze zmylil go fakt, iz zhwloki krasnoludow palono na thym koncu doliny. Po burzy tham hwlasnie hwiele cial doplynelo. Tham thez mieli hwiecej drehwna na stosy. Ale ja uhwazam, ze hwybral ten koniec, bo hwidok sthamtad jest o hwiele lepszy. Gory hwygladaja thak dramathycznie...

Vimes usiadl. Patrzyl na szkic, jakby zadal od niego wydania sekretow. Pan Blysk mowil, ze za kilka tygodni wszyscy poznaja te tajemnice. Dlaczego?

–Sir Reynoldzie, czy w ciagu najblizszych paru tygodni z obrazem mialo sie wydarzyc cos niezwyklego?

–O thak – odparl kustosz. – Mielismy go przeniesc do nohwego pomieszczenia.

–Po co?

–Mohwilem panskiemu sierzanthowi – przypomniał kustosz z lekka przygana. – To pomieszczenie jest okragle. Rascal chcial, zeby malohwidlo hwidziane bylo dookola. Zeby ogladajacy znalazl sie jakby na miejscu akcji.

Ja tez jestem juz prawie na miejscu, uznal Vimes.

–Mysle, ze szescian wyjawil krasnoludom cos na temat doliny Koom – powiedzial w zadumie. Czul sie tak, jakby juz byl na polu bitwy. – Przekonal ich, ze wazne jest miejsce, gdzie zostal znaleziony. Nawet Rascal uwazal, ze jest wazne. Potrzebowali mapy, a Rascal ja namalowal, nawet jesli nie zdawal sobie z tego sprawy. Fred?

–Tajest, sir?

–Krasnoludy nie przejmowaly sie uszkodzeniem dolnego brzegu obrazu, bo na dole nie ma niczego istotnego. Tylko ludzie. Ludzie sie zmieniaja.

–Z calym szacunkiem, komendancie, podobnie te glazy – zauwazyl sir Reynold.

–Nie maja znaczenia. Niewazne, jak bardzo zmieni sie dolina, ten obraz nadal bedzie dzialal – oswiadczył Vimes. W jego umysle rozjarzyl sie cieply blask zrozumienia.

–Ale nahwet rzeki przesuhwaja sie w ciagu lat, a z gor na pehwno sthoczyła sie cala masa kamieni. Mohwiono mi, ze ta okolica obecnie hwcale thak nie hwyglada.

–Mimo to ta mapa bedzie skuteczna przez tysiace lat – rzekl Vimes tym samym sennym glosem. – Ona nie wyznacza glazu, zaglebienia czy groty. Wyznacza punkt. Moglbym go wskazac dokladnie, jak szpilka... gdybym miał szpilke.

–Ja mam! – zawolal tryumfalnie sir Reynold, siegajac do klapy surduta. – Zauhwazylem ja hwczoraj na ulicy i oczyhwiscie hwszyscy znamy sthare przyslohwie "Znajdz szpilke i podnies ja, a przez caly dzien...".

–Tak, dziekuje – przerwal mu Vimes.

Wzial szpilke, podszedl do stolu, chwycil brzeg obrazu i zawinal do drugiego konca. Spial oba brzegi, tworzac z obrazu pierscien, i opuscil go sobie na glowe.

–Prawda tkwi w gorach – oswiadczył. – Przez lata patrzylysmo na linie szczytow. A tak naprawde to krag szczytow.

–Ale ja to hwiedzialem! – wykrzykнал sir Reynold.

–W pewnym sensie, ale nie rozumial pan tego az do teraz, prawda? Rascal stal w jakimś waznym miejscu.

–No thak. W jaskini, komendancie. Wyraznie wspomina o jaskini. Dlathego ludzie zahwsze szukali hwzdłuż brzegow doliny. Obraz jest hwidziany ze srodka, w poblizu rzeki.

–A zatem czegos nadal nie wiemy – uznal Vimes, zirytowany, ze jego wielka chwila

tak łatwo została pomniejszona. – Dowiem się czego, kiedy już tam się znajdzie.

No właśnie. Powiedział to głośno. Ale wiedział przecież, że tam wyruszy, wiedział... od jak dawna? Zdawało się, że od zawsze, ale czy wczoraj też się zdawało, że od zawsze? A dziś po południu? Oczyma duszy widział już to miejsce. Vimes w dolinie Koom! Praktycznie smakował jej powietrze. Słyszał ryk wody w rzece zimnej jak lód!

–Sam... – zaczęła Sybil.

–Nie, trzeba to rozstrzygnąć – przerwał jej pośpiesznie. – Nie obchodzi mnie ten głupi sekret. Ale glebinowcy zamordowali naszych krasnoludów. Zapomniałaś? Uważają, że obraz to mapa, która mogą wykorzystać, i dlatego musimy tam jechać za nimi.

–Posłuchaj mnie, Sam. Jeśli...

–Nie możemy dopuścić do wojny między trollami a krasnoludami, moja droga. Ta sprawa z wczorajszej nocy to była zwykła bojka gangów! Prawdziwa wojna w Ankh-Morpork zniszczy miasto! A wszystko jest jakos z tym powiązane!

–Zgadzę się! Ja też chcę jechać! – wrzasnęła Sybil.

–Poza tym to całkowicie bezpieczne, o ile... Co? – Vimes wytrzeszczył oczy na żonę, gdy tymczasem tryby umysłu przeskoczyły na wsteczny bieg. – Nie, to zbyt niebezpieczne!

–Samie Vimes, przez całe życie marzyłam o zobaczeniu doliny Koom, więc nawet nie myśl, że będziesz tam scigał jakieś miraży, a mnie zostawisz w domu!

–Nie scigam żadnych miraży! Nie znam żadnych miraży! To ma być policyjny pościg! A niedługo wybuchnie tam wojna!

–W takim razie wyjaśnij im, że nie jesteśmy zaangażowani – odparła Sybil chłodno.

–To nie skutkuje!

–W takim razie nie skutkuje też w Ankh-Morpork – stwierdziła Sybil tonem gracza, który sprytnie zbija w jednym ruchu cztery krasnoludy. – Sam, dobrze wiesz, że przegrasz. Nie warto się kłócić. Poza tym mówię po krasnoludziemu. Zabierzemy też Młodego Sama.

–Nie!

–No to wszystko ustalone – uznała, najwyraźniej porażona nagłym atakiem głuchoty. – Jeśli chcesz dogonić te krasnoludy, sugeruję, że byśmy wyruszyli jak

najwcześniej.

Sir Reynold słuchał z otwartymi ustami.

–Ależ lady Sybil! – wykrztusił w końcu. – Tam już zbierają się hwojska! To nie miejsce dla damy!

Vimes się skrzywił. Sybil podjęła decyzję. To było jakby patrzeć na tamtego krasnoluda, jeszcze raz spopielanego przez smoka.

Lono lady Sybil, które wolno jej było mieć, wezbrało, kiedy nabrała tchu. Zdawało się, że unosi ją lekko nad podłogą.

–Sir Reynoldzie – powiedziała dobrze zmrozoną głosem. – W Roku Mszyc moja prababka własnymi rękami przygotowała bankiet na osiemnastu osob w wojskowej reducie okrajonej przez zadnych krwi Klatchian. Podawała nawet sorbet i orzechy. Moja babka w Roku Spokojnej Malpy broniła przed motlochom naszej ambasady w Pseudopolis bez żadnej pomocy prócz tej, jakiej mogli jej udzielić ogrodnik, tresowana papuga i patelnia gorącego oleju. Moja zmarła ciotka, kiedy nasz powóz był zatrzymany przez dwóch zbrojnych w kusze i zdesperowanych rozbojników, tak im nagadła, że uciekli z placem, wołając mamusie, sir Reynoldzie. Mamusie! Niebezpieczeństwo nie jest dla nas niczym dziwnym, sir Reynoldzie. Mogę też przypomnieć, że prawdopodobnie połowa krasnoludów walczących w dolinie Koom była damami! Nikt im nie kazał zostawać w domach!

Czyli załatwione, pomyślał Vimes. Wyruszy... A niech to!

–Kapitanie – powiedział. – Proszę kogoś posłać, żeby poszukał graga Niesmialssona, dobrze? Niech mu przekaze, że komendant Vimes przesyła pozdrowienia i wyjeżdża z miasta wczesnym rankiem.

–Hm... Tak jest, sir. Załatwione – odparł Marchewa.

Skąd on wiedział, że pojedziemy? – zastanawiał się Vimes. To pewnie było nieuniknione. Ale mógł nas załatwić, gdyby powiedział, że źle potraktowaliśmy krasnoluda. Mogę się założyć, że jest jednym z uczniów pana Błyska. Może warto mieć go na oku...

Czy Vetinari w ogóle sypiał? Prawdopodobnie musi kiedyś składać głowę, myślał Vimes. Przecież każdy czasem śpi. Szybkie drzemki mogą wystarczyć na jakiś czas, ale wcześniej czy później człowiek potrzebuje solidnych osmiu godzin, prawda?

Była już prawie północ, a Vetinari siedział przy biurku świeżutki jak stokrotka i

chłodny jak poranna rosa.

–Jest pan przekonany, Vimes?

–Marchewa zadba o sprawy bieżące. Zresztą uspokoiło się ostatnio. Podejrzewam, że większość poważnych awanturników wyruszyła do doliny Koom.

–Można uznać, że to dobry powód, by pan tam nie jechał, Vimes. Mamy... agentów do takich spraw.

–Ale chciał pan, żeby ich dopadł, sir! – zaprotestował Vimes.

–W dolinie Koom? W takiej chwili? Wysłanie tam naszych sił może mieć daleko idące konsekwencje, Vimes!

–To dobrze. Kazał mi pan wyciągnąć ich na światło dzienne. Jeśli o mnie chodzi, to właśnie ja jestem daleko idącą konsekwencją!

–Rzeczywiście – zgodził się Vetinari, uprzednio patrząc na Vimesa o wiele dłużej, niż było to komfortowe. – Ale kiedy mnie sięgnie pan tak daleko, będzie pan potrzebował przyjaciół. Żeby dopilnowali, by dolny król przynajmniej wiedział o pańskiej obecności.

–Proszę się nie martwić, szybko się dowie – warknął Vimes. – O tak.

–Nie wątpię, że się dowie. Ma agentów w naszym mieście, tak jak ja mam w jego. Dlatego wyswiadcze mu uprzejmość i oficjalnie poinformuje o tym, o czym i tak będzie wiedział. To się nazywa polityka, Vimes. To coś, co próbujemy robić w rządzie.

–Ale... szpiegzy? Myślałem, że jesteśmy z dolnym królem zaprzyjazznieni!

–Oczywiście – zgodził się Patrycjusz. – A im więcej będziemy wiedzieć o sobie nawzajem, tym mocniejsza będzie nasza przyjaźń. Szkoda tracić energię na szpiegowanie wrogów. Jaki by to miało sens? Czy lady Sybil nie ma nic przeciwko pańskiemu wyjazdowi?

–Jedź ze mną. Uparła się.

–To bezpieczne?

–A czy tutaj jest bezpiecznie? – Vimes wzruszył ramionami. – Krasnoludy wdarły się do nas przez podłogę! Proszę się nie martwić, ona i Młody Sam będą się trzymać z dala od wszystkich zagrożeń. Zabiore Freda i Nobby'ego. Chce też wziąć Angue, Sally, Detrytusa i Cudo. Wielogatunkowo sir. To zawsze pomaga w polityce.

–A Przyzywajaca Ciemnosc? Co z nia, Vimes? Och, prosze tak na mnie nie patrzyc. Wszystkie krasnoludy o tym mowia. Jak slyszalem, jeden z konajacych rzucil klatwe na kazdego, kto byl w tej kopalni.

–Nic mi o tym nie wiadomo, sir. – Vimes uciekl sie do drewnianego wyrazu twarzy, ktory juz tak wiele razy mu pomagal. – To mistyka. W strazy nie zajmujemy sie mistyka.

–To nie sa zarty, Vimes. Jak rozumiem, to bardzo stara magia. Tak stara, ze wiekszosc krasnoludow przestala ja uwazac za magie. I jest potezna. Bedzie ich scigac.

–W takim razie bede sie rozgladal za wielkim latajacym okiem z ogonem, dobrze? To powinno mi ulatwic sprawe.

–Vimes, wiem, ze jest pan swiadom roznicy miedzy symbolem a samym obiektem...

–Tak, sir, jestem swiadom. Ale w policyjnej robocie nie ma miejsca na magie. Nie korzystamy z niej, zeby znajdowac winnych. Nie korzystamy, zeby uzyskiwac zeznania. Bo nie mozna jej wierzyc, sir. Ma wlasna wole. I jesli klatwa sciga tych drani, to trudno, jej sprawa. Ale jesli ja dopadne ich pierwszy, beda moimi wiezniami i klatwa bedzie musiala mnie ominac.

–Vimes, nadrektor Ridcully mi mowil, ze jego zdaniem jest to quasi-demoniczna istota krazaca po wszechswiecie od niewiadomych milionow lat.

–Powiedzialem juz, co o tym mysle, sir. – Vimes wpatrywal sie w punkt tuz nad glowa Patrycjusza. – Obowiazek nakazuje mi scigac tych ludzi. Sadze, ze moga pomoc nam w sledztwie.

–Ale nie ma pan zadnych dowodow. A beda potrzebne bardzo mocne.

–Zgadza sie. Dlatego zamierzam sprowadzic ich tutaj z powrotem, niezaleznie od jakichs oczu na sznurku. I tych przekletych czarnych straznikow. Ktos na pewno cos powie.

–I uzyska pan rowniez satysfakcje osobista? – zapytal ostro Vetinari.

–Czy to pytanie podchwytliwe, sir?

–Brawo, brawo... – rzucil cicho Patrycjusz. – Lady Sybil to wyjatkowa kobieta, Vimes.

–Tak jest, sir. Bardzo – zgodzil sie Vimes.

I wyszedł.

Po chwili zjawil sie glowny sekretarz Vetinariego. Podszedl bezszelestnie i postawil na biurku filizanke herbaty.

–Dziekuje, Drumknott. Sluchales?

–Tak, sir. Komendant wydawal sie bardzo wzburzony.

–Wdarli sie do jego domu.

–Istotnie, sir.

Vetinari oparl sie wygodnie i spojrzal w sufit.

–Powiedz mi, Drumknott, czy masz sklonnosc do hazardu?

–Nie przecze, ze zdarza mi sie czasem postawic niewielka kwote, sir.

–W kwestii konfliktu miedzy quasi-demonicznym wcieleniem czystej zemsty z jednej strony a komendantem z drugiej, na kogo bys postawil powiedzmy... jednego dolara?

–Nie postawilbym, sir. Moim zdaniem w tej sprawie nie dojdzie do rozstrzygnięcia.

–No tak... – Vetinari w zadumie spogladal na zamkniete drzwi. – Tak, rzeczywiscie.

Nie uzywam magii, myslal Vimes, idac w deszczu w strone Niewidocznego Uniwersytetu. Ale czasami klamie.

Ominal glowne wejście i mozliwie dyskretnie skierowal sie do Pasazu Magow, gdzie w polowie alejki kilka obluzowanych cegiel otwieralo publiczny dostep na tereny uniwersytetu. Pokolenia lajdacko pijanych studentow wykorzystywaly je, by pozna noca wracac z miasta. Pozniej stawali sie bardzo waznymi i poteznymi magami, o obfitych brodach i jeszcze obfitszych brzuchach, ale nigdy nie kiwneli nawet palcem, by naprawic mur. W koncu byla to Tradycja. Na ogol okolica nie byla tez patrolowana przez homarow*, ktorzy wierzyli w Tradycje jeszcze bardziej niz magowie. Jednak teraz jeden z nich ukrywal sie w mroku i podskoczyl, kiedy Vimes stuknal go w ramie.

–Och, komendancie Vimes! To ja, Wiggleigh. Nadrektor czeka na pana w szopie ogrodnika, sir. Prosze za mna. Tylko cichutko.

Vimes ruszyl za Wiggleighem przez mokre, blotniste trawniki. Dziwne, ale nie byl juz

tak zmeczony. Tyle dni nie dosypial, a jednak czul sie calkiem swiezo, choc myslal nieco mgliscie. Bo juz ruszyl w poscig. Pozniej za to zaplaci...

Wiggleigh – rozejrzawszy sie najpierw z mina konspiratora, ktora natychmiast zwrocilaby uwage kazdego, kto by go zobaczyl – otworzyl drzwi do szopy.

Wewnatrz czekal juz potezny osobnik.

–Ach, komendancie! – zahuczal radosnie. – Niezly kawal, co? Taki plaszcz i sztylet!

Tylko ulewny deszcz moglby ewentualnie stlumic glos nadrektora Ridcully'ego, kiedy byl w serdecznym nastroju.

–Czy moglby pan mowic nieco ciszej, nadrektorze? – poprosil Vimes, szybko zamykajac za soba drzwi.

–Przepraszam! To znaczy: przepraszam. Prosze siadac, te worki z kompostem sa calkiem wygodne. Jak moge ci pomoc, Sam?

–Czy mozemy sie chwilowo zgodzic, ze pan nie moze? – zaproponowal Vimes.

–Intrygujace. Prosze dalej. – Ridcully pochyлил sie lekko.

–Wie pan, ze nie pozwalam w strazy na uzywanie magii – ciagnal Vimes.

Kiedy usiadl w polmroku, zwiniety waz ogrodowy zaatakowal go z gory, jak to maja w zwyczaju takie weze. Po krotkiej walce Vimes cisnal nim o podloge szopy.

–Wiem, moj panie, i szanuje to. Choc sa i tacy, ktorzy z tego powodu uwazaja pana za nieszczesnego durnia.

–No tak... – Vimes postaral sie zapomniec o nieszczesnym durniu. – Musze sie bardzo szybko dostac do doliny Koom. Naprawde bardzo szybko.

–Mozna wrecz powiedziec: magicznie szybko? – upewnil sie Ridcully.

–Owszem.

Vimes wiercil sie nerwowo. Nie cierpial takich sytuacji. I na czym wlasciwie usiadl?

–Mmm... – mruccal Ridcully. – Ale, jak podejrzewam, bez zadnych znaczacych hokus-pokus? Czyzby bylo panu niewygodnie?

Vimes tryumfalnie podniosl duza cebule.

–Przepraszam – rzekl i odrzucil ja na bok. – Nie, stanowczo zadnego pokus. Byc

moze odrobina hokus. Potrzeba mi jakiejś przewagi. Oni wyruszyli dzień przede mna.

–Rozumiem. Podrozuje pan sam?

–Nie, bedzie nas jedenascie osob. Dwa powozy.

–Niech mnie... Znikniecie w klebie dymu, zeby pojawic sie znowu w innym miejscu, jest...

–Wykluczone. Potrzebuje tylko...

–...przewagi. Tak. Czegos magicznego w swej przyczynie, ale nie w skutkach. Nic nazbyt oczywistego.

–I zadnej szansy, zeby ktos zamienil sie w zabe albo cos takiego – uzupełnil pospiesznie Vimes.

–Oczywiscie – zgodzil sie Ridcully. Klasnal w dlonie. – No coz, komendancie, obawiam sie, ze nie mozemy panu pomoc. Wtracanie sie w takie sprawy nie jest funkcja magii. – Zнизyl glos i mowil dalej: – W szczegolnoscii nie bedziemy mogli panu pomoc, jesli oba powozy, puste, podjada od tylu za... powiedzmy, za godzinę.

–Tak? No... dobrze. – Vimes probowal nadazyc. – Ale nie zmienicie ich w latajace powozy ani nic takiego?

–Nic z nimi nie zrobimy, komendancie! – Ridcully klepnal go przyjaznie w plecy. – Myslalem, ze to juz ustalone. Powinien pan juz isc, choc oczywiscie tak naprawde wcale tu pana nie bylo. Ani mnie. Musze przyznac, ze te szpiegowskie sztuczki sa calkiem chytne, co?

Kiedy Vimes wyszedl, Mustrum Ridcully oparl sie o sciane z desek i zapalil fajke. Tkniety naglym impulsem, ta sama zapalka zapalil tez swiece w latarni na stole z donicami. Ogrodnik bywal mocno zgryzliwy, jesli ktos balaganil mu w szopie, wiec moze warto troche sprzatnac...

Znieruchomial, patrzac na podloge, gdzie waz ogrodowy i rzucona cebula utworzily cos, co dla przypadkowego widza moglo wygladac jak duze oko z ogonem.

Deszcz chlodzil Vimesa. Chlodzil tez ulice. Trzeba byc prawdziwym entuzjasta, by w deszczu wszczynac zamieszki. Poza tym wieści o wczorajszej nocy juz sie rozeszly. Oczywiscie nikt nie byl pewny, a Puszek i Wielki Młot podzialaly tak, ze wielka, choc raczej podstawowa szkola myslenia nie potrafila odgadnac, co zaszlo. Obudzili sie z marnym samopoczuciem, tak? Czyli cos musialo sie wydarzyc. A poniewaz dzisiaj od

rana lalo, lepiej nie wychodzic z barow.

Vimes szedl przez wilgotna, szepczaca ciemnosc. Umysl mu plonal.

Jak szybko moga podrozowac krasnoludy? Niektore chyba byly stare – chociaz pewnie stare i czerstwe. Ale drogi w tamtym kierunku wygladaly dosc marnie. Ilez potrzasanania moze ktos wytrzymac?

No a Sybil chciala zabrac Mlodego Sama. To glupie, tylko ze... wcale nieglupie, nie po tym ataku krasnoludow na ich dom. Dom to miejsce, gdzie czlowiek czuje sie bezpiecznie. Jesli jest inaczej, to budynek przestaje byc domem. Wbrew zdrowemu rozsadkowi Vimes zgadzal sie z zona. Dom to cos, gdzie sa razem. Wyslala juz priorytetowego sekara do jakiejs dawnej kolezanki, ktora mieszkala niedaleko doliny. W ogole zachowywala sie, jakby chodzilo o rodzinna wycieczke.

Na rogu ulicy stala grupa uzbrojonych po zeby krasnoludow. Moze w barach brakowalo juz miejsc, a moze tez musialy sie troche ochlodzic. Zadne prawo nie zakazuje stania na rogu, prawda?

Nieprawda, mruknal do siebie Vimes, podchodzac blizej. No juz, chlopaki. Powiedzcie cos nie tak. Siegnijcie po bron. Ruszcie sie troche. Odetchnijcie glosniej. Dajcie mi cos, co mozna naciagnac do "w obronie wlasnej". Bedzie moje slowo przeciwko waszemu, a wierzcie mi, chlopaki, mala szansa, zebyscie zdolali jeszcze cos wykrztusic.

Krasnoludom wystarczylo jedno spojrzenie na wizje zblizajaca sie w aureoli mgly i blasku pochodni. Wzieli nogi za pas.

Slusznie!

Istota znana jako Przyzywajaca Ciemnosc mknela po ulicach wiecznej nocy, mijajac zamglone, falujace od jej przejscia budowle pamieci. Juz docierala, naprawde, przebijala sie... Musiala zmienic tysiacletnie przyzwyczajenia, ale znajdowala juz drogi wejscia, nawet jesli nie byly wieksze niz dziurki od klucza. Nigdy jeszcze nie musiala pracowac tak ciezko, przemieszczac sie tak predko. To bylo... ekscytujace.

Ale przez caly czas, gdy tylko zatrzymala sie przy jakiejs kratce lub niepilnowanym kominie, slyszala za soba pogon. Powolna, lecz ciagla. Wczesniej czy pozniej ja dopadna.

Grag Niesmialsson mieszkal w podzielonej piwnicy przy Taniej. Czynnosc nie byl

wysoki, ale – musiał to przyznac – odpowiedni do kwatery. Kiedy leżał na swojej bardzo wąskiej pryczy, mógł dotknąć wszystkich czterech ścian, a raczej trzech ścian i ciężkiej kotary, która oddzielała jego niewielką przestrzeń osobistą od dziewiętnastoosobowej rodziny krasnoludów zajmującej pozostałą część pomieszczenia. Za to posiłki były wliczone, a sąsiedzi szanowali jego prywatność. To jednak było coś – mieć graca za lokatora, nawet jeśli był dość młody i pokazywał twarz.

Po drugiej stronie kotary kłocili się dzieci, płakało niemowlę, unosił się zapach zapiekanki ze szczura i kapusty. Ktoś ostrzył topór. A ktoś inny chrapał. Dla krasnoluda w Ankh-Morpork samotność była czymś, co należało praktykować wewnątrz siebie.

Książki i papiery zalegały w przestrzeni, która nie była łóżkiem. Za biurko służyła Niesmialssonowi leżąca na kolanach deska. Czytał podniszczony tom w popekanej, pachnącej stęchlizną okładce, a runy, po których przesuwiał wzrok, mówiły: "Nie ma w tym świecie żadnej siły. Aby wypełnić dowolny cel, Przyzywająca Ciemność musi znaleźć reprezentanta – żywą istotę, która zdoła nagiąć do swej woli" ...

Westchnął. Przeczytał to zdanie już kilkanaście razy w nadziei, że skłoni je, by znaczyło coś innego niż to, co oczywiste. Na wszelki wypadek przepisał te słowa do notesu. Potem wsunął notes do sakwy, sakwę zarzucił na ramię, wysunął się zza kotary, zapłacił Toinowi Nogotupaczowi za dwa tygodnie z góry i wyszedł na deszcz.

Vimes nie pamiętał, kiedy kładł się spać. Nie pamiętał spania. Wypłynął na powierzchnię, kiedy Marchewa potrząsnął go za ramię.

–Powozy czekają na dziedzincu, panie Vimes!

–Ssojis? – wymamrotał Vimes, mrugając w świetle.

–Kazałem ludziom je załadować, sir, ale...

–Ale co? – Vimes usiadł.

–Lepiej niech pan sam to zobaczy, sir.

Kiedy Vimes wyszedł na wilgotny świt, na dziedzincu istotnie stały dwa powozy. Oparty o piecmakera Detrytus obserwował załadunek.

Marchewa podszedł szybko.

–Sir, magowie, cos zrobili...

Wedlug Vimesa powozy wygladaly calkiem normalnie, co powiedzial glosno.

–Och, z wygladu nic im nie dolega, sir – zgodzil sie kapitan. Schylil sie i polozyl dlon na stopniu. – Ale robia tak. – I uniosl wyladowany powoz nad glowe.

–To nie powinno byc mozliwe...

–Zgadza sie, sir. – Marchewa delikatnie postawil powoz na bruku. – Nie robi sie ciezszy, nawet kiedy wsiada ludzie. A gdyby podszedl pan tutaj, sir... Widzi pan, oni zrobili tez cos z konmi.

–Jakis pomysl, co takiego zrobili, kapitanie?

–Absolutnie zadnego, sir. Powozy staly przed uniwersytetem. Haddock i ja przejechalismy nimi tutaj. Sa bardzo lekkie, naturalnie. Ale najbardziej niepokoil mnie uprzaz. Prosze spojrzec, sir.

–Widze, ze skora jest bardzo gruba – stwierdzil Vimes. – I co to za miedziane galki? Sa magiczne?

–Mozliwe, sir. Cos sie dzieje przy trzynastu milach na godzine. Nie wiem co. – Marchewa klepnal burte powozu, czym odsunal go troche na bok. – Chodzi o to, sir, ze nie wiem, jaka to daje przewage.

–Co takiego? Przeciez niewazki powoz z pewnoscia...

–Och, to pomaga, sir, zwlaszcza na podjazdach. Ale konie moga biec tylko z okreslona szybkościa przez okreslony czas, sir, a kiedy rozpedza powoz, taki toczacy sie ciezar nie wymaga juz wielkiego wysilku.

–Trzynascie mil na godzine... – zastanawial sie Vimes. – Niezle tempo.

–Obecnie na wielu trasach dylizanse pocztowe osiagaja srednio dziewiec do dziesieciu mil na godzine – odparl Marchewa. – Ale drogi znacznie sie pogorsza, kiedy juz znajdziecie sie blizej doliny Koom.

–Ale nie sadzisz, ze zaczyna latac, co?

–Mysle, sir, ze magowie by uprzedzili, gdyby cos takiego mialo sie zdarzyc. Ale zabawne, ze pan o tym wspomina, sir, bo pod kazdym powozem przybito siedem miotel...

–Co?! Wiec dlaczego po prostu nie wyfruna z dziedzinka?

–Magia, sir. Chyba te miotły tylko kompensują ciężar.

–Na bogów, jasne! Ze też sam na to nie wpadłem – mruknął kwaśno Vimes. – Właśnie dlatego nie lubię magii, kapitanie. Bo to magia. Nie można zadawać pytań, bo to magia. Nigdy niczego nie wyjaśnia, bo to magia. Nie wiadomo, skąd się bierze, bo to magia. To właśnie mi się w magii nie podoba, że wszystko w niej dzieje się magicznie!

–To rzeczywiście istotny czynnik, nie ma wątpliwości – przyznał Marchewa. – Dopilnuje jeszcze pakowania, jeśli wolno.

Vimes patrzył niechętnie na powozy. Pewnie nie powinien mieszać do tego magów, ale jaki miał wybór? Och, prawdopodobnie mogliby przesłać Sama Vimesa w klebach dymu i w mgnieniu oka, ale kto by naprawdę się tam pojawił i kto by wrócił? Skąd miałby wiedzieć, że to nadal on? Był pewien, że ludzie nie powinni tak sobie znikać.

Sam Vimes był z natury piechurem. Dlatego postanowił zabrać ze sobą także Willikinsa, który umiał powozić. Zademonstrował też Vimesowi umiejętność rzucenia zwykłym nożem do ryb tak, że trudno było potem wyrwać ostrze ze ściany. W takich chwilach Vimes lubił, gdy kamerdyner potrafił takie rzeczy.

–Przepraszam, sir – odezwał się z tyłu Detrytus. – Mogę na słowko? W sprawie osobistej...

–Tak, oczywiście.

–Ja, tego, no... mam nadzieję, że co zem powiedział wczoraj w areszcie, to nie za bardzo...

–Nie pamiętam ani słowa, sierzanie – przerwał mu Vimes.

Detrytus przyjął to z ulgą.

–Dziękuję, sir. E... bo ja bym chciał zabrać ze sobą młodego Cegle, sir. Nie ma tu krewnych, nie wie nawet, z jakiego jest klanu. Jak go spuszcze z oka, znowu się w coś wpakuje. I nigdy nie widział gor. Nawet za miastem nigdy nie był!

Troll patrzył błagalnie. Vimes przypomniał sobie, że jego małżeństwo z Ruby jest szczęśliwe, ale bezdzietne.

–Wiesz, ciężar chyba nie będzie problemem – przyznał. – No dobrze. Ale będziesz na niego uważał, jasne?

–Tajest, sir! – wykrzyknął radośnie Detrytus. – Sie postaram, coby pan nie żalował, sir!

–Sam, śniadanie! – zawolala Sybil od drzwi.

Vimesa ogarnelo straszne podejrzenie. Podbiegl do drugiego powozu, gdzie Marchewa mocowal ostatni kufer.

–Kto pakowal jedzenie? Sybil?

–Chyba tak, sir.

–Czy byly tam... owoce? – Vimes postanowil zmierzyc sie z najgorszym.

–Wydaje mi sie, ze tak, sir. Nawet sporo. I jarzyn.

–Ale tez troche bekonu, prawda? – Vimes niemal blagal. – Bardzo dobry na dlugie podroze jest bekon. Dobrze sie wozi.

–Obawiam sie, sir, ze dzisiaj zostaje w domu – stwierdzil Marchewa. – Musze pana uprzedzic, sir, ze lady Sybil odkryla ustalenia dotyczace kanapek z bekonem. Kazala panu przekazac, ze zabawa skonczona, sir.

–Ja tu jestem komendantem, jak pan wie, kapitanie – oznajmil Vimes z cala godnoscia, na jaka bylo go stac z pustym zoladkiem.

–Tak jest, sir. Ale lady Sybil potrafi w bardzo spokojny sposob byc stanowcza.

–Potrafi, prawda? – mruknal Vimes, kiedy z Marchewa szli wolno w strone budynku. – Mialem ogromne szczescie – dodal jeszcze na wypadek, gdyby kapitan odniosl niewlasciwe wrazenie.

–Tak, sir. Rzeczywiscie pan mial.

–Kapitanie!

Odwrocili sie. Ktos wszedl szybkim krokiem przez brame. Mial na plecach umocowane dwa miecze.

–Aha, funkcjonariusz specjalny Hancock – stwierdzil Marchewa, ruszajac mu na spotkanie. – Macie cos dla mnie?

–Eee... Tak, kapitanie. – Hancock zerknal nerwowo na komendanta.

–To oficjalna sprawa, Andy – uspokoil go Vimes.

–Niewiele tego jest, sir, ale troche popytalem. Mloda dama wyslala w zeszlym tygodniu co najmniej dwie autokodowane wrzutki do Bzyku. To znaczy, ze sekar trafia do glownej wiezy i zostaje przekazany kazdemu, kto zjawi sie z odpowiednia

autoryzacja. Nie musimy wiedzieć, kto to taki.

–Dobra robota – pochwalili go Marchewa. – Jakis rysopis?

–Młoda dziewczyna z krótkimi włosami. Tylko tyle udało mi się ustalić. Podpisywała wiadomości "Aicalas".

Vimes wybuchł śmiechem.

–To chyba zamyka kwestię. Bardzo wam dziękuję, funkcjonariuszu specjalny Hancock.

–Przestępstwa sekarowe będą coraz większym problemem, sir – oświadczył śmiejąc Marchewa, kiedy znów zostali sami.

–Bardzo możliwe, kapitanie – zgodził się Vimes. – Ale w tej chwili wiemy, że nasza Sally nie jest z nami całkiem szczerą.

–Nie ma pewności, że to ona, sir.

–Nie? – zdziwił się ucieszony Vimes. – To naprawdę zabawne. Chodzi o jedną z mniej znanych słabości wampirów. Nikt nie wie, skąd się to bierze. Należy do tej samej grupy, co wielkie okna w zamku albo łatwe do zerwania zasłony. Choćby nie wiadomo jak wampir był sprytny, nie potrafi uwierzyć, że ktoś rozpozna jego imię, jeśli będzie zapisane wspak. Idziemy.

Vimes już miał wejść do budynku, gdy zauważył krasnoluda czekającego cierpliwie przy drzwiach. Wyglądającego, jakby był całkiem zadowolony z czekania.

Vimes westchnął. Pertraktuje bez topora w dłoni, tak?

–Śniadanie, panie Niesmialsson? – zaproponował.

–Pamiętasz, kiedy ostatnio byliśmy na wakacjach, Sam? – zapytała Sybil godzinę później, kiedy powozy ruszyły do bram miasta.

–To właściwie nie były wakacje, moja droga – stwierdził Vimes.

Nad nimi Młody Sam kołysał się w małym hamaku i gaworzył.

–W każdym razie były bardzo ciekawe.

–Tak, moja droga. Wilkolaki próbowały mnie zjeść.

Vimes oparł się wygodnie. Powóz miał miękką tapicerkę i dobre resory. W tej chwili, kiedy sunął w ulicznym ruchu, magiczna utrata ciężaru była praktycznie niezauważalna. Czy będzie miała znaczenie? Jak szybko może podróżować banda starych krasnoludów? Jeśli naprawdę wzięli ciężki wóz, to powinni ich dogonić już jutro, gdy góry będą jeszcze ciągle daleką perspektywą. A tymczasem może przynajmniej trochę odpocząć.

Wyjął podniszczoną książeczkę zatytułowaną "Pieszko przez dolinę Koom" autorstwa Erica Wheelbrace'a – człowieka, który w Bliskich Ramtopach przeszedł chyba wszystko, co było szersze od ówczesnej ścieżki*. W książce zamieszczono mapę – jedyną realną mapę doliny Koom, jaką Vimes widział. Eric nie był złym rysownikiem.

Dolina Koom była... No, dolina Koom była w zasadzie sciekiem, niczym więcej – prawie trzydzieści mil miękkiego wapienia otoczonego gorami z twardszej skały, więc to, co powstało, można by nazwać wąwozem, gdyby nie było tak szerokie. Jeden koniec sięgał niemal linii wiecznych śniegów, drugi wtapiał się w równinę.

Podobno nawet chmury trzymają się z dala od tego pustkowia, jakim jest dolina Koom. Może i tak, ale to bez znaczenia. Dolina zbiera wodę z topniejących śniegów i z setek wodospadów spływających po jej ścianach z otaczających gór. Jeden z nich, Lzy Króla, ma pół mili wysokości.

Rzeka Koom nie tylko płynie przez dolinę. Także skacze i tanczy. Zanim dociera do połowy drogi, jest płatanina grzmiących potoków, bezustannie łączących się i rozdzielających. Ich wody niosą i toczą wielkie glazy, bawią się całymi przewróconymi drzewami z wilgotnych lasów, które porosły piargi usypane przy skałach. Strumienie z bulgotem wpadają do otworów w ziemi i całe mile dalej wypływają znowu jako źródła. Nie mają określonych koryt – silniejsza burza w górach może falą powodziścią skłonić skalne bloki wielkości domu albo połowę wyrwanego lasu, tworząc tamy. Niektóre potrafią przetrwać długie lata, stają się niewielkimi wyspami wśród bystrych wód, miejscem dla małych zagajników, niedużych łak i kolonii wielkich ptaków. A potem przypadkowy prąd przesunie jakąś kluczową skałę i w ciągu godziny wszystko zniknie.

W dolinie nie żyło nic, co nie umiało latać – w każdym razie nie za długo. Krasnoludy próbowały ją poskromić jeszcze przed pierwszą bitwą, ale nic z tego nie wyszło. Setki krasnoludów i trolli zmyła sławna powódź; wielu nigdy nie odnaleziono. Dolina Koom wciągnęła wszystkich w swe sploty, do swych komór i pieczar, i tam zatrzymała.

Były w dolinie takie miejsca, gdzie wrzucony do wiru korek po dwudziestu minutach wypływał ze źródła pięć sążni dalej.

Vimes wyczytał, że sam Eric widział te sztuczki w wykonaniu przewodnika, który

zazadał za pokaz pol dolara. O tak, ludzie odwiedzali doline – turysci, poeci i malarze szukajacy natchnienia w tym surowym, okrutnym pustkowiu. Byli tez przewodnicy, ktorzy prowadzili ich tam za solidna oplata, a za pare dodatkowych dolarow opowiadali dziwna historie. Mowili, ze wiatr w skalach i ryk wod niosa odglosy pradawnej bitwy, trwajacej nawet po smierci. To trolle i krasnoludy nadal walczą w dole, w mrocznym labiryncie jaskin i huczacych strumieni.

Pewien przewodnik wyznal Ericowi, ze w dzieciństwie, podczas chlodnego lata, kiedy sniegi nie topnialy szybko i wody byly dosc niskie, opuscil sie na linie do jednego ze splywow (poniewaz, jak wszystkie takie opowiesci, historia doliny Koom nie bylaby pelna bez legend o czekajacych w ciemnosci wielkich skarbach) i sam uslyszal ponad szumem wody odglosy bitwy i wolania krasnoludow, nie, sir, naprawde, sir, krew mi stezala, sir, naprawde, och, serdecznie dziekuje, sir...

Vimes wyprostowal sie gwałtownie.

Czy to prawda? Gdyby ten czlowiek posunal sie troche dalej, czy znalazlby maly gadajacy szescian, ktory Methodia Rascal na wlasne nieszczescie zabral do domu? Eric zlekcewazyl te opowiesc, uznal ja za probe wyludzenia kolejnego dolara i pewnie mial racje, ale... Nie, szescianu na pewno juz dawno tam nie ma. Mimo to mysl byla intrygujaca.

Odsunela sie klapka w okienku woznicy.

–Jestesmy za miastem, sir, przed nami pusta droga – zameldowal Willikins.

–Dziekuje. – Vimes przeciagnal sie i spojrzal na Sybil. – No wiec teraz sie przekonamy. Pilnuj Mlodego Sama.

–Mustrum nie narazilby Sama na zadne niebezpieczenstwo oswiadczyła Sybil.

–Tego nie jestem pewien. – Vimes otworzyl drzwiczki. – Na pewno by tego nie chcial.

Z niewielka pomoca Detrytusa podciagnal sie na dach.

Powoz sunal gladko. Swiecilo slonce. Po obu stronach traktu kapusciane pola zasnuwaly powietrze swym delikatnym aromatem.

Vimes usadowil sie obok kamerdynera.

–Gotowe – powiedzial. – Wszyscy sie czegos trzymaja? Dobrze. Pogon je.

Willikins strzelil z bata. Nastapilo lekkie szarpniecie, gdy konie wyciagnely nogi. Vimes poczul, ze przyspieszyli.

I to chyba było wszystko. Spodziewał się czegoś bardziej niezwykłego. Jechali stopniowo coraz szybciej, ale samo w sobie nie wydawało się to specjalnie magiczne.

–Robimy jakieś dwanaście mil na godzinę, sir – oświadczył Willikins. – To całkiem niezłe. Dobrze biega bez...

Cos się działo z uprzeczami. Miedziane dyski iskrzyły.

–Proszę spojrzeć na kapusty, sir! – zawołał Detrytus.

Po obu stronach drogi główki kapusty wybuchały płomieniem i wystrzeliwały z ziemi. A konie pedziły coraz szybciej.

–Chodzi o moc! – zawołał Vimes, przekrzykując wiatr. – Jedziemy na kapustach! I jeszcze...

Urwał. Dwa tylne konie delikatnie uniosły się w powietrze. A zaraz potem uniosła się też para prowadząca.

Zaryzykował i obejrzał się. Drugi powóz dotrzymywał tempa – Vimes wyraźnie widział różową twarz Freda Colona szedła w wyrazie grozy.

Kiedy znowu się odwrócił i spojrzal przed siebie, wszystkie konie biegły już ponad gruntem.

A z nimi biegł też piąty kon, większy i przezroczysty. Był widoczny tylko dzięki obłokom kurzu i z rzadka błyskowi światła na boku. Tak naprawdę był tym, co powstaje, jeśli zabierze się konia, ale pozostawi ruchy konia, prędkość konia... ducha konia, tę część konia, która ożywa w pedzie wiatru. Te, która w rzeczywistości jest Koniem.

Panowała niemal całkowita cisza. Zapewne dźwięk nie mógł nadążyć.

–Sir... – odezwał się Willikins.

–Tak? – Vimesowi łzawiły oczy.

–Ostatnia mila zajęła nam niecała minuta. Mierzyłem czas między kamieniami milowymi, sir.

–Szescdziesiąt mil na godzinę? Nie szalej, człowieku! Powóz nie może tak szybko jechać!

–Skoro pan tak twierdzi, sir...

Obok przemknął kolejny kamień milowy. Katem ucha Willikins słyszał, jak Vimes

liczy pod nosem, aż do chwili, kiedy niezbyt długo potem mineli następny kamień.

–Magowie, co? – powiedział Vimes słabym głosem, znowu wpatrując się przed siebie.

–W samej rzeczy, sir – zgodził się Willikins. – Czy mogę zaproponować, by po minieciu Quirmu skierować się na przelaj przez równiny?

–Drogi są tam dość fatalne...

–Tak słyszałem, sir. Jednakże nie będzie to miało znaczenia.

–Czemu? Jeśli spróbujemy jechać z taką prędkością po wybojach...

–W ten pośredni sposób odnosilem się do faktu, sir, że ściśle mówiąc, nie jedziemy już po ziemi.

Vimes mocno złapał reling i wychylił się na bok. Kola obracały się powoli. Droga pod nimi zmieniła się w rozmazaną smugę. A przed nimi cwałował duch konia.

–Wokół Quirmu jest sporo zajazdów, prawda? – zapytał. – Moglibyśmy zatrzymać się na obiad?

–Na późne śniadanie, sir! Przed nami dylizans pocztowy! Proszę się mocno trzymać!

Nieduży kwadratowy klocek na drodze powiększał się szybko. Willikins delikatnie szarpnął lejce, przez moment Vimes miał wizję stojących dęba koni, a potem dylizans był już tylko znikającym punktem, wkrótce przesłoniętym przez dymy płonącej kapusty.

–Te kamienie milowe migają bardzo szybko, sir – zauważył swobodnie Detrytus.

Za nim Cegła leżał na dachu powozu, mocno zaciskając powieki; wokół dachu biegła mosięzna barierka i Cegła zostawiał na niej odciski palców.

–Może spróbujemy hamulców? – spytał Vimes. – Uwaga! Wóz!

–Tylko koła przestały się krecić! – zawołał Willikins, gdy wóz z sianem przemknął obok z szumem i zniknął z tyłu.

–Spróbuj trochę ściągnąć lejce!

–Przy tej prędkości, sir?

Vimes odsunął klapkę za sobą. Sybil trzymała Młodego Sama na kolanie i wciągała

mu przez głowę welniany sweterek.

–Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał niepewnie.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

–Cudowna, płynna jazda, Sam. Ale czy nie pedzimy trochę za szybko?

–Czy mogłabys usiąść plecami do koni? I mocno trzymać Młodego Sama? Może być trochę... wyboiszcie.

Zaczekał, aż się przesiądzie. Potem zasunął okienko i krzyknął do Willikinsa:

–Już!

Zdawało się, że nic się nie dzieje. W opinii Vimesa kamienie milowe przemykały obok z cichym "zzzip! zzzip!".

A potem pedzacy świat zwolnił, na polach z obu stron setki plonących główek kapusty strzeliły w niebo, wlokąc za sobą smugi oleistego dymu. Kon z powietrza i światła zniknął, a prawdziwe konie opadły delikatnie ku drodze, przechodząc bez potknięcia od mknących w powietrzu posagów do zwierząt w pełnym cwale.

Usłyszeli krótki krzyk, gdy drugi powóz przemknął obok i skreślił na pole kalafiorów, gdzie w końcu stanął wśród dźwięków mlaskania kół. I nastąpił bezruch, zakłócony jedynie z rzadka głuchym uderzeniem spadającej kapusty. Detrytus pocieszał Cegle, który tak zeszywniał z przerażenia, że przypominał zamrożony glaz.

Bezpieczny ponad zagonami kapusty, pod błękitnym niebem śpiewał skowronek. W dole, pomijając jęki Cegly, panowała cisza.

Vimes z roztargnieniem schylił się do helmu na wpol ugotowany liść i rzucił go na bok.

–Nieźła zabawa – oświadczył nieco oszołomiony. Zsiadł ostrożnie i otworzył drzwiczki. – Wszystko w porządku? – zapytał.

–Tak – uspokoiła go Sybil. – Czemu się zatrzymaliśmy?

–Skonczyło się... no, skonczyło się po prostu – odparł Vimes. – Sprawdź, czy nikomu nic się nie stało.

Kamień milowy w pobliżu informował, że od Quirmu dzieli ich jeszcze dwie mile. Vimes wyciągnął z kieszeni Gooseberry'ego. Obok pacnęła o ziemię rozgrzana do czerwoności kapusta.

–Dzień dobry! – powitał wesole zdumionego chochlika. – Która jest teraz godzina?

–No... za dziewięć minut osma, Wstaw Swoje Imię.

–To daje nam trochę powyżej mili na minutę... – mruknął Vimes. – Całkiem niezłe.

Chwiejnie jak lunatyk przeszedł na pole po drugiej stronie drogi i ruszył pasem zgniecionych, parujących jarzyn, aż dotarł do drugiego powozu. Wsiadali z niego ludzie.

–Wszyscy cali? – zapytał. – Na śniadanie dzisiaj mamy gotowana kapusta, pieczona kapusta i smazona kapusta... – Odsunął się zrecznie, gdy parujący kalafior uderzył o ziemię i eksplodował. – I kalafiorowa niespodzianka. Gdzie Fred?

–Szuka spokojnego miejsca, żeby zwymiotować – poinformowała Angua.

–Zuch. Odpoczniemy tu minutkę czy dwie...

Po czym Sam Vimes podszedł do kamienia milowego, usiadł, objął go oburącz i tulił do siebie, dopóki nie poczuł się lepiej.

W ten sposób możemy dogonić krasnoludy, na długo zanim dotrą do doliny Koom. Wielkie nieba, z taką prędkością trzeba uważać, żeby nie wjechać w nich od tyłu!

Ta myśl nekala go, gdy Willikins w bardzo spokojnym tempie wyprowadził powóz z Quirmu, a potem, na pustym odcinku drogi, uwolnił ukrytą moc i teraz pedzili jakieś czterdzieści mil na godzinę. Wydawało się, że to dostatecznie szybko.

W końcu nikomu nic się nie stało. A do doliny Koom dojadą jeszcze przed wieczorem.

Owszem, ale nie taki był plan.

No dobra, myślał, ale jaki właściwie jest ten plan? Oczywiście, bardzo pomocny okazał się fakt, że Sybil znalazła właściwie wszystkich, a dokładniej każdego, kto był kobietą w odpowiednim wieku i kto uczęszczał do Quirmskiej Pensji dla Młodych Panien w tym samym czasie co ona. Takich osób były chyba setki. Zdawało się, że wszystkie noszą takie imiona, jak Kroliczek albo Babelek, starannie utrzymują kontakty, są zonami wpływowych lub potężnych mężczyzn, wszystkie sciskają się nawzajem przy spotkaniu i wspominają piękne czasy w klasie 3b czy coś w tym stylu. Gdyby działały wspólnie, mogłyby rządzić światem. Albo – co przychodziło czasem Vimesowi do głowy – już to robiły.

Były to Damy, które Organizują.

Vimes bardzo się starał, ale nie potrafił się zorientować w ich liczbie. Łaczyła je sieć korespondencji i zawsze zdumiewała go zdolność Sybil, by martwić się kłopotami z dzieckiem kobiety, która ostatnio spotkała dwadzieścia pięć lat temu; dzieckiem, którego nie widziała na oczy. Kobiety już takie są.

Teraz mieli się zatrzymać w miasteczku niedaleko ujścia doliny, u damy znanej mu obecnie jako Pusia, której mąż był lokalnym sędzią pokoju. Według Sybil mieli tam własne siły policyjne. W zaciśniętej głowie Vimes przetłumaczył to na "własna banda lajdackich, bezzebnych i cuchnących łapaczy", ponieważ takie właśnie grupy spotykało się zwykle w małych miasteczkach.

Poza tym... nie miał żadnych planów. Zamierzał odszukać krasnoludy, jak najwięcej z nich wylapać i przewieźć do Ankh-Morpork. To jednak była intencja, nie plan. Ale bardzo stanowcza intencja. Zamordowano pięciu ludzi. Od czegoś takiego nie można się odwrócić plecami. Zaciągnie ich z powrotem, zamknie, rzuci w nich wszystkim, co ma, i zobaczy, co się przyklei. Nie sądził, żeby mieli jeszcze zbyt wielu przyjaciół. Oczywiście, wejdzie w to polityka, zawsze wchodzi, ale przynajmniej wszyscy będą wiedzieli, że zrobił, co mógł, a to najlepsze, na co można liczyć. Przy odrobinie szczęścia zniechęci to wszystkich innych do takich głupich pomysłów. Pozostawał jeszcze ten nieszczęsny sekret, ale przyszło mu do głowy, że jeśli go znajdzie i sekret okaże się dowodem, że to krasnoludy wciągnęły w zasadzkę trolle albo trolle wciągnęły w zasadzkę krasnoludy, albo obie strony zwały się w zasadzkę równocześnie, no to równie dobrze może go upuścić do jakiejś dziury. Nic się właściwie nie zmieni. Mała jest szansa, że będzie to garniec złota – ludzie rzadko zabierają na pole bitwy pieniądze, bo niewiele można tam za nie kupić.

W każdym razie początek był niezły. Udało im się wyrwać nieco straconego czasu. Mogli teraz utrzymywać mocne tempo i zmieniać konie w każdym zajezdzie, prawda? Ale właściwie czemu próbował sam siebie przekonywać? Rozsadek nakazywał jechać wolniej. Szybka jazda jest niebezpieczna.

–Jeśli utrzymamy tempo, możemy być na miejscu pojutrze, prawda? – zwrócił się do Willikinsa, kiedy jechali między łąkami młodej kukurydzy.

–Skoro tak pan uważa, sir – odparł Willikins.

Vimes wyczuł dyplomatyczny ton.

–A ty nie uważasz? – spytał. – Powiedz szczerze!

–No więc, sir, te krasnoludy starają się dostać tam jak najszybciej, prawda?

–Pewnie tak. Na pewno nie chcą zwlekać. I co?

–I jestem trochę zdziwiony, sir, że pańskim zdaniem będą korzystać z drogi.

Przecież mogą użyć miotła, prawda?

– Chyba tak – przyznał Vimes. – Ale nadrektor by mi powiedział, gdyby czegoś takiego próbowali.

– Za pozwoleniem, sir, czemu niby miałby cokolwiek wiedzieć? Oni nie musieli przecież zwracać się do dzentelmenów z uniwersytetu. Wszyscy wiedzą, że najlepsze miotły produkuje krasnoludy z Miedzianki.

Powóz toczył się dalej.

Po chwili Vimes odezwał się tonem człowieka głęboko zamyslnego.

– Musieliby jednak lecieć tylko nocą. Inaczej ktoś by ich zauważył.

– Szczerą prawdą, sir – zgodził się Willikins, obserwując drogę.

Znowu zapadła cisza wypełniona intensywnym myśleniem.

– Myślisz, że czymś takim da się przeskakiwać ogrodzenia? – spytał Vimes.

– Z przyjemnością to sprawdzę, sir. Wydaje mi się, że magowie dobrze wszystko przemyśleli.

– A jak szybko to pojedzie, tak z ciekawości?

– Nie wiem, sir. Ale mam przecucie, że bardzo szybko. Sto mil na godzinę, być może?

– Naprawdę tak sądzisz? To znaczy, że za parę godzin byłibyśmy już w połowie drogi.

– No, mówił pan przecież, sir, że chce tam dotrzeć szybko.

Tym razem milczenie trwało dłużej. W końcu Vimes odezwał się znowu.

– No dobrze, zatrzymaj się gdzieś. Chce, żeby wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, co zamierzamy zrobić.

– Z przyjemnością, sir – odparł Willikins. – Skorzystam z okazji, żeby uwiązać sobie kapelusz.

Vimes najlepiej zapamiętał z całej podróży – a tak wiele z niej chciałby zapomnieć – ciszę. I miękkość.

Pewnie, czuł wiatr na twarzy, ale lekki, choć ziemia w dole była już tylko płaska, zielona smuga. Powietrze kształtowało się jakos przed powozem, bo kiedy Vimes na próbe podniósł kawalek papieru o stope nad głową, podmuch natychmiast wyrwał mu go z ręki.

Kukurydza też wybuchała. Przy zbliżaniu się powozu zielone pedy wyskakiwały z ziemi jak ciągnięte z dużą siłą, a potem eksplodowały niczym fajerwerki.

Pas upraw kukurydzy przeszedł w regiony hodowli bydła, kiedy odezwał się Willikins.

–Wie pan, sir, on sam się steruje. Proszę spojrzeć.

Opuszczył lejce, widząc zbliżający się zagajnik. Krzyk ledwie zdążył się uformować w krtani Vimesa, gdy powóz zatoczył łuk wokół lasu i delikatnie skrecił, wracając na początkowy kurs.

–Nie rob tego więcej, proszę.

–Oczywiście, sir. Ale powóz sam sobą steruje. Nie sadzę, żeby udało się go zmusić do zderzenia z czymkolwiek.

–Nie próbuj – ostrzegł szybko Vimes. – I przysięglbym, że widziałem za nami wybuchająca krowa! Trzymaj nas z daleka od ludzi i miasteczek, dobrze?

Za powozem rzepy i kamienie wyskakiwały w powietrze, a potem toczyły się we wszystkie strony. Vimes miał nadzieję, że nie będą mieli przez to kłopotów*.

Inne zjawisko, jakie zauważył, to że pejzaz przed nimi był dziwnie niebieskawy, a z tyłu zyskiwał wyraźnie czerwony odcień. Wolął o tym nie wspominać, na wypadek gdyby brzmiało zbyt dziwacznie.

Dwa razy musieli się zatrzymać, by spytać o drogę, a o wpół do szóstej znaleźli się dwadzieścia mil od doliny Koom. Był tam zajazd. Usiedli na dziedzińcu. Nikt się właściwie nie odzywał. Oprócz Willikinsa, który najwyraźniej kochał prędkość, jedynymi osobami, którymi ta podróż nie wstrząsnęła, byli Sybil i Młody Sam, wyraźnie całkiem zadowolony, oraz Detrytus, który z niezwykłą uciechą patrzył, jak świat pedzi obok. Cegła wciąż leżał twarzą w dół na dachu powozu i trzymał się z całej siły.

–Dziesięć godzin... – rzekł Fred Colon. – W tym obiad i przystanek, kiedy nam było niedobrze. Trudno uwierzyć...

–Ludzie nie powinni tak szybko jeździć – jeknął Nobby. – Mój mózg jest chyba jeszcze w domu!

–Wiesz, Nobby, jeśli mamy czekać, aż nas dogoni, to może kupię dom w okolicy, co?

Nerwy są napięte, umysły biegną z tyłu... Dlatego właśnie nie lubię magii, myślał Vimes. Ale jesteśmy tutaj i to zadziwiające, jak piwo w zajezdzie pomaga odzyskać spokój.

–Może nawet uda się jeszcze rzucić okiem na dolinę Koom przed zmrokiem – oświadczył do wtoru ogólnych jeźców.

–Nie, Sam! Wszyscy potrzebują posiłku i odpoczynku – stwierdziła Sybil. – Pojedźmy do miasta jak porządni ludzie, miło i powoli, a wszyscy jutro będziemy jak nowi.

–Lady Sybil ma rację, komendancie – zgodził się Niesmialsson. – Nie radziłbym odwiedzania doliny noca, nawet o tej porze roku. Bardzo łatwo się zgubić.

–W dolinie? – zdziwił się Vimes.

–O tak, sir – poparła grąga Cudo. – Zobaczysz pan dlaczego, sir. A przede wszystkim jeśli człowiek się zgubi, to ginie.

W czasie spokojnej jazdy do miasta, i ponieważ była już szósta, Vimes przeczytał Młodemu Samowi "Gdzie jest moja krowka". Właściwie był to wspólny wysilek. Cudo uprzejmie podłożyła dzwinki kur – dziedzina, w której Vimes miał pewne braki. Detrytus wygłosił "Hruumgh!", które zatrzęsło oknami. Grąg Niesmialsson, wbrew ogólnym oczekiwaniom, całkiem sprawnie naśladował świnkę. Dla Młodego Sama, oglądającego to wszystko wielkimi jak spodki oczami, był to Spektakl Roku.

Pusia nie spodziewala sie ich tak szybko, ale Damy, ktore Organizuja, rzadko bywaja zaskoczone zbyt wczesnym przybyciem gosci. Okazalo sie, ze Pusia jest w rzeczywistosci Berenice Waynesbury, ku powszechnej uldze, z domu Mousefather, ze ma zamezna corke mieszkajaca pod Quirmem i syna, ktory wskutek kompletnego nieporozumienia musial w pospiechu wyjechac do Czteriksow, ale teraz zajal sie hodowla owiec, no i miala nadzieje, ze Sybil, i jego laskawosc oczywiscie, beda mogli zostac do soboty, bo zaprosila chyba wszystkich, a czy mlody Sam nie jest po prostu cudowny... i tak dalej, az do "...i oczyscilismy jedna ze stajni dla waszych trolli" wypowiedziane z radosnym usmiechem.

Zanim Sybil lub Vimes zdazyli powiedziec choc slowo, Detrytus zdjal helm i sklonil sie grzecznie.

–Bardzo pani dziekujemy – rzekl z powaga. – Wie pani, ludzie czasem zapominaja je wczesniej sprzatnac. Te drobiazgi robia roznice.

–No... dziekuje – rzekla Pusia. – To czarujace. Ja... no, jeszcze nigdy nie widzialam trolla noszacego ubranie...

–Mogem je zdjac, jak pani woli – zapewnil Detrytus.

W tym miejscu Sybil delikatnie ujela Pusie pod ramie.

–Chodz, przedstawie ci pozostalych – zaproponowala.

Pan Waynesbury, sedzia pokoju, nie byl takim lapownikiem, jakiego spodziewal sie Vimes. Wysoki, chudy, niewiele mowil; w domu zwykle przebywal w gabinecie pelnym ksiazek prawniczych, fajek i ekwipunku wedkarskiego. Rankami wymierzal sprawiedliwosc, popoludniami lowil. Laskawie wybaczył Vimesowi calkowity brak zainteresowania muchami.

Miasteczko Ham-nad-Koom utrzymywalo sie z rzeki. Kiedy Koom splywala na rowniny, rozszerzala sie i zwalniala, bardziej pelna ryb niz puszka sardynek. Po obu jej stronach ciagnely sie mokradla z glebokimi, ukrytymi jeziorami, gdzie zyly i zywily sie niezliczone ptaki.

Aha... i byly czaszki.

–Jestem tez koronerem – poinformowal Vimesa pan Waynesbury, otwierajac drzwi szafki pod biurkiem. – Kazdej wiosny znajdujemy troche kosci niesionych przez wode az tutaj. Glownie turystow, oczywiscie. Niestety, oni naprawde nie chca sluchac rad. Ale czasem trafiaja sie objekty bardziej... historycznej natury.

Na krytym skora blacie polozyl czaszke krasnoluda.

–Ma okolo stu lat. Z ostatniej wielkiej bitwy, mniej wiecej sto lat temu. Niekiedy trafi sie tez kawalek zbroi. Wszystko skladamy w kostnicy. Od czasu do czasu krasnoludy albo trolle zjawiaja sie z wozkiem, sortuja znaleziska i wywoza swoja czesc. Traktuja to bardzo powaznie.

–Jakis skarb? – spytal Vimes.

–Ha... Nic, o czym by mi powiedziano. A uslyszalbym, gdyby to bylo cos duzego. – Sedzia westchnal. – Co roku przybywaja poszukiwacze. Niektorzy maja szczescie.

–Znajduja zloto?

–Nie, ale wracaja zywi. A inni? Kiedy przyjdzie czas, woda wynosi ich z jaskin. – Ze stojaka na biurku wybral fajke i zaczal ja nabijac. – Jestem zdumiony, ze ktokolwiek uznaje za konieczne zabieranie ze soba broni. Dolina zabija czlowieka dla kaprysu. Wezmie pan ktoregos z moich chlopakow, komendancie?

–Mam wlasnego przewodnika – odparl Vimes i dodal: – Ale dziekuje panu.

Sedzia Waynesbury pyknal z fajki.

–Jak pan sobie zyczy, naturalnie – rzekl. – W kazdym razie bede obserwowal rzeke.

Angue i Sally polozono we wspolnej sypialni. Angua starala sie przyjac to z humorem. Gospodyni przeciez nie powinna sie niczego domyslic. Poza tym przyjemnie bylo polozyc sie w czystej poscieli, nawet jesli pokoj odrobine pachnial stechlizna. Wiecej stechlizny, mniej wampira, myslala; patrzmy na to od jasnieszej strony.

W ciemnosci otworzyla jedno oko.

Ktos przesuwal sie cicho po pokoju. Nie wydawal dzwieku, ale jego przejście poruszalo powietrze i zmienialo delikatna fature nocnych odglosow.

Teraz stal przy oknie. Bylo zamkniete, a cichy zgrzyt to pewnie odciagana zasuwka.

Latwo bylo stwierdzic, kiedy okno sie otworzylo – do pokoju wlaly sie nowe zapachy.

Nastapil trzask, ktory moze tylko wilkolak mogl uslyszec, a potem nagly szelest wielu skorzastych skrzydel. Malenkich skorzastych skrzydel.

Co za bezczelna dziewczyna! Moze juz jej nie zalezy? Nie warto jej gonic. Angue kusilo, by zamknac okno i zaryglowac drzwi, bo ciekawe, jakie Sally wymysli usprawiedliwienie, ale zrezygnowala z tego pomyslu. I na razie nie warto nic mowic panu Vimesowi. Co moglaby udowodnic? Wszystko przypisza niecheci wilkolakow wobec wampirow...

Dolina Koom rozciagala sie przed Vimesem i teraz rozumial, czemu nie przygotowal zadnych planow. Nie mozna bylo kreslic planow dla doliny Koom. Wymialaby je. Odepchnelaby je tak, jak odpychala drogi.

–O tej porze roku wyglada najlepiej – wyjasnila Cudo.

–Najlepiej to znaczy, ze...? – zachecil ja Vimes.

–No wiec nie probuje nas fizycznie zamordowac, sir. I sa ptaki. A kiedy slonce jest w odpowiednim miejscu, pojawiaja sie cudowne tecze.

Ptakow bylo mnostwo. Owady mnozyly sie jak szalone w szerokich, plytkich jeziorach i rozlewiskach, ktore pozna wiosna lezaly gesto na dnie doliny. Wiekszosc pewnie wyschnie do poznego lata, ale na razie dolina Koom byla prawdziwym zimnym bufetem pelnym bzyzacych stworzen. Ptaki przylatywaly z rownin tutaj na uczte. Vimes nie znal sie specjalnie na ptakach, ale te wygladaly jak jaskolki – miliony jaskolek. Ich gniazda byly na niedalekim urwisku i dochodzil stamtad glosny swiergot. Tu i tam spomiedzy spietrzonych drzew i kamieni strzelaly mlode pedy i rosly liscie.

Ponizej waskiej sciezki, ktora szli, z licznych jaskin wplywaly strumienie i laczyly sie w jeden dziki wodospad siegajacy rownin.

–Wszystko jest takie... zyjace – stwierdzila Angua. – Myslam, ze zobaczymy tylko nagie skaly.

–Tak to wyglada na polu bitwy – powiedzial Detrytus. Krople wody blyszczaly na jego skorze. – Tata mnie tu zabral, jakzesmy odchodzili do miasta. Pokazal mi te wszystkie skaly, przylozyl po lbie i powiedzial "Pamietaj".

–Co pamietaj? – zainteresowala sie Sally.

–Nie mowil. No wiec ja tak jakby zem pamietal ogolnie.

Nie spodziewalem sie tego, myslal Vimes. Jest taka... chaotyczna. No trudno, wyjdzmy chociaz spod tego urwiska. Te potwornie wielkie glazy skads sie tutaj wzily.

–Czuje dym – oznajmiła po chwili Angua.

–To ogniska w górnej części doliny – uznała Cudo. – Pierwsi przybysze, jak sadze.

–Chcesz powiedzieć, że ustawiają się w kolejce, żeby mieć miejsca w bitwie? – zdziwił się Vimes. – Uważaj na ten glaz, jest sliski.

–O tak. Walka nie zacznie się przed Dniem Doliny Koom. To jutro.

–Do licha, zgubiłem szlak. To jakos wpłynie na nas tutaj, w dole?

Niesmialsson odchrząknął uprzejmie.

–Nie wydaje mi się, komendancie. Ten region jest zbyt niebezpieczny, żeby tu walczyć.

–Tak, widzę. Byłoby straszne, gdyby ktoś zrobił sobie krzywdę. – Vimes wspiał się na podłużny stos gnijącego drewna. – Coś takiego mogłoby wszystkim popsuć cały dzień.

Rekreacja historyczna, myślał ponuro, kiedy wybierali drogę w poprzek, nad, pod albo przez glazy i brzezace od owadów stosy polamanego drewna, wśród płynących wszędzie strumyków. Tylko że my to robimy z ludźmi, którzy się przebierają i biegają dookoła ze stepioną bronią, kiedy inni sprzedają kielbaski w bulce, a dziewczęta wszystkie są nieszczęśliwe, bo mogą się przebierać tylko za ładacznicę, jako że ładacznicą była jedynym fachem dostępnym wtedy dla kobiet.

Ale krasnoludy i trolle walczą naprawdę. Tak jakby wierzyli, że kiedy stoczą te walce dostatecznie wiele razy, w końcu ją rozstrzygną.

Na ścieżce przed nimi pojawił się wielki otwór, na wpol przesłonięty zimowymi szczatkami, ale wciąż potrafiący polknąć cały strumień, który sypiał spieniony w głąbiny. Z dołu dobiegał głośny huk. Vimes przykleknął i zanurzył palce w wodzie. Okazała się lodowato zimna.

–Proszę uważać na takie sypły, komendancie – ostrzegł Niesmialsson. – To wapien. Woda szybko go wymywa. Prawdopodobnie zobaczymy o wiele większe. Często są zakryte gnijącymi odpadkami. Proszę patrzeć, gdzie pan stawia nogi.

–Nie zatykają się?

–Ależ tak. Widział pan, jak wielkie glazy się tutaj toczą.

–To musi wyglądać jak gigantyczna gra w bilard.

–Coś w tym rodzaju, przypuszczam – potwierdził ostrożnie Niesmialsson.

Po dziesięciu minutach Vimes usiadł na kłodzie, zdjął helm, wyciągnął wielką czerwoną chustkę i wytarł czoło.

–Robi się goraco – stwierdził. – A w tej przekletej dolinie wszystko wygląda tak samo... Au!

Klepnał się w przegub.

–Komary bywają bardzo dokuczliwe, sir – przyznała Cudo. – Podobno wyjątkowo mocno kasają przed burzą.

Oboje spojrzeli w stronę gór. Drugi koniec doliny przesłaniała żółtawa mgielka, a między szczytami widzieli chmury.

–Świetnie – mruknął Vimes. – Mam wrażenie, że ugryzł mnie aż do kości.

–Nie martwiłabym się za bardzo, komendancie – pocieszyła go Cudo. – Wielka burza w dolinie Koom pamięta się do końca życia.

–Czyli całkiem niedługo, jeśli człowieka złapie – stwierdził Vimes. – Muszę przyznać, że to miejsce zaczyna mnie irytować.

Przez ten czas dogoniła ich reszta oddziału. Sally i Detrytus wyraźnie cierpieli od upalu. Wampirzyca bez słowa usiadła w cieniu wielkiego glazu. Cegła położył się przy lodowatym strumieniu i wsadził głowę do wody.

–Obawiam się, że niewiele mogę pomóc, sir – odezwała się Angua. – Wyczuwam krasnoludy, ale to właściwie tyle. Wszędzie jest za dużo tej przekletej wody.

–Może damy sobie radę bez twojego nosa.

Vimes zdjął z ramienia tubę, w której niosł rysunek Sybil. Rozwinał go i spisał konce.

–Pomóż mi, Cudo – poprosił. – Reszta może trochę odpocząć. I nie śmiećcie się.

Opuszczył sobie na głowę pierścien gór. Usłyszał kaszlniecie Angui, ale udął, że ją ignoruje.

–No dobrze... – Przesuwał sztywny papier, by prawdziwe góry widzieć tuż nad ich wyrysowanymi sylwetkami. – Tam mamy Miedziankę, a Cori Celesti tam... I bardzo ładnie pasują do obrazu. Jesteśmy już prawie na miejscu!

–Nie całkiem, komendancie – odezwał się z tyłu Niesmialsson. – Obie są prawie czterysta mil stąd. Bada wyglądać praktycznie tak samo z każdego miejsca w tej części doliny. Musi pan poszukać bliższych szczytów.

Vimes sie odwrocil.

–Jasne. A ten, ktory wyglada na calkiem pionowy po lewej stronie?

–To Krol, sir – oswiadczyla Cudo. – Jakies dziesiec mil stad.

–Naprawde? Wydaje sie blizszy.

Odnalazl szczyt na rysunku.

–A ta mala gora, o tam? Ta z dwoma czubkami?

–Nie wiem, jak sie nazywa, ale widze, o ktora panu chodzi.

–Sa za male i za blisko siebie... – mruzcil Vimes.

–Wiec niech pan idzie w ich strone, sir. Ale prosze uwazac po czym. Niech pan stawia stopy tylko na nagiej skale. Trzeba unikac wszystkich rumowisk i szczatkow. Grag ma racje, moga zaslaniac jakas dziure i moze pan sie przebic na dol.

–No dobrze. Mniej wiecej w polowie drogi miedzy nimi jest taka zabawna skala. Skieruje sie prosto na nia. A ty patrz, na czym stawiam nogi, co?

Starajac sie rowno trzymac papier, potykajac sie o kamienie i chlapiac woda w lodowatych strumykach, Vimes ruszyl dolina...

–Niech to demony porwa!

–Sir?

Wyjrzel ponad brzegiem papierowej obreczy.

–Zgubilem Krola. Zaslونil mi go ten wielki grzebien glazow. Czeka... Widze taka gore z wyrwanym z boku kawalkiem...

Wszystko wydawalo sie takie proste. I byloby proste, gdyby dolina Koom byla plaska i niezasypana smieciami niczym tor kreglowy bogow. Z niektorych miejsc musieli sie wycofywac, poniewaz przejście blokowal wal poplatanych, cuchnacych, rojacych sie od komarow galezi. Albo bariere tworzyli mur skal, dlugi jak ulica. Albo szeroki, wypelniony wodnym pylem, huczacy kociol spienionych wod, ktory gdzie indziej mialby nazwe w rodzaju Tygla Demonow, ale tutaj pozostawal bezimienny, poniewaz byla to dolina Koom, a w dolinie Koom nie wystarczalo demonow i nie mialy dostatecznie wielu tygli.

Kasaly komary, swiecilo slonce, a gnijace drewno, wilgoc i brak wiatru tworzyly lepkie bagienne wyziewy, ktore zdawaly sie oslabiac miesnie. Nic dziwnego, ze walka

się odbywała na drugim koncu doliny, myślał Vimes. Tam jest powietrze i wiatr. Przynajmniej da się wytrzymać.

Czasami trafiali na rozległy gładki teren, który wyglądał jak fragment scenerii namalowanej przez Methodie Rascala, ale pobliskie góry nie całkiem pasowały, więc znowu zagłębiali się w labirynt przejść. Okrazali przeszkody, a potem następne przeszkody na tych określnych drożkach.

W końcu Vimes usiadł na zbiegającym, wyschniętym pniu i odłożył papier.

–Musielismy to minąć – stwierdził zdyszany. – Albo Rascal niedokładnie przedstawił góry. Albo może w którejś przez ostatnie sto lat osunęła się warstwa. To możliwe. Możemy być o dwadzieścia stop od tego, czego szukamy, a i tak to przeoczyć.

Zabił komara na dłoni.

–Proszę się nie martwić, sir – pocieszyła go Cudo. – Myślę, że jesteśmy już całkiem blisko.

–Skąd ci to przyszło do głowy? – Vimes otarł czoło.

–Bo wydaje mi się, że siedzi pan na obrazie, sir. Jest bardzo brudny, ale moim zdaniem wygląda jak zwinięte płótno.

Vimes poderwał się szybko i obejrzał klode. Jeden róg tego, co wziął za żółtawą kore, odchylił się, odsłaniając po drugiej stronie farbę.

–A te paliki... – zaczęła Cudo, ale urwała, bo Vimes przyłożył palec do ust.

Rzeczywiście, leżały tu cienkie, pozbawione galezi sosnowe pianki. Pewnie by ich nie zauważył, z niczym nie skojarzył, gdyby nie było obok zwiniętego płócna.

Tamci zrobili to samo co my, pomyślał. Pewnie było im łatwiej, jeśli tylko mieli dość krasnoludów do podtrzymywania obrazu; góry były kolorowymi wizerunkami, nie tylko ołówkowymi szkicami, i na pewno przedstawionymi bardziej szczegółowo na większym płótnie. Poza tym nie spieszyło się im; wierzyli, że mają nade mną przewagę. Martwili się tylko jakimś nieszczęsnym mistycznym symbolem.

Dobyl miecza i skinął na Cudo, by szła za nim.

Czyli są tu nie tylko czarne krasnoludy, myślał, skradając się wokół skał. Na pewno nie stałyby tutaj w świetle dziennym. No to przekonajmy się, ilu trzyma wartość...

Zaden, jak się okazało. Vimes był prawie rozczarowany. Za skałami znalazł punkt, który byłby wyznaczony krzyżykiem, gdyby był tam krzyżyk.

Musieli byc naprawde pewni siebie, uswiadomil sobie Vimes. Na oko sadzac, przesuneli cale tony kamieni i drewna, czego dowodem byly lezace tam lomy.

Chwila jest wyjatkowo odpowiednia, uznal, zeby dogonili nas Angua i cala reszta.

Przed soba zobaczyl szesciostopowa dziure w ziemi. Przerzucono nad nia zelazna sztabe, umieszczona w dwoch swiezo wykutych rowkach. Z niej opadala w dol gruba lina. Z glebi dobiegal huk ciemnych wod.

–Pan Rascal musial byc odwaznym czlowiekiem, skoro tu stanal – stwierdzil Vimes.

–Podejrzewam, ze sto lat temu byl tu zakorkowany otwor – odparla Cudo.

–Wiesz co? – Vimes kopnal kamyk, ktory polecial w ciemnosc. – Moze udawaj, ze w ogole niczego nie wiem o jaskiniach, co?

–Tak sie dzieje, kiedy cos zablokuje otwor – tłumaczyla cierpliwie Cudo. – Pan Rascal musial pewnie tylko zejsc na dol na korek z odlamkow.

To jest to miejsce...

Tutaj znalazl gadajacy szescian, myslal Vimes. Nie zwazajac na protesty Cudo, bo przeciez to on byl tutaj komendantem, zawisl na linie i opuscil sie kilka stop nizej. I tu, pod krawedzia otworu, przyrdzewial do skaly jakis gruby kawal zelaza. Wisialo na nim kilka ogniow rownie zardzewialego lancucha.

Spielal w swych lancuchach...

–Zostawil notke, ze ta rzecz byla w lancuchach – oznajmil glosno. – No wiec mam tu kawalek lancucha i cos, co wyglada jak ulamek noza.

–Krasnoluda stal, sir, dlugo wytrzymuje – odpowiedziala Cudo z wyrzutem.

–Az tak dlugo?

–O tak. Przypuszczam, ze przez te lata po wizycie Rascala splyw stal sie zrodlem i woda wypchnela korek. To ciagle sie zdarza w dolinie Koom. Co pan robi, sir?

Vimes patrzyl w ciemnosc. W dole pienila sie niewidoczna woda. Czyli... poslaniec wspial sie i wyszedl tym otworem, myslal. Gdzie mozna bezpiecznie ukryc szescian? Na gorze mogly czekac trolle... Ale wojownik krasnolud na pewno mial ze soba sztylet, a kolczugi przeciez kochaja. Tak. To byloby dobre miejsce. Zreszta i tak przeciez niedlugo mial tu wrocic...

–Starcy zeszli po tej linie? – zapytal, spogladajac w ciemnosc pod soba...

–Stare krasnoludy, sir. Jesteśmy silni jak na nasz wzrost. Ale nie zejdzcie pan na dół, prawda?

W dole jest boczny tunel...

–W dole musi być boczny tunel – oświadczył Vimes.

Grom przetoczył się nad gorami.

–Ale reszta zaraz tu będzie, sir! Nie spieszy się pan chyba tak bardzo...

Nie czekaj na nich...

–Nie będę czekał. Powiedz, żeby szli za mną. Słuchaj, tracimy czas. Nie mogę tak wisieć cały dzień.

Cudo zawahała się, po czym wyjęła coś z mieszka u pasa.

–W takim razie proszę przynajmniej wziąć to, sir – powiedziała.

Chwycił niewielką paczuszkę, zanim spadła. Okazała się zaskakująco ciężka.

–Nawoskowane zapalki, sir. Nie zmocza się. A opakowanie będzie płonąć jak pochodnia przynajmniej przez cztery minuty. Jest tam również mały bochenek chleba krasnoludów.

–No wiesz... dziękuję – powiedział Vimes, zwracając się do niespokojnego, zaokrąglonego cienia na tle żółtego nieba. – Słuchaj, sprawdzę, czy na dole jest jakieś światło. Jeśli nie, natychmiast wracam. Nie jestem durniem.

Zsunął się kawalek po linie. Co kilka stop wyczuwał węzły. Po upale w dolinie, tutaj powietrze wydawało się mroźne. Z dołu unosił się drobny pył wodny.

Tunel był sporo ponad huczącą wodą. Vimes potrafił niemal sam siebie przekonać, że w oddali dostrzega światło. Ale przecież nie jest głupcem. Musi...

Pusc...

Dłonie rozluźniły uchwyt. Nie miał nawet czasu, by zakłacz, nim zamknęła się nad nim woda.

Otworzył oczy. Po chwili, wolno przesuwając bolącą rękę, odnalazł swoją twarz i przekonał się, że powieki ma istotnie otwarte.

Który kawałek ciała go nie bolał? Sprawdził... Nie, chyba takich nie było. Zebra grały melodie cierpienia, ale kolana, łokcie i głowa także dodawały swoje trele i arpeggia. Za każdym razem, kiedy zmieniał pozycje, by złagodzić meke, przenosiła się gdzie indziej. Głowa bolała go tak, jakby ktoś od środka tłukł młotem w gałki oczne.

Jeknął i kaszlnął woda.

Pod sobą czuł szorstki piasek. W pobliżu słyszał szum wody, ale sam piasek był tylko wilgotny. Nie wydawało się to właściwe.

Zaryzykował przewrocenie się, co wyrwało z niego znacząca liczbę stekniec.

Pamiętał lodowatą wodę. Nie było nawet mowy o pływaniu. Mogł tylko zwinąć się w kłębek, gdy prad ciskał nim po stole bilardowym, jakim jest dolina Koom. Był pewien, że przynajmniej raz spadł z podziemnego wodospadu i zdążył wciągnąć powietrze, nim nurt porwał go dalej. A potem była glebia i ciśnienie i życie zaczęło przewijać mu się przed oczami, a ostatnia myślą było: Proszę, proszę, czy możemy przeskoczyć ten kawałek z Mavis Trouncer...

A teraz leżał tutaj na niewidocznej plaży, daleko od wody. Jak to się stało? Przecież w tym miejscu na pewno nie ma pływów...

Czyli ktoś był w tej czerni i go obserwował. Na pewno tak. Wyciągnęli go z wody, a teraz czekali, co zrobi...

Znowu otworzył oczy. Część bólu odeszła, pozostawiając na pamiątkę sztywność. Miał wrażenie, że minął pewien czas. Ze wszystkich stron naciskała ciemność gesta jak aksamit.

Przetoczył się znowu, przy wtórze kolejnych jeków, ale tym razem udało mu się stanąć na czworakach.

–Kto tam jest? – wymamrotał i bardzo ostrożnie podniósł się na nogi.

Pionowa pozycja jakos pchnęła mózg do działania.

–Jest tu kto?

Ciemność pochłonęła dźwięk. A zresztą co by zrobił, gdyby w odpowiedzi usłyszał "Tak"?

Dobyl miecza i trzymał go przed sobą. Po kilkunastu krokach klinga brzęknęła o skałę.

-Zapalki – wymruczał. – Mam zapalki!

Znalazł nawoskowana paczuszkę. Wolno operując zmarzniętymi palcami, wyjął jedną zapalkę. Zdrapał kciukiem wosk z główki i potarł nią o kamień.

Błysk ranił oczy. Patrząc, szybko! Płynąca woda, gładki piasek, wychodzące z wody odciski dłoni i stop – tylko jeden zestaw? Tak. Ściany wyglądały na suche, nieduża jaskinia, tam ciemność, wyjście...

Kulejąc, ruszył do owalnego otworu jak najszybciej. Zapalka pryskała i skwierczała.

Dalej była większa jaskinia, tak wielka, że czern w niej zdawała się wysysać całe światło zapalki, która sparzyła go w palce i zgasła.

Ciemność otuliła go znowu jak kotara, ale teraz rozumiał już, o czym mówiły krasnoludy. To nie był mrok pod kapturem czy w piwnicy, czy nawet w ich płytkiej malej kopalni. Znalazł się głęboko pod powierzchnią i ciężar tej ciemności go przygniatał.

Co jakiś czas słyszał "plink!" kropli wody spadającej do jakiegoś niewidocznej sadzawki.

Zataczając się, szedł naprzód. Wiedział, że krwawi. Nie miał pojęcia, dlaczego idzie, ale wiedział, że musi.

Może znajdzie światło dnia. Może znajdzie jakąś kłodę, która tu wpadła, i wypłynie na niej spod ziemi. Nie mógł umrzeć tutaj, w ciemności, daleko od domu.

Dużo wody kapalo w tej grocie. W tej chwili spora jej część sypiała mu po karku, ale "plink!" słyszał ze wszystkich stron. Ha... Woda sciekająca za kołnierz i dziwne odgłosy wśród cieni... No więc wtedy się przekonujemy, czy mamy prawdziwego gline, tak? Tylko że tutaj nie było cieni. Brakowało światła.

Może szedł wtedy ten nieszczęsny krasnolud... Ale on znalazł wyjście. Może znalazł drogę, może miał linę, może był młody i zwinny... i w końcu wydostał się, konający, ukrył skarb i wszedł do doliny, idąc po grobach. To może człowieka dobić. Pamiętał panią Oldsburton, która oszalała, kiedy umarło jej dziecko, i szorowała wszystko, co było w domu, każdy kubek, ściany, sufit, łyżeczkę, nie widziała nikogo ani niczego nie słyszała, tylko pracowała cały dzień i całą noc. Coś w głowie pekało i człowiek znajdował sobie coś do roboty, cokolwiek, byle przestać myśleć.

Lepiej przestać myśleć, że droga wyjścia, którą znalazł krasnolud, to może właśnie ta, która Vimes tu wpadł i teraz nie miał pojęcia, jak do niej wrócić.

Może mogłoby znowu wskoczyć do wody, tym razem wiedząc, co robi, i może

wypłynąłby z rzeką, zanim burzliwe prądy poobijają go na śmierć... Może...

Dlaczego, do demona, puścił te linie? To było jak ten cichy głos, który szeptał "Skocz", kiedy człowiek stoi nad przepaścią, albo "Dotknij płomienia". Człowiek nie słucha, oczywiście. Przynajmniej większość ludzi przez większość czasu. No ale jemu ten głos powiedział "Puść" i on...

Włókł się dalej, obolały i pokrwawiony, a ciemność zwiłała ogon wokół niego...

– Niedługo wróci, na pewno – przekonywała Sybil. – Choćby nawet w ostatniej minucie.

W holu wielki zegar z wahadłem właśnie skończył wybijać wpół do szóstej.

– Na pewno – zgodziła się Pusia.

Kapali Młodego Sama.

– Nigdy się nie spóźnia – ciągnęła Sybil. – Mówi, że jeśli człowiek spóźni się z dobrego powodu, to wkrótce się spóźni ze złego. Zreszta ma jeszcze pół godziny.

– Mnóstwo czasu – przyznała Pusia.

– Fred i Nobby zabrali konie do doliny, prawda?

– Tak, Sybil. Patrzyłaś przecież, jak odjeżdżają.

Pusia spojrzała nad głową przyjaciółki na meza, który stał w drzwiach do holu. Bezradnie wzruszył ramionami.

– Pare dni temu wbiegał po schodach, kiedy zegary wybijały już szóstą – opowiadała Sybil, spokojnie namydlając Młodego Sama gąbką w kształcie misia. – W ostatniej sekundzie. Przekonasz się.

Chciał spać. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zmęczony. Osunął się na kolana, a potem upadł na bok na piasek.

Kiedy z wysiłkiem otworzył oczy, zobaczył nad sobą blade gwiazdy i po raz kolejny doznał uczucia, że ktoś tu jest.

Z grymasem bólu odwrócił głowę i zobaczył na piasku niedużego, ale jasno oświetlonego składanego krzeselka. Siedziała na nim wygodnie jakaś postać w czarnej szacie.

Czytala ksiazke. Obok tkwila wbita w piasek kosa.

Biala koscista dlon przewrocila kartke.

–Jestes Smiercia, tak? – odezwal sie Vimes po chwili.

ACH, PAN VIMES, PRZENIKLIWY JAK ZAWSZE. TRAFIL PAN OD RAZU, odparl Smierc. Zamknal ksiazke, zakladajac palcem czytana strone.

–Juz cie kiedys widzialem.

SZEDLEM PRZY PANU WIELE RAZY, PANIE VIMES.

–To juz, prawda?

CZY NIGDY NIE PRZYSZLO PANU DO GLOWY, ZE KONCEPCJA PISANEJ NARRACJI JEST NIECO DZIWNA? – spytal Smierc.

Vimes potrafil poznac, kiedy ktos probuje uniknac tematu, o ktorym naprawde nie chce mowic.

–Tak? – upieral sie. – To juz teraz? Tym razem umre?

MOZLIWE.

–Mozliwe? Co to za odpowiedz?

BARDZO DOKLADNA. WIDZI PAN, OCIERA SIE PAN WLASNIE O SMIERC, JAK TO MOWIA. Z KONIECZNOSCI WYNIKA Z TEGO, ZE I JA MUSZE OTRZEC SIE O VIMESA. PROSZE NIE ZWRACAC NA MNIE UWAGI I ROBIC TO, CO PLANOWAL PAN ROBIC. MAM KSIAZKE.

Vimes przetoczył sie na brzuch, zacisnal zeby i znowu podciagnal sie na kolana i dlonie. Pokonal kilka szani, zanim znow sie osunal.

Uslyszal dzwiek przesuwanego krzeselka.

–Czy nie powinienes byc gdzie indziej?

JESTEM, zapewnil Smierc i usiadl ponownie.

–Ale jestes tutaj!

ROWNIEZ. Smierc odwrocil kartke i – jak na osobe, ktora nie oddycha – wydal z siebie calkiem udane westchnienie. JAK SIE ZDAJE, SPRAWCA BYL KAMERDYNER.

–Czego sprawca?

TO WYMYSŁONA HISTORIA. BARDZO DZIWNE. WYSTARCZY TYLKO ZAJRZEC NA OSTATNIA STRONE, GDZIE WYDRUKOWANA JEST ODPOWIEDZ. JAKIZ ZATEM JEST SENS SWIADOMEJ NIEWIEDZY?

Dla Vimesa brzmialo to jak belkot, wiec zignorowal te slowa. Niektore jego bole ucichly, choc w glowie nadal walilo jak mlotem. Wszedzie ogarnialo go uczucie pustki. Chcial tylko zasnac.

–Ten zegar jest dokladny?

–Obawiam sie, ze tak, Sybil.

–Wyjde na dwor i tam na niego zaczekam. Przygotuje ksiazke – oswiadczyla lady Sybil. – Nie pozwoli, zeby cos go powstrzymalo.

–Jestem pewna, ze nie – zgodzila sie Pusia.

–Chociaz bywaja w dolinie bardzo zdradzieckie miejsca, zwlaszcza o tej porze... – zaczal jej maz, ale wzrok zony odebral mu mowe.

Byla za szesc szosta.

–Ob oggle uug soggle!

Cichy, bulgoczacy dzwiek dobiegal z kieszeni spodni. Po kilku chwilach – dosc czasu, by sobie przypomniec, ze ma dwie rece i spodnie – Vimes z niejakim wysilkiem uwolnil z kieszeni terminarz Gooseberry'ego. Obudowa byla pogieta, a chochlik, kiedy Vimes otworzyl klapke, wydawal sie mocno blady.

–On ogle soggle!

Vimes patrzyl. To bylo mowiace pudelko. I o cos mu chodzilo.

–Woggle soggle lon!

Powoli przechylil pudelko. Z wnetrza wylala sie woda.

–Nie sluchales! Krzyczalem, a ty nie sluchales! – zalil sie chochlik. – Jest za piec szosta! Czytanie Mlodemu Samowi!

Vimes polozył sobie protestujące pudełko na piersi i wpatrzył się w blade gwiazdy.

–Musze czytać Młodemu Samowi – wymamrotał i zamknął oczy. I natychmiast otworzył je znowu. – Musze czytać Młodemu Samowi!

Gwiazdy się przesuwały. To nie było niebo! Jak mogłoby to być niebo?

To przecież przekłeta jaskinia, prawda?

Jednym ruchem przetoczył się i poderwał na nogi. Gwiazd pojawiło się więcej; sunęły po ścianach. Vurmy poruszały się celowo. Nad jego głową zmieniły się już w rozjarzona rzeka.

I chociaż trochę migotały, jednak zapalały się znowu światełka w głowie Vimesa. Rozejrzył się w tym, co przestało być ciemnością, zmieniło się w głęboki mrok, a mrok był niczym jasny dzień po ciemności, jaka panowała wcześniej.

–Musze czytać Młodemu Samowi... – wyszeptał, zwracając się do groty ogromnych stalaktytów i stalagmitów, wszystkich Isniących wilgocia. – Czytać... Młodemu Samowi...

Potykając się, ślizgając w płytkich kaluzach, przebiegając czasem po latach białego piasku, Vimes ruszył za światłami.

Minutowa wskazówka na stojącym w holu zegarze dotarła już prawie do dwunastki i drżała. Sybil starała się nie patrzeć na zmartwione twarze swego gospodarza i gospodyni. Gwałtownie otworzyła drzwi frontowe. Nie było tam Sama. Nikt też nie galopował droga.

Zegar wybił godzinę. Usłyszała, że ktoś staje cicho obok niej.

–Czy życzy sobie pani, żebym poczytał młodemu paniczowi, madame? – zaproponował Willikins. – Być może, meski głos zdola...

–Nie. Ja tam pojde – odparła spokojnie Sybil. – Ty zaczekaj tu na mojego meza. Bedzie niedlugo.

–Tak, prosze pani.

–Prawdopodobnie bedzie sie bardzo spieszyl.

–Zaprowadze go natychmiast, prosze pani.

–Bedzie tu, wiesz przeciez!

–Tak, prosze pani.

–Chocby musial przechodzic przez sciany!

Wspiela sie na schody w chwili, gdy zegar skonczyl wybijac godzine. Ten zegar zle chodzi. To przeciez oczywiste.

Mlody Sam zostal umieszczony w dawnym pokoju dziecinnym – dosc ponurym pomieszczeniu, calym w szarosciach i brazach. Byl tu naprawde przerazajacy kon na biegunach, ze strasznymi zebami i oblakanyimi szklanymi oczami.

Chlopczyk stal juz w lozeczku. Usmiechal sie, ale usmiech zmienil sie w wyraz zdziwienia, kiedy Sybil przysunela sobie krzeslo i usiadla.

–Tatus poprosil mamusie, zeby ci dzisiaj poczytala, Sam – oznajmila wesolo. – Bedzie zabawnie, prawda?

Serce nie moglo jej peknac, poniewaz bylo juz rozbite na drobne kawaleczki. Ale i tak jeknelo cicho, gdy chlopczyk popatrzył na nia, na drzwi, znowu na nia, a potem zaczal glosno plakac.

Potkнал sie i upadł do plytkiej sadzawki. Odkrył, ze przewrocil sie o krasnoluda. Martwego. Bardzo martwego. Tak bardzo martwego, ze kapiaca woda zbudowala na nim niewielki stalagmit, a warstewka mlecznego kamienia umocowala go do skaly, przy ktorej siedzial.

–Musze czytac dziecku – wyjasnil z powaga Vimes pociemnialemu helmowi.

Kawalek dalej, na piasku, lezal krasnoludzi topor. To, co dzialo sie obecnie w glowie Vimesa, trudno okreslic jako spojne mysli. Slyszal jednak przed soba ciche odglosy, a instykt – tak stary jak mysl – uznal, ze nie istnieje cos takiego jak nadmierna sila rabania.

Vimes podniosl bron – pokrywala ja tylko cieniutka warstewka rdzy. Wokol zauwazyl inne garby i wzgorki na podlozu jaskini. Teraz, kiedy przyjrzel sie im dokladniej, wszystkie chyba...

Nie ma czasu! Trzeba czytac ksiazke!

Na koncu groty teren podnosil sie troche, nieco zdradziecki z powodu kapiacej wody. Bronil sie przed Vimesem, ale topor pomagal w marszu. Jeden problem naraz. Wspinac sie. Trzeba czytac ksiazke!

I wtedy usłyszał płacz. To jego syn płakał. Krzyk wypełnił umysł.

Beda plonac...

Schody wpłynęły w jego wizje – schody sięgające w nieskończona ciemność. Krzyk dobiegał stamtąd.

Stopy się zesliznęły. Ostrze topora wgrzyzło się w mleczyzny kamień. Lkając i klęcząc, zsuwając się przy każdym kroku, Vimes dotarł na szczyt zbocza.

Otworzyła się przed nim ogromna jaskinia. Wszędzie krzatały się krasnoludy. Wyglądało to jak kopalnia.

Czterech stało całkiem niedaleko Vimesa, w którego wizjach podskakiwały małe owieczki. Krasnoludy wpatrywały się w tę krwawą, chwiejącą się zjawę, sennie machając mieczem w jednej ręce i toporem w drugiej.

Oni też mieli topory. Ale zjawę spojrzała na nich groźnie i zapytała:

–Gdzie... jest... moja... krowka?

Cofnęli się.

–Czy to moja krowka? – dopytywał się stwor, ruszając chwiejnie naprzód.

Smutnie pokręcił głową.

–Robi "Beee!" – zatkan. – To... owieczka.

Osunął się na kolana, zacisnął zęby i zwrócił twarz ku gorze. Jak człowiek tracący zmysły od cierpienia, zaklinający bóstwa fortuny i burzy, ryknął:

–To! Nie!! Moja!!! Krowka!!!!

Wolanie rozbrzmiało echem w jaskini, a tak wielka moc je wysłała, że przebiło się przez zwykłą skałę, przetopilo przez zwykłe góry, zahuczało przez długie mile... A w ponurym dziecięcym pokoju Młody Sam przestał płakać i rozejrział się, nagle szczęśliwy, choć zdziwiony. I powiedział, zaskakując swą zrozpaczoną matkę:

–Kuf!

Krasnoludy cofały się po zboczu. Nad nimi przelewały się vurmy Isniace zielono.

–Gdzie jest moja krowka? Czy to moja krowka? – zapytał intruz.

We wszystkich zakamarkach groty krasnoludy przerwały prace. Atmosferę

wypelnila niepewnosc. To byl przeciez tylko jeden czlowiek. W wielu umyslach pojawilo sie pytanie: Co ktos zamierza z tym zrobic? Nie przeformowalo sie jeszcze w: Co ja mam zamiar z tym zrobic? I gdzie ta krowka? Na dole nie bylo zadnych krowek.

–Robi "lhaha!". To konik! To nie moja krowka!

Krasnoludy spogladaly po sobie. Gdzie w takim razie jest konik? Czy ktos slyszal konia? Moze ktos jeszcze krazy tu pod ziemia?

Czterej wartownicy weszli do groty, szukajac rady i wsparcia. Zebralo sie tu juz kilku glebinowcow, ktorzy pograzeni w goraczkowej rozmowie, nerwowo zerkali na zblizajacego sie czlowieka.

W migoczonej wizji Vimesa pojawialy sie tez kudlate kroliczki i puszyste kaczuski.

Znowu osunal sie na kolana i zaplakal, wpatrzony w ziemie.

Szesciu oslonietych czernia straznikow odlaczylo sie od grupy. Jeden z nich wysuwal przed soba ogniowa bron i ostroznie zblizal sie do przybysza. Plomyk zaplonu na czubku byl najjasniejszym punktem w jaskini.

Intruz uniosl glowe; plomyk odbijal sie czerwienia w jego oczach.

–Czy to moja krowka? – warknal.

A potem cisnal toporem znad ramienia, prosto w straznika. Topor uderzyl w ogniowa bron, ktora wybuchla.

–Robi "Hruumgh!"

–Hg! – powiedzial Mlody Sam, kiedy matka tulila go, wpatrzona w sciane.

Plonacy olej rozprysnal sie w ciemnosci. Kilka kropli chlapnelo Vimesowi na reke. Bol, ostry bol byl daleki i obojetny. Vimes zdawal sobie sprawe, ale tak jak zdawal sobie sprawe z istnienia ksiezycyca.

–To nie moja krowka! – stwierdzil, wstajac.

Ruszyl przed siebie, ponad plonacym olejem, przez czerwieniejaca na obrzezach chmure dymu, obok krasnoludow tarzajacych sie po ziemi w desperackiej probie zduszenia ognia. Zdawalo sie, ze czegos szuka.

Jeszcze dwoch straznikow pobieglo w jego strone. Pozornie ich nie zauwazyl, ale przykleknal i zatoczył krag mieczem. Mala owieczka kolysala sie przed jego oczami.

Jakis bardziej przytomny krasnolud znalazł kusze i celował, lecz musiał przerwać, by odpedzić przelatujące przed nim nietoperze. Wymierzył ponownie, obejrzał się, słysząc trzask, jakby uderzyły o siebie dwa kawaly mięsa, po czym został podniesiony i rzucony w ciemność przez naga kobietę. Zaszokowany gornik zamachnął się toporem na usmiechniętą dziewczynę, która jednak zniknęła w chmurze nietoperzy.

Wszędzie rozlegały się krzyki. Vimes nie zwracał na nie uwagi. Krasnoludy nadbiegały z dymu, ale odtracał je tylko na boki. Znalazł to, czego szukał.

–Czy to moja krowka? Robi "Muuu!".

Podniósł kolejny porzucony topór i ruszył biegiem.

–Tak! To jest moja krowka!

Gragowie kryli się za pierścieniem gwardzistów, zbici w gorączkową gromadkę. Vimesowi plonęły oczy i płomienie falowały za hełmem. Krasnolud trzymający miotacz rzucił broń na ziemię i uciekł.

–Hurra, hurra, cudowny to dzień, bo znalazłem moją krowkę!

I może to przeważało, jak mówiono później. Przed berserkerem nie ma żadnej obrony. Krasnoludy przysięgały, że będą walczyć do śmierci, ale przecież nie do takiej śmierci. Najwolniejszy z czterech gwardzistów padł pod ciosami topora i miecza, pozostali rozpierzchli się i uciekli.

A Vimes zatrzymał się przed skulonymi, starymi krasnoludami, unosząc nad głową broń.

I stanął, kołysząc się jak posąg...

Noc, noc trwająca wieczność. Ale wśród niej – miasto, mroczne i rzeczywiste tylko na pewne sposoby. Istota skuliła się w swoim zaułku, gdzie wznosiła się mgła. To nie mogło się zdarzyć!

A jednak się zdarzyło. Ulice wypełniły się... stworzeniami. Ptakami! Zmieniającymi kształty! Wrzeszczącymi jak opętane! A ponad nimi, wyższa niż dachy, owieczka przeskakiwała tam i z powrotem szerokimi, powolnymi ruchami, dudniąc po bruku ulic.

Potem opadły prety kraty, trzasnęły o kamienie, a istota została odepchnięta.

A przeciez bylo juz tak blisko! Ocalila stworzenie, przebijala sie, zaczynala zyskiwac kontrole... a teraz to...

W ciemnosci, glosniejsze niz szum deszczu, zabrzmialy kroki.

Jakas postac pojawila sie we mgle.

Zblizala sie.

Woda splywala z metalowego helmu i natartego olejem skorzanego plaszcza. Postac sie zatrzymala. Z calkowitym spokojem uniosla dlonie do twarzy i zapalila cygaro.

Zapalka upadla na bruk, zasyczala i zgasla, a postac powiedziala:

–Czym jestes?

Istota poruszyla sie jak pradawna ryba w glebokim stawie. Byla zbyt zmeczona, by uciekac.

–Jestem Przyzywajaca Ciemnoscia. – Nie byl to wlasciwie dzwiek, ale gdyby byl, przypominalby syczenie. – A kim ty jestes?

–Jestem Straznikiem.

–Oni zabiliby twoja rodzine! – Ciemnosc rzucila sie naprzod i napotkala opor. – Pomysl, ilu juz zabili! Kim jestes, zeby mnie powstrzymywac?

–On mnie stworzyl. Quis custodiet ipsos custodes? Kto pilnuje straznikow? Ja. Pilnuje go. Zawsze. Nie zmusisz go, zeby dla ciebie mordowal.

–Co to za czlowiek, ktory stwarza wlasnego policjanta?

–Ten, ktory boi sie ciemnosci.

–I powinien – stwierdzila istota z satysfakcja.

–To prawda. Ale chyba nie zrozumialas. Nie jestem tu po to, by nie dopuscic ciemnosci do wnetrza. Jestem po to, zeby jej nie wypuszczac. – Brzeknelo, kiedy mglisty Straznik uniosl slepa latarnie i uchylik klape. Pomaranczowe swiatlo rozcielo czern. – Mozesz mnie nazywac... Strzegaca Ciemnoscia. Wyobraz sobie, jaki musze byc silny.

Przyzywajaca Ciemnosc cofala sie rozpaczliwie w glab zaulka, ale swiatlo podazalo za nia, ranilo ja...

–A teraz – rzekł Straznik – wynos się z miasta.

...i runal, kiedy wilkolak wyladowal mu na plecach.

Angui slina sciekala z klow. Sierśc na grzbiecie sterczala jak zeby pily. Wargi odsuwaly sie niczym fala. Warkot dobiegal jakby z glebi nawiedzanej jaskini. Wszystko to przekazywalo mozgowi dowolnej istoty malpoksztaltnej, ze kazdy ruch oznacza smierc. I choc bezruch takze oznacza smierc, to jednak nie natychmiastowa, nie w tej sekundzie, i ze pojawil sie jako wybor dla sprytniejszych malp.

Vimes nie mogli sie poruszyc. Warkot sprawil, ze stezaly mu miesnie. Groza panowala nad ciałem.

Pozdrawiam cie, odezwala sie mysl, ktora nie byla jego mysla, a potem odczul nagly brak czegos, czegos obecności nie zauwazal. W ciemności za oczami przesunela sie ciemna pletwa.

Uslyszal jek i zniklo cos, co go przygniatalo. Zobaczyl blednacy w powietrzu prymitywny rysunek oka z ogonem. Rysunek zapadl sie w nicosc, a wszechogarniajaca ciemnosc z wolna ustapila plomieniom i lsnieniu vurmow. Przelano krew, wiec splywaly po scianach. Czul...

Minal pewien czas. Vimes ocknal sie nagle.

–Przeczytalem mu – powiedzial, glownie po to, by sie pocieszyc.

–Tak, sir – potwierdzila stojaca z tylu Angua. – I to bardzo wyraznie. Bylismy ponad sto szazni dalej. Dobra robota, sir. Pomyslelismy, ze powinien pan odpoczac.

–Jaka robote dobrze wykonalem? – spytal Vimes, probujac usiasc.

Ruch wypelnil jego swiat cierpieniem, ale zdazyl rzucic okiem, nim znow opadl na plecy. W jaskini bylo pelno dymu, ale tu i tam migotaly tez normalne pochodnie. W pewnej odleglosci zauwazyl tez bardzo wielu krasnoludow; niektorzy siedzieli, inni stali w grupkach.

–Dlaczego jest tu ich tylu, sierzancie? – zapytal. – I czemu nie usiluja nas pozabijac?

–To ludzie dolnego krola, sir. Jesteśmy jego wiezniami... tak jakby... tylko ze niezupełnie.

–Rhysa? Do demona z tym! – Vimes sprobował wstac. – Kiedys uratowalem mu

zycie!

Stanal na nogach, ale zaraz by upadl, gdyby Angua nie chwycila go i nie usadzila delikatnie na kamieniu. Ale przynajmniej siedzial.

–Niezupelnie wiezniami – powtorzyla Angua. – Nie mozemy nigdzie stad pojsc, ale poniewaz nie wiedzielibysmy, dokad isc, nawet gdybysmy mogli, wszystko to jest raczej teoretyczne. Przepraszam, ze jestem w samej bieliznie, sir, ale wie pan, jak to bywa. Krasnoludy obiecaly przyniesc moj ekwipunek. Ehm... Wszystko zrobilo sie polityczne, sir. Krasnolud, ktory dowodzi, jest porzadnym gosciem, sir, ale sytuacja go przerasta, wiec trzyma sie tego, co wie. Tylko ze... no, nie wie zbyt wiele. Pamietaj pan, co sie w ogole dzialo? Byl pan nieprzytomny przez dobre dwadziescia minut.

–Tak. Byly tu... kudlate owieczki... – Vimes ucichl na chwile. W jakis sposob to, co wlasnie powiedzial, chwycilo pierścien wiarygodnosci i wrzucilo go do bardzo glebokiej dziury. – Nie bylo kudlatych owieczek, prawda?

–Zadnej nie zauwazyłam – odparla Angua powoli. – Widzialam za to biegnacego wrzeszczacego szalenca, sir. Ale w dobrym znaczeniu – dodala szybko.

Wewnetrzny Vimes przyjrzel sie swoim wspomnieniom, ktorych sobie nie przypomniat za pierwszym razem.

–Ja... – zaczal.

–Wszystko jest... tak jakby w porzadku, sir – uspokoila go Angua. – Ale niech pan to obejrzy. Niesmialsson mowi, ze powinien pan widziec wszystko.

–Niesmialsson... To ten krasnolud madrala, tak?

–Widze, ze pamiec panu wraca, sir. To dobrze. On troche sie o to martwil.

Vimes stal teraz troche pewniej. Prawa reka bolala jak demony, a wszystkie inne dolegliwosci, ktore zebraly sie w ciagu dnia, powracaly teraz i machaly do niego. Angua poprowadzila go ostroznie miedzy kaluzami i kamieniami sliskimi jak wilgotny marmur, az zatrzymali sie przed stalagmitem. Mial jakies osiem stop wysokosci.

To byl troll. Nie glaz w ksztalcie trolla, ale troll. Po smierci tylko bardziej kamienieja, Vimes wiedzial o tym, ale ten mial ksztalty zaokraglone mleczna skala kapiaca mu na glowe.

–Prosze spojrzec na to, sir – powiedziala Angua. – Oni chcieli je zniszczyc.

Drugi stalagmit lezal obok w kaluzy. Zostal odlupany u podstawy. I to byl... krasnolud.

Krasnoludy rozsypują się po śmierci tak jak ludzie, ale przez całą zbroję, pancerze, kolczugi i grubą skórę dla przypadkowego widza nie stanowi to wielkiej różnicy. Płynąca skala pokryła wszystko połyskującym kalunem.

Vimes wyprostował się i rozejrzył po jaskini. Kształty wyrastały w półmroku aż do niedalekiej ściany, gdzie ciekąca woda przez wieki uformowała perfekcyjny, stęzający w czasie wodospad z kości słoniowej.

–Jest ich więcej?

–Okolo dwudziestu, sir. Polowe zdążyli przewrócić, zanim pan... przybył. Proszę popatrzeć tutaj, sir. Można ich rozróżnić. Siedzą oparci o siebie plecami.

Vimes przyjrzał się postaciom pod glazurą. Potrząsnął głową. Krasnolud i troll, razem, skamieniali pod skalą.

–Macie coś do jedzenia? – zapytał.

Nie były to szczególnie podniosłe słowa, lecz płynęły z żołądka pełne emocji.

–Nasze racje zgubiły się w tym zamieszaniu, sir. Ale krasnoludy podzieliła się swoimi. Nie są nieprzyjacieli, są tylko ostrożni.

–Podzieliła się? Mają chleb krasnoludów?

–Obawiam się, że tak, sir.

–Wydawało mi się, że nie wolno podawać go jencom. Chyba jednak zaczekam, dziękuję. A teraz, sierżancie, możecie mi opowiedzieć o tym zamieszaniu.

To właściwie nie była zasadzka. Krasnoludy po prostu ich dogoniły. Dowódca otrzymał dość luźne polecenie podążania za Vimesem i jego grupą... Relacje trochę się ochłodziły, gdy odkrył, że grupa ma w składzie także dwa trolle – to przecież była dolina Koom. Vimes trochę mu współczuł. Krasnolud dostał do wykonania proste zadanie, które nagle stało się bardzo polityczne. Byłem tam, zaliczyłem to, kupiłem podkoszulke...

Wkracza grag Niesmialsson, który umie używać słów. Ponieważ i tak zmierzają w tym samym kierunku...

Zmierzali długo. Niedaleko od wejścia do tunelu uciekające krasnoludy zawałiły za sobą strop. Na drodze, którą zajęła Vimesowi kilka minut, scigający poświęcili większą część dnia, nawet z pomocą Sally prowadzącej rozpoznanie. Angua opowiadała o

grotach jeszcze większych niż ta, o potężnych wodospadach w ciemności. Vimes odpowiedział, że tak, wie.

A potem w dolinie Koom zahuczały słowa z "Gdzie jest moja krowka?". Wstrząsnęły pradawnymi skalami, aż stalaktyty zadzwieczyły współczuciem. Reszta była już tylko kwestia biegu...

–Przypominam sobie, że czytałem Młodemu Samowi – powiedział Vimes. – Ale były też... dziwne obrazy. Pojawiały się w moich myślach. – Przerwał. Gniew, a raczej paląca wściekłość spłynęła z niego szeroka struga, bez świadomej myśli. – Zabijem tych nieszczęsnych żołnierzy.

–Większość z nich, sir – potwierdziła z sympatią Angua. – Jest też paru górników, którzy weszli panu w drogę i będzie ich bolało miesiącami.

Wszystko powracało w pamięci. Vimes wolałby, żeby nie wracało. W ludzkim mózgu zawsze jest taka cząstka, która sprzeciwia się walce z krasnoludami. Są wzrostu dziecka. Pewnie, są silne co najmniej jak mężczyzna, bardziej wytrzymałe, a w starciu wykorzystają każdą okazję. Jeśli człowiek ma szczęście, uczy się walczyć z uprzedzeniem, zanim straci nogi od kolan w dół. Ale ten sprzeciw zawsze dochodził do głosu...

–Pamiętam te stare krasnoludy – powiedział Vimes. – Wily się przede mną jak robaki. Miałem ochotę je zmiążyć.

–Opierał się pan przez prawie cztery sekundy, sir. Potem pana przewróciłam.

–I to dobrze, tak?

–O tak. Dlatego nadal pan tu jest, komendancie – oświadczył Niesmialsson, wynurzając się zza stalagmitu. – Ciesze się, że wraca pan do siebie. To historyczny dzień! A pan nadal ma swoją duszę. Czy to nie mile?

–Posłuchaj no...

–Nie. Niech pan mnie posłucha, komendancie. Tak, wiedziałem, że wyruszy pan do doliny Koom, ponieważ Przyzywająca Ciemność zechce tu trafić. Potrzebowała pana, żeby ją dostarczyć. Nie, proszę słuchać, bo nie mamy zbyt wiele czasu. Symbol Przyzywającej Ciemności kieruje istota stara jak wszechświat. Nie ma ona fizycznego ciała ani fizycznej siły; może w mgnieniu oka pokonać miliony wymiarów, ale ledwie jest w stanie przejść przez pokój. Działa za pośrednictwem żywych stworzeń, które uznaje za... uległe. Znalazła pana, komendancie, prawdziwy tygiel gniewu, i w delikatny, subtelny sposób zadbała o to, by znalazł się pan tutaj.

–Ja mu wierzę, sir – zapewniła Angua. – To istota przywołana jako klątwa przez

jednego z gornikow. Pamieta pan? Tego, który wyrysowal symbol własna krwia na zaryglowanych drzwiach. A pan...

–Byly takie drzwi, ktore mnie zakluly, kiedy ich dotknałem. To pamietam – przyznal Vimes. – Chcecie mi powiedziec, ze za tymi drzwiami on... No nie...

–On juz wtedy nie byl, sir, jestem tego pewna – uspokoila go Angua. – Nie mogliśmy go uratowac.

–Helmutluk mowil... – zaczal Vimes.

Niesmialsson musial dostrzec wzburzajaca w jego wzroku panike, bo chwycil jego obie rece i rzekl z naciskiem:

–Nie! Nie zabil go pan! Nawet go pan nie dotknal! Bal sie pan, zebym pana nie oskarzyl o uzycie sily. Pamieta pan?

–On padl trupem! Ile sily do tego trzeba?! – krzyknal Vimes. Krzyk odbil sie echem. – Byl tam ten symbol, prawda?

–To prawda, ze... stwor ma sklonnosc do pozostawiania swojego podpisu na wydarzeniach, ale musialby go pan dotknac! A nie dotknal pan! Nie podniosl pan reki! Mysle, ze nawet wtedy by sie pan oparl. Oparl sie i wygral! Slyszy mnie pan? Spokojnie... Juz spokojnie. On umarl ze strachu i z powodu wyrzutow sumienia. Musi pan to zrozumiec.

–Jaki mial powod do wyrzutow sumienia?

–Bardzo wiele powodow jak na krasnoluda. Ta kopalnia bardzo mu ciazyła. – Grag zwrocil sie do Angui. – Sierzancie, mozece przynieśc komendantowi troche wody? W tych sadzawkach jest czysta jak nigdzie na swiecie... To znaczy, jesli wybierze pani taka bez plywajacego w niej trupa.

–Mogl pan sobie darowac to ostatnie zdanie – mruknal Vimes. Usiadl na kamieniu. Dygotal. – A potem przywiozlem to dranstwo tutaj? – spytal cicho.

–Tak, komendancie. A ono prowadzilo tez pana. Cudo mowi, ze widziala, jak spada pan w spienione wody jakies pol mili stad. Nawet znakomity plywak by tego nie przezył.

–Ocknałem sie na piasku...

–Przyzywajaca Ciemnosc tam pana dostarczyla. Plynela za panem.

–Ale byłem caly poobijany!

–Ona nie była panskim przyjacielem, komendancie. Musiała tylko doprowadzić tu pana w jednym kawalku. Niekoniecznie kawalku, który zdrowo wygląda. A potem... rozczarował ja pan, komendancie. Bardzo ja pan rozczarował. A może jej zaimponował? Trudno powiedzieć. Chodzi o to, że nie chciał pan uderzyć bezbronny. Opierał się pan. Prosiłem panią sierżant, żeby pana powaliła, gdyż obawiałem się, że ta wewnętrzna walka oderwie panu ścięgna od kości.

–To byli tylko przerażeni starcy.

–I teraz wydaje się, że pana uwolniła – mówił krasnolud. – Zastanawiam się dlaczego. Historia mówi, że każdy, kto znalazł się we władzy Przyzywającej Ciemności, umierał obłąkany.

Vimes wziął od Angui kubek wody. Była tak zimna, że aż cierpły zęby. Nigdy w życiu nie pił nic lepszego. Jego umysł pracował szybko, wykorzystując awaryjne rezerwy zdrowego rozsądku – jak zwykle ludzkie umysły, próbujące skonstruować potężną kotwicę w normalności i udowodnić sobie, że to, co się wydarzyło, wcale się nie wydarzyło, a jeśli nawet się wydarzyło, to nie za bardzo.

To sama mistyka i tyle. Pewnie, mogła być prawdziwa, ale po czym to poznać? Trzeba trzymać się tego, co można zobaczyć. No i trzeba sobie cały czas o tym przypominać.

Tak, to wszystko. Bo co się tak naprawdę wydarzyło? Pare znaków? No, przecież wszystko może wyglądać tak, jak człowiek zechce, jeśli tylko jest dostatecznie zdenerwowany, prawda? Owca może wyglądać jak krowa, prawda? Ha!

Co do reszty... co, Niesmialsson wygląda na porządnego gościa, ale przecież nie trzeba od razu kupować jego światopoglądu. To samo z panem Błyskiem. Takie sprawy mogą człowiekowi namieszać w głowie.

Denerwował się o Młodego Sama i kiedy zobaczył tych przeklętych gwardzistów, oczywiście rzucił się na nich. Ostatnio za mało sypiał. Wydawało się, że każda godzina przynosi nowy problem. Dlatego właśnie umysł robi mu dziwaczne sztuczki. Przeżyć w podziemnej rzece? Łatwe. Musiał jakos utrzymać się na powierzchni. Istnieje bardzo wiele rzeczy, które ciało woli robić zamiast umierania.

No właśnie. Wystarczy logicznie pomyśleć, a mistyka staje się... no, całkiem prosta. Człowiek może przestać się czuć jak marionetka i znowu jest kimś mającym własne cele.

Vimes odstawił pusty kubek i wstał – celowo.

–Idę zobaczyć, jak się czują moi ludzie.

–Pojde z panem – zaproponował szybko Niesmialsson.

–Mysle, ze nie potrzebuje asysty – odparl Vimes mozliwie spokojnie.

–Na pewno nie – zgodzil sie krasnolud. – Ale kapitan Gud jest troche nerwowy.

–Zdenerwuje sie jeszcze bardziej, jesli mi sie nie spodoba to, co zobacze.

–Tak. I wlasnie dlatego z panem ide.

Vimes ruszyl przez jaskinie krokiem troche szybszym, niz sam uznawal za swobodny. Grag podbiegal co kilka krokow, by nadazyc.

–Chyba mnie pan nie zna, panie Niesmialsson – burknal Vimes. – Prosze nie myslec, ze zlitowalem sie nad tymi draniami. Prosze nie myslec, ze okazalem laske. Nie zabija sie bezbronnych. Po prostu nie.

–Czarni straznicy nie mieli chyba zadnych oporow – zauwazyl Niesmialsson.

–Otoz to! – zawolal Vimes. – A nawiasem mowiac, panie Niesmialsson, co to za krasnolud, ktory nie nosi topora?

–No coz, jako grag przede wszystkim uzywam swojego glosu – odparl grag. – Topor jest niczym bez reki, a reka niczym bez umyslu. Wyszkolilem sie w mysleniu o toporach.

–Jak dla mnie brzmi to mistycznie.

–Pewnie tak. Ale jestesmy na miejscu.

Miejsce okazalo sie terenem zajetym przez nowo przybyle krasnoludy. Bardzo militarnie, uznal Vimes. Kwadrat obronny. Nie jestescie pewni, kto jest nieprzyjacielem... Ja tez nie.

Najblizej stojacy krasnolud rzucil mu odrobine wyzywajace, odrobine niespokojne spojrzenie, ktore Vimes nauczyl sie rozpoznawac.

Kapitan Gud sie wyprostowal.

Vimes spogladal ponad jego ramieniem, co nie bylo trudne. Tam dalej siedzial Nobby i Fred Colon, oba trolle, a nawet Cudo, wszyscy zbici w ciasna grupke.

–Czy moi ludzie sa aresztowani, kapitanie? – zapytal.

–Rozkazano mi zatrzymac wszystkich, ktorych tu znajde – odparl krasnolud.

Vimes podziwiał jego obojętny głos. Oznaczał: w tej chwili nie interesuje mnie dialog.

–Jakie ma pan tu uprawnienia, kapitanie?

–Moje uprawnienia mają potrójne pochodzenie: dolny król, prawo kopalniane i sześćdziesięciu uzbrojonych krasnoludów – oświadczył Gud.

A niech to, pomyślał Vimes. Zapomniałem o prawie kopalnianym. To poważny problem. Myślę, że trzeba przekazać komuś odpowiedzialność. Dobry dowódca uczy się przekazywać odpowiedzialność. A zatem przekazuje odpowiedzialność za ten problem kapitanowi Gudowi.

–Dobra odpowiedź, kapitanie – pochwalili. – I szanuje ją.

Wyminał krasnoluda i ruszył do swoich strażników. Znieruchomiał, gdy za sobą usłyszał brzęk dobywanego metalu. Podniósł ręce i powiedział:

–Gragu Niesmialsson, zechce pan wyjaśnić kapitanowi sytuację? Wszedłem pod jego nadzór, nie wyszedłem spod niego. A nie jest to czas ani miejsce odpowiednie dla pochopnych działań.

Ruszył dalej, nie czekając na odpowiedź. Owszem, oparł się na przekonaniu, że jeśli go zabiją, ktoś będzie miał poważne kłopoty, prawdopodobnie kwalifikuje się jako pochopne działanie, ale będzie musiał jakoś z tym żyć. Albo nie, oczywiście.

Podszedł do Nobby'ego i Colona.

–Przepraszamy, panie Vimes – odezwał się Fred. – Czekaliśmy przy ścieżce z paroma koniami, a oni się tak jakoś pojawili. Choć pokazaliśmy odznaki, nie chcieli nas słuchać.

–Rozumiem. A ty, Cudo?

–Pomyślałam, że lepiej trzymać się razem, sir.

–Słusznie. Co z wami, De... – Vimes spojrzał w dół i pozwolił, by wezbrała w nim złość. I Detrytus, i Cegła mieli skute lancuchem nogi. – Pozwoliliście im się zakuc?!

–No więc to się jakby porobiło za bardzo poli-tykne, panie Vimes – odparł Detrytus. – Ale starczy słowo, a ja i Cegła możemy się uwolnić, żaden problem. To tylko połowe kajdany. Moja babcia by mogła je zerwać.

Vimes czuł rosnący gniew, ale się opanował. W tej chwili Detrytus okazał się rozsądniejszy od swego komendanta.

–Spokojnie, dopoki nie powiem, zeby to zrobic – rzekl. – Gdzie sa gragowie?

–Pilnuja ich w sasiedniej jaskini, panie Vimes – wyjasnila Cudo. – I gornikow. Sir, mowia, ze dolny krol tutaj zmierza!

–Dobrze, ze to duza grota, inaczej byloby troche ciasno – mruknal Vimes.

Wrocil do kapitana, schylil sie i powiedzial:

–Zakul pan w lancuchy mojego sierzanta.

–Jest trollem. A to jest dolina Koom – odparl spokojnie kapitan.

–Tyle ze nawet ja potrafilbym zerwac taki cienki lancuch...

Rzucil okiem na Sally i Angue, ktore znowu wygladaly przyzwoicie w przyzwoitych zbrojach i obie obserwowaly go uwaznie.

–Tamte dwie funkcjonariuszki to wampir i wilkolak – rzekl wciaz tym samym spokojnym tonem. – Wiem, ze pan to wie, ale bardzo rozsadnie nie probowal pan nawet ich tknac. A Niesmialsson jest gragiem. Ale mojemu sierzantowi zalozyl pan slabe lancuchy, zeby mogl je zerwac jednym palcem, a pan moglby go zabic i tlumaczyc, ze chcial uciec. Prosze nawet nie myslec o zaprzeczaniu. Na pierwszy rzut oka potrafie rozpoznać brudna sztuczke. Mam teraz wyjasnic, co zrobic? Dam panu szanse okazania braterskiej milosci i uwolnienia trolli, tu i teraz. I calej reszty. W przeciwnym razie, jesli mnie pan nie zabije, zatruje panska przyszla kariere tak bardzo, jak tylko potrafie. A nie osmieli sie pan mnie zabic.

Kapitan patrzyl na niego nieruchomo, ale tej gry Vimes nauczyl sie juz dawno. A potem krasnolud zsunal wzrok na reke Vimesa, jeknal, cofnal sie o krok i wystraszony uniosl dlon.

–Tak! Zrobie to! Tak!

–Mam nadzieje.

Vimes troche sie zdziwil. Potem sam spojrzal na wewnetrzna czesc przegubu...

–Co to jest, na demony? – zapytal, zwracajac sie do Niesmialssona.

–Ach, zostawila na panu swoj znak, komendancie – odparl uprzejmie grag. – Tak jakby rane wylotowa.

Na miedkiej skorze gorzala czerwona blizna kreslaca znak Przyzywajacej Ciemnosci. Vimes przygladal sie jej z roznych stron.

–Była realna?

–Tak. Ale jestem pewien, że już odeszła. Jest w panu pewna różnica...

Vimes roztarł bliznę. Nie bolała, była po prostu zaczerwieniona, spuchnięta skóra.

–Nie wróci, prawda? – zapytał.

–Watpie, czy żarzykuje, sir – wtraciła Angua.

Vimes już otworzył usta, by spytać, co ma oznaczać ta sarkastyczna uwaga, ale do groty wkroczyło nagle jeszcze więcej krasnoludów. Ci byli najwyżsi i najpotężniejsi ze wszystkich, jakich widział. Inaczej niż większość, nosili proste kolczugi i po jednym toporze – jednym solidnym, dużym i cudownie wyważonym toporze. Inne krasnoludy jeżyły się dziesiątkami sztuk broni. Te jeżyły się jedną sztuką; rozbiegły się i sprawnie rozstawiły w jaskini według linii obserwacji, pilnując cieni oraz – w przypadku czterech z nich – zajmując stanowiska za Cegłą i Detrytusem.

Kiedy w końcu znieruchomieli, z tunelu wynurzyła się kolejna grupa. Vimes rozpoznał Rhysa, dolnego króla krasnoludów. Władca przystanął, rozejrzał się, rzucił okiem na Vimesa i przywołał do siebie kapitana.

–Mamy wszystko?

–Sire? – odparł nerwowo Gud.

–Wiecie, o co mi chodzi, kapitanie.

–Tak, ale nic przy nich nie znaleźliśmy, sire! Przeszukaliśmy ich i trzy razy sprawdziliśmy grunt!

–Przepraszam... – wtracił Vimes.

**–Komendant Vimes! – zawołał król serdecznie, jakby witał dawno zaginionego syna.
– Miło znów pana widzieć!**

–Zgubiliście ten przeklęty szescian? – spytał Vimes. – Po tym wszystkim?

–O jakim szescianie pan mówi, komendancie? – zapytał król.

Vimes musiał podziwiać jego zdolności sceniczne.

–O tym, którego szukaliscie – odparł. – Wykopanym w moim mieście. Tym, który jest powodem całego zamieszania. Nie wyrzuciliby go, bo są gragami, prawda? Nie można niszczyć słów. To najgorsza ze zbrodni. Dlatego trzymają go przy sobie.

Dolny krol spojrzal na kapitana Guda, ktory mruknal nerwowo:

–Nie ma go w tej jaskini.

–Ale nie zostawiliby go nigdzie indziej – stwierdzil Vimes. – Nie teraz. Czyli ktos musial go znalezc.

Pechowy kapitan blagalnym wzrokiem szukal u swego krola pomocy.

–Kiedy przybylismy, sire, wszedzie panowala panika! Ludzie biegali i krzyczeli, wszedzie sie palilo! Absolutny chaos, sire. Mamy jedynie pewnosc, ze nikt stad nie wyszedl. A przeszukalismy wszystkich, sire! Przeszukalismy wszystkich!

Vimes zamknal oczy. Wspomnienia blakly szybko, gdy rozsadek zamurowyl wszystkie ewentualnosci, ktore nie mogly sie zdarzyc; pamietal jednak przerazonych gragow skulonych nad jakimis przedmiotem. Czy rzeczywiscie dostrzegl tam migotanie niebieskich i zielonych plamek?

Trzeba zaryzykowac.

–Kapralu Nobbs, prosze do mnie! – zawolal. – Prosze go przepuscic, kapitanie. Nalegam!

Gud nie protestowal. Jego duch zostal zlamany.

–Tak, panie Vimes? – Nobby zblizyl sie z ociaganiem.

–Kapralu Nobbs, czy zdobyliscie ten cenny przedmiot, ktory kazalem wam pozyskac?

–Co pan ma na mysli, panie Vimes?

Serce Vimesowi zabilo szybciej. Twarz Nobby'ego byla otwarta ksiega, aczkolwiek z tego rodzaju, ktory w niektórych krajach jest zakazany.

–Nobby, sa chwile, kiedy godze sie na twoje wyskoki. Ta do nich nie nalezy – powiedzial. – Czy znalazles to, czego kazalem ci szukac?

Nobby spojrzal mu w oczy.

–Ja... Och? Och. O tak, sir... Ja... Tak... Wbieglismy, rozumie pan, rozumie pan, znaczy... A ludzie biegali dookola i wszedzie byl taki, no, jakby dym... – Oczy Nobby'ego zaszkliły sie, a wargi poruszyły bezglosnie w tworczej agonii. – I ja... no, walczyłem meżnie, kiedy nagle co widze? Taka blyszczaca kostke, ktora toczy sie i kopia ja, no wiec mysle sobie: Zaloze sie, ze to ta sama blyszczaca rzecz, ktorej pan Vimes bardzo konkretnie kazal mi szukac... I tu ja mam, calkiem bezpieczna.

Wyjal z kieszeni i podal na dloni nieduzy, lekko migoczacy szescian.

Vimes byl szybszy od krola. W ulamku sekundy jego dlon wystrzelila naprzod, zamknela sie na szescianie i zacisnela w piesc.

–Dziekuje, kapralu Nobbs, za tak konsekwentne wykonywanie moich polecen – powiedzial i zdusil usmiech na widok nienagannie straszego salutu Nobby'ego.

–Wydaje mi sie, ze to wlasnosc krasnoludow, komendancie Vimes – zauwazyl spokojnie krol.

Vimes otworzyl dlon. Niewielki szescian polyskiwal na zielono i niebiesko. Metal wygladal jak braz, skorodowany przez lata w piekne desenie zieleni, blekitu i brazu. Prawdziwy klejnot.

Rhys jest krolem, myslal Vimes. Krolem na tronie chwiejnym jak kon na biegunach. I wcale nie jest mily. W tym fachu uprzejmosc nie pomaga przetrwac. Wprowadzil nawet szpiega do mojej strazy! Nie bede wierzyl krolom. A wlasciwie, komu w tej chwili ufam?

Sobie.

Jedno, co wiem, to ze zaden przeklety demon nie wpakowal mi sie do glowy, niewazne, co mi wmawiaja. Nie kupilbym takiego gadania, nawet gdyby dorzucili zapas kapusty na cale zycie. Nikt nie wlati do mojej glowy oprócz mnie! Ale trzeba grac tym, co sie trafi w rozdaniu...

–Prosze ja wziac – powiedzial, otwierajac dlon. Na przegubie jarzyla sie Przyzywajaca Ciemnosc.

–Prosze, zeby mi pan ja oddal, komendancie – rzekl Rhys.

–Prosze wziac – powtorzyl Vimes.

I pomyslal: Przekonamy sie, w co wierzysz...

Krol siegnal po szescian, zawahal sie, a potem cofnal reke.

–Z drugiej strony – powiedzial takim tonem, jakby ta mysl dopiero teraz wpadla mu do glowy – moze lepiej zostawic to pod panska szacowna opieka, komendancie Vimes.

–Tak. Chcialbym posluchac, co ma do powiedzenia. – Vimes zamknal dlon. – Chce wiedziec to, co niebezpiecznie jest wiedziec.

–Oczywiscie. Ja rowniez – oswiadczył krol krasnoludow. – Wezmiemy to do

miejsca, gdzie...

–Prosze sie rozejrzec, sire – przerwal mu Vimes. – Tutaj umieraly trolle i krasnoludy. Nie walczyly. Staly obok siebie. Widzi pan, sire? To miejsce wyglada jak jakas piekielna plansza do gry! Czy to ich testament? W takim razie wysluchajmy go tutaj! Tutaj i teraz!

–A jesli to, co ma do powiedzenia, bedzie straszne? – spytal krol.

–Wysluchamy tego!

–Jestem krolem, Vimes! Nie masz tu zadnej wladzy! To nie jest twoje miasto! Przeciwstawiasz mi sie, majac tylko garstke ludzi, a zone z dzieckiem niecale dziesiec mil stad...

Rhys urwal. Echa odbily jego glos w dalekich grotach, krzyzujac sie ze soba i gasnac, az cisza zadzwonila jak stal. Za soba Vimes uslyszal cichy okrzyk Sally: "Ups...!". Niesmialsson podszedl szybko i szepnal cos krolowi do ucha. Wyraz twarzy Rhysa zmienil sie – jak to mozliwe tylko u politykow – w ostrozna sympatie.

Nic nie zrobie, myslal Vimes. Bede tylko tak stal...

–Z prawdziwa radoscia zobacze znowu lady Sybil – zapewnil Rhys. – I panskiego syna, oczywiscie.

–To dobrze. Zatrzymala sie w domu przyjaciolki niecale dziesiec mil stad – odparl Vimes. – Sierzancie Tyleczek?

–Tak, sir?

–Wezcie ze soba mlodsza funkcjonariusz Humpeding i wracajcie do miasta. Przekazcie lady Sybil, ze jestem caly i zdrowy. – Vimes nie spuszczal krola z oczu. – Ruszajcie zaraz.

Kiedy obie funkcjonariuszki zniknely, krol usmiechnal sie i rozejrzal wokol groty. Westchnal.

–Coz, nie moze sobie pozwolic na spor z Ankh-Morpork. Nie w tej chwili. Dobrze wiec, komendancie. Czy wie pan, jak sklonic szescian do mowienia?

–Nie. A pan?

To jest gra, prawda? – myslal Vimes. Krol nie przyjalby takiego gadania od nikogo, zwlaszcza ze ma dziesieciokrotna przewage. Spor? Wystarczyloby powiedziec, ze w dolinie Koom zlapala nas burza, tak bywa, wszyscy wiedza. Bedzie nam go

brakowało i z całą pewnością przekazemy jego ciało, jeśli tylko gdzieś wypłynie... Ale nie będziesz próbował takich sztuczek, bo jestem ci potrzebny. Wiesz coś o tej jaskini, prawda? I jeśli cokolwiek się zdarzy, chcesz, żeby dobry, niezbyt ostry, ale – na bogów – uczciwy do bólu Sam Vimes przekazał światu wiadomości...

–Zadne dwa szesciany nie są takie same – wyjaśnił Rhys. – Zwykle wystarcza słowo, ale to może być oddech, dźwięk, temperatura, miejsce na Dysku, zapach deszczu. Cokolwiek. Jak słyszałem, jest wiele szescianów, które nigdy nie przemówiły.

–Naprawdę? Ale ten paplał bez przerwy. A ktoś, kto kazał go wynieść z doliny, chciał, by był słyszany. Dlatego wątpię, czy szescian mówi tylko wtedy, kiedy Iza dziewczycy spadnie na niego w ciepły wtorek w lutym. Zaczął bardzo dużo mówić do człowieka, który nie znał ani słowa po krasnoludziemu.

–Ale mówiący na pewno by chciał, żeby usłyszały go krasnoludy! – zaprotestował król.

–To legenda sprzed dwóch tysięcy lat. Kto może wiedzieć, kto czego chciał? A ty czego chcesz?

Ostatnie słowa skierowane były do Nobby'ego, który podszedł i z zaciekawieniem przyglądał się szescianowi.

–Jak to... Jak on się przedostał przez moją ochronę? – zdziwił się król.

–Nobbsowie przesuwają się niepostrzeżenie – wyjaśnił Vimes. A kiedy dwójka zakłopotanych strażników opuściła ciężkie dłonie na chude ramiona Nobby'ego, dodał: – Zostawcie go. Nobby, powiedz coś, co skłoni ten szescian do mówienia.

–Eee... Gadaj, bo złe się to dla ciebie skończy!

–Niezłe – przyznał Vimes. – Sto lat temu w Ankh-Morpork, sire, nie sądzę, by ktoś znał choć słowo z krasnoludziwego albo trollowego. Może wiadomość była przeznaczona dla ludzi? Musiała tam być jakaś osada na równinie, tyle tam ptaków i ryb.

–Może zatem jakieś ludzkie słowa, Nobby? – zaproponował król.

–Proszę. Otwórz się, mów, powiedz coś, gadaj, śpiewaj, syp...

–Nie, nie, panie Vimes, on złe to robi! – zawołał Fred Colon. – To było za dawnych dni, tak? To muszą być dawne słowa, jak... badzże otworzon!

Vimes zaśmiał się, kiedy wpadł mu do głowy nowy pomysł. Ciekawe, uznał. To

możliwe. Przecież nie chodzi o słowa, ale o dźwięki. Głosy...

Niesmialsson obserwował ich próby z niepewną miną.

–Jak będzie po krasnoludziemu "otwórz się"? – zapytał go Vimes.

–W sensie otworzenia książki? To będzie dhwe, komendancie.

–Hm... To na nic. To może... "powiedz"?

–Aargk albo, w trybie rozkazującym, cork, komendancie. Wie pan, nie wydaje mi się...

–Przepraszam! – zawołał głośno Vimes.

Gwar ucichł.

–Awk! – powiedział Vimes.

Niebieskie i zielone światelka przestały migotać, przesunęły się po metalu, tworząc deseny niebieskich i zielonych kwadratów.

–Myślałem, że ów artysta nie znał krasnoludziego – zdziwił się król.

–Nie znał, ale płynnie mówił po kurczaczemu – odparł Vimes. – Później wyjaśnię...

–Kapitanie, sprowadźcie gragów – rzucił król. – Jenców także, nawet trolle. Wszyscy tego wysłuchają!

Powierzchnia szescianu zdawała się poruszać na dłoni Vimesa. Niektóre z zielonych i niebieskich kwadratów wysunęły się nieco nad metalową płaszczyznę.

Pudełko przemówiło. Zabrzmiął warkot, przypominający trochę krasnoludzi, choć Vimes nie mógł rozpoznać nawet jednego słowa. Po nim rozległy się głośne stuknięcia.

–Osioły krasnoludzi z okresu Drugiej Konwokacji – stwierdził Niesmialsson. – Właściwy dla tego okresu. Ktokolwiek mówi, powiedział właśnie: "Azaliz działa rzecz owa?".

Głos odezwał się ponownie. Kiedy spływały dawne, zgrzytliwe sylaby, Niesmialsson tłumaczył dalej:

–Pierwsza rzecz, którą zrobił Tak, to spisał siebie; druga rzecz, którą zrobił Tak, to spisał Prawa; trzecia rzecz, którą zrobił Tak, to spisał Świat; czwarta rzecz, którą zrobił Tak, to spisał yaskinie; piąta rzecz, którą zrobił Tak, to spisał geode,

yayo z kamienia; y oto w polmroku uyscia yaskini geoda pekla i narodzili sie Bracia; pyerwszy Brat poszedl w strone swyatla i stanal pod otwartym niebem...

–To jest opowiesc o Rzeczach, ktore spisal Tak – szepnela Vimesowi Cudo.

Vimes wzruszyl ramionami, patrzac, jak kilku ochroniarzy Rhysa wprowadza do kregu gragow, wsrod nich Twardzca.

–Nie jest nowe ani nic? – zapytal rozczarowany.

–Kazdy krasnolud to zna, sir.

–...byl to pyerwszy krasnolud – tlumaczył Niesmialsson. – Znalazl Prawa spysane przez Taka i stal sie ociemniony.

Trzeszczacy glos mowil dalej. I nagle Niesmialsson, ktory w skupieniu zamykal oczy, otworzyl je zdumiony.

–Uch... Y wtedy Tak spojrzal na kamien, ktory staral sie ozyc; i usmyechnal sie Tak i zapysal: "Wszystkie rzeczy daza" – mowil Niesmialsson, podnoszac glos, bo gwar narastal dookola. – I za przysluge, yaka kamien mu oddal, uformowal z niego pyerwszego trolla i zachwycil sie zyciem, ktore poyawilo sie niewzywane. To sa rzeczy, ktore spysal Tak!

Niesmialsson krzyczal teraz, gdyz wokol narastal halas.

Vimes czul sie jak intruz. Odniosl wrazenie, ze kloca sie wszyscy procz niego. Wymachiwano toporami.

–JA, KTORY MOWIE TERAZ DO WAS, JESTEM B'HRIANEM KRWAWYM TOPOREM, PRZEZ PRAWO KAMIENIA KAISERA KROLEM WSZYSTKICH KRASNOLUDOW! – wrzasnal Niesmialsson.

W jaskini ucichlo i tylko daleka ciemnosc odpowiedziala echem na ten krzyk.

–Nagly wylew stracil nas do tych jaskin. Odszukalismy sie wzajemnie, glosy w ciemnosci. Umieramy. Nasze ciala polamane sa przez straszne wody o zebach... z kamienia. Jesteśmy zbyt slabi, by sie wspinac. Woda otacza wszystko. Ten testament powierzmy mlodemu Wrecemocnemu, ktory wciaz jest zwawy, w nadziei ze dotrze do swiatla. Albowiem historia tego dnia nie moze byc zapomniana. Nie taki mial byc skutek! Przybylismy tutaj, by podpisac traktat! To byl sekret, efekt wielu lat pracy!

Szescian przestal mowic. Ale slychac bylo ciche jeki i szum wody gdzies dalej.

–Sire, nie wolno tego sluchac! – wykrzyknal Twardziec spomiedzy gragow. – To nic innego niz klamstwa za klamstwami. Nie ma w tym ani slowa prawdy! Jaki mamy dowod, ze to glos Krwawego Topora?

Kapitan Gud wydaje sie dosc niepewny, uznal Vimes. Krolewscy gwardzisci? W wieksosci wygladaja na solidnych, tacy pozostaja lojalni i nie poswiecaja uwagi polityce. Gornicy? Gniewni i zagubieni, poniewaz starzy gragowie krzycza. Sytuacja sie bardzo szybko pogarsza.

–Straz Miejska, do mnie! – zawolal.

Dochodzace z szescianu chaotyczne dzwieki umilkly i odezwal sie inny glos. Detrytus uniosl glowe.

–To starotrollowy! – powiedzial.

Niesmialsson wahal sie tylko przez chwile.

–Ehm... Jestem diamentowym krolem trolli – przetlumaczyl, patrzac blagalnie na Vimesa. – Istotnie, przybylismy, by zawrzec pokoj. Ale mgla nas ogarnela, a kiedy sie uniosla, niektore trolle i krasnoludy krzyknely: "Zasadzka!". Rzucili sie do walki i nie sluchali naszych rozkazow. I tak troll walczył z trollem, krasnolud z krasnoludem, a glupcy zrobili glupcow z nas wszystkich. I walczyliśmy, by powstrzymac wojne, az zniechecone niebo zmylo nas z powierzchni Dysku. A jednak mowimy tyle: tutaj, w tej grocie na koncu swiata, miedzy krasnoludem i trollem zostal zawarty pokoj i razem pomaszerujemy poza dlonie Smierci. Albowiem nieprzyjacielem nie jest troll ani nie jest krasnolud, ale sa nim ci zlowrodzy, zlosliwi i tchorzliwi, naczynia nienawisci, ci, ktorzy zle czynia, a nazywaja to dobrem. Z nimi dzis walczyliśmy, ale uparty glupiec jest wieczny i powie...

–To oszustwo! – wykrzyknal Twardziec.

–...powie, ze to oszustwo – tłumaczyl dalej Niesmialsson. – Dlatego prosimy: zejdzcie do jaskin pod dolina, a znajdziecie tam nas, w pokoju, ktory nie moze byc zlamanym.

Dudniacy glos z szescianu umilkł. Znowu zabrzmial szum ledwie slyszalnych dzwiekow, a potem cisza.

Male kwadraty przesuwalysie przez chwile, jak przy ukladaniu klockow lamiglowki. I potem wrocil dzwiek, ale teraz z szescianu wydobywaly sie krzyki i brzek stali.

Vimes obserwowal twarz krola. Czesc z tego juz wiedzial, myslal. Nie wszystko, ale nie wygladasz na zdziwionego, ze to mowil Krwawy Topor. Pogloski? Dawne opowiesci? Cos w kronikach? Nigdy mi nie powiesz...

–Ha'dra – rzucił Niesmialsson i szescian zamilkl. – To znaczy "stop", komendancie – dodał.

–No wiec jestesmy pod dolina Koom – prychnal wzgardliwie Twardziec. – I co znajdujemy?

–Znajdujemy ciebie – odparl Niesmialsson. – Zawsze znajdujemy ciebie.

–Martwe trolle. Martwe krasnoludy. I nic wiecej niz tylko glos – mowil Twardziec. – Jest tu Ankh-Morpork. Oni sa podstepni. Te slowa mogly byc wypowiedziane wczoraj!

Krol obserwowal Twardzca i Niesmialssona. Podobnie jak wszystkie krasnoludy.

Nie musicie sie klocic! – chcial krzyknac Vimes. Po prostu zakujcie tych drani, a reszte rozstrzygniemy pozniej!

Ale w byciu krasnoludem najwazniejsze sa slowa i prawa.

–To sa szacowni gragowie. – Twardziec wskazal okryte czernia postacie za soba. – Studiowali Historie! Studiowali Mechanizmy! Tysiace lat wiedzy stoi oto przed wami! A ty? Co ty wiesz?

–Przyszlicie, zeby zniszczyc prawde – rzekl Niesmialsson. – Nie mieliscie odwagi, by jej zaufac. Glos jest tylko glosem, ale ciala to dowod. Przybylicie, by je zniszczyc.

Twardziec wyrwal jakiemus gornikowi topor i zamachnal sie, nim gwardzisci zdazyli zareagowac. Kiedy uswiadomili sobie, co sie dzieje, nastapil ogolny ruch naprzod.

–Nie! – zawolal Niesmialsson, unoszac rece. – Sire, prosze! To dyskusja miedzy gragami!

–Dlaczego nie nosisz topora? – warknal Twardziec.

–Nie potrzebuje topora, zeby byc krasnoludem – oswiadczył Niesmialsson. – Nie musze tez nienawidzic trolli. Jakaz to istota okresla sie poprzez nienawisc?

–Uderzasz w nasze korzenie! – rzekl Twardziec. – W same korzenie!

–Wiec ty uderz w ich obronie. – Niesmialsson wyciagnal puste rece. – I prosze schowac miecz, komendancie Vimes – dodał, nie odwracajac glowy. – To sprawa krasnoludow. Sluchaj mnie, Twardziec! Nadal tu stoje. W co wierzysz? Ha'ak! Ga strak ja'ada!

Twardziec rzucil sie naprzod, unoszac topor. Niesmialsson poruszył sie

blyskawicznie, zabrzmiał odgłos uderzenia, a potem wszyscy zobaczyli scenę tak nieruchomą, jak te zadumane postacie wokół jaskini. Był Twardziec ze wzniesionym toporem. Był Niesmialsson klekający na jednym kolanie, z jedną dłoń niemal przyjaźnie opartą o pierś Twardzcy, a krawędź drugiej przycisnięta do jego krtani.

Twardziec otworzył usta, z których wydobył się tylko cichy skrzek i strumyczek krwi. Zrobił kilka kroków w tył i padł na plecy.

Topór uderzył w mały, wilgotny, kamienny wodospad i przebił się przez tysiące lat kapania. Odpryski czasu posypały się dookoła.

Niesmialsson wstał i roztarł dłoń.

–To jakby użyć topora – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Ale bez topora.

Podniósł się tumult. Nagle przez tłum przecisnął się nowy, ociekający wodą krasnolud.

–Sire, oddział trolli nadchodzi dolina! Pytają o ciebie! Mówią, że chcą pertraktować!

Rhys przestąpił nad ciałem Twardzcy, spoglądając uważnie na otwór w kamiennym wodospadzie. Dotknął go, a wtedy wypadł jeszcze jeden kawałek.

–Czy ich przywódca jest jakiś szczególny? – zapytał z roztargnieniem, wciąż wpatrując się w nowo odsłoniętą ciemność.

–Tak, sire! Jest cały... błyszczący!

–Aha. Dobrze. Będziemy pertraktować. Sprowadź go tutaj na dół.

–Czy może to być troll, który zna bardzo potężnych krasnoludów? – zapytał Vimes.

Dolny król przez chwilę patrzył mu w oczy.

–Tak, wydaje mi się, że tak. – Podniósł głos. – Niech ktoś mi poda pochodnię! Komendancie Vimes, zechce pan... Niech pan na to spojrzy, dobrze?

W głębinie odsłoniętej groty coś błyszczało.

Tego dnia w roku 1802 malarz wrzucił migoczący przedmiot do najgłębszej studni, jaką znał. Nikt go już więcej nie usłyszy.

Kurczak scigał Methodie Rascala aż do domu.

Byłoby łatwiej, myślał Vimes, gdyby to była tylko opowieść. Ktoś wyciągnie miecz z kamienia albo wrzuci magiczny pierścień w morskie głebiny i wśród powszechnej radości świat się zmienia.

Ale to było prawdziwe życie. Świat się nie zmienił, tylko zatrzęsł. Nadszedł Dzień Doliny Koom, lecz w dolinie Koom nie odbywała się bitwa. Jednak to, co się działo, trudno by też nazwać pokojem. Działo się... No, właściwie to działały się komitety. Trwały negocjacje. Zresztą, o ile Vimes się orientował, aż do negocjacji jeszcze się nie posunęli. Nie zakończyli nawet rozmów na temat spotkań w sprawie delegacji. Jednak nikt nie zginał, chyba żeby umarł z nudów.

Należało spruć wielki kawał historii, a na tych, którzy nie byli bezpośrednio zaangażowani w tę delikatną działalność, czekała wymagająca okiełznania dolina Koom. Dwaj mityczni bohaterowie znajdowali się w jaskini, a wystarczyła jedna porządna burza i kilka pechowo zablokowanych strumieni, żeby rwąca woda, niosąca miążdzące wszystko glazy, starła całe to miejsce. To jeszcze nie nastąpiło, ale wcześniej czy później dynamiczna geografia weźmie się do pracy. Dlatego doliny Koom nie można było zostawić jej własnemu losowi – już nie.

Gdziekolwiek człowiek spojrzał, ekipy krasnoludów i trolli mierzyły, przekierowywały, przegradzały i wierciły. Zajmowały się tym od dwóch dni, ale praca nie miała końca, ponieważ każda zima zmieniała plansze tej gry. Dolina Koom zmuszała ich do współpracy. Piekielna dolina Koom...

Vimes uważał, że wszystko układa się zbyt gładko, ale natura już taka bywa. Niektóre zachody słońca są tak różowe, że trudno o większe bezguscie.

Jedno tylko zdarzyło się szybko – tunel. Krasnoludy wykuli drogę w miękkim wapieniu i teraz można było dotrzeć do groty spacerem, choć najpierw trzeba było odczekać swoje w kolejce trolli i krasnoludów.

Schodzący w dół spoglądali na siebie co najmniej niepewnie. Wracający na górę czasami byli zagniewani, czasami bliscy łez, a czasem po prostu szli przed siebie, wpatrzeni w ziemię.

Kiedy wyszli, często zbijali się w ciche grupki.

Sam, z Młodym Samem na rękach, nie musiał czekać. Wszedł do środka, mijając trolle i krasnoludy zajęte starannym odnawianiem połamanych stalagmitów (nie wiedział, że to możliwe, ale podobno za pięćset lat będą jak nowe). A potem wszedł do jaskini, która zaczęła już nazywać się Grota Królów.

I siedzieli tu, trudno zaprzeczyć. Król krasnoludów osunął się na plansze, zaszklony

wiecznie ciekająca woda, z broda zmieniona w kamień, zespolony ze skała. Ale diamentowy król nawet po śmierci stał prosto, choć skóra mu zmetniała. Wciąż dało się zobaczyć przed nim figury. Miał wykonać ruch – zdrowy mały stalaktyt zwisał z jego wyciągniętej dłoni.

Polamali małe stalagmity, żeby zrobić figury, które unieruchomiły czas. Wydrapane na kamiennej planszy linie stały się prawie niewidoczne, ale gracze w lupsa z obu gatunków analizowali już te partie, a jej schemat ukazał się w "Pulsie". Diamentowy król grał krasnoludami. Najwyraźniej obie strony miały jeszcze szansę na zwycięstwo.

Mówili, że kiedy już wszystko się skończy, zamurują te grotę. Krasnoludy uważały, że zbyt wielu odwiedzających w żywej jaskini w pewnym sensie ją zabija. A wtedy królowie pozostaną w ciemności, by dokończyć swą grę w – miejmy nadzieję – pokoju.

Woda sciekła na kamień i zmieniała kształt świata, kropla po kropli, splukując dolinę.

No tak, pomyślał Vimes, ale to przecież nigdy nie będzie proste. Raz na kilka pokoleń trzeba będzie znowu otworzyć te jaskinie, aby wszyscy zobaczyli, że to prawda.

Dzisiaj jednak grotę była otwarta dla Sama i Młodego Sama, który miał na głowie zabawną welnianą czapkę z pomponem.

Na posterunku stali Cegła i Sally, wraz z dwójką krasnoludów i jeszcze dwoma trollami. Patrzyli na odwiedzających i na siebie nawzajem. Vurmy pokrywały sklepienie. Plansza i figury Isnily. Co zapamięta Młody Sam? Pewnie tylko polysk. Ale trzeba mu to pokazać.

Gracze byli prawdziwi, co do tego zgadzały się obie strony. Rzeźbienia na Diamencie były dokładne, a pancerz i klejnoty Krwawego Topora takie, jak zapisano w kronikach. Obok niego leżał nawet podłużny bochenek chleba krasnoludów, który zabierał do bitwy i którym mógł roztrzaskać czaszkę trolla. Krasnoludzcy uczeni delikatnie i ostrożnie, tepiac przy tym pietnascie brzeszczotów pil, odcięli małe kawałki. Okazało się, że chleb jest w cudowny sposób tak samo niejadalny jak w dniu, kiedy go upieczono.

Minuta to mniej więcej właściwy czas na ten historyczny moment, uznał Vimes. Młody Sam był w wieku, kiedy lapał wszystko, a nie dążył do spokoju, gdyby jego syn zjadł fragment zabytku.

–Mogę prosić na słowo, młodsza funkcjonariusz? – zwrócił się do Sally, kiedy już wychodził. – Za chwilę będzie zmiana warty.

–Oczywiście, sir – odparła Sally.

Vimes stanął w kacie jaskini i zaczął czekać, aż Nobby i Fred Colon wmaszerowali na czele kolejnego oddziału.

–Jestecie zadowolona, że wstapiliście do straży? – zapytał, kiedy podbiegła.

–Bardzo, sir.

–To dobrze. Wyjdziemy na powietrze?

Poszła za nim na górę, w wilgotną upalną dolinę Koom. Usiadł na kamieniu. Młody Sam bawił się u jego stóp.

–Czy może coś chcielibyście mi powiedzieć, młodsza funkcjonariusz?

–A powinnam, sir?

–Niczego nie mogę udowodnić... ale jesteś agentką dolnego króla. Prawda? Szpiegowałaś mnie.

Czekał, aż Sally rozważy możliwe reakcje. Jaskolki pikowały całymimi eskadrami.

–Ja, tego... nie ujęłabym tego w ten sposób – powiedziała w końcu. – Miałam uważać na Combergniota i słyszałam o kopaniu pod miastem, a potem, kiedy zaczęło się robić gorąco...

–...wstąpienie do straży wydało się niezłym pomysłem, co? Liga wie o tym?

–Nie! Proszę mi wierzyć, sir, nie szpiegowałam pana...

–Zawiadomiłaś go, że zmierzam do doliny Koom. A w noc naszego przybycia poszłaś się przelecieć. Tylko po to, żeby rozruszać skrzydła?

–Sir, to nie jest normalnie moje życie! – przekonywała Sally. – Wstąpiłam do nowej formacji policyjnej w Bzyku. Staramy się coś tam osiągnąć. Tak, chciałam pojechać do Ankh-Morpork, bo przecież, no... wszyscy chcą. Żeby się uczyć, wie pan. Zobaczyc, jak się to panu udaje. Wszyscy tylko pana chwala! Aż nagle wezwał mnie dolny król, a ja pomyślałam: Co w tym złego? Combergniot tam też narozrabiał. Ale nigdy tak naprawdę pana nie okłamałam, sir.

–Rhys już wcześniej wiedział o sekrecie, prawda?

–Nie, sir, nie wszystko. Choć sądzę, że miał jakieś powody, by podejrzewać, że na dole coś jest.

–To dlaczego zwyczajnie nie pojechał sprawdzić?

–Krasnoludy kopiące w dolinie Koom? Trolle... by dostały szalu, sir.

–Ale nie wtedy, gdyby krasnoludy badały tylko, dlaczego gliniarz z Ankh-Morpork sciga w jaskiniach uciekających przestępców. Mam rację? Nie, jeśli ten gliniarz to dobry stary Sam Vimes, o którym wszyscy wiedza, że jest prosty jak strzala, nawet jeśli to nie najostrzejszy noż w szufladzie. Nie da się przekupić Sama Vimesa, ale po co się męczyc, jeśli można zamydląc mu oczy?

–Sir, wiem, jak się pan czuje, ale... No, pański synek bawi się w dolinie Koom, dookoła stoja trolle i krasnoludy... I nie walczą! Zgadza się? Nie kłamalam, ja tylko... byłam trochę łącznikiem. Nie było warto, sir? Ha, naprawdę pan ich zaniepokoił, kiedy pan poszedł do magów. Błysk nie wyjechał jeszcze z miasta! Rhys musiał dostarczyć go na miotle, nocnym lotem! Wszystko, co tak naprawdę zrobili, to szli pańskim tropem. Jedyną osobą, która próbowała pana oszukać, byłam ja, a i tak się okazuje, że nie byłam w tym dobra. Potrzebowali pana, sir. Więc niech się pan teraz rozejrzy i powie, że nie było warto.

Piecdziesiąt sznów dalej głaz wielkości domu toczył się po skale, popychany i kierowany przez dwanaście trolli. Wpadł do splotu i zatkał go szczelnie jak jajko w kieliszku. Zabrzmiały oklaski.

–Może jeszcze coś dodać, sir? – spytała Sally. – Wiem, że za mną stoi Angua.

–Dla ciebie sierżant Angua – odezwiała się Angua tuż za jej uchem. – Mnie też nie nabralas. Mówiłam ci, że nie lubimy w straży donosicieli. Ale, sir, ona pachnie, jakby mówiła prawdę.

–Wciąż masz kontakt z dolnym królem? – spytał Vimes.

–Tak, i jestem pewna, że... – zaczęła pośpiesznie Sally.

–Więc to są moje zadania. Gragowie i ci, którzy zostali jeszcze z ich ochrony, wracają ze mną do Ankh-Morpork. To dotyczy również Twardzca, choć podobno mina jeszcze tygodnie, zanim znów będzie mógł mówić. Stana przed Vetinarim. Muszę spełnić obietnice i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Ciężko będzie postawić im te najpoważniejsze zarzuty, ale do demona, na pewno spróbuje. Co prawda założę się o własny obiad, że Vetinari tkwi w tym wszystkim, to pewnie i tak zapakuje ich i wyśle z powrotem Rhysowi. Nie sędzę, żebyśmy mieli cele dostatecznie głębokie, żeby czuć się pewnie. Zrozumiano?

–Tak jest, sir. A inne zadania?

–Takie same jak pierwsze, tylko powtórzone o wiele głośniej. Zrozumiano?

–Absolutnie, sir. Potem złoże rezygnacje, oczywiście.

Vimes zmrużył oczy.

–Złóżcie rezygnacje, kiedy wam kaze, młodsza funkcjonariusz! Wzieliście królewskiego szylinga, pamiętacie? I złożyliście klatwe. No to idźcie i łącznikujcie.

–Chce pan ja zatrzymać? – spytała Angua, gdy wampirzyca znikła za skalami.

–Sama mówiłaś, że dobry z niej glina. Zobaczmy. Och, nie robcie takich min, sierzancie. Szpiegowanie u przyjaciół to ostatni krzyk mody w polityce. Tak słyszałem. I powtórzę za nią: rozejrzyjcie się dookoła.

–To trochę do pana niepodobne, sir – stwierdziła wyraźnie zaniepokojona Angua.

–Rzeczywiście nie – zgodził się Vimes. – Dzisiaj w nocy dobrze się wyspałem. Mamy piękny dzień. Nikt aktywnie nie usiłuje mnie zabić, co jest mile. Dziękuję wam, sierzancie. Życzę milego wieczoru.

Vimes wyniósł Młodego Sama na blask późnego popołudnia. Bardzo dobrze, że dziewczyna pracowała dla Rhysa, myślał. Inaczej byłoby dość ciężko, trudno zaprzeczyć. Zatrzymać ją? Możliwe. Przydaje się, nawet Angua to przyznaje. Poza tym został praktycznie zmuszony, by przyjać szpiega w czasie mniej więcej wojny. Jeśli dobrze to rozegra, nikt już nigdy nie spróbuje mu dyktować, kogo ma przyjać do straży. Doreen Winkings może grzechotać fałszywymi klami, ile tylko zechce!

Hm... Czy to w ten sposób myśli Vetinari? Przez cały czas?

Usłyszał, że ktoś go wola. Powóz toczył się po skale, a Sybil machała ręką z okna. To był kolejny wielki krok naprzód – nawet powozy mogły tu teraz wjechać.

–Nie zapomniałaś o dzisiejszym bankiecie, prawda? – spytała z odrobiną podejrzliwości w głosie.

–Nie, moja droga.

Vimes nie zapomniał, ale miał nadzieję, że bankiet rozwieje się jakos, jeśli nie będzie o nim myślał. Miał być Oficjalny, z oboma królami oraz spora grupa pomniejszych królów i wodzów klanów. Oraz, niestety, ze specjalnym przedstawicielem Ankh-Morpork... czyli z Samem Vimesem, porządnie wyszorowanym.

Przynajmniej nie musiał wkładać rajtuzów ani pioropuszy – nawet Sybil nie była aż tak przewidująca. Niestety jednak, w miasteczku był całkiem przyzwoity krawiec, bardzo chętny do zużycia całych złotych galonów, jakie kupił przypadkiem rok temu.

–Zanim wrocimy, Willikins przygotowuje ci kapiel – powiedziala Sybil, gdy powoz ruszyl z miejsca.

–Tak, moja droga.

–Nie badz taki smetny. Pamietaj, ze masz podtrzymywac honor Ankh-Morpork.

–Doprawdy, moja droga? A co bede robil druga reka? – Vimes usadowil sie na laweczce.

–Och, kochanie... Dzis wieczorem bedziesz spacerowal z krolami!

Wolalbym raczej przespacerowac sie o trzeciej nad ranem calkiem sam po Kopalni Melasy, myslal Vimes. W deszczu, wzdluz przepelnionych rynsztokow... Ale zony juz takie sa. Sybil byla taka... taka z niego dumna... Nigdy nie mogl zrozumiec dlaczego.

Zerknal na swoja reke. Przynajmniej te zagadke rozwiadal. Rana wylotowa, akurat... Po prostu plonacy olej chlapnal mu na skore. Moze i przypomina to ten przeklety symbol – dostatecznie, zeby nastraszyc krasnoludy – ale jego samego nic nie przekona do jakiegos fruwajacego oka. Zdrowy rozsadek i fakty, to zawsze dziala!

Dopiero po chwili zauwazyl, ze wcale nie jada do miasta. Zjechali w dol, prawie do poziomu jeziorok, a teraz skrecili na sciezke wzdluz urwiska. Widzial, jak pod nimi otwiera sie dolina.

Krolowie zapiedzili swych poddanych do ciezkiej pracy, zgodnie z teoria, ze zmeczeni wojownicy sa mniej chetni do walki. Ekipy robocze roily sie wsrod skal jak mrowki. Moze i byl w tym jakis plan. Pewnie tak. Ale gory wysmieja go na nowo kazdej zimy. Trzeba przez caly czas utrzymywac tutaj robotnikow, trzeba obserwowac zbocza, wyszukiwac i rozbijac ogromne glazy, zanim narobia szkod... Pamietaj o dolinie Koom! Bo jesli nie, twoja historia bedzie... historia.

A moze, wsrod grzmotu i ryku podziemnych wod, uslyszysz smiech martwych krolow.

Powoz sie zatrzymal, Sybil otworzyla drzwiczki.

–Wysiadaj, Sam – rozkazala. – Zadnych dyskusji. Pora na twoj portret!

–Tutaj? Ale przeciez... – zaczal Vimes.

–Dzien dobry, komendancie – odezwal sie uprzejmie Otto Chriek, stajac obok powozu. – Ustavilem laweczke, a swiatlo jezta doskonale dla koloru.

Vimes musial przyznac mu racje. W swietle blyskawic szczyty jarzylly sie zlotem.

Niezbyt daleko Lzy Krola spadały w dół linia migotliwego srebra. Jaskrawo ubarwione ptaki smigały w powietrzu. A nad całą doliną, aż po jej górny kraniec, rozwijały się teczki.

Dolina Koom w Dzień Doliny Koom... Musiał tu być.

–Jeśli lady Sybil zechce usiąść z tym małym chłopczykiem na kolanach, a pan, komendant, zstąpi z dłońmi na jej ramieniu...?

Otto zakrzatnął się przy swoim wielkim ikonografie.

–Przyjechał tu robić obrazki dla "Pulsu" – szepnęła Sybil. – Wciąż pomyślałam, że teraz albo nigdy. Galeria portretów nie może zostać przerwana.

–Ile czasu to zajmie? – zapytał Vimes.

–Tylko ułamek sekundy, komendant.

Vimes poweselał. To już brzmiało bardziej rozsądnie.

Oczywiście, to nigdy nie jest prawda. Ale było ciepło popołudnie i Vimes wciąż miał dobry humor. Siedzieli więc i patrzyli przed siebie z tymi stezalymi uśmiechami ludzi, którzy zastanawiają się, czemu ułamek sekundy trwa pół godziny. Otto tymczasem starał się poustawić wszechświat w sposób według siebie odpowiedni.

–Wiesz, Havelock będzie się zastanawiał, jak cię wynagrodzić – szepnęła Sybil, gdy zaferowany wampir krecił się wokół.

–No to niech się zastanawia – odparł Vimes. – Mam wszystko, czego pragnę.

Uśmiechnął się.

Pstryk!

–Szescziesięciu nowych funkcjonariuszy? – powtórzył lord Vetinari.

–Cena pokoju, sir – odparł z przekonaniem kapitan Marchewa. – Jestem pewien, że komendant Vimes nie zgodzi się na mniejszą liczbę. Naprawdę nie wystarczy nam sił.

–Szescziesięciu ludzi... i krasnoludów, i trolli, oczywiście... to więcej niż trzecia część waszego obecnego stanu osobowego – stwierdził Patrycjusz, stukając łaską o bruk. – Pokój przedstawia dość pokazny rachunek, kapitanie.

–Oraz kilka dywidend, sir – zauważył Marchewa.

Spojrzeni na znak przekreslonego pozioma linia kola nad wejściem do kopalni, tuż ponad czarno-złota lina używana przez straż, by nie dopuszczać intruzów.

–Kopalnia przypada nam domyslnie? – spytał Vetinari.

–Tak się wydaje, sir. O ile się orientuje, właściwy termin to "wywłaszczenie".

–A tak. Oznacza otwartą kradzież w wykonaniu rządu.

–Ale gragowie wykupili prawo własności, sir. Raczej nie będzie teraz protestować.

–Słusznie. Czy krasnoludy naprawdę potrafią budować wodoszczelne tunele?

–O tak. Sztuczka jest niemal tak stara jak gornictwo. Zechce pan wejść do środka, sir? Ale obawiam się, że winda chwilowo nie działa.

Lord Vetinari obejrzał tory i małe wózki, którymi krasnoludy przewoziły wydobyta ziemię. Dotknął suchych ścian. Wroczył na górę i zmarszczył czoło, kiedy tonowy blok żelaza przebił ścianę, wirując, przemknął mu przed twarzą, wybił otwór w drugiej ścianie i zagrzebał się na ulicy.

–Czy coś takiego powinno się zdarzyć? – zapytał, strzepując z szaty okruchy tynku.

–Ależ ma moment! – zawołał jakiś podniecony głos za nimi. – To niemożliwe! Zdziwiająca!

Jakis osobnik przeszedł przez rozbitą ścianę. Dygocząc z podniecenia, podbiegł do kapitana Marchewy.

–Obraca się raz na 6,9 sekundy, ale moment obrotowy jest ogromny! Wyrwało klamry! Co go napędza?

–Nikt chyba nie wie – odparł Marchewa. – W Uberwaldzie...

–Przepraszam, ale o co tutaj chodzi? – przerwał im Vetinari, rozkazująco unosząc dłoń.

Osobnik spojrzał na niego, a potem na Marchewę.

–Kto to? – zapytał.

–Lord Vetinari, władca miasta. Czy pozwoli pan sobie przedstawić, sir... To jest pan Pony z Gildii Mechaników – powiedział szybko Marchewa. – Panie Pony, proszę pokazać jego lordowskiej mości piaste.

Pony niechętnie podał Vetinariemu przedmiot, który wyglądał jak dwa szesciościenne szesciany połączone ścianą, jakby dwie kostki do gry sklezione szostkami. Jedna z nich obracała się względem drugiej – bardzo, bardzo powoli.

–Och – powiedział chłodno Patrycjusz. – Mechanizm. Jak miło.

–Miło? – obruszył się Pony. – Nie rozumie pan? Nie przestaje się krecić!

Wraz z Marchewa spojrzeli wyczekująco.

–A to dobrze, tak? – upewnił się Patrycjusz.

Marchewa odkaszlnął.

–Tak, sir. Takie urządzenie zasila jedna z największych kopalni w Uberwaldzie. Wszystkie pompy, wiatraki do wymiany powietrza, wózki przewożące rudy, miechy w kuzniach, windy... wszystko. Tylko jedno takie urządzenie. To inny rodzaj Mechanizmu, jak szesciany. Nie wiemy, jak są zbudowane, występują bardzo rzadko, ale te trzy, o których słyszałem, nie przestały działać od setek lat. Nie zużywają paliwa. Niczego nie potrzebują. Po prostu się krecą.

–Bardzo interesujące – przyznał Vetinari. – Ciągła wózki? Pod ziemią, mówi pan?

–O tak – potwierdził Marchewa. – Nawet z siedzącymi w nich górnikami.

–Przemysle tę sprawę – rzekł Patrycjusz, starannie unikając wyciągniętej ręki Pony'ego. – A co moglibyśmy w ten sposób robić w naszym mieście?

On i Marchewa spojrzeli pytająco na pana Pony, który wzruszył ramionami.

–Wszystko!

Plink! Kropla wody spadła na głowę bardzo dawno zmarłego króla Krwawego Topora.

–Jak długo będziemy musieli to robić, sierżancie? – zapytał Nobby, obserwując długą kolumnę sunaca obok martwych królów.

–Pan Vimes wezwał z domu drugi oddział – odparł Fred Colon, przestępując z nogi na nogę.

Kiedy człowiek wchodził do groty, wydawała się całkiem ciepła, ale po chwili wilgoć przenikała wszystko. Na Nobby'ego to nie wpływa, pomyślał Fred, gdyż Nobby został przez naturę pobłogosławiony naturalnie wilgotną i lepka skóra.

–Juz mnie ciarki od tego przechodza, sierzancie. – Nobby wskazał obu krolow. – Jesli ta reka sie poruszy, zaczne wrzeszczec.

–Pomysl, ze w ten sposob Jestes Tutaj, Nobby.

–Przeciez zawsze gdzieś jestem, sierzancie.

–No tak, ale kiedy juz beda pisac ksiazki do historii... – Fred Colon zastanowil sie przez chwile. Musial przyznac, ze pewnie nawet nie wspomna o nim i o Nobbym. – No, twoja Plova bedzie z ciebie dumna, w kazdym razie.

–Nic z tego nie wyjdzie, sierzancie – westchnal smutnie Nobby. – To mila dziewczyna, ale chyba bede musial ja troche zostawic.

–Niemozliwe!

–Niestety tak, sierzancie. Pare dni temu zrobila mi kolacje. Probowala ugotowac cierpiacy pudding, taki jak mama gotowala.

Plink!

Fred Colon usmiechnal sie szeroko od samego zoladka.

–O tak. U nikogo pudding tak nie cierpial jak u twojej mamy, Nobby.

–To bylo okropne, Fred. – Nobby zwiesil glowe. – A jej opadek... Nie, nie chce do tego wracac. Ta dziewczyna nie umie nic zrobic przy piecu...

–Za to umie przy dragu, Nobby. Taka jest prawda.

–No wlasnie. I pomyslalem, ze chociaz Mlotek, no sam wiesz, nigdy nie wiadomo, w ktora strone patrzy, ale jej malze na maselku, coz... – Nobby westchnal.

–Mysl o tym moze czlowieka rozgrzac w chlodne noce – zgodzil sie Fred.

–I wiesz, ostatnio, kiedy trzepnie mnie mokra ryba, to nie boli juz tak jak kiedys. Mysle, ze dochodzimy do porozumienia.

Plink!

–Potrafi piescia rozlupac homara – zauwazyl Colon. – To bardzo wygodny talent.

–No wiec myslalem, ze pogadam z Angua – oswiadczył Nobby. – Moze mi poradzi, jak delikatnie zerwac z Plova.

–Dobry pomysl, Nobby – pochwalil go Colon. – Prosze nie dotykac, drogi panie, bo

bede musial odrabac panu paluchy!

Ostatnie zdanie skierowane bylo przyjaznym tonem do krasnoluda, ktory w zachwycie wyciagal reke do planszy.

–Ale pozostaniemy przyjaciolmi, oczywiscie – oswiadczył Nobby, gdy krasnolud cofnal sie szybko. – Przynajmniej tak dlugo, dopoki bede mogli wejsc za darmo do Klubu Rozowego Kociaka. Zawsze bede przy niej, gdyby potrzebowala jakiegos helmu do wyplakiwania.

–Bardzo nowoczesne podejscie, Nobby – pochwalil Colon.

Uśmiechnal sie w polmroku. W jakis sposob swiat znowu znalazl sie na wlasciwym kursie.

Plink!

Wedrujacy przez swiat wieczny troll...

Cegla maszerowal za Detrytusem, wlokac maczuge.

No... Szedl w gore w swiecie, ni ma co. Mowili, ze boli, kiedy sie rzuca towar, ale Cegle zawsze cos bolalo i teraz wcale nie bylo tak zle. Pewno, troche dziwnie bylo dojsc do konca zdania i jeszcze pamietac poczatek. No i dostawal jedzenie, co to je nawet zaczal lubic, kiedy juz przestal nim rzygac. Sierzant Detrytus, ktory wiedzial wszystko, obiecal, ze jak Cegla dalej bedzie czysty i troche zmadrzeje, moze kiedyś zostac nawet mlodszy funkcjonariuszem i zarabiac kupe szmalu...

Nie byl pewny, co sie wlasciwie dzialo, ze tak wyszlo. Tak sobie myslal, ze nie jest juz w miescie; troche sie bili, a sierzant Detrytus pokazal mu tych jakby niezwywych ludzi, trzepnal go po lbie i powiedzial "Pamietaj". No to Cegla bardzo sie staral, ale obrywal juz po lbie o wiele mocniej i duzo razy, wiec to byl drobiazg. Ale sierzant Detrytus mowil, ze tak w ogole to chodzi o to, coby juz nie nienawidzic krasnoludow, a to w porzadku, bo wlasciwie Cegla nigdy nie mial dosc energii, zeby ja marnowac na nienawidzenie... Od tego, co dzialo sie w tej dziurze, swiat byl lepszejszym miejscem, powiedzial sierzant Detrytus.

Kiedy zapachnialo jedzenie, Cegle wydalo sie, ze sierzant Detrytus mial absolutna racje.

Trolle i krasnoludy zbudowaly w dolinie Koom wielka rotunde, uzywajac

gigantycznych glazow na sciany i polowy powalonego lasu na dach. Wewnatrz, w palenisku dlugim na trzydziesci stop, plonal ogien. Wokol na dlugich lawach siedzieli krolowie ponad stu krasnoludzych kopalni i przywodcy osiemdziesieciu trollowych klanow, wraz ze swymi orszakami, sluzba i gwardzistami. Gwar ogluszal, dym byl gesty, zar uderzal jak mlotem.

To byl dobry dzien. Zostal dokonany postep. Dwie grupy gosci nie mieszaly sie ze soba, to prawda, ale tez nie probowaly sie pozabijac. To obiecujace zjawisko. Zawieszenie broni bylo przestrzegane.

Przy glownym stole krol Rhys wyprostowal sie na zaimprovizowanym tronie i powiedzial:

–Krolom nie przedstawia sie zadan. Krolom przedstawia sie prosby, ktore sa laskawie spelniane. Czy on tego nie rozumie?

–Mysle, ze jego to nie t'raka, sire, jesli wolno byc wulgarnym – odparl stojacy przy nim grag Niesmialsson. – A najbardziej szanowane krasnoludy z miasta w tej kwestii popra go bezwarunkowo. Nie do mnie nalezy decyzja, sire, ale doradzalbym zgode.

–I to wszystko, czego chce? Zadnego zlota, srebra, darowizn?

–To wszystko, czego on chce, sire. Ale podejrzewam, ze niedlugo odezwie sie lord Vetinari.

–O, tego mozemy byc pewni. – Krol westchnal. – To nowy swiat, gragu, ale pewne rzeczy sie nie zmieniaja. Hm... Ta istota go opuscila, prawda?

–Uwazam, ze tak, sire.

–Nie masz pewnosci?

Grag usmiechnal sie lekko i dyskretnie.

–Powiedzmy tyle, sire, ze lepiej bedzie spelnic te jego calkiem rozsadna prosbe.

–Sluszna uwaga, gragu. Dziekuje ci.

Krol Rhys odwrocil sie, pochyлил nad dwoma pustymi miejscami i odezwal do diamentowego krola:

–Czyzby cos mu sie przydarzylo? Minela szosta!

Blysk usmiechnal sie, zalewajac swiatlem polowe hali.

–Podejrzewam, ze zatrzymaly go sprawy najwyzszej wagi.

–Wazniejsze niz to? – zdziwil sie dolny krol.

...a poniewaz pewne rzeczy sa wazne, w miasteczku przed domem sedziego pokoju stal powoz. Konie parskaly niecierpliwie. Woznica czekal. W powozie lady Sybil cerowala skarpete, poniewaz pewne rzeczy sa wazne. Usmiechala sie lekko.

Z otwartego okna na pietrze dobiegal glos Sama Vimesa.

–Robi "Hruuugh!", To hipopotam! To nie moja krowka!

Mimo to glos byl teraz dostatecznie bliski. * Vimes musial przyznac, ze troche to obrazliwe dla Nobby'ego. Nobby byl czlowiekiem, tak samo jak wielu innych funkcjonariuszy. Tylko ze on jedyny musial nosic certyfikat, by tego dowiesc. * Jak przy "Stary Fred myslal, ze bedzie mogl dojadac resztki, wiec sie zglosil na ochotnika". Poniewaz jest to przyklad humoru biurowego, wcale nie musi byc zabawny. * Anoa jest ankhmorporska boginia Rzeczy, ktore Utykaja w Szufladach. * Vimes nigdy nie radzil sobie z zadna gra bardziej skomplikowana niz strzalki. W szczegolnosci szachy zawsze go irytowaly. To przez ten glupi upor, z jakim pionki ruszaly naprzod i zabijaly inne, bratnie pionki, podczas gdy krolowie objali sie z tylu i nic nie robili. Gdyby tylko pionki sie zjednoczyly, moze tez przekonaly wieze, cala plansza moglaby sie stac republika w dwunastu ruchach. * Vimes mial trzy tace: Przychodzace, Wychodzace i Wkurzajace. Na te ostatnia odkladal wszystko, przy czym byl zbyt zajety, zirytowany, zmeczony albo zdumiony, zeby cokolwiek zrobic. * W kazdym razie proporcjach tych bogow lepszej klasy. Nie tych z mackami, naturalnie. * Vimes opanowal w koncu polityke Czystego Biurka. Natomiast strategia Czystej Podlogi sprawiala mu chwilowe trudnosci. * Trollowa tradycja uznaje, ze zywe istoty w rzeczywistosci przesuwaja sie w czasie do tylu. To skomplikowane. * Empiryczny Sierp lezy tuz obok alei Parkowej, w rejonie ogolnie wysokich czynszow. Bylyby jeszcze wyzsze, gdyby nie nieprzerwane istnienie Empirycznego Sierpu, ktory – mimo ciaglych wysilkow Towarzystwa Ochrony Zabytkow Ankh-Morpork – wciaz nie zostal zburzony.

Zbudowal go Bergholt Grimwald Johnson, lepiej znany historii jako Bezdennie Glupi Johnson, czlowiek, ktory polaczyl w jednym kruchym ciele taki entuzjazm, samooszukiwanie i kreatywny brak talentu, ze na wiele sposobow stal sie jednym z wielkich bohaterow architektury. Tylko Bezdennie Glupi Johnson mogl wynalezc 13-calowa stope i trojkat z trzema katami prostymi. Tylko Bezdennie Glupi Johnson potrafil przekrecic zwykla materie przez wymiary, w ktore nie powinna sie zanurzac. I tylko Bezdennie Glupi Johnson mogl to wszystko zrobic przypadkiem.

Wlasnie takie wysoce oryginalne, wielowymiarowe podejscie do geometrii odpowiadalo za Empiryczny Sierp. Z zewnatrz byla to zwyczajna polkolista ulica z domami typowymi dla tego okresu, zbudowanymi z kamienia barwy miodu, czasem z przymocowanym do muru cherubinem czy kolumna. A wewnatrz – drzwi frontowe

numeru 1 otwieraly sie w tylnej sypialni pod numerem 15, okno na parterze numeru 3 ukazywalo widok odpowiedni dla pokoju na drugim pietrze pod numerem 9, a dym z kominka w jadalni numeru 2 wylatywal przez komin numeru 19. * Mieszkaniec Empirycznego Sierpa mogl spokojnie wyrzucac smieci do ogrodu, poniewaz to najprawdopodobniej nie byl jego ogrod, do ktorego je wyrzucal. * Scislej mowiac, kazdy hodowca smokow, ktory nie zajmuje obecnie niewielkiej artystycznej urny. * Slynny ankhmorporski sport rynsztokowy, ustepujacy popularnoscia jedynie wyscigom zdechlych szczurow. Kupkowe pogonie chyba calkiem zanikly, mimo proby wprowadzenia ich na wyzszy segment rynku z nowa nazwa misie-kupisie. * Co prawdopodobnie czynilo Freda Colona absolutnym wyjatkiem w annalach sluzby wieziennej. * Ten Igor nie byl Igorem, tylko mial tak na imie. Lepiej bylo nie zartowac z nim na temat imienia, a juz zwlaszcza nie prosic, zeby z powrotem przyszl rozmowcy glowe. * Cierpliwosc jest cnota krasnoludow. * Mowia, ze jest taki jeden na kazdym komisariacie. Funkcjonariusz Wizytuj Bezboznych z Wyjasniajacymi Broszurami wystarczal za dwoch. * Kiedys to uslyszal od zony i byl troche zaskoczony. Przy obiedzie Sally oznajmila: "Wieczorem bedzie wieprzowina, wymaga dojedzenia". Vimes nigdy nie mial z tym problemow, poniewaz zostal wychowany tak, by zjadac to, co przed nim postawia, i robic to szybko, zanim ktos inny mu to porwie. Byl po prostu zdziwiony sugestia, ze istnieje miedzy innymi po to, by jedzeniu wyswiadczyć przysluge. * Homary to uniwersyteccy portierzy, czyli pedle, pelniacy tez – z wiekszym nawet entuzjazmem – funkcje straznikow. Swoje przewisko zyskali ze wzgledu na to, ze mieli gruba skorupe, w upale czerwienieli oraz ze wszystkich znanych istot mieli najmniejszy mozg w stosunku do swoich rozmiarow. * A i tak zaczepial gorskie kozice na pozornie niedostepnej scianie urwiska i kiedy wokol sypaly sie kamienie, oskarzal je o utrudnianie mu korzystania z Prawa do Wedrowki. Eric bardzo stanowczo wierzyl, ze Ziemia Nalezy do Ludu oraz ze on jest Ludem bardziej niz ktokolwiek inny. Wszedzie chodzil z mapa owinieta w material wodoszczelny, noszona na sznurku na szyi. Takich osob nie wolno lekcewazyc. * Jak sie okazalo, wine za wszystko przypisano ludziom z innego swiata, wiec sprawa skonczyla sie dobrze. ?? ?? ?? ??

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-12-01

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/